

Beverley Jo

***Narzeczona
markiza***

1

- Do kroćset diabłów!

Przekleństwo to zostało raczej wymamrotane niż powiedziane na głos, ale było wystarczająco szokujące dla Geralda Westalla, sekretarza Williama de Vaux, księcia Belcraven, by spojrzeć na swego pracodawcę. Księżę siedział za wielkim, rzeźbionym biurkiem, przeglądając korespondencję. Okulary, używane tylko do czytania, opierały się na jego długim, prostym nosie, gdy ponownie przebiegał wzrokiem pismo, które wywołało taką niezwykłą reakcję.

Pan Westall, wysoki, chudy młodzieniec, sprawiający wrażenie, jakby zszedł z obrazu El Greca, udawał, że wrócił do swych zajęć, ale jego myśli całkowicie zaprzętał księżę. Czy ten okrzyk był oznaką konsternacji? Czy też gniewu? Nie, zdecydował. Zdumienia. Młody mężczyzna czekał niecierpliwie, aż księżę zwróci się do niego po radę. Wtedy pozna przyczynę wzburzenia.

Rozczarował się jednak. Księżę odłożył list i wstał. Podszedł do jednego z dużych okien wychodzących na Belcraven Park, od trzech stuleci stanowiący siedzibę rodu. Piętnaście lat temu, dla uczczenia początku nowego wieku, Humphrey Repton, słynny projektant ogrodów, przekształcił setki hektarów ziemi wokół okazałej rezydencji w malowniczy park krajobrazowy. Cztery lata temu, w związku z hucznym świętowaniem osiągnięcia pełnoletności przez dziedzica Belcraven, markiza Arden, powiększono jezioro. Jednocześnie

usypano wyspę, na której wzniesiono grecką świątynię; wystrzeliwano z niej sztuczne ognie. Wszystko to było bardzo piękne, ale aż zanadto znajome, a pracodawca pana Westalla nie miał w zwyczaju kontemplować widoku swej posiadłości.

Z postawy księcia niewiele można było wywnioskować. Trzymał się prosto, był szczupły, nie wyglądał na swoje pięćdziesiąt sześć lat. Jego oblicze jak zwykle nie zdradzało żadnych uczuć. Zdaniem sekretarza, księżę Belcraven był zimny i wyniosły.

Im dłużej księżę milczał, tym bardziej pan Westall się niepokoił. Jeśli ród de Vaux dotknęło jakieś nieszczęście, czy odbije się to niekorzystnie na jego karierze?

To śmieszne. Księżę był jednym z najbogatszych ludzi w Anglii, a Gerald Westall najlepiej wiedział, że jego chlebodawca nie inwestował w niepewne interesy ani nie oddawał się hazardowi. Podobnie jak śliczna księżna. Ale ich syn?

Pan Westall nie żywił sympatii do Luciena Philippe'a de Vaux, markiza Arden, w czepku urodzonego dandysa, który nie bał się nikogo ani niczego. Podczas swych rzadkich wizyt w Belcraven Park markiz nie dostrzegał Westalla, a swego ojca traktował z wręcz ubliżającą kurtuazją. Dla sekretarza wciąż stanowiło zagadkę, czemu wśród wyższych sfer ojcowie i synowie nie potrafią darzyć się miłością i szacunkiem. Weźmy choćby króla i regenta - oczywiście, zanim u tego pierwszego ujawniła się choroba umysłowa. Być może przyczyna tkwi w tym, że dziedzic musi czekać na śmierć ojca, by w pełni zacząć korzystać z uroków życia, a ojcowie doskonale zdają sobie z tego sprawę?

Pan Westall nawet się cieszył, że może żyć po swojemu. Chociaż z drugiej strony, pomyślał, patrząc na surową

twarz księcia, trudno kochać człowieka pozbawionego odrobiny ciepła. Markiz odnosił się serdecznie jedynie do matki, obdarzonej nadzwyczaj łagodną naturą. Byli ze sobą blisko związani. No cóż, Arden słynął z tego, że potrafił postępować z kobietami.

W końcu książę się odwrócił.

- Panie Westall, niech pan będzie tak dobry i wyśle wiadomość do księżnej, że proszę, by zechciała mi poświęcić kilka chwil.

Sekretarz nic nie wyczytał z wyrazu twarzy ani z tonu głosu swego chlebodawcy. Ktoś obcy nie domyśliłby się, że księcia trapi coś poważnego. A jednak tak właśnie było. Złożenie wizyty księżnej o tej porze stanowiło poważne naruszenie zwykłego porządku dnia.

Tajemniczy list musiał dotyczyć ich syna.

Buńczuczny markiz prawdopodobnie skrzywdził sobie kark podczas jednej ze swych szalonych eskapad. W rodzie de Vaux od dwustu lat tytuł przechodził z ojca na syna. Śmierć markiza nie stanowiła wielkiej straty, ale szkoda, że przerwana zostanie taka piękna tradycja.

Kiedy lokaj wrócił i oznajmił, że księżna gotowa jest spotkać się z mężem, a ten wyszedł, by zakomunikować żonie smutną wiadomość, pan Westall sprawdził, czy ma w biurku zapas stosownego papieru listowego.

Drzwi do przestronnych apartamentów żony otworzyła księciu pokojówka, która zaraz dyskretnie się ulotniła.

Księżna siedziała z robótką w ręku przy oknie balkonowym. Lutowy dzień był zbyt chłodny, by można było je otworzyć, choć jasne promienie słońca zdawały się przekonywać, że to już wiosna, a w powietrzu wyczuwało się woń rozkwitłych żonkili i hiacyntów.

Książę podziwiał swą żonę za to, że - w przeciwieństwie do wielu kobiet w jej wieku - nie unika ostrego światła.

Miała pięćdziesiąt dwa lata, wszystkie uśmiechy i

wylane łzy zostawiły na jej twarzy ślad, jednak w niczym nie ujmowało jej to urody. Siwizna mocno przyprószyła jasnozłote włosy księżnej, ale oczy nadal zachowały żywy, niebieski kolor, a usta wciąż były zgrabnie wycięte. De Vaux przypomniał sobie, jak ujrzał ją pierwszy raz, w ogrodzie otaczającym zamek jej rodziców...

- Dzień dobry, książę - przywitała go miękkim głosem, w którym mimo upływu lat nadal słychać było francuski akcent. - Chciałeś ze mną pomówić? - spytała z wyszukaną uprzejmością, ostatnio tak dla niej typową. Ciekaw był, czy wydarzy się kiedyś cud, który naprawi stosunki między nimi, ale szybko porzucił płonne marzenia i podszedł do żony, by wręczyć jej list.

- Tak, madame. Przeczytaj to, jeśli łaska.

Księżna poprawiła delikatne, oprawione w złoto pince-nez, które musiała zakładać do robótek ręcznych, i skupiła

się na lekturze listu. Książę pilnie obserwował jej reakcję, ale nie dostrzegł oznak szoku ani bólu, a jedynie lekkie zdumienie. Kiedy skończyła czytać, spojrzała na niego z uśmiechem.

- To bardzo niemądrze z jej strony, że nie zwróciła się do ciebie wcześniej, książę. Co zamierzasz? Z chęcią przyjmę tutaj tę dziewczynę. Jest twoją córką, a mnie brakuje obecności córki, odkąd Joannę wyszła za mąż. By uniknąć spokojnego wzroku żony, książę odwrócił się do okna. Jaki z niego głupiec, że spodziewał się wybuchu gniewu w obliczu jawnego dowodu jego niewierności, pomyślał. Jaki z niego głupiec, że tego pragnął. Jednak tęsknił za czymś, co w końcu skruszyłoby lodową skorupę, która od ponad dwudziestu lat skuwała jego małżeństwo.

- Nie - odrzekł wreszcie. - Nie chcę, żeby moja nieślubna

córka tu przyjeżdżała, madame. Zamierzam zaaranżować jej małżeństwo z markizem. - Odwrócił się, by zobaczyć reakcję żony.

Wyraźnie pobladła i odniósł wrażenie, że nagle przybyło jej lat.

- Z markizem? Nigdy na to nie przystanie, książę. Zaledwie w zeszłym tygodniu napisał, że rozważa, czy nie poprosić o rękę córki Swinnamerów.

Księżciu z gniewu aż zadrżały nozdrza.

- Czemu mi o tym nie powiedziałaś, pani? Czy nie wolno mi interesować się swoim spadkobiercą, nawet jeśli nie jest moim synem?

Księżna uniosła białą dłoń, jakby chciała się zasłonić przed oskarżeniami, ale po chwili ją opuściła i pochyliła głowę.

- Bez względu na to, czy mówię o Lucienie dobrze, czy źle, zawsze wszczynasz kłótnię, książę. Pragnę jedynie zachować spokój.

- Lepiej się módl, pani, by się nie związał z jakąś lalką, bo wtedy już nigdy nie będzie tu spokoju - rzucił książę ostrym tonem.

Po chwili westchnął, na jego twarzy znów pojawiło się znużenie. Zbliżył się do żony i usiadł w fotelu stojącym naprzeciwko.

- Nie rozumiesz tego, Yolande? To szansa, by wszystko naprawić, by naprawić nasze dawne błędy. Jeśli twój syn poślubi moją córkę, uda się zachować ciągłość rodu.

Księżna mocno zacisnęła dłonie i spojrzała na męża.

- Ale to są ludzie, Williamie. Lucien już oddał komuś swoje serce. Skąd wiesz, czy ta dziewczyna też kogoś nie kocha? Skąd wiesz - spytała z desperacją - czy to w ogóle twoja córka?

Odwrócił wzrok, by nie widzieć jej błagalnego spojrzenia.

- Zlecę to sprawdzić, lecz wierzę, że tak jest. Mary Armitage była wprawdzie głupia, ale uczciwa. Myślę, że właśnie to mnie w niej pociągało, kiedy przypadkiem się spotkaliśmy. Po...

Spojrzał na księżną i dostrzegł napięcie w jej twarzy, jakby spodziewała się kolejnych oskarżeń. Nie dokończył tego, co bezmyślnie zamierzał powiedzieć.

- Była cnotliwa i uczciwa - ciągnął niezdarnie.

Ostatecznie opowiadał żonie o zdradzie, której się dopuścił. - Ale miała również dobre serce. Mocno przeżyłem to, co się wydarzyło, a ona mnie pocieszyła. Jednak przy okazji sama została zraniona. Zraniłem jej duszę. Nie przyjęłaby ode mnie najmniejszego zadośćuczynienia... - Nerwowo potarł skronie. - Żałuję, że nie zwróciła się do mnie po pomoc, kiedy się zorientowała, że jest w odmiennym stanie, ale to dla niej typowe. Może chciała mi oszczędzić przykrości, bardziej prawdopodobne jednak, że pragnęła zapomnieć o naszej znajomości.

Księżę zabrał list z dłoni żony i spojrzał na niezdecydowane pismo kobiety, która kiedyś, krótko, była jego kochanką.

- Kiedy się spotkaliśmy, jej mąż, oficer marynarki, odbywał służbę na morzu. Mary nie mogła twierdzić, że to jego dziecko. Widocznie udało jej się ukryć odmienny stan przed rodziną i znajomymi. Chyba dlatego skorzystała z pomocy przyjaciółki, która zaopiekowała się dziewczynką.

- A na łożu śmierci - odezwała się cicho księżna - uświadomiła sobie, że jej udział w wychowaniu córki kończy się, i poprosiła ciebie, byś przejął jej obowiązki. Sumienna kobieta, ale, jak powiedziałeś, trochę głupia. Jeśli dziewczyna jest twoją córką, być może jest do ciebie podobna. Co wtedy, Williamie?

- Nie należę do osób o charakterystycznym wyglądzie - stwierdził cierpko książę i księżna musiała mu przyznać rację. Miał ciemne, proste włosy, teraz nieco przerzedzone i przyprószone siwizną, niebieskoszare oczy; nie miał żadnych znaków szczególnych. Nawet jeśli dziewczyna była do niego podobna, nie będzie się to rzucało w oczy.

Nie robiąc sobie zbyt wielu nadziei, księżna raz jeszcze spróbowała odwieść męża od jego pomysłu.

- Williamie, nic z tego nie wyjdzie. Co powie świat, jeśli nasz syn poślubi kobietę bez nazwiska?

Uśmiechnął się gorzko.

- Madame, o twoim synu można powiedzieć jedno: nikt się nie zdziwi tym, co uczyni.

- A jeśli odmówi? - spytała słabym głosem.

Książę wyprostował się na fotelu i oświadczył stanowczym tonem:

- Wtedy go wydziedziczę i zostawię mu tylko ordynację.

- Ależ, Williamie! Nie możesz tego zrobić!

Znaczna część rodzinnej fortuny nie wchodziła w skład majątku rodowego, przysługującego najstarszemu synowi. Księżna wiedziała, że bez niej Luciena nigdy nie będzie stać na utrzymanie wielkiego domu, licznej służby, życie na odpowiedniej stopie.

- Mogę i zrobię to. - Książę wstał. - Jestem prawowitym dziedzicem i przypilnuję, by nasz ród nie wymarł. Jeśli Ar-den nie rozumie obowiązków, jakie na nim ciąży, to nie jest godzien tytułu.

Księżna wstała, wyraźnie poruszona.

- Powiesz mi?

Książę Zadarł głowę.

- Naturalnie, że tak.

W jej oczach zabłyśły łzy. Książę po raz pierwszy od wielu lat widział, jak jego żona płacze. Odwrócił się

gwałtownie.

- Nie mam wyboru, Yolande - powiedział cicho.

- Znienawidzi nas.

- Powinnaś o tym pomyśleć, zanim uległaś Guyowi de St Briacowi - oświadczył zimno księżę i wyszedł z pokoju. Księżna po omacku odszukała fotel i opadła na niego. Wyjęła chusteczkę i otarła łzy. Rzeczywiście, gdyby miała dar przewidywania, unikałaby St Briaca jak ognia. Ale Guy de St Briac, jej pierwsza miłość, był taki wesoły i czarujący, kiedy brylował w ogrodach i salach balowych przedrewolucyjnej Francji. Absolutnie nie nadawał się na męża, lecz i tak łamał serca niewieście. Kiedy księżę - wówczas markiz Arden - poprosił o jej rękę, Yolande de Ferrand zgodnie z życzeniem rodziców przyjęła jego oświadczyny. Nie była w nim zakochana. Nie był przystojny, brakowało mu fantazji, zachowywał się powściągliwie, ale cieszyła się z wyboru rodziców. Bardzo szybko pokochała markiza na swój sposób; urodziła mu czwórkę dzieci, w tym dwóch zdrowych chłopców, Williama i Johna. Podczas pierwszych lat pobytu w Anglii ani przez chwilę nie myślała o St Briacu.

Kiedy we Francji zaczęły się niepokoje, znów go spotkała... Był w drodze do Ameryki, gdzie chciał rozpocząć nowe życie. Och, był taki wstrząśnięty tym, co się działo w ich ojczyźnie; ona - znacznie mniej przejmowała się ciemnymi chmurami, które zaczęły się gromadzić nad światem jej beztroskiej młodości. Guy tak bardzo jej potrzebował, a ona wciąż pielęgnowała dziewczęce marzenia. Okazja się nadarzyła, kiedy William wyjechał do Szkocji na polowanie.

Tylko raz doszło między nimi do zbliżenia. Jeden, jedyny raz. Ale dzięki temu uświadomiła sobie, że jej uczucia do męża wcale nie są letnie. Przez chwilę

myślała, że jej grzech okazał się zbawieniem, i czekała niecierpliwie na powrót Williama, by mu okazać swoją nowo odkrytą miłość do niego.

Gdyby nie złamał nogi, może nigdy by się o niczym nie dowiedział. Sama nie miałaby pewności. Jednak zanim znów mogli dzielić łóżce, była zmuszona wyznać mu, czego się dopuściła i jakie pociągnęło to za sobą konsekwencje.

Był taki dobry, przypomniała sobie, połykając łzy. Dotknęło go to do żywego, ale jej deklaracja najgłębszej miłości szczerze go wzruszyła. Uznał nienarodzone dziecko, jak czyniło to przed nim tylu mężów w podobnej sytuacji. Chłopiec i tak nigdy nie zostanie spadkobiercą...

Potem wydarzył się ten tragiczny wypadek. Chwila nieuwagi opiekunki, dwójka chłopców dokazujących na łódce, trzylatek niewolniczo naśladowujący pięciolatka. Obaj utonęli.

Z oczu księżnej znów popłynęły łzy na wspomnienie dramatu znacznie poważniejszego od śmierci dwóch ukochanych synów. Był to koniec jej małżeństwa i szczęścia.

Była w siódmym miesiącu ciąży i modliła się, by poronić. Kiedy to nie nastąpiło, rodząc modliła się, Żeby była to dziewczynka. Na próżno.

Ciekawa była, co poczuje, trzymając w ramionach to niechciane dziecko. Zalała ją fala bezgranicznej miłości. Może spowodowała to niedawna tragedia, może oziębienie stosunków między nią a księciem. Była pewna, że jej przywiązanie do najmłodszego i najpiękniejszego dziecka nie ma nic wspólnego z osobą St Briaca, chociaż książę mógł w to nie wierzyć.

Wykarmiła synka własną piersią, i ogromnie żałowała, że nie doświadczyła takiej bliskości ze starszymi

dziećmi. Zamierzała sama karmić także kolejne dzieci, ale żadne się już nie narodziły. Od tamtego dnia księżę nigdy nie pojawił się w jej sypialni.

Księżna pokręciła głową, czując w sercu znajomy ból. Myślała, że z czasem zniknie przynajmniej ten problem. Jednak zawsze, kiedy widziała Williama, wzbierała w niej miłość do niego. Sam dźwięk jego głosu sprawiał, że serce zaczynało jej szybciej bić. Przynajmniej się od niej zupełnie nie odseparował, chociaż dystans, jaki utrzymywał, był nie do zniesienia. Przekonywała siebie, że pewnego dnia wystarczy jej jego obecność przez kilka godzin dziennie.

Pewnego dnia...

Zmusiła się, by o tym nie myśleć.

Księżę jednym słowem nie zakwestionował swego ojcostwa, ale nie nadał chłopcu imion, jakie zazwyczaj nosiły dzieci w jego rodzinie. Chłopczyk otrzymał na chrzcie imiona Lucien Philippe Louis, po ojcu i wuju matki oraz po królu Francji. Uznano to za wzruszający dowód poparcia dla walczącej francuskiej arystokracji.

Pamiętała, jak wszyscy wychwalali łaskawość Boga, że tak szybko wynagrodził im stratę synów. Pamiętała, jak William z kamienną twarzą przyjmował gratulacje.

Byli tacy młodzi. Ona miała dwadzieścia siedem lat, on - zaledwie trzydzieści jeden. Może dlatego nie potrafili się uporać z tym wszystkim.

Potem on uciekł do Hartwell, uroczego domku w Surrey, w którym mieszkali, nim odziedziczył tytuł książęcy.

Tam widocznie znalazł pocieszenie w ramionach „uczciwej” kobiety.

Księżna westchnęła. O wiele za późno odczuwać ból z powodu tamtej zdrady. I byłoby to śmieszne. Czy owoc tego związku, ta Elizabeth Armitage, okaże się zbawieniem czy przekleństwem?

Pomysł, na który wpadł William, stanowił jakieś rozwiązanie, ale jaki koszt się z tym wiązał? Lucien dowie się, co zrobiła jego matka. Jeszcze się pogłębi rozdźwięk między ojcem a synem. Przysięga małżeńska zwiąże dwoje ludzi, którzy nic do siebie nie czują.

Musi go przynajmniej ostrzec.

Pospiesznie podeszła do sekretarzyka i skreśliła do ukochanego syna kilka słów wyjaśnienia. Prosiła, by wyraził zgodę, błagała o przebaczenie. Następnie potrząsnęła srebrnym dzwonkiem i pojawił się lokaj.

- Chcę, żeby ten list przekazano markizowi do Londynu - oznajmiła, a kiedy służący zamierzał już wyjść, spytała:

- Nie wiesz, czy księżę też wysłał list?

- Księżę właśnie wyrusza do Londynu, wasza wysokość. Księżna odwróciła się w stronę okna. Powóz, zaprzężony w szóstkę rączych koni, już się toczył podjazdem. Westchnęła.

- Chyba niepotrzebnie napisałam ten list - powiedziała, biorąc go z powrotem. Kiedy lokaj wyszedł, podarła kartkę na kawałki, a następnie wrzuciła do kominka. Co ma być, to będzie. Ostatnie dwadzieścia pięć lat, lat bez miłości męża i wszelkiej nadziei na nią, nauczyło ją stoicyzmu.

2

Tamtej nocy Lucien Philippe de Vaux, markiz Arden, gnał na złamanie karku na skradzionym koniu przez mokre od deszczu, ciemne ulice Londynu. Tylko dzięki wyjątkowym umiejętnościom i sile udawało mu się zapanować nad oszalałym zwierzęciem na śliskim bruku. Mijając złorzeczących woźniców, próbujących okiełznać swe wystraszone konie, śmiał się, tylko białe zęby błyskały w świetle gazowych latarni. Gdy straganiarz wrzasnął: „Przekłęci paniczycy!” i zaczął ciskać za nim owocami, wybierając mniej dorodne okazy, markiz

złapał jedno jabłko i odrzucił je tak zgrabnie, że stracił mężczyźnie kapelusz z głowy.

Zatrzymał się dopiero przed teatrem Drury Lane i przywołał kręcącego się w pobliżu wyrostka.

- Popilnuj konia, masz tu gwineę - krzyknął, biegnąc do bocznego wejścia. Główne już zamknięto na noc.

Bosonogi ulicznik chwycił uzdę zmęczonego konia, jakby to była przepustka do raju. Może i była.

Markiz tak długo walił w drzwi teatru kamieniem, który znalazł w bocznej alejce, aż pojawił się gderliwy stróż.

- Czego? - warknął przez szparę w drzwiach.

W dłoni markiza błysnęła gwinea i drzwi uchyliły się szerzej. Mężczyzna porwał monetę.

- Nie ma nikogo - powiedział. - Jeśli szuka panicz madame Blanche, wyszła z Szalonym Markizem.

Słyszając śmiech przybysza, stróż zamrugnął i uniósł trzymaną lampę trochę wyżej. W jej świetle ukazały się wyraziste rysy i niebieskie oczy. Chociaż charakterystyczne, złociste włosy markiza pociemniały od deszczu, nikogo by to nie zwiódło.

- Proszę o wybaczenie, milordzie. Bez obrazu.

- Nie gniewam się - rzucił bez troski markiz, mijając odźwiernego. - Biała Gołąbka z Drury Lane zostawiła w garderobie ulubioną chusteczkę. Przyszedłem tu jako jej unizony sługa, by ją odzyskać. - Powiedziawszy to, przemknął przez obskurny korytarz.

Nocny stróż pokręcił głową.

- Szaleńcy. - Z przyzwyczajenia sprawdził, czy gwinea jest prawdziwa, chociaż wiedział, że Arden nie płaci fałszywymi monetami.

Już po chwili młodzieniec znów wybiegł na deszcz. Ujął wodze konia i wyciągnął z kieszeni kolejną gwineę. Ale spojrzawszy na ulicznika, zawahał się.

- Zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że masz więcej niż

dwanaście lat - powiedział w zamyśleniu. - Będiesz miał kłopot z podzieleniem się nią.

Chłopak niezbyt się tym przejmował, wpatrując się pożądliwie w złotą monetę. Markiz się uśmiechnął.

- Nie martw się. Nie oszukam cię. Może pojedziesz ze mną? Suto cię wynagrodzę.

Wyrostek cofnął się o krok.

- Na koniu, panie?

- Naturalnie, że na koniu - rzekł markiz, wskakując na grzbiet gniadosza. - No więc jak? - Dostrzegłszy wahanie chłopaka, rzucił niecierpliwie: - Decyduj się.

Ulicznik uniósł ręce i już po chwili siedział za jeźdźcem.

- Trzymaj się mocno! - usłyszał jeszcze i koń znów ruszył galopem.

Ulice opustoszały, bo bywalcy teatrów i straganiarze udali się już do domów. Jednak i tak było dość ludzi, by przejażdżka nie była nudna. Z ust wystraszonego chłopaka co rusz padały okrzyki w rodzaju: „Boziu jedyna”, „Uważaj, panie!”, a kiedy powożący kabrioletem w panice skierował konia na chodnik - „Co za mazgaj!”.

Markiz ściągnął wodze zmęczonego, pokrytego pianą konia przed okazałym domem w Mayfair, daleko od rejonu, w którym zwykle kręcił się urwis. Zeskoczył z konia i krzyknąwszy: „Popilnuj przez chwilę konika”, pobiegł w kierunku szerokich schodów. Akurat kiedy dzwon na pobliskiej wieży kościelnej zaczął wybijać godzinę, otworzyły się masywne, podwójne drzwi i mokre od deszczu stopnie zalała fala światła. Delikatna, eteryczna zjawia - ze srebrnymi, rozpuszczonymi włosami, w spływającej z ramion sukni z koronki i w białych pantofelkach - wyciągnęła ręce i zawołała:

- Wiedziałam, że ci się uda!

Markiz porwał ją w ramiona i obrócił nią, a ona piszcza-

ła i krzyczała, że jest zupełnie przemoczony.

Ulicznik słyszał, jak jego dłużnik, wchodząc do domu, mówi ze śmiechem:

- Do diabła z twoją suknią. Wolę cię bez niej. Gdzie Dare? Wielkie drzwi zamknęły się za nimi.

Chłopak, znany pod przydomkiem Wróbelek, zadygotał z zimna.

- Zostawił mnie na grzbiecie przemoczonej szkapy - mruknął. - Dzięki Bogu, że zwierzę jest zbyt zmęczone, by się poruszyć. - Do ziemi było daleko.

Jednak kiedy koń zaczął zdradzać oznaki powrotu do życia, chłopak wybrał mniejsze zło. Chwyciwszy się lęku siodła, zsunął się na ziemię i wylądował prosto w kałuży. Koń się obejrzał, czując się lekko znieważony.

- Nic ci nie będzie - mruknął Wróbelek, rozmazując rzadkie błoto na mokrych i brudnych łachmanach. - Wcześniej czy później ktoś cię wyczyści, da ci jeść. Panowie dbają o swoje konie. Powinienem wziąć tę cholerną gwineę.

Przyjrzał się uważnie upręży, czy przypadkiem nie dałoby się zabrać czegoś, co przedstawiało sobą jakąś wartość.

Właśnie w tej chwili czyjeś grube palce chwyciły go za kołnier i obróciły tak, że znalazł się twarzą w twarz z krzepko zbudowaną mężczyzną.

- Co robisz z moim koniem, ty diabelskie nasienie?

- Ja... ja... - Wróbelek, na wpół uduszony, tak się przeraził, że nie mógł myśleć. Wierzgał nogami i wił się jak pi-skorz, ale na nic się to zdało.

- Nauczę cię kraść dżentelmenowi wierzchowca, ty przekłety kundlu - warknął osiłek i zdzielił Wróbelka batem.

- Aj! Proszę, panie... Aj! - Bat tylko świstał w powietrzu. Nagle rozległ się czyjś chłodny głos.

- Nie wydaje mi się, by to było odpowiednie miejsce na

dawanie nauuczki zbłąkanemu słudze.

Mężczyzna przestał bić chłopaka, ale dalej mocno go trzymał.

- A kim, u diabła, pan jest? I co pana obchodzi, co robię? Nieznajomy najwidoczniej dopiero co przyjechał eleganckim powozem. Wróbelek wprawnym okiem żebraka ocenił, że ma do czynienia z bogatym panem.

Świadczyły

O tym nie tylko idealnie skrojony płaszcz z peleryną i lśniące buty, elegancki cylinder i brązowe rękawiczki, ale postawa i ton głosu nieznajomego.

Z tyłu stał lokaj w przypudrowanej peruce, osłaniając swego pana przed deszczem wielkim, czarnym parasolem.

- Jestem księżę Belcraven - odparł przybysz - a to jest mój dom, którego ciszę zakłóca pan swym wrzaskiem.

Wróbelek żałował, że nie widzi miny swego prześladowcy. Wolałby również, żeby go puścił, zamiast ścisnąć coraz mocniej. Wtedy mógłby stąd uciec - i to szybko. Nie chciał mieć nic wspólnego z książętami, a za kradzież konia groziło więzienie.

- Najmocniej przepraszam, wasza książęca mość - odezwał się mężczyzna. - Wymierzałem karę temu nicponiowi za to, że odjechał na moim koniu, którego zostawiłem w pobliżu.

Książę uniósł monokl i przyjrzał się zwierzęciu, odpowiednio wielkiemu, by móc udźwignąć tak potężnego jeźdźca. Potem spojrział na rzekomego winowajcę.

- Jeśli to on doprowadził konia do takiego stanu - powiedział chłodno - proponuję, żeby zamiast go bić, zatrudnił go pan jako dżokeja.

Wróbelek wyobraził sobie, jak przez całe życie jest zmuszany do jazdy na wielkich koniach, i próbował zaprotestować. Ale ręka, trzymająca go za kołnierz,

zmusiła go do milczenia.

W tym momencie otworzyły się drzwi okazałego domu i dał się słyszeć rozkazujący głos:

- Co, u diabła? Puścić tego chłopaka!

A po chwili inny ton, wyprany z wszelkich emocji:

- Wasza książęca mość. Nie spodziewałem się wizyty. Książę się odwrócił i spojrzał przez monokl na schody, znów

skąpane w złotym świetle. Stał na nich dłużnik

Wróbelka, za nim kilku służących i dżentelmenów, a obok śliczna dama ubrana na biało, która zresztą szybko zniknęła w głębi domu.

- Widzę - powiedział książę lodowato, po czym opuścił monokl i wspiął się po stopniach, a za nim pospieszył lokaj z parasolem.

Wszedłszy do środka, William de Vaux pozwolił się obsłużyć swoim lokajom, zmuszonym do błyskawicznego porzucenia postawy pełnej niefrasobliwości na rzecz powagi, jakiej wymagał książę. Goście markiza dyskretnie się ulotnili, ale po chwili z pokoju muzycznego dobiegł ich śpiew. Piosenka nie była zbyt przyzwoita.

Kiedy służba zabrała już wilgotne wierzchnie okrycie, książę oświadczył:

- Udam się do swoich pokojów. Proszę mi przynieść lekką kolację. Arden, chcę się z tobą spotkać jutro po śniadaniu.

- Tak jest - powiedział beznamiętnie markiz.

Książę skierował się ku wielkim, paradnym schodom, a za nim ruszył jego osobisty pokojowiec.

Markiz przez chwilę przyglądał się ojcu, potem odwrócił się i spojrzał na ulicznika, którego wciąż więził oniemiały właściciel konia. Wzruszył ramionami i beztrąsko wyszedł na deszcz.

- Natychmiast puść chłopaka - polecił zimnym tonem.
- Co proszę? - lekceważąco spytał mężczyzna, prawdopodobnie wprowadzony w błąd tym, jak księżę potraktował markiza. - Chłopak zasłużył na baty i się od nich nie wymiga, i żaden sługus księcia temu nie przeszkodzi.

- Tylko tknij go palcem, a będziesz miał ze mną do czynienia - powiedział spokojnie markiz. - To ja ukradłem konia.

Mężczyzna puścił Wróbelka, ale nim ten zdołał nawet pomyśleć o czmychnięciu, powstrzymały go słowa markiza.

- Nie uciekaj. - I Wróbelek go usłuchał. Nie był pewien, czy dlatego, że się bał, był zmęczony, czy też ton głosu mężczyzny budził zaufanie, ale zrobił to, co mu kazano. I był świadkiem wielkiego pojedynku na pięści.

„Panicz” był wysoki i silny, ale „wielki pan” więcej od niego ważył i też się trochę znał na boksie. Uderzył prawym sierpowym, zwalając swego przeciwnika na ziemię. Markiz szybko się jednak poderwał i zdzielił grubasa pięścią prosto w brzuch.

Kilku młodzieńców wyszło na deszcz, by dopingować swego przyjaciela, radami służyło też paru przechodniów. Wróbelek jeszcze nigdy nie widział tylu przemoczonych do suchej nitki elegancików. Krawcy będą jutro mieli wspaniały dzień, pomyślał. Miał nadzieję, że panicz nie zostanie tak pobity, by zapomnieć o gwinei, którą był mu winien.

Wkrótce stało się oczywiste, że młodzieniec świetnie sobie radzi. Chociaż przeciwnik wymachiwał pięściami, nie udało mu się po raz drugi dosięgnąć panicza. Teraz markiz zaczął pokazywać, co potrafi. Po kilku minutach zmusił przeciwnika do odsłonięcia się i trafił go lewym sierpowym, po którym wielkolud już się nie podniósł.

Dłużnik Wróbelka przyjrzał się pokonanemu i rozmasował ręce.

- Odrażający typ. Z radością zapłaciłbym mu za użyczenie konia. - Wydobył kilka gwinei. - Włóżcie mu to do kieszeni.

Przyjaciele najwyraźniej chcieli zaciągnąć markiza z powrotem do domu, ale wyrwał się im.

- Gdzie chłopak?

Wróbelek z nadzieją wyłonił się z mroku, a elegant przyjrzał mu się uważnie. Delikatnie dotknął podartej koszuli wyrostka i się skrzywił.

- To nic takiego, panie - powiedział Wróbelek.

- Jednak jestem ci coś winien za to, że byłeś moim chłopcem do bicia. Masz dokąd pójść?

Wróbelek musiał się zastanowić, nim odpowiedział.

Razem z innymi bezdomnymi miał kryjówkę w bocznej uliczce.

- Mam gdzie spać - wymamrotał.

. - Chodzi mi o to, czy masz rodzinę?

- Nie, jaśnie panie. Moja mama nie żyje.

- Wobec tego prześpij się z koniuszymi w stajni. Przypilnuję, żeby cię porządnie nakarmili i dali ci jakieś suche ubranie. Porozmawiamy rano. Teraz jestem zmęczony.

- Rozumiem - powiedział współczująco chłopak. - Ten książę to panicza dobrodziej?

- Mój dobrodziej? - Markiz uśmiechnął się krzywo. -

Chyba tak. Marleigh! - zawołał i przez drzwi wysunął głowę lokaj.

- Słucham, wasza lordowska mość?

- Przyślij jednego z koniuszych po chłopca. Jak ci na imię?

- Wołają na mnie Wróbelek, wasza lordowska mość - odparł urwis z uszanowaniem. - Proszę o wybaczenie, jeśli zachowałem się niewłaściwie, wasza lordowska mość.

- Nie podlizuj mi się, ptaszku - powiedział elegant, odwracając się. - To jedyna rzecz, której nie znoszę.

Wbiegł po schodach, a za nim podążyli jego towarzysze. Masywne drzwi zatrzasnęły się za nimi.

Wróbelek rozważał, czy się nie ulotnić, rezygnując z obiecanej gwinei. Książęta, lordowie - to nieodpowiednie towarzystwo dla dzieciaka z Figger's Lane.

Ale nim zdecydował, na schodach pojawił się krzepki chłopak, kilka lat od niego starszy. „ - To ciebie mam zabrać? - spytał z wyższością. „ - Tak - mruknął Wróbelek.

Chłopak przyjrzał mu się bliżej i trochę się odprężył. - Nigdy nie wiadomo, co strzeli do głowy markizowi. Nie bój się. Dobrze tu, nawet jeśli przyjedzie książę i musimy się pilnować. Chodź.

Kiedy szli po schodach w kierunku ciepłych światłał kuchni, Wróbelek spytał:

- Skoro to dom księcia, jak panicz mógł mnie zaprosić?
- Bo jest jego synem. Pewnego dnia to wszystko będzie jego. Co nie znaczy, że nie lubi urządzać takich burd na ulicy. Markiz Arden czuje respekt jedynie przed księciem.

Nawet o tak późnej porze Belcraven House był gotów na przyjęcie niespodziewanych gości, zarówno na piętrze, jak i w suterenie. Francuski kucharz pośpiesznie przygotowywał elegancką kolację dla księcia, a jego pomocnik zajął się nakarmieniem ulicznika. Dał mu talerz zupy i pajdę chleba, grubo posmarowaną masłem. Wprawdzie żeby się posilić, Wróbelek musiał usiąść na podłodze w pralni, bo kucharz, spojrzawszy na obdartusa, przegonił go z kuchni, ale chłopak niezbyt się tym przejął. I tak wydawało mu się, że znalazł się w raju. Siorbiąc pożywną zupę okraszoną kawałkami

mięsa, zastanawiał się, czy mógłby coś zrobić, by uchronić swego dobroczyńcę przed jutrzejszą burą. Nadal nad tym rozmyślał, kiedy owinąwszy się w dwie suche derki, położył się w kącie ciepłej stajni. Wkrótce usnął, po raz pierwszy od śmierci matki z pełnym brzuchem.

Nazajutrz markiz obudził się dziwnie zrezygowany. Niezapowiedziany przyjazd ojca do miasta nie wróżył nic dobrego. Podczas golenia markiz Arden zastanawiał się, dlaczego nigdy nie układało mu się dobrze z ojcem. Darzył go bezgranicznym podziwem, ale kiedy tylko znaleźli się gdzieś razem, przypominali hubkę i krzesiwo. Wystarczyła najmniejsza iskra, by wybuchął pożar.

Pechowo się złożyło, że księżę pojawił się akurat wczoraj wieczorem. Lord Darius Debenham - powszechnie zwany Dare - założył się, że markiz nie zdąży pojechać do Drury Lane i wrócić z chusteczką Blanche przed północą. Markiz nigdy nie przepuszczał takiej okazji. Nie mógł sobie wybrać gorszego wierzchowca do tej przejażdżki. Koń prawdopodobnie nigdy wcześniej nie miał okazji galopować.

Przypomniawszy sobie o chłopcu.

- Hughes, jak się czuje chłopak? - spytał, zawiązując czarny fular wokół wysokiego kołnierzyka. Jego kolor pasował do nastroju dnia.

- Wydaje się bardzo zadowolony, milordzie - odparł lokaj. - Ośmielę się twierdzić, że byłoby okrucieństwem skazywać go na powrót do dawnego życia, gdy poznał smak przyzwoitej egzystencji.

- A co mam z nim zrobić twoim zdaniem?

- Jestem pewien, że znajdzie się dla niego jakieś zajęcie. Służba uważa, że jest całkiem znośny, zważywszy na jego pochodzenie. Nie narzekał specjalnie, że musi

wziąć kąpiel, mówi „proszę” i „dziękuję”, pyta, w czym może pomóc.

- Prawdziwy dżentelmen. No cóż, zastanowię się nad tym po spotkaniu z ojcem.

Markiz włożył ciemnoniebieski surdut i stanął przed lustrem, by ocenić swój wygląd.

- Myślisz, że to trochę udobrucha mojego ojca? - spytał cierpko lokaja.

- Każdy ojciec byłby dumny z takiego syna - odparł Hughes i naprawdę tak uważał.

Markiz był wzrostu księcia, miał ponad metr osiemdziesiąt, lecz był od niego bardziej muskularny. Nie odznaczał się okazałą posturą, ale był barczysty i miał umięśnione nogi. Można się też w nim było dopatrzeć podobieństwa do matki - miał urodziwą twarz i zgrabnie wycięte usta, których mogły mu zazdrościć dziewczęta. I złote włosy, jak księżna.

Ubieranie markiza stanowiło czystą przyjemność. Kremowe pantalonek podkreślały jego zgrabne nogi, a niebieski surdut leżał bez zarzutu na prostych ramionach. Jedwabna kamizelka i trzy dewizki dopełniały stroju.

Tak, księżę do niczego nie może się przyczepić.

Jednak wbrew temu, co sądził Hughes, markiz nie dostrzegł aprobaty na twarzy ojca, kiedy pojawił się w jego gabinecie. Księżę i księżna mieli osobne apartamenty, które zawsze były gotowe na ich przyjęcie. Z reszty domu mógł korzystać ich syn.

Księżę siedział w fotelu przy kominku.

- Dzień dobry - powiedział markiz, starając się odgadnąć nastrój ojca. Nie odważył się usiąść.

Księżę zmierzył syna wzrokiem od stóp do głów i chociaż markiz wiedział, że nic nie można zarzucić jego wyglądowi, poczuł się nieswojo.

- Czy mógłbyś mi wyjaśnić, co się działo, kiedy przyje-

chałem wczoraj wieczorem, markizie?

Arden starał się wytłumaczyć wszystko najlepiej, jak umiał. Jego wyczyn nie spotkał się z uznaniem.

- Czy ta aktorka jest twoją kochanką?

- Tak.

- Proszę, żebyś więcej nie zapraszał do domu ani jej, ani jej następczyń.

Markiz zeszywniał, ale uznał, że zasłużył sobie na reprimendę.

- Dobrze. Przepraszam, ojczy. Księżę lekko skłonił głowę.

- A chłopak?

- Zdaje się, że zdobył sobie przychylność służby. Myślę o poszukaniu dla niego jakiegoś zajęcia.

Księżę znowu skinął głową.

- O ile dobrze zrozumiałem, nadal jesteś mu winien gwineę. Nie wątpię, że wywiązujesz się ze swoich długów.

Markiz był ciekaw, skąd księżę zawsze wie, co się dzieje. Dostrzegł, że oblicze ojca nieznacznie się rozjaśniło.

- Naturalnie.

Najwyraźniej pierwsza część spotkania dobiegła końca.

Markiz nieco się odprężył. Cokolwiek tak niespodziewanie sprowadziło księcia do Londynu, nie miało to związku z jego osobą.

- Usiądź, markizie. Muszę z tobą coś omówić.

Arden zajął miejsce w fotelu naprzeciwko. Coś w tonie głosu ojca zwróciło jego uwagę.

- Mam nadzieję, że maman ma się dobrze - powiedział.

- Jak najbardziej.

Mimo tego zapewnienia nietypowe dla księcia skrepowanie bardzo zaniepokoiło markiza. Ogarnęła go nieodparta potrzeba poprawiania fularu oraz krzyżowania i prostowania nóg. To eleganckie

pomieszczenie, ze złotymi, brokatowymi zasłonami i chińskim dywanem na podłodze, nie wywoływało jakichś nieprzyjemnych wspomnień, ale księżę zawsze stwarzał wokół siebie szczególną atmosferę. Bez względu na to, gdzie się spotykali, Lucien de Vaux zawsze czuł się tak, jak za chłopięcych lat, gdy stawiał się w gabinecie ojca w Belcraven Park, aby z drzeniem wysłuchać uszczypliwych uwag albo ze stoickim spokojem przyjąć do wiadomości, na ile razów sobie zasłużył ostatnim wybrykiem.

Zawsze wolał to drugie. Od dziecka doskonale rozumiał system kar. Chłosta, rzadko kiedy dotkliwa, była zastrzeżona dla przewinień typowych dla chłopców. Wiedział, że zrobił coś, czego ojciec nie pochwała, ale co nie sprawiło mu większej przykrości.

Ojcowskie reprimendy świadczyły, że dopuścił się czynu, jaki nie przystoi dziedzicowi rodu de Vaux, że ojciec się go wstydzi. Markiz często później płakał.

Dlaczego dziś przypomniał sobie o tych bolesnych chwilach, skoro nic nie wskazywało na to, aby księżę się gniewał?

W końcu księżę przerwał milczenie.

- Nie ma sposobu, by to zakomunikować w sposób oględny, ale nie wiem, w jakiej kolejności wszystko przedstawić. - Spojrzał mu prosto w oczy. - Muszę ci oznajmić, że nie jesteś moim synem.

Lucien doznał wstrząsu.

- Wydziedziczasz mnie? Na miłość boską, dlaczego?

- Nie! - odrzekł księżę. - Wprost przeciwnie. Od dnia twoich narodzin wiedziałem, że nie jesteś moim synem. Szok zastąpiła furia i markiz zerwał się na równe nogi.

- Znieważasz moją matkę!

- Nie bądź śmieszny - powiedział księżę wyraźnie znużony. - Nie mniej od ciebie zależy mi na dobrym imieniu

księżnej. Ale to prawda. Sam ją spytaj, jeśli chcesz.
Chwila zapomnienia z ukochanym z czasów młodości...
Markiz dostrzegł znajome cierpienie na twarzy ojca...
nie, ten mężczyzna nie był jego ojcem...

Świat zawirował mu przed oczami, chwycił się oparcia fotela. Serce mu waliło jak młotem. Miał trudności z oddychaniem. Z pewnością dorośli mężczyźni nie mdleją...

Głos księcia dobiegał go jakby z głębokiej studni.

- Zdarzyło się to, gdy byłem w Szkocji na polowaniu. Złamałem nogę. Nie ulegało wątpliwości, że nie mogłem być twoim ojcem.

Jego ojciec nie okłamywałby go. Jego ojciec... ten mężczyzna, siedzący sztywno przed nim, zawsze był prawdomówny, nawet jeśli był chłodny. To wiele wyjaśniało. Markiz czuł się tak, jakby mu wydarto serce. Chociaż nie przyszło mu to łatwo, postanowił się skupić na kwestiach zasadniczych.

- Dlaczego mnie uznałeś za swego syna?

Księżę wzruszył ramionami, nie patrząc na niego.

- Takie rzeczy zdarzają się w najlepszych rodzinach, a bardzo kochałem twoją matkę. Nigdy dobrowolnie nie rozstałaby się z dzieckiem. - Spojrzał na swego spadkobiercę i szybko odwrócił wzrok. Zrobił się jeszcze bledszy. - A potem zdarzył się ten wypadek. Twoja matka była bliska rozwiązania. Mogliśmy udać, że niemowlę zmarło. Rozwahałem... ale to by ją zabiło. - Westchnął ciężko. - Przywiązała się do ciebie, jak do żadnego z naszych dzieci. Nie był to odpowiedni czas na racjonalne rozumowanie.

Markiz poczuł, że świat przestał wirować, wszystko się uspokoiło. Spojrzał na swoje dłonie i zobaczył, że są białe jak kreda. Bał się puścić oparcia fotela.

- Chcesz powiedzieć - przemówił, rozpoznając w ozięb-

łości maskę, pod którą skrywała się urażona duma - że od tamtej pory pragnęłaś, bym zniknął z tego świata. Uniósł wzrok. Książę wytrzymał jego spojrzenie, ale pobladły mu usta.

- Pragnąłem i wciąż pragnę, żeby ród de Vaux trwał nadal. Markizowi wydawało się, że to najtrudniejszy moment

w jego życiu, ale zebrał się w sobie i przyjął pozę, jakiej się po nim zawsze spodziewano.

- Chyba rozumiem. Czy mam się zastrzelić? A może pod przybranym nazwiskiem uciec do Nowego Świata? Chociaż nie rozumiem, jak dzięki temu zyskasz dziedzica de Vaux. A może mamam?... - Urwał, wydało mu się to taką niedorzecznością.

- Naturalnie jest za stara, Ardenie - rzekł ostro książę. - Przestań histeryzować. Nie chcę cię wydziedziczyć ani się cię pozbyć. Jedynie gorąco pragnąłem, żebyś był moim synem. - Książę zamilkł, uczyniwszy to wyznanie. Po chwili powiedział: - A teraz chcę, żebyś poślubił moją córkę.

Markiz zrezygnowany opadł na fotel.

- Ostatniej nocy ten idiota musiał mnie zdzielić w głowę mocniej, niż myślałem - mruknął. Cały jego świat legł w gruzach. Niczego już nie pojmował. Jednak jedno do niego dotarło. Został ulaskawiony. Jak przestępca, skazany na powieszenie, któremu szubienicę zamieniono na chłostę.

Książę wstał i nalał brandy do dwóch kieliszków. Wcisnął jeden w dłoń markiza i znów usiadł.

- Wypij to i uważnie mnie wysłuchaj, Ardenie.

Ognista ciecz wypełniła żołądek Luciena i mgła, spowijająca jego umysł, rozplynęła się. Wysiłkiem woli zmusił się do skupienia uwagi.

- Markizie, po tym, jak się urodziłeś, znajdowałem się w

ciągłym stresie... Sam dopuściłem się cudzołóstwa, lecz nie wiedziałem, że w jego wyniku przyszło na świat dziecko. Wczoraj rano otrzymałem wiadomość o istnieniu córki. W jej żyłach płynie krew de Vaux, chociaż teraz, kiedy jej matka nie żyje, nikt o tym nie wie poza nami. Jeśli ją poślubisz, zachowana zostanie ciągłość rodu.

Z całej tej przemowy do markiza dotarło jedynie to, że ojciec zdradził jego wyjątkową matkę.

- Mam lepszy pomysł - rzekł gorzko. - Uczyń ją swoją spadkobierczynią.

Głos księcia był lodowaty, podziałał na niego jak kubeł zimnej wody.

- Znów zachowujesz się nierozsądnie. Odmawiasz mi? Urażony markiz miał wielką ochotę tak zrobić, powiedzieć księciu, by poszedł sobie do diabła razem ze swą córką z nieprawego łoża. Ale coś w nim zostało z dumy de Vaux, bez względu na to, jak małe miał do tego prawo, i usilnie starał się zachować zimną krew, by dorównać księciu.

- Czy coś wiadomo o tej dziewczynie? - spytał.

- Znamy jej wiek. Właśnie skończyła dwadzieścia cztery lata, jest prawie rok od ciebie młodsza.

- Innymi słowy, w sam raz - zauważył chłodno markiz. - Mała pociecha.

- Czy to twoje główne zastrzeżenie?

- To chyba normalne, że mężczyzna chce dzielić życie z kobietą, która jest dla niego odpowiednia - odparł nonszalancko markiz. - Gdzie mieszka moja przyszła żona?

- W Cheltenham. Jest nauczycielką pensji dla dziewcząt, prowadzonej przez pannę Mallory, dawną przyjaciółkę jej matki.

- Jednym słowem, erudytka. No cóż - powiedział markiz,

udając obojętność - miejmy nadzieję, że w przeciwnieństwie do książątka stanę na wysokości zadania.

- Nawet następca tronu spłodził córkę - zauważył książę.

- Ale jak obaj wiemy, nas to nie zadowala. - Markiz stwierdził, że dłużej nie zniesie tej rozmowy. Z trudem wstał i nie patrząc księciu w oczy, spytał: - Czy zostało nam jeszcze coś do przedyskutowania? Jestem umówiony.

- Już zleciłem, by zebrano więcej informacji o dziewczynie. Przyjechałem tutaj niezwłocznie tylko dlatego, że matka wspomniała, że możesz się oświadczyć o rękę córki Swinnamerów.

Ślicznej porcelanowej lalki, która równie dobrze, jak każda inna nadawała się na żonę arystokraty.

- Zapewniam, że już zrezygnowałem z tego zamiaru - rzucił beztrąsko markiz, a potem zorientował się, że skubie frędzel u oparcia fotela.

- Udajesz, że masz złamane serce? - spytał książę. - Co w takim razie znaczy panna Blanche?

Markiz zacisnął dłoń na frędzlu.

- Znane są takie związki mężczyzn i kobiet - odparł z gorącością i spojrzał na księcia. - Z pewnością wasza książęca mość o tym wie.

Powiedziawszy to, odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Książę westchnął i potarł oczy dłonią. Nie spodziewał się, że będzie to przyjemna rozmowa. Jednak było mu przykro, że sprawił Lucienowi taki ból. Nie kłamał, mówiąc, że chciał, żeby markiz był jego synem. Mógłby być z niego dumny.

Owszem, był szalony, miał w sobie coś z St Briaca, czego książę nie pochwalał, ale nigdy nie okrył się niesławą i miał przenikliwy umysł. Książę nie obawiał się przekazania pewnego dnia swego majątku w ręce Luciena.

Gdyby tylko, pomyślał - zresztą nie pierwszy raz - nigdy się o niczym nie dowiedział. Jacy szczęśliwi mogliby być wszyscy.

Cierpiał, przez tyle lat nie dzieląc łoża z Yolande, ale czy miał inne wyjście? Nie mógł ryzykować, że urodzi mu jeszcze jednego syna, bo wtedy pokusa, by zrobić to, co zaproponował Lucien - pozbyć się go w jakiś sposób - byłaby zbyt silna. Yolande nigdy by na to nie przystała, a on nigdy

by się nie zgodził, aby prawowity spadkobierca musiał ustąpić miejsca bękartowi.

Westchnął z nadzieją, że Elizabeth Armitage w taki czy inny sposób zdoła wynagrodzić Lucienowi to wszystko. Markiz zszedł po szerokich, paradnych schodach swego domu - do którego najwyraźniej nie miał żadnego prawa - wziął laskę, cylinder i rękawiczki, które podał mu lokaj, i wyszedł na lutowe słońce. Stawiał długie kroki, ale właściwie nie miał pojęcia, dokąd pójść.

Nie mógł zostać w domu. Wizyta w klubie nie wchodziła w rachubę - nie miał ochoty na spotkanie z przyjaciółmi. Nie było to do końca prawdą. Żałował, że Nicholas Delaney i jego żona Eleanor wyjechali z miasta. Mógłby porozmawiać z nimi. Ale byli w Somerset, ciesząc się sobą i swym dzieckiem. Miał ochotę skryć się w ich domu, jak mu się to już raz zdarzyło... ale wtedy uciekał jedynie przed swatką Phoebe Swinnamer, a nie przed sobą i swoim całkowicie złamanym życiem.

Biedna Phoebe. Wierzyła, że dzięki swej urodzie ma prawo do nagrody w postaci męża-markiza. Czy kiedykolwiek się dowie, jak bliska była zaspokojenia swej ambicji?

Uniknął sideł Phoebe, ale nie uniknie nowej pułapki. Ponieważ, jak się okazało, nie miał najmniejszych praw ani do wysokiej pozycji społecznej, ani do związanych z nią

przywilejów, jedyne, co mógł zrobić, to zapłacić za nie własnym poświęceniem.

W końcu stwierdził, że krążąc tak bez celu, dotarł na spokojną uliczkę z małymi domkami. Odetchnął z ulgą. Blanche nie spodziewała się go o tej porze, więc zastukał kołatką. Nie sądził, by go oszukiwała i miała innego kochanka, ale jeśli tak było - wołał o tym nie wiedzieć. Miał dosyć niespodzianek jak na jeden dzień. Drzwi otworzyła mu zaskoczona pokojówka, a już po chwili powitała go Biała Gołąbka.

- Lucienie, mój drogi. Co cię sprowadza o tak wczesnej porze? - Już znalazła się w jego ramionach i uważnie mu się przyglądała. - Masz jakieś zmartwienie?

Markiz spojrział na śliczną buzię i zdumiewająco białe włosy kobiety, która przedwcześnie osiwiała, czyniąc z tego swój atut. Westchnął.

- Potrzebny mi przyjaciel, Blanche.

Z uśmiechem zaprowadziła go na kanapę.

- Tu go znalazłeś. Jak mogę ci pomóc? - Delikatnie odgarnęła mu z czoła złote loki. - Chodzi o twojego ojca? Bardzo się gniewa? Mówiłam ci, że nie powinienesz mnie do siebie zapraszać.

- Miałaś rację. - Ujął jej dłoń i złożył na niej pocałunek.

- Czy będzie ci przykro?

- Nie bądź niemądry - odrzekła z uśmiechem. - Nie mam złudzeń, Lucienie. Szanujesz mnie i to mi wystarcza.

Więc o co chodzi?

Markiz westchnął.

- Nie mogę ci tego wyjawić, najdroższa. Muszę mieć trochę ciszy i spokoju, by się nad czymś poważnie zastanowić.

- A we własnym domu brakuje ci pustego pokoju - powiedziała ze zrozumieniem, czym wywołała jego uśmiech.

Objął ją.

- Powiniennem być się z tobą ożenić - rzekł, a ona zachichotała, jakby usłyszała żart.

- Wariat. Czyżby panna Swinnamer dała ci kosza?

- Nie. Ale nie zadawaj więcej pytań.

Posłusznie zamilkła, spoczywając w ramionach markiza. Wiedziała, że czasem wystarczy czyjaś bliskość, i była gotowa pocieszyć go tak, jak umiała. Szczerze kochała Luciena de Vaux, ale była od niego trzy lata starsza, jeśli chodzi o wiek, a sto lat, jeśli chodzi o doświadczenie życiowe. Nie była taka naiwna, by pozwalać sobie na kierowanie się sercem, a nie rozumem. Markiz dobrze ją wynagradzał, a ona w zamian dawała mu to, za co zapłacił, i to z nawiązką. Wiedziała, że pewnego dnia to się skończy, i uważała to za rzecz normalną.

Trzymając w ramionach pachnącą Blanche, Lucien w kółko wracał do porannej rozmowy z ojcem - nie, z księciem. Czy nie mógł mu tego powiedzieć delikatniej? Nie, tej wiadomości nie sposób było zakomunikować oględnie.

Nagle tyle faktów stało się zrozumiałych, choćby formalne stosunki panujące między rodzicami, których ponoć łączyło głębokie uczucie. Czy księżę nigdy nie wybaczył jego matce? Dziś rano wyrażał się o niej łagodnie, jednak nie ulegało wątpliwości, że od przeszło dwudziestu lat byli sobie obcy. Lucien zawsze miał nadzieję, że to tylko pozory i że kiedy przebywają ze sobą sam na sam, zachowują się inaczej.

Nie wiedział, jak ma się do nich w przyszłości odnosić. W końcu zrozumiał, dlaczego księżę tak go traktował, dlaczego nigdy nie udało mu się zdobyć jego serdeczności, aprobaty, której tak pragnął. Upominał go lub wydawał mu polecenia, ale zawsze w sposób beznamiętny, jak opiekun. Uwzględniając okoliczności

- księżę i tak okazał się dla niego bardzo łaskawy. I teraz musi mu się odwdziaczyć za tę dobroć. Jego obowiązkiem było zgodzić się na to małżeństwo - chociaż będzie to związek w najwyższym stopniu niedobry - i spłodzić męskich potomków, by zapewnić ciągłość rodu. Potem, pomyślał ponuro, może będzie się mógł zastrzelić.

Blanche poruszyła się lekko.

- Masz ochotę na wino? Albo herbatę? Usiadł prosto i pocałował ją lekko.

- Nalej mi wina. Chętnie bym też coś zjadł. Wyszedłem bez śniadania.

Zachowywał się teraz tak, jak zwykle, był prawie beztroski, jednak wyczuła, że nadal coś go gnębi, i zrobiło się jej go żal.

- Ależ naturalnie, mój drogi - zaszczebiotała. - Ostatecznie ty płacisz sklepikarzowi.

Uśmiechnął się.

- Masz rację. I jubilerowi. Kiedy się trochę pokrzepię, kupię ci kilka nowych brylantów. Chyba że dasz się namówić na szafiry?

- I zepsuć swój obraz? - zaprotestowała. - W dniu, kiedy Biała Gołąbka włoży coś kolorowego, będzie skończona. W Burlington Arcade widziałam śliczne spinki do włosów.

- Możesz je uważać za swoje - powiedział. - Jesteś prawdziwym skarbem, Blanche. Byłabyś wspaniałą żoną.

Wszystkie jego myśli krążyły wokół małżeństwa.

Blanche rzuciła mu bezczelne spojrzenie.

- Czy w takim razie nie powinnam tego trochę rozgłosić? Arden wybuchnął śmiechem i prawie znów przypominał dawnego, szalonego markiza.

3

Druga osoba, której to tak żywo dotyczyło, panna Beth

Armitage, była całkowicie pochłonięta wydarzeniami międzynarodowymi, kiedy rodzina de Vaux dowiedziała się o jej istnieniu. W marcu 1815 roku wszyscy żyli jedną, okropną wieścią: że korsykański potwór, Napoleon Bonaparte, opuścił Elbę, miejsce swojego przymusowego pobytu, i wrócił do Francji. Teraz, w kwietniu, wiadomości nie były bardziej pokrzepiające. Pensja dla panienek, prowadzona przez pannę Emmę Mallory, stosowała w zmodyfikowanej formie zasady nauczania propagowane przez Mary Wollstonecraft. Dziewczęta uczono szeregu przedmiotów, w tym łaciny i nauk ścisłych; zachęcano je do codziennych ćwiczeń gimnastycznych; miały też obowiązek interesować się wydarzeniami bieżącymi.

W tych dniach nietrudno było namówić uczennice do lektury gazet. Napoleon Bonaparte był przez całe ich życie postrachem Europy, a kiedy myślały, że stał się postacią z podręczników historii, znów dał o sobie znać. Starsze panienki przynajmniej rozumiały, jakie mogą być tego konsekwencje. Ojcowie i bracia wielu z nich służyli w armii.

Początkowo powrót Napoleona do Francji uważano za czyn całkowitego szaleńca, ale każdy dzień przynosił coraz bardziej niepokojące wieści. Ludwik XVIII nie cieszył się popularnością i Francuzi z entuzjazmem witali byłego cesarza. Wysyłane przeciwko niemu armie, zamiast z nim walczyć, ślubowały mu posłuszeństwo. Przybrało to takie rozmiary, że Napoleon podobno wystosował do Burbona list następującej treści: „Mój Drogi Bracie, nie ma potrzeby, byś mi wysyłał więcej oddziałów. Mam już dość wojska”.

Król zbiegł z kraju i Napoleon znów zamieszkał w Tuilenes.

Kiedy pewnego wtorkowego ranka Beth wezwano do ga-

binetu panny Mallory, myślała, że ma to związek z aktualnymi wydarzeniami na świecie. Może rozpoczęła się inwazja?

Było rzeczą niemal niesłychaną, by ciotka Emma wzywała ją w czasie lekcji. Zapewne chodzi o jakąś uczennicę, może o zaniepokojonego rodzica. Jediną uczennicą, która mogła mieć kłopoty, była Clarissa Greystone, ostatnio niezwykle przygnębiona.

Dziewczyna miała nadzieję, że w tym roku opuści szkołę i wyjedzie do Londynu na rozpoczęcie sezonu. Była bardzo nieszczęśliwa, kiedy się okazało, że rodzina ma kłopoty finansowe i jej debiut trzeba będzie przełożyć. Jednak minął już miesiąc, odkąd wylała łzy z tego powodu, a od dwóch tygodni, od czasu wizyty rodziców, stała się dziwnie zamknięta w sobie.

Beth zastanawiała się nad tym, kiedy dotarła do głównego holu. Był elegancko urządzone; na wypastowanym, dębowym parkiecie leżał chodnik, pod ścianami stały błyszczące, nowoczesne meble. Ostatecznie tutaj rodzice przyszłych uczennic po raz pierwszy stykali się ze szkołą i należało zadbać o to, by odnieśli korzystne wrażenie.

Beth przystanąła przed wielkim lustrem, wiszącym nad mahoniową konsolą, i poprawiła czepek, chowając brązowy lok, który się spod niego wysunął. Aby zyskać autorytet w szkole, której jeszcze niedawno była uczennicą, uważała za słusne zachowywać powagę. Cofnęła się, by się upewnić, że jej szara, wełniana suknia o podwyższonym stanie wygląda jak należy.

Stwierdziwszy, że ciotka Emma nie będzie miała powodu, żeby się za nią rumienić, zapukała do drzwi gabinetu.

Kiedy znalazła się w środku, doszła do wniosku, że rzeczywiście chodzi o spotkanie z rodzicem, chociaż nie

znała mężczyzny, który na jej widok wstał. Oceniała, że nieznajomy jest w średnim wieku. Był wysoki, szczupły i elegancki. Jednak przyglądał się jej z większą uwagą, niż wypadało. Beth lekko uniosła głowę.

- Wasza miłość - powiedziała panna Mallory dziwnym tonem - proszę pozwolić przedstawić sobie pannę Elizabeth Armitage. Panno Armitage, książe Belcraven chciałby z panią porozmawiać.

Beth dygnęła, ale wcale nie próbowała ukryć zdumienia. Nigdy nie słyszała o księciu Belcraven i była pewna, że w tej chwili do szkoły nie uczęszczają żadne córki z tego rodu.

Książe wciąż się jej przyglądał, i to z lekką dezaprobatą. Beth nie spuściła wzroku. Nie uważała za słuszne płaszczyć się przed arystokratami, szczególnie, jeśli nie byli rodzicami uczennic pensji panny Mallory.

Mężczyzna zwrócił się do starszej kobiety.

- Panno Mallory, chciałbym porozmawiać z panną Armitage bez świadków.

- Byłoby to wysoce niestosowne, wasza miłość - odparła dama niezwykle dostojnie. Ona też nie należała do tych, co się korzą przed bogatymi próżniakami.

- Nie mam zakusów na cześć panny Armitage, madame - oświadczył oschle przybysz. - Chciałbym z nią omówić pewną sprawę natury prywatnej. Tylko od niej będzie zależało, czy się nią później z panią podzieli. - Książe powiedział to łagodnym tonem, ale można było się domyślić, że nie był przyzwyczajony, by sprzeciwiano się jego życzeniom.

Panna Mallory uległa. Wprawdzie wyznawała zasadę równości, jednak była kobietą rozsądną i wiedziała, że lepiej nie obrażać księcia.

- Wobec tego zostawiam decyzję pannie Armitage - oznajmiła.

Czując na sobie dwie pary oczu, Beth za nic by się nie przyznała, że boi się zostać sam na sam ze starszym dżentelmenem. Wyznawała zasady głoszone przez Mary Wollstonecraft, autorkę Praw mężczyzn i Praw kobiet. Nie pozwalała na to, by jej zachowanie krępowały niesłuszne ograniczenia wolności kobiet.

- Nie mam nic przeciwko temu - oświadczyła spokojnie i zaczęła, aż ciotka Emma opuści pokój.

- Proszę spocząć - powiedział książę, siadając. - To, co mam pani do zakomunikowania, panno Armitage, może się

pani wydać nieprawdopodobne i być może wielce niepokojące. Mam nadzieję, że nie da się pani ponieść emocjom.

Beth znowu stanęły przed oczami obrazy inwazji napoleońskiej, bo nie wyobrażała sobie nic bardziej przerażającego. Ale to śmieszne. Książę niewątpliwie należał do mężczyzn, którzy uważali, że każda drobnostka wywołuje u kobiet atak hysterii. Usiadłszy - plecy wyprostowane, głowa wysoko, ręce na kolanach - Beth spojrzała mu prosto w oczy, zdecydowana udowodnić, że jest inaczej.

- Staram się nigdy nie dawać ponieść emocjom - powiedziała dobitnie.

- Naprawdę? - spytał książę, wyraźnie pod wrażeniem.

- Tak, wasza miłość. Przesadne okazywanie emocji jest męczące dla wszystkich zainteresowanych, a na pensji dla młodych pań aż nadto często się to zdarza.

Z jakiegoś powodu ten bardzo rozsądny pogląd zaskoczył księcia. Zmarszczył czoło.

- Wasza miłość, powiedział pan, że nie życzy sobie egzaltacji? - spytała Beth lekko uszczypliwie.

- Niezupełnie, moja droga - odparł łagodnie. - Prosiłem; żeby nie dała się pani ponieść emocjom, ale nie

chciałbym by w ogóle się pani ich pozbyła.

Beth uważała tę rozmowę za stratę jej cennego czasu.

- Wasza miłość - powiedziała cierpko - proszę uznać, że nad nimi panuję. Nie przypuszczam, by zauważył pan różnicę.

Uśmiech wykrzywił usta księcia, który ku jej zaskoczeniu rzekł:

- Podobasz mi się, moja droga. Bardziej od... moich pozostałych córek.

Beth z zaintrygowaniem zmarszczyła brwi.

- Od pozostałych córek? Wasza miłość, jest u nas pańska córka? Nie wiedziałam o tym.

- Pani jest moją córką.

Po tych słowach zapanowała cisza.

Po kilku uderzeniach serca, tak wyraźnych, że mogła je policzyć, Beth się wyprostowała i śmiało spojrzała swemu rozmówcy w twarz. Ciekawa była, czy ta chwila kiedykolwiek nastąpi

- Mam nadzieję, że nie spodziewa się pan, że rzucę się mu na szyję z radości - rzekła lodowatym tonem. Zbladł.

- Moja droga, dowiedziałem się o twoim istnieniu kilka tygodni temu.

Wbrew swoim wcześniejszym zapewnieniom Beth stwierdziła, że istnieje ryzyko, iż nie zdoła powstrzymać się od przesadnego okazania uczuć. W środku aż się gotowała z gniewu, ale próbowała zachować spokój.

- Wasza miłość, wolałabym, żeby nie zwracał się pan do mnie zbyt poufale.

Beth nic nie wiedziała o swej matce prócz tego, że kiedyś przyjaźniła się z panną Mallory. Miała jednak wyrobione zdanie o mężczyznach, którzy nie interesują się swoją progeniturą.

- A więc nie chce mnie pani traktować z sympatią - powiedział chłodno książę, poprawiając się na krześle i

krzyżując nogi. -Jak sobie pani życzy. Czy kwestionuje pani pokrewieństwo?

- Muszę - odparła Beth równie chłodno, chociaż była raczej zbita z tropu tym, że zaakceptował jej wrogiego stosunek do niego. Spodziewała się, że będzie dłużej próbował okazywać swą czułość, którymi to próbami z prawdziwą rozkoszą by wzgardziła. - Chociaż nie wygląda pan na kogoś, kto szuka oddanej córki, by zaopiekowała się nim na starość, i trudno mi zrozumieć, co mogło pana skłonić do tego kroku. Chyba tylko jakiś ważny powód.

- No właśnie - przytaknął książę. - To przyjemność mieć do czynienia z kobietą rozsądną.

Jego słowa, które normalnie sprawiłyby jej przyjemność, niemal wyprowadziły Beth z równowagi.

- Jeśli przeczyta pani ten list - mówił dalej - znajdzie w nim pani potwierdzenie moich słów. Dalsze informacje o swej matce może pani uzyskać od panny Mallory.

Beth z ociąganiem wzięła list. Myślała, że już dawno temu pogodziła się z tym, że jest dzieckiem z nieprawego łoża, i zaakceptowała brak rodziców. To niespodziewane ujawnienie się ich okazało się bolesne.

Wolno przeczytała list i stwierdziła, że jej opanowanie znów jest zagrożone. Serce przepełniła jej gorycz. Z tonu listu jasno wynikało, że Mary Armitage zawsze uważała córkę za ciężar, a opiekę nad nią za przykry obowiązek. Beth nie znalazła w liście ani śladu uczucia czy tęsknoty. Jeszcze długo po ukończeniu jego lektury udawała, że czyta, bo potrzebowała czasu, by się z tym wszystkim oswoić.

- Wasza miłość, nawet jeśli jestem córką tej kobiety - powiedziała w końcu - skąd może być pan pewien swego ojcostwa?

- Z uwagi na to, jaką była kobietą - odrzekł łagodnie

książę. - Była prawa i jeśli wyczuwa pani chłód w liście, to wynika on jedynie z tego, że stale przypominała jej pani o chwili zapomnienia. Kiedy lepiej się poznamy...

- Nie życzę sobie tego! - To nie do zniesienia, że ten mężczyzna czyta w jej sercu jak w otwartej księdze.

- Kiedy lepiej się poznamy - ciągnął książę - może zechce się pani dowiedzieć o niej czegoś więcej. Chętnie pani o niej opowiem.

- Powtarzam - powiedziała gwałtownie Beth - że nie chcę mieć do czynienia z panem, wasza miłość. Jeśli zamierza mnie pan uznać, wystroić w jedwabie i klejnoty, oświadczam, że wcale tego nie pragnę!

- Obawiam się, że przynajmniej trochę jedwabnych sukien i biżuterii może okazać się niezbędne. - Książę uśmiechnął się lekko, co sprawiło, że Beth nabrała ochoty na urządzenie prawdziwej sceny, a było to do niej zupełnie niepodobne.

Szybko wstała.

- Nie słucha mnie pan.

- Wprost przeciwnie, Elizabeth, to pani nie słucha mnie - powiedział spokojnie. - Ślub nie może się obyć bez jedwabi i klejnotów, a właśnie to dla pani szykuję.

Beth się wyprostowała i miała nadzieję, że przybrała wystarczająco szyderczą minę.

- Naturalnie jest pan przekonany, że wszystkie kobiety jedynie szukają męża. Cóż, wasza książęca mość, jestem zwolenniczką poglądów Mary Wollstonecraft i uważam, że kobieta może i powinna żyć wolna od małżeńskich okowów i męskiej dominacji.

Nie poczuł się ani trochę urażony, jak tego oczekiwała i na co liczyła. Prawdę mówiąc, ku jej wściekłości, jej słowa jakby go lekko rozbawiły, chociaż odpowiedział na nie dość poważnie.

- Ale w końcu nawet ona wyszła za mąż, by jej dziecko

miało ojca. Czy nie może pani postąpić tak samo? Myślałem, że zdaje sobie pani sprawę z problemów, jakie się wiążą z pochodzeniem z nieprawego łoża. Beth poczuła, że się rumieni. Ożywione dyskusje z panną Mallory i kilkoma osobami o zbliżonych poglądach nie przygotowały jej na konfrontację z człowiekiem światowym i bywałym.

- Ponieważ nie zamierzam mieć dzieci - odparła speszona - nie musiałam rozważać takiej ewentualności.

- Ale ja chcę, żebyś miała dzieci, Elizabeth, i obawiam się, że muszą to być dzieci z prawego łoża.

Rozmowa tak dalece odbiegała od tych, jakie Beth dotąd prowadziła, że poczuła się zmuszona ponownie usiąść.

- Nie rozumiem pana - powiedziała słabo.

- Muszę w tym miejscu zauważyć, że stało się tak dlatego, że nie pozwoliła mi pani, bym wszystko wyjaśnił jak należy, zamiast tego dając się nadmiernie ponieść emocjom.

Z oburzenia Beth aż zapało dech.

- Jeśli - ciągnął ksiązę - zechce wysłuchać mnie pani spokojnie, chętnie przedstawię rzecz całą.

Beth opanowała dziwna ochota rzucenia w niego czymś ciężkim. Nigdy przedtem nie była porywcza. Z wielkim trudem udało jej się przybrać pozę lodowatej obojętności.

- Proszę bardzo, wasza miłość. Przypuszczam, że im szybciej pan to powie, tym szybciej się pożegnamy.

Obawiam się, że jest pan szalony.

- To byłoby wielce niepokojące, Elizabeth, ponieważ takie przypadłości są często dziedziczne. - Beth zeszywniała i ksiązę urwał, przepaszając unosząc dłoń. Miły uśmiech rozjaśnił mu twarz. - Proszę mi wybaczyć. Zdaje się, że swoim zachowaniem prowokuje mnie pani. Zapowiada się ciekawie... Proszę się tak nie

najeżać, tylko mnie wysłuchać.

Beth zacisnęła usta. Im mniej będzie się odzywała, tym szybciej się to skończy. Nie mógł jej zaproponować nic, co by ją skłoniło do przyłączenia się do szeregów zdegenerowanych, bogatych nierobów. Nic.

- Nie ulega wątpliwości, że jest pani moją córką. Jestem ojcem jeszcze dwóch córek, są już zamężne, mają dzieci. Oprócz nich miałem też trzech synów. Dwaj starsi utonęli wiele lat temu, a najmłodszy, mój spadkobierca, markiz Ar-den, nie jest właściwie moim synem.

Urwał, jakby chciał jej dać okazję do zrobienia uwagi na temat rozwiążności arystokracji. Miała na to wielką ochotę, ale uznała za rozsądniejsze zachować milczenie.

- Ród de Vaux - ciągnął - istnieje od siedmiu pokoleń. Nie chciałbym, żeby wymarł. Pani dzieci będą stanowiły jego kontynuację.

Beth lekko zmarszczyła brwi.

- Przecież są nimi dzieci pańskich... pańskich pozostałych córek.

- Ale nie mogą odziedziczyć tytułu. Chcę, żeby poślubiła pani mojego syna, by wasi synowie mogli być pełnoprawnymi spadkobiercami.

- Przecież to kazirodztwo - przerwała mu ze zgrozą.

- Nie. Nie łączą was więzy krwi, a nikt nie musi się dowiedzieć, że jest pani moim dzieckiem.

Beth utkwiała w nim wzrok.

- Chyba się pan nie spodziewa, że zgodzę się na coś takiego. Rozumiem pańskie motywy, chociaż wynikają z anachronicznej arystokratycznej dumy. Ja nie mam z tym nic wspólnego.

- Przyznaję - powiedział spokojnie książę. - Obawiam się, że będę musiał być bardziej brutalny. Miałem nadzieję, że wystarczająco zainteresuje panią życie w bogactwie i perswazje okażą się zbyt słabe, lecz widzę,

że jest inaczej. Podziwiam pani zasady, Elizabeth, ale nie mogę pozwolić, żeby mi przeszkodziły w osiągnięciu mojego celu. W tej sytuacji muszę pani zwrócić uwagę, że nie należy lekceważyć znaczenia arystokracji.

Instytucja panny Mallory ma obciążoną hipotekę i kwity zastawne są teraz w moich rękach. Kwoty są niewielkie i panna Mallory będzie mogła spłacić długi, jeśli szkoła nadal będzie prosperowała. Gdyby jednak zaczęły krążyć plotki o liberalnych poglądach, rozwiązłości obyczajów...

- To niesprawiedliwe! - powiedziała Beth, wstrząśnięta. - Nasze poglądy pozostają naszą prywatną sprawą i są szerzone w szkole w minimalnym stopniu.

- Wiem. Tylko lojalnie panią ostrzegam, jaką się mogę posłużyć bronią, by zmusić panią do ustępstw. Jeśli ta zawiedzie, mam jeszcze inne. Wystarczy jedno moje słowo do rodziców waszych uczennic i panna Mallory będzie zrujnowana. Postąpi pani zgodnie z moją wolą, Elizabeth.

Beth była jak ogłuszona, cała dygotała. Zawsze szczyciła się tym, że nie należy do żadnego mężczyzny. Była zadowolona, że pochodzi z nieprawego łoża, bo dzięki temu nie była córką żadnego mężczyzny. Teraz nagle zawisła nad nią żelazna pięść i nie widziała najmniejszej nawet deski ratunku.

- Przykro mi, że musiałem sprawić pani ból - powiedział książę całkiem szczerze. - Podziwiam panią i nie mam zamiaru łamać pani ducha. Ale musi pani zrobić to, co pani każe.

- Mam w tej sytuacji nie upaść na duchu? - szepnęła Beth.

- To tylko jedna przeciwność losu. Biedny to człowiek, który nie potrafi pogodzić się z jedną przeciwnością losu. Domagam się, by poślubiła pani mojego

spadkobiercę, mieszkała w jego domu i rodziła jego dzieci. Niczego więcej.

- Chce pan mego życia.

- Pod pewnym względem tak. Ale może pani robić, co pani zechce, kształcić się, jak pani zechce, mieć opinie, jakie pani zechce.

- A co na to powie pański syn?

- Zaakceptuje to. W zamian przypuszczam, że będzie pani mu musiała dać taką samą wolność.

- A jakie są jego przekonania? - spytała złośliwie Beth.

- Będzie musiała pani sama go spytać - odparł książę. - Będziecie mieli o czym rozmawiać w długie, samotne wieczory. Ale podejrzewam, że między innymi potrafi się zachwycić zgrabnymi nogami, zna się na przednich winach i niezachwianie wierzy w to, że arystokracja może robić wszystko, na co tylko ma ochotę.

Było to zwięzłe przedstawienie cech libertyna najgorszego typu, którymi zawsze gardziła.

- Chce mnie pan wydać za potwora!

- Skądże znowu! Chcę panią wydać za najprzystojniejszego, najbardziej czarującego hultaja w Anglii.

Beth ukryła twarz w dłoniach. Ten mężczyzna zdawał się uważać, że powinna być zadowolona z jego propozycji. Poślubić rozpustnego fircyka!

- Jeśli darzy mnie pan jakimś uczuciem - szepnęła - nieważne, czy to sympatia, czy poczucie winy, błagam, żeby mi pan tego nie robił. Jestem tutaj szczęśliwa.

- Bardzo mi przykro, moja droga - powiedział łagodnie książę. - Lecz nie mam wyboru. Jak pani wie, szczęście można znaleźć wszędzie.

- Ale nie przy takim rozpustniku, jakiego pan opisał - zaprotestowała, unosząc głowę. Wiedziała, iż ma łzy na twarzy, i była gotowa raz w życiu posłużyć się tym kobiecym sposobem, by dopiąć swego.

Jeśli książę się nimi wzruszył, nie okazał tego.

- Mogę panią zapewnić, że jeśli markiz będzie się oddawał rozpuście, to tylko poza domem. Mam nad nim władzę i obiecuję, że nie spotka pani żaden afront.

Proszę pamiętać, że jedną z korzyści bycia osobą bardzo bogatą i ustosunkowaną jest możliwość takiego ułożenia sobie życia, jakie człowiekowi odpowiada. Nikt się nie zdziwi, jeśli zdecydujecie się na osobne pokoje. Może pani przyjmować u siebie poetów, filozofów i artystów. Z chwilą kiedy urodzi pani dziecko, będzie pani miała całkowitą swobodę. Nikt nie będzie miał nic przeciwko temu.

- Nawet mój mąż?

- On najmniej ze wszystkich.

Beth uznała, że to najbardziej przygnębiające stwierdzenie. Gdzie w tym wszystkim ideał małżeństwa, opartego na najwyższych normach moralnych, wzajemnym szacunku i przyjaźni, głoszony przez Mary Wollstonecraft?

-Ale będę musiała ulec temu człowiekowi - odezwała się słabym głosem - i rodzić jego dzieci.

Książę skinął głową.

- To niestety prawda. Jednak muszę powiedzieć, chociaż może pani to uznać za niedelikatność z mojej strony, że jego biegłość w tych sprawach powinna umożliwić osiągnięcie tego celu w sposób dla pani jak najmniej przykry.

Biegłość? Aż się wzdrygnęła. Czy można to porównać z niewinnością i szacunkiem? Beth wiedziała, że ma czerwoną twarz, ale nie zamierzała ukrywać jej w dłoniach.

- Naprawdę nie mam wyboru, prawda? Nie wstydzi się pan tego, co pan robi? - Nie odpowiedział, chociaż przypuszczała, że jej słowa dotarły do niego. Westchnęła

bezradnie. - Co sobie pomyśli ciotka Emma?

- Proponuję, by udała pani, że chętnie na to przystaje. Jeśli powie jej pani, czym panią zaszantażowałem, będzie się czuła w obowiązku odmówić zgody na pani poświęcenie. Ale ja znajdę inne, bardziej finezyjne sposoby.

Zdruzgotana Beth wstała; nogi się pod nią chwiały.

- Co mam zrobić?

Księżę Belcraven także wstał i zaczął wkładać rękawiczki.

- Przyślę tu markiza, żebyście się mogli poznać. Naturalnie zakocha się w pani do szaleństwa i przedstawi swojej rodzinie. Po krótkim okresie narzeczeństwa weźmiecie ślub.

Beth myślała, że już nic nie jest w stanie jej zdziwić, ale to ją wręcz ogłuszyło.

- Mam zamieszkać w pana domu? A co na to pańska żona?

- Będzie zachwycona - odrzekł. - Tęskni za swoimi córkami. Wszyscy jesteśmy ludźmi kulturalnymi i przy zachowaniu ostrożności da się to załatwić tak, by nikt nie cierpiał.

Beth uniosła głowę.

- Bzdury - powiedziała i wymaszerowała z pokoju, by odszukać ciotkę Emmę.

Podczas kilku następnych tygodni cała szkoła zauważyła zmianę w pannie Armitage. Dawniej słynęła ze swej cierpliwości i opanowania, teraz stale nerwy miała napięte, myślami błądziła gdzieś daleko. Na dodatek ciotka Emma uznała jej pospieszną zgodę na szalony plan księcia za znak, że zrezygnowała z zasad, które przez lata razem wyznawały.

Beth wiedziała, że gdyby nie pogarszająca się z każdym dniem sytuacja we Francji, byłaby narażona na jeszcze

więcej pytań i perswazji. Kwaśno musiała przyznać, że miała za co dziękować potworowi z Korsyki. Ale na wieść o tym, że Napoleon wrócił do Paryżu, ogarnęło ją przerażenie. Miał czelność obiecywać państwom europejskim, że będzie przestrzegał warunków pokoju paryskiego, skłaniać je do ponownego uznania go za władcę Francji. Jednak tym razem koalicja państw antynapoleońskich trzymała się mocno.

Lecz zadowolenie Beth z tego faktu zniknęło, kiedy ponownie została wezwana do gabinetu. Nie miała wątpliwości, że powodem mogła być tylko jej osobista tragedia.

Wiadomość, że panna Armitage jest proszona do żółtego saloniku przyniosła Clarissa. Kiedy Beth ocierała nagle zwilgotniałe dłonie o fartuch, dziewczyna spytała:

- Panno Armitage, czy mogę z panią porozmawiać...
- Nie teraz, Clarisso - nie dała jej dokończyć Beth i pośpiesznie wyszła.

Znów zatrzymała się przed wielkim lustrem. Na przyzwoitą suknię z muślinu w zielone paski miała narzucony obszerny, gładki, biały fartuch, bo właśnie uczyła kaligrafii, co zawsze się wiązało z palcami uwalanymi atramentem i kleksami, spadającymi z piór trzymanyh w niewprawnych rączkach. Postanowiła go nie zdejmować. Skromny czepek skrywał jej kasztanowe włosy z wyjątkiem kilku loków. Spróbowała je też schować. Czepek ozdabiała śliczna kokarda nad lewym uchem. Wyciągnęła nożyczki z kieszeni i ją obcięła.

Ostatecznie nie była żadną pięknoscią i zawsze istniała szansa, że jeśli postara się wyglądać brzydko, markiz Arden się zbuntuje. Był mężczyzną i bogatym arystokratą, nie mógł być aż tak uzależniony od księcia, jak ona.

Kiedy się upewniła, że zrobiła wszystko, co mogła,

śmiało weszła do pokoju.

Nie dostrzegła nigdzie panny Mallory. Zobaczyła tylko markiza i... poczuła, jak ją opuszcza cała pewność siebie. Nie był rozpustnym fircykiem. Był-natomiast uosobieniem tego wszystkiego, czego się bala u mężczyzn - był wysoki, silny i bezczelny. Wchodząc, dostrzegła błysk niechęci w jego oczach, nim go ukrył za lodowatą uprzejmością. Wprawdzie właśnie na tym jej zależało, ale do reszty pozbawiło ją to pewności siebie.

Skłonił się lekko.

- Panno Armitage.

Starła mu się dorównać. Dygnęła.

- Markizie.

Przez chwilę przyglądali się sobie, a potem Beth powiedziała:

- Proszę usiąść, milordzie. - Dla siebie wybrała krzesło, które stało jak najdalej od niego.

To śmieszne wyobrażać sobie, że zostanie poślubiona takim mężczyźnie. Był istotą z innego świata.

Jego rysy przywodziły jej na myśl rysunki greckich bogów, wrażenie to jeszcze pogłębiały jasne, kręcone włosy. Oczy koloru letniego nieba aż nie pasowały do mężczyzny. Był o głowę od niej wyższy. Beth, uważana za wysoką wśród kobiet, zawsze czuła się skępowana z powodu swego wzrostu.

Lucien się zastanawiał, czy ktokolwiek uwierzy, że mógłby się zakochać w takiej pospolitej kobiecie.

Właściwie nie była brzydka - miała regularne rysy, nic nie można było zarzucić jej figurze, ukrytej pod nietwarzową suknią i obszernym fartuchem - ale nie było w niej nic wyjątkowego. Westchnął. Nie miał wyboru. Beth usłyszała to westchnienie i zacisnęła usta. Nawet nie zamierzała się silić na grzeczną rozmowę.

Nagle markiz wstał.

- Chodź tu.

Zdumiona Beth uniosła wzrok.

- Słucham?

- Chodź tu. Chcę cię obejrzeć w świetle.

- Wynoś się do diabła! - powiedziała wyraźnie i z przyjemnością stwierdziła, że markiz ze zdumieniem zamrugał

powiekami. Po chwili na jego pięknych ustach pojawił się uśmiech.

- Znaleźliśmy się w okropnym położeniu, prawda? Beth trochę się odprężyła, ale miała nadzieję, że tego nie widać.

- Zawdzięczamy je pańskiej rodzinie, milordzie, która odniesie z tego korzyść.

Przyglądał się jej cynicznie.

- Nie widzi pani żadnych korzyści dla siebie, panno Armitage?

- Żadnych.

Znów usiadł, nie przestając się uśmiechać.

- Czy nie ma nic, czego by pani pragnęła, a czego teraz brak w pani życiu? - spytał pobłaźliwie, tonem człowieka przyzwyczajonego do tego, że można kupić wszystko, nawet ludzi.

- Najwyżej cenię sobie niezależność - odparła.

Na te słowa przestał się uśmiechać.

- Żaden człowiek nigdy nie jest całkowicie wolny - powiedział cicho. - Musimy wziąć ślub, panno Armitage.

To nieuniknione. Ale będę tak uważający wobec pani, jak to tylko możliwe. Daję pani na to moje słowo.

Przypuszczała, że miała to być deklaracja dobrej woli, ale odebrała to jako przejaw dominacji. On, władca, obiecywał, że nie będzie źle traktował swego wasala.

- Domagam się jeszcze czegoś - oznajmiła, bo dużo o tym rozmyślała od czasu wizyty księcia. - Chcę mieć

zapewniony godziwy dochód. Nie chcę być zdana na pańską łaskawość.

Zesztywniał.

- Mój ojciec już o to zadbał, panno Armitage. Ale, przykro mi, będzie to aktualne dopiero z chwilą, gdy mi pani urodzi dwóch synów.

Beth spuściła głowę. Mogła stawiać śmiałe żądania, lecz nie dysponowała środkami nacisku, o czym obydwójce wiedzieli. Co więcej, otwartość, z jaką powiedział o konieczności wydania na świat dzieci, przestraszyła ją. Nie były jej obce tajemnice prokreacji. W tej chwili tego pożałowała.

Znów wstał i podszedł do kominka. Zapatrzył się w ogień.

- Nie ma sensu tego przeciągać, prawda? - spytał gorzko. Przez chwilę miała nadzieję, że markiz odrzuci cały ten pomysł, ale odwrócił się do niej i spytał: - Panno Armitage, czy uczyni mi pani ten zaszczyt i zostanie moją żoną?

Beth też wstała i głośno przełknęła ślinę. Zastanawiała się nad dalszym odwoływaniem się do jego sumienia, ale wiedziała, że nic jej z tego nie przyjdzie. Nie mogła zrobić nic, by się sprzeciwić woli rodziny de Vaux.

- Chyba muszę - powiedziała.

Wyjął z kieszeni pierścioneł. Wsunąłby go jej na palec, ale Beth wyciągnęła prawą rękę i po chwili położył go na jej otwartej dłoni. Duży brylant otaczały szmaragdy. Pierścioneł nie był nowy, prawdopodobnie stanowił część rodowej biżuterii. Sama włożyła go sobie na palec. Wyglądał śmiesznie.

- Co teraz? - spytała, próbując nie zwracać uwagi na skrępowanie, które czuła. Nagle dotarło do niej, że mężczyzna może oczekiwać symbolicznego pocałunku, i spojrzała na markiza z trwogą.

Widocznie taka myśl nie przeszła mu przez głowę.

- Nie widzę sensu, by przeciągać sprawę. Proszę ze mną wyjechać, zabiorę panią do Belcraven Park.

- Jutro. Muszę się spakować.

- Nie ma potrzeby zabierać dużo rzeczy - powiedział, lekceważąco spoglądając na jej suknię. - Kupimy pani nowe stroje.

Beth uniosła brodę.

- Dziękuję, lordzie Arden, wolę swoje ubrania. Pański ojciec powiedział, że muszę jedynie pana poślubić, zamieszkać w pańskim domu i urodzić pańskie dzieci.

Nie wspomniał ani słowem, że wolno będzie panu mnie ubierać według własnego gustu.

- Jak sobie pani życzy, panno Armitage - wycedził markiz przez zaciśnięte zęby.

Beth sztywno skinęła mu głową.

Bezczelnie ukłonił się jej nisko i wyszedł z pokoju.

4

Nazajutrz czekając na przybycie markiza, Beth przypominała kłębek nerwów, a jej stan pogarszał jeszcze niepokój, którego nie potrafiła ukryć panna Mallory.

- Jesteś całkowicie pewna, Beth? Rozważ wszystko jeszcze raz. Kiedy stąd wyjedziesz, nie wiadomo, co cię spotka.

Elizabeth uśmiechnęła się radośnie do kobiety, która była dla niej jak matka.

- Proszę, nie denerwuj się, ciociu Emmo. Mam w kieszeni schowane dwadzieścia gwinei, które mi dałaś. Jeśli coś pójdzie nie tak, wrócę do swojego gniazda. A kiedy otworzę salon literacki w Londynie, musisz mnie odwiedzić i poznać Hannah Morę i pana Wilbforce'a.

- Nawet to nie jest warte, by się sprzedać. Markiz nie jest zbyt miły. Wyczuwam takie rzeczy. Jak to zniesiesz?

- Chyba go krzywdzisz - odparła Beth, obejmując pannę

Mallory. Nie było to do końca kłamstwem. Markiz mógł być fircykiem, ale wyczuwał niezręczność sytuacji i nie zmuszał Beth do udawania czegokolwiek ani do manifestowania uczuć, które nie istniały.

Kiedy wreszcie przybył, zobaczyła, że okazał się na tyle delikatny, iż zdecydował się podróżować konno, a nie luksusowym powozem, którym miała jechać ona.

Pomachawszy na pożegnanie pannie Mallory i kilku starszym uczennicom, Beth opadła na pikowane jedwabne poduszki i oparła nogi na haftowanym podnóżku. Obok leżał miękki, wełniany pled na wypadek, gdyby zmarzła. Upominała samą siebie, by się nie dać uwieść takim błahostkom, ale nie sposób było nie zauważyć, że karoca zdecydowanie różniła się od publicznego dyliżansu.

Wychyliła się, by po raz ostatni pomachać żegnającym ją

osobom, i dopiero kiedy straciła pensję z oczu, uświadomiła sobie, że była wśród nich Clarissa Greystone. Dziewczyna płakała. Beth ją lubiła i od czasu do czasu z nią rozmawiała, ale nie przypuszczała, że uczennica tak przeżyje rozstanie z nią.

Potem sobie przypomniała, że dzień wcześniej Clarissa chciała z nią porozmawiać. Teraz było już za późno, ale żałowała, że nie znalazła dla niej czasu. Ostatnio dziewczyna wyglądała na nieszczęśliwą. Może miała brata w wojsku.

Prawdę powiedziawszy, Beth surowo upomniła samą siebie, żeby przestała się nad sobą rozczulać, gdy cień wojny zawisł nad krajem. Jeśli Napoleona nie uda się przywołać do rozsądku, wielu ojców, synów i braci zostanie okaleczonych lub zginie, a w świetle tego małżeństwo z bogatym markizem, nawet bez miłości, naprawdę nie było wielką tragedią.

Podróż do Belcraven Park miała potrwać prawie cały

dzień, więc Beth wyciągnęła pożegnalny prezent od ciotki Emmy - powieść Mary Brunton Samokontrola. Chociaż Mary Wollstonecraft gardziła beletrystyką, panna Mallory pozwalała starszym dziewczętom czytać powieści, ale tylko takie, które sama wybrała. Poprosiła Beth, by jak najszybciej przesłała jej recenzję książki. Nim się zatrzymali, by zmienić konie, Laura Montreville odtrąciła swego zuchowatego konkurenta, zarzucając mu, że próbował ją uwieść, nim zaczął bardziej subtelnie kusić ją perspektywą małżeństwa.

Kiedy zarządzono kolejny postój, przystojnemu pułkownikowi udało się nakłonić Laureę, by dała mu dwa lata, podczas których udowodni, jak bardzo się zmienił, i Beth zaczęła już trochę denerwować bohaterka książki. Jeśli nic nie czuła do pułkownika, nie powinna mu dawać żadnych złudnych nadziei. Skoro, jak się okazało, kochała go, głupotą było żądać, by zrezygnował z okazywania jej miłości.

Mary Wollstonecraft zalecała otwartość w kwestii żywionych uczuć i przekonań, co bardzo odpowiadało szczerzej z natury Beth.

Przez moment zastanawiała się, co by zrobiła Laura, gdyby się znalazła na jej miejscu. Doszła do wniosku, że młoda dama była tak oderwana od rzeczywistości i tak bardzo brakowało jej zdrowego rozsądku, że podpadłaby na zdrowiu i umarła. Markiz i jego ojciec mieliby wtedy to, na co sobie zasłużyli, pomyślała Beth z ponurym uśmiechem, ich zamiary zostałyby udaremnione. Niestety nie dostrzegła, jakie korzyści przyniosłoby to jej.

Obmyśliła zatem lepszy plan. Markiz był najwyraźniej nieszczęśliwy, że zmuszają go do małżeństwa. Jeśli okaże się wystarczająco szorstka, nieatrakcyjna i niemiła, z pewnością stwierdzi, że związenie się z nią na

całe życie to zbyt wysoka cena za to, by spłodzić prawowitego dziedzica. Nie sprawi jej najmniejszego trudu bycie szorstką i niemiłą.

Konie zmieniano często i sprawnie. Kiedy zarządzono postój w Chipping Norton, markiz otworzył drzwiczki. - Przerwiemy tutaj podróż - oznajmił. - Jestem pewien, że z przyjemnością coś pani zje. - Po godzinach spędzonych w siodle włosy miał zmierzwione, oczy mu błyszczały. Jego uśmiech był prawdziwie przyjazny, gdy spytał: - Mam nadzieję, że podróż nie jest zbyt męcząca? Schodząc po schodkach, Beth stłumiła chęć, by życzliwie zareagować na okazywaną przez niego dobrą wolę; zazwyczaj nie była nieuprzejma, ale zadowolenie nie przysłużyłoby się jej sprawie. Dlatego zjadliwie odparła:

- Jak mogłoby być inaczej, skoro wszystko jest tak ostentacyjnie wygodne?

Uśmiech zniknął z twarzy markiza.

- Panno Armitage, będzie to dla pani bardzo męczące, jeśli postanowi pani kpić ze wszystkiego, co wykracza poza czystą praktyczność. - Znajdowali się już przed drzwiami gospody; właściciel kłaniał się nisko na widok tak wytwornych gości. Beth jeszcze nigdy w życiu nie spotkała się z takim traktowaniem.

Lord Arden nie zwrócił jednak na to najmniejszej uwagi i dodał:

- A jeśli nie będzie pani się starała, by mieć wzgląd na moje uczucia, wtedy może ja też nie będę widział potrzeby liczyć się z pani uczuciami.

Zmuszona w ten sposób do zastanowienia się nad swym głównym zmartwieniem, Beth wlepiała wzrok w przyszłego męża.

- Zawieszenie broni? - spytał. Wcale nie tego chciała.

- Czy nigdy nie wolno mi będzie mówić tego, co czuję?

- To zależy, czy chce pani znać moje zdanie.

Aż nadto świadoma obecności właściciela gospody, wciąż im nadskakującego i kłaniającego się, Beth przeszła do osobnej salki, zastanawiając się nad słowami markiza. Kiedy zostali sami, natarła na niego.

- Dlaczego miałabym nie chcieć, żeby ujawnił pan swoją opinię? Nie boję się prawdy.

Zdjął z ramion płaszcz i rzucił go na krzesło.

- Bardzo dobrze - powiedział zimno. - Uważam panią za kobietę nieatrakcyjną, a całą tę sytuację za obrzydliwą. Czy teraz czuje się pani lepiej?

- Ponieważ wiedziałam o tym już wcześniej - odparowała - właściwie niczego to nie zmienia. - Jednak było inaczej. Poczula się dotknięta niechęcią markiza, którą sama sprowokowała. Ale skoro sytuacja była obrzydliwa, dlaczego markiz ją toleruje?

Opierał się o kominek, patrząc na nią, jakby była intruzem - i to źle wychowanym intruzem.

- Jest jedna różnica: teraz zostało to powiedziane - wyjaśnił - a wcześniej było skromnie ukrywane. Słowa raz wypowiedziane zaczynają żyć swoim własnym życiem, panno Armitage, i nie można ich cofnąć. Jednak żeby nie oszaleć, jestem gotów udawać, jeśli pani też się przyłączy do tej gry.

- Udawać co?

-Zadowolenie.

Beth się odwróciła, zaciskając obie ręce.

- Nie mogę.

Zapanowała cisza, którą zakłócił brzęk szkła, a potem stukot butów markiza, kiedy szedł w jej stronę.

- Proszę, Elizabeth. - W jego głosie słychać było ogromne znużenie.

Odwróciła się i wzięła wino, które jej podał. Zaczęła je wolno sączyć. Na pensji u panny Mallory był to luksus,

na który rzadko mogła sobie pozwolić. Jeszcze bardziej ją to zachęciło do odrzucenia propozycji pokoju, czego był symbolem. Zmusiła się, by spojrzeć markizowi w oczy.

- Nie pozwoliłam panu zwracać się do mnie po imieniu, sir. - Zadarła głowę i patrząc mu prosto w twarz, powiedziała: - Proszę, żeby pan nie zapominał, lordzie Arden, że to, co stanowi ledwo drobną niedogodność w pańskim życiu, moje zniszczyło całkowicie. Odebrano mi mój dom, moich przyjaciół, moją pracę i zmuszono do życia, w którym nie mogę się spodziewać żadnych przyjemności. - Głośno odstawiła kieliszek. - Obawiam się, że upłynie kilka dni, nim będę mogła zacząć udawać zadowolenie.

W jego oczach pojawił się groźny błysk.

- Panno Armitage, na ogół nie jestem uważany za człowieka odpychającego.

Odpowiedź Beth była szybka i cierpka.

- Podobnie, jak się za takiego nie uważa pawiana w jego naturalnym środowisku.

Rozwścieczony markiz nie zdążył się odciąć, bo pojawili się służący, niosąc potrawy. Odwrócił się więc i podszedł do okna w drugim końcu sali. Stał tam, póki nie skończono nakrywać. Kiedy właściciel gospody płaszcząc się zaprosił ich, by przystąpili do jedzenia, Beth i markiz zbliżyli się do stołu niczym przezorny rywale i zajęli miejsca po przeciwnych końcach. Za milczącą Zgodą jedli w całkowitej ciszy.

Beth nie odrywała wzroku od talerza. Serce jej waliło, a wyborne potrawy nie chciały jej przejść przez ściśnięte gardło. Przez krótką chwilę widziała przed sobą mężczyznę, który z trudem nad sobą panował. Budził w niej lęk, bała się, że może ją uderzyć, a nawet zabić. Ale nie wolno jej okazać strachu. Nie, jeśli ma go całkowicie

do siebie zrazić.

Kiedy ruszyli w dalszą drogę, znów otworzyła książkę, ale wykorzystywała ją tylko jako parawan.

Wprowadzenie jej planu w życie okazało się trudniejsze, niż myślała. Czy uda jej się na tyle sprowokować markiza, by poczuł do niej przemożną antypatię, lecz zapanował nad gwałtownością, którą w nim wyczuwała? Wzdrygnęła się. Nigdy wcześniej nie spotkała się z kimś takim. Było w nim coś, co skrzętnie ukrywał, ale nad czym mógł kiedyś stracić kontrolę.

Jako mąż będzie miał wszelkie prawa do jej osoby. Będzie mógł ją bić, jeśli tego zechce. Nawet gdyby zakatował ją na śmierć, prawdopodobnie poniósłby niewielką karę, szczególnie, że mógłby się posłużyć swym majątkiem i wpływami, a ona nie miała nikogo, kto by stanął w jej obronie.

W tym momencie przypomniała sobie maksymę Publiliusza Syrusa: „Strachu należy się bać więcej niż śmierci czy obrażeń”. Nie mogła sobie pozwolić na strach.

Była potrzebna księciu i markizowi, żeby mogli osiągnąć swój cel. Co więcej, zależało im, by cieszyła się jak najlepszym zdrowiem, żeby mogła rodzić dzieci. To było jej zabezpieczenie przed przemocą. Zresztą, jeśli razy są ceną, jaką trzeba zapłacić za to, żeby markiz zostawił ją w spokoju, uzna - jak ateńscy bohaterowie - że i tak tanio kupiła swoją wolność.

Jeszcze dwa razy zmieniali konie, lecz trwało to zaledwie minuty. Godzinę później, na następnym postoju, drzwiczki powozu ponownie się otworzyły.

- Panno Armitage, do Belcraven Park została jeszcze mniej więcej godzina jazdy. Czy ma pani ochotę na herbatę? Może się pani napić w powozie albo w

gospodzie. - Markiz był wzorem nieskazitelných manier. Tak jak poprzednio Beth wyciągnęła rękę, by pomógł jej wsiąść.

- Chętnie rozprostuję nogi. Może się tu trochę przejdę.

- Jak sobie pani życzy - powiedział i podał jej ramię.

Pomimo tego, co mówiła sobie w duchu w powozie,

Beth

stwierdziła, że wcale nie pragnie towarzystwa markiza.

Był taki rosły i taki zimny.

- Milordzie, nie musi mi pan dotrzymywać towarzystwa.

- Wprost przeciwnie - oświadczył, patrząc przed siebie. -

Byłoby czymś wysoce niestosownym, gdybym tego nie zrobił.

Beth, nie widząc innego wyjścia, wsparła się lekko na jego ramieniu. Próbowwała zmusić się do powiedzenia

czegoś

obraźliwego, ale jego milczenie wręcz ją zmroziło i nie zdołała wydusić ani słowa.

Po jakichś dziesięciu minutach markiz rzekł: „ - Może powinniśmy zawrócić? ... Tak też uczynili. W

gospodzie spytał:

- Ma pani ochotę na herbatę?

Beth odparła, że chętnie się napije. Dopilnował, by

przyniesiono herbatę, i zostawił Beth samą. Kiedy

skończyła pić, odprowadził ją do powozu, dosiadł konia i ruszyli dalej.

Beth wyobraziła sobie całe życie wypełnione taką chłodną kurtuazją i aż się wzdrygnęła. Dla niej to małżeństwo będzie równoznaczne z pogrzebaniem za życia,

tymczasem dla niego będzie stanowiło tylko drobną

niedogodność. Ostatecznie czego potrzeba, by począć

gromadkę dzieci? Kilku krótkich, bezdusznych spotkań.

Przez resztę czasu będzie mógł dalej żyć tak, jak do tej pory.

Beth na nowo umocniła się w postanowieniu wprowadzenia w życie swego planu. Zrobi wszystko, aby uniknąć takiego losu, stawi czoło każdej groźbie. Jednak nie podczas tej podróży, albowiem wkrótce stangret głośno zadał w róg i przemknęli przez okazałą, pozłacaną bramę z kutego żelaza. Przybyli do Belcraven Park.

Powóz toczył się po gładkim podejździe, wysadzonym lipami. Na ciągnących się po obu stronach łąkach cętkowane sarny unosiły z zaciekawieniem głowy. Beth dostrzegła jezioro, a pośrodku niego coś jakby grecką świątynię. Usłyszała krzyk pawi - tych bezużytecznych ozdób posiadłości bogaczy.

Wreszcie z za zakrętu wyłonił się Belcraven. Beth aż otworzyła usta. W zachodzącym słońcu przypominał złotą górę, ozdobioną rzeźbami i blankami, połyskującą niczym klejnotami setkami okien. Był to największy i najpiękniejszy budynek, jaki kiedykolwiek widziała. To miał być jej dom?

Niemożliwe.

Kiedy powóz się zatrzymał przed szerokimi, podwójnymi schodami, prowadzącymi do wielkich, błyszczących drzwi, które już otwarto, Beth miała ochotę zaszyć się w nim. Przynajmniej jego rozmiary bardziej jej odpowiadały. Jednak wkrótce otworzyły się drzwiczki i opuszczono schodki. Markiz stał, czekając na nią.

Trzęsącymi się dłońmi włożyła na głowę kapelusz i wysiadła. Trzymając rękę na ramieniu markiza, wspięła się po trzydziestu stopniach (policzyła je) i miała nadzieję, że nikt nie widzi, jak jej drżą kolana.

W holu znajdowało się mnóstwo ludzi, sama służba. Korpulentny dżentelmen, którego wyniosłe zachowanie budziło lęk, ukłonił się, a potem pomógł markizowi zdjąć wierzchnie okrycie.

- Witamy w domu, milordzie.
- Dziękuję, Gorsham. Panno Armitage, to Gorsham, nasz majordomus.

Beth wiedziała, że to oznaczało, iż do niego należy zarządzanie tym wielkim domem, i sądząc po wyglądzie - świetnie sobie z tym radził. Złożył jej specjalny ukłon.

- Panno Armitage, witam w Belcraven.

Biedna Beth, której odjęło mowę, bardzo się pilnowała, żeby nie dygnać, i jedynie skinęła lekko głową, mając nadzieję, że tak należy.

- Kiedy kolacja, Gorsham? - spytał markiz, przemierzając przestronny hol. Beth szybko za nim podążyła. W tej chwili on był jej jedynym łącznikiem z tym miejscem. Bała się, że jeśli się rozdzieli, zostanie wyrzucona jak intruz, jakim była albo przynajmniej pragnęła być...

Z lękiem rozejrzała się wkoło.

Spiralnie skręcone, marmurowe kolumny ze złotymi obręczami wyrastały w równym szeregu z wyłożonej kafelkami posadzki, która zdawała się nie mieć końca.

Pomiędzy nimi porozstawiane były marmurowe popiersia i klasyczne posągi, na ścianach wisiały stare chorągwie i broń. Pilnując się, by nie rozdziawić ust ze zdumienia, Beth spojrzała w górę, na trzy kondygnacje ozdobnych balustrad, i uświadomiła sobie, że hol wieńczy ośmiokątny świetlik, przez który wpadały promienie popołudniowego słońca. Cała szkoła panny Mallory pomieściłaby się w tej jednej sali.

- Za godzinę, milordzie - rzekł Gorsham w odpowiedzi na pytanie markiza.

Markiz odwrócił się do Beth.

- Moja droga, może masz ochotę udać się do swoich pokoi i nieco się odświeżyć, zanim się spotkasz z moimi rodzicami?

Do pokoi? Beth najchętniej schowałaby się w mysiej

dziurce. Przystąpiła jednak na jego propozycję. Gorsham uniósł palec i podeszła do nich jedna z pokojówek, które stały zbite w grupki.

- Panno Armitage, to jest Redcliff - powiedział, gdy kobieta w średnim wieku dygnęła. - Jeśli nie ma panienka nic przeciwko temu, zaprowadzi panienkę do jej apartamentu i będzie paniencie usługiwała. Beth skinęła głową i kiedy pokojówka się odwróciła, by pokazać jej drogę, poszła za nią. Wspięły się po szerokich schodach ze złożonymi balustradami z kutego żelaza na piętro. Potem zaczęły iść szerokimi, wyłożonymi dywanami korytarzami. We wszystkich porostawiane były cenne rzeźby i eleganckie meble, porozwieszane obrazy. Minęły trzech lokai w liberiach i upudrowanych perukach, którzy nic nie robili, tylko stali. Wydawało się, że upłynęło przynajmniej dziesięć minut, nim pokojówka otworzyła drzwi i cofnęła się, by zrobić przejście dla przytłoczonej tym wszystkim Beth. Okazało się, że „apartament” było określeniem jak najbardziej na miejscu. Miała zamieszkać w kilku pokojach. Pierwszym był wielki, umeblowany ze smakiem buduar. Znajdowały się w nim obite aksamitem fotele, małe, intarsjowane stoliki i biurko z prążkowanego drewna. Stał tu też szeslong, a po jego bokach dwa egipskie posągi, które przytrzymywały lampy oliwne. W kominku, udekorowanym marmurową płaskorzeźbą, wesoło płonął ogień, chociaż było dość ciepło, jak na koniec kwietnia. Stoły ozdabiały wdzięczne kompozycje z wiosennych kwiatów, ich słodki zapach unosił się w całym pokoju.

Z lekkim drzeniem Beth weszła na śliczny, puszysty dywan w barwach błękitu i żółci i zbliżyła się do jednego z dwóch dużych okien, w których wisały niebieskie, adamaszkowe kotary. Roztaczał się z niego zapierający

dech w piersiach widok na park, który ciągnął się za domem aż do rzeki Cherwell.

Beth się odwróciła i zobaczyła, że pokojówka czeka przy drzwiach do sąsiedniego pomieszczenia. Okazało się, że prowadziły do gotowalni. Była dwa razy większa od jej dawnej sypialni, jej jedyne go pokoju u panny Mallory. W porównaniu z resztą apartamentu wyłożona jakimś drogocennym złotym drewnem gotowalnia, była dość spartańsko urządzona. Na podłodze leżały tylko trzy małe chodniczki, a na wyposażenie składały się dwa krzesła, dwie duże szafy, umywalka, lustro i bardzo duża skrzynia. Był też kominek, na którym płonął ogień, co Beth wydało się czystym marnotrawstwem.

Pokojówka musiała zauważyć ściągnięte brwi dziewczyny, bo otworzyła drzwiczki nad kominkiem, za którymi ukazał się metalowy pojemnik.

- Służy do podgrzewania wody do kąpieli, panienko. Nie rozpala się w kominkach tylko w największe upały. Może panienka teraz wziąć kąpiel, jeśli sobie panienka życzy.

Kobieta uniosła wieko skrzyni kryjącej wielką wannę. Beth nie mogła się powstrzymać, by nie podejść bliżej do tego cudu - była nawet ozdobiona wizerunkami ryb. To była pierwsza ekstrawagancja, która kusiała Beth. U panny Mallory kąpiel była rzadkim luksusem, wymagającym wielu wcześniejszych przygotowań.

Perspektywa zamówienia kąpieli i natychmiastowego z niej skorzystania była niezwykle pociągająca. Beth podejrzewała jednak, że pokojówka będzie chciała jej przy tym asystować, a ona nie miała na to ochoty.

Za gotowalnią znajdowała się jej sypialnia. Okazała się równie oszałamiająca, jak buduar. Na podłodze leżał drogi dywan, wielkie łóżko osłaniał baldachim z żółtego jedwabiu, w oknach wisiały zasłony z identycznej

tkaniny. Ściany wybito chińskim jedwabiem. Obrazy, które na nich wisiały, nie były znane Beth, ale wszystkie wyglądały na dzieła starych mistrzów.

Te pokoje nie były mysią dziurką, tylko złotą klatką. W tej chwili Beth najbardziej w świecie chciałaby zostać sama, jednak nie przychodził jej do głowy żaden pomysł, jak pozbyć się pokojówki.

- Czy moje bagaże przyniesiono na górę? - spytała, mając nadzieję, że kobieta pójdzie, by je odszukać, ale w tym momencie z gotowalni dobiegł jakiś hałas.

- Chyba właśnie je przynieśli, panienko - odparła Redcliff i wybiegła, lecz tylko do sąsiedniego pomieszczenia, by wydać polecenie lokajowi, gdzie postawić kufry. Beth ledwo zdążyła zdjąć kapelusz, a pokojówka już wróciła.

Spróbowała jeszcze raz.

- Chciałabym się umyć, Redcliff - powiedziała.

- Tak jest, panienko - odpowiedziała pokojówka i wyszła - niestety tylko do gotowalni. Wkrótce dobiegł stamtąd szum wody. Beth zapomniała o bojlerze.

Po chwili kobieta wróciła, dając pannie Armitage znak, by poszła za nią. Beth posłuchała. Zaczynała poznawać, co to znaczy tyrania służby.

Czuła się jak dziecko. Udało jej się samej rozpiąć guziki z przodu Spencera, ale to pokojówka jej go zdjęła. Ona również rozpięła guziczki jej sukni, po czym ją zdjęła.

Beth została tylko w batystowej halce. Pokojówka zaczęła i ją rozpinąć, ale Beth się sprzeciwiła.

- Starczy - powiedziała dość ostro. - Proszę rozpakować moje rzeczy.

Kobieta przynajmniej oddaliła się od niej o krok, dwa.

Beth wzięła grubo tkaną, bawełnianą ściereczkę i mydło i zaczęła myć odsłonięte części ciała. Postanowiła, że jak tylko pokojówka wyjdzie, umyje się dokładnie. Odkąd

przestała być dzieckiem, nigdy się nie rozbierała w czyjejs obecności.

Mydło przyjemnie pachniało, tworzyło obfitą, gładką pianę. Haftowany ręcznik był mięciutki.

Jak tylko skończyła się myć, zobaczyła, że pokojówka stoi obok niej, podając jej alabastrowy pojemnik z przyjemnie pachnącym kremem.

- Balsam do rąk, panienko.

Beth zanurzyła palce w kremie i rozsmarowała go na nich. Po zakończeniu toalety będzie pachniała jak wiosenny ogród.

- Jest również płyn do zmywania twarzy, jeśli sobie panienska życzy - powiedziała Redcliff.

Beth podziękowała i pokojówka znów zajęła się zawartością kufrów.

- Którą suknię chce panienska włożyć dziś wieczorem?

Beth wiedziała, że nie ma nic, co by pasowało do tych wnętrz, ale nie zamierzała się tym przejmować. Było kwestią dumy nie tracić fortuny na stroje.

- Znajdziesz tam cielistą z matowego atłasu - powiedziała. - Tę włożę.

Pokojówka pomogła jej owinać się szalem i Beth mogła w końcu uciec od niej do buduaru. Siedziała przy oknie, podziwiając wspaniałą posiadłość, ozłoconą promieniami słońca. Patrzyła na bajkową krainę, w której nie było miejsca na żadne niedoskonałości i cierpienia.

Beth ukryła twarz w dłoniach. Człowiek może odczuwać wyższość nad pawianem, ale i tak byłby nieszczęśliwy, będąc zmuszonym do przebywania w jego środowisku. Co Zrobi, pomyślała, ogarnięta paniką, jeśli jej plan się nie powiedzie i mimo wszystko dojdzie do tego ślubu? Opuściła ręce i zmusiła się, by wstać. Chodziła po pokoju i próbowała się podnieść na duchu. Belcraven to

budynek, nic więcej, a cała posiadłość to tylko dekoracja, stworzona dzięki ogromnym pieniądząm. Otaczający ją przepych był jedynie oznaką dawnego i obecnego zepsucia. Ostatecznie większość arystokratów zdobyła swoje potężne majątki dzięki przemocy lub rozpuście w służbie równie gwałtownych i zdemoralizowanych monarchów.

Książę, księżna i markiz byli tylko ludźmi i nie powinni wzbudzać większego lęku niż najzwyczajniejszy wyrobnik. Niewątpliwie ten wyrobnik o wiele bardziej uczciwie zarabiał na codzienny chleb.

Nim pokojówka poinformowała ją, że suknia gotowa, Beth udało się odzyskać nieco pewności siebie.

- Biżuteria, panienko? - spytała Redcliff.

- W mojej torebce znajdziesz złoty medalionik - powiedziała Beth, nawet się nie siląc, by zachować pozory. - To jedyne, co mam. - Potem przypomniała sobie swój pierścionek i spojrzała na drogocenny klejnot.

Przynajmniej on pasował do Belcraven, co jedynie dowodziło, że nie powinien się znajdować na jej palcu. Pokojówka przyniosła medalionik i pomogła Beth go zapiąć.

Beth przejrzała się w lustrze. I ona, i panna Mallory same szyły sobie suknie, ale raz w roku zamawiały dwie wyjściowe kreacje u miejscowej szwaczki - ciepłą na zimę i cienką na lato. Miała na sobie właśnie tę drugą; dobrze na niej leżała i miała kilka modnych detali - pliski na staniku i dół obszyty listwą. Jednak sama sukienka była prosta i skromna. Beth wiedziała, że przyćmi ją każda toaleta księżnej. I innych gości. Na tę myśl znów ogarnęła ją panika. Mogła stawić czoło rodzinie - ostatecznie to wszystko ich wina - ale nie obcym ludziom, którzy spojrzą i zobaczą jedynie pospolitą, biednie ubraną dziewczynę, a nie młodą

kobietę o buntowniczej naturze.

Gdyby miała oszałamiającą, modną kreację i szkatułkę klejnotów, wykorzystałaby je i do diabła z równościowymi hasłami.

Pokojówka zajęła się jej fryzurą.

- Jakie śliczne włosy ma panienka - powiedziała, kiedy zaczęła szczotkować burzę kasztanowych loków.

Beth była tego świadoma. Nie były to odpowiednie włosy dla nauczycielki, która musiała codziennie przekonywać uczennice i ich rodziców, że jest osobą surową. Dlatego ściśło je upinała i chowała pod czepkami.

Kiedy pokojówka skończyła ją czesać, Beth powiedziała:

- W pudełku w szarym kufrze znajdziesz czepek, pasujący do tej sukni. - Zobaczyła w lustrze, jak usta kobiety zadrżały w niemym proteście. Pokojówka była jednak zbyt dobrze wyszkolona, by sprzeciwić się jej na głos, i odszukała nakrycie głowy.

Tak się akurat składało, że był to jej najpiękniejszy czepek. Beth tym razem nie mogła pozbawić go ozdób - rzędów wstążeczek i dwóch jedwabnych różyczek nad lewą skronią. Co więcej, ponieważ czepek był tak zaprojektowany, by nosić go na czubku głowy, nie mogła pod nim schować wszystkich swych lśniących loków.

Gdyby tylko, pomyślała, nie było jej w nim tak do twarzy. Pastelowe kolory pasowały do jej bladej cery, przydawały jej delikatności i wydobywały lekki róż jej policzków i ust. Loki nad czołem łagodziły owal twarzy, a te przekłete róże zwracały uwagę na jej oczy, które, chociaż zupełnie zwyczajne, jaśniały pod gładkimi, ciemnymi brwiami.

Jednak kiedy sprawiała sobie tę toaletę, Beth zależało,

by korzystnie się w niej prezentować, i aż za dobrze jej się to udało. Razem ze swą ciotką trochę się udzielała towarzysko w Cheltenham i nie chciała wyglądać odpychająco. Uśmiechnęła się smutno, kiedy sobie przypomniła, że gdy kilka miesięcy temu sprawiła sobie ten komplet, wzbudziła nawet pewne zainteresowanie u lokalnego kuratora. Ostatecznie okazał się dość ograniczonym mężczyzną.

W końcu zrezygnowała z bezowocnych medytacji na temat swego wyglądu. Markiz niewątpliwie znał wszystkie największe piękności w kraju. Mało prawdopodobne, by wywarła na nim wrażenie Beth Armitage w swej najlepszej sukience.

Pokojówka spojrzała na zegar.

- Pora, żeby zeszła panienka na dół. Beth drgnęła.

- Muszę się przyznać, że... że nie mam pojęcia, jak trafić „na dół”, Redcliff. Nie wiem nawet, dokąd powinnam pójść.

Pokojówka zrobiła lekko zdumioną minę i potrząsnęła małym srebrnym dzwoneczkiem, który wzięła ze stołu. Do pokoju wszedł lokaj.

- Panna Armitage jest gotowa do zejścia na dół, Thomas -oznajmiła.

Lokaj uklonił się lekko i znów wyszedł. Redcliff stanęła obok drzwi, by je zamknąć za Beth. Obie wyszły.

Lokaj ruszył wolnym krokiem i Beth podążyła za nim, czując się trochę jak piesek zabierany na spacer. Młody mężczyzna był wysoki i dobrze zbudowany. Beth słyszała, że czasem zatrudnia się jako lokai przystojnych młodzieńców

i przypuszczała, że tak właśnie jest w tym przypadku.

Znów mijali innych lokai, stojących nieruchomo jak posągi; w żółtych liberiach i przypudrowanych perukach trudno ich było od siebie odróżnić.

Szła za swoim przewodnikiem korytarzami i w dół schodów, równie okazałych jak te, którymi weszła na górę. Nie mogła odmówić elegancji i urody miejscu, w którym się znalazła, ale to śmieszne, mówiła sobie, żeby taki wielki budynek i tyle służby przeznaczone było tylko dla trzech osób.

Znaleźli się przed połączanymi, podwójnymi drzwiami, ozdobionymi motywem pnących róż. Lokaj, który przyszedł z Beth, i drugi, który tam stał, jednocześnie otworzyli przed nią drzwi, by mogła wejść do środka, nie zwalniając kroku. Zupełnie zapomnę, do czego służą ręce, pomyślała, szykując się na spotkanie ze swymi oprawcami.

Spodziewała się ostentacji, pasującej do tego domu, i była przygotowana na to, by z niej szydzić. Tymczasem pokój, do którego weszła, był mały i niespecjalnie okazały.

Znajdujący się w nim książę i markiz mieli na sobie eleganckie i zarazem wygodne stroje, księżna - uroczą, lecz prostą suknię z jedwabiu w niebieskie paski, wisiorek z szafirem na szyi i kolczyki w uszach. Była wysoką, szczupłą damą, równie urodziwą, jak jej syn. Wdzięcznie wycięte usta rozchyliły się w ciepłym uśmiechu, kiedy Beth podeszła do niej.

- Moja droga panno Armitage, witam w Belcraven. -
Mówiła z lekkim francuskim akcentem. - Bardzo dziękuję, że zechciała pani przyjechać. - Były to słowa całkiem na miejscu, zważywszy obecność lokaja stojącego pod ścianą, ale Beth wiedziała, że kryje się za nimi coś więcej. Księżna nie czuła się dotknięta jej przyjazdem. Widocznie zaakceptowała plan swego męża i Beth nie mogła liczyć na jej pomoc.

- Wasza miłość, nie mogłam się oprzeć, by nie skorzystać z tej okazji - powiedziała sucho.

Lekkie rozbawienie i rozbrajająca serdeczność pojawiły się w oczach księżnej.

- Tak - rzekła - nie sposób się oprzeć mężczyznom z rodu de Vaux, prawda, moja droga? Powiedz mi, czy mogę się zwracać do ciebie po imieniu?

W tej sytuacji Beth nie mogła jej odmówić. Następnie musiała stawić czoło księciu.

- Podzielim opinię mojej drogiej żony, Elizabeth. To wielka radość widzieć cię tutaj. - Uśmiechnął się do niej życzliwie, jakby sam do niczego jej nie zmusił. Beth zacisnęła zęby, by nie wyrwały jej się nieroztropne słowa. Niczego nie osiągnie, obrażając księcia.

Beth wskazano kanapę, na której usiadły obie z księżną. Księżę zajął miejsce naprzeciwko, natomiast markiz poprawiał ogień w kominku, obserwując zebranych z sardonicznym uśmiechem. Lokaj podał wino i księżna spytała Beth, jak minęła podróż. W ten sposób zgrabnie wciągnięto ją do rozmowy i przez pół godziny zabawiano stosownymi i wesołymi historyjkami.

Okropnie trudno było nie polubić tej czarującej damy o francuskim akcencie i ciepłym uśmiechu.

Księżę też brał udział w konwersacji i Beth zauważyła, jak księżna delikatnie, acz skutecznie skłoniła do tego również markiza. Rozmowa toczyła się lekko, nieprzerywana chwilami niezręcznego milczenia. Beth nie mogła się nadziwić ich biegłości w tym względzie. W odpowiednim czasie powiadomiono, że stół jest nakryty, i księżę podał rękę Beth, natomiast markiz - swej matce. Do jadalni prowadził krótki korytarzyk, ale nadarzyła się okazja, by zamienić kilka słów na osobności.

- Czy teraz, kiedy poznałaś markiza, Elizabeth - spytał księżę - jesteś bardziej pogodzona ze swoim losem?

- Jestem tak samo pogodzona, jak on, wasza miłość.

Książę ze zdumieniem przyjął jej ostre słowa.

- Wielka szkoda. Jest mężczyzną, do tego dumnym. Mogę mu rozkazywać, ale niełatwo się z tym godzi.

- Jestem kobietą, ale też mam swoją dumę, wasza miłość - odparła Beth. - Mnie też niełatwo się z tym pogodzić.

- Bardzo dobrze - odrzekł, irytująco niewzruszony. - Ale pamiętaj, Elizabeth, swoje rozgoryczenie kierujesz przeciwko mnie, a mnie nie możesz urazić.

- Nie chcę nikogo urazić, wasza miłość - oświadczyła Beth z lekką desperacją w głosie. - Staram się jedynie sama nie ucierpieć.

- A oto i prywatna jadalnia - powiedział książę, zgrabnie zmieniając temat, kiedy weszli do wielkiej sali, zawieszanej tapiseriami. Sufit ozdabiało malowidło z na wpół roznegliżowanymi boginkami.

Prywatna jadalnia, pomyślała cierpko Beth. Za stołem wygodnie zmieściłoby się osiem osób, pod ścianą stały jeszcze trzy części blatu, a w pokoju z pewnością można było podejmować i dwudziestu „członków rodziny”.

Książę i księżna zajęli swoje miejsca po obu końcach stołu, a markiz i Beth usiedli naprzeciwko siebie. Za każdym stołownikiem stał lokaj, inni służący przynosili potrawy i zabierali puste półmiski. Beth uważała to za śmieszne.

Domyślając się, jak to będzie wyglądało, brała tylko małe porcje niezliczonych dań, ale i tak pod koniec posiłku czuła przesyt. Zauważyła, że markiz jadł z większym apetytem, natomiast książę i księżna jedli niewiele, a wielu dań w ogóle nie próbowali. Jaki, na Boga, miało to wszystko sens? Było oczywiste, że każdy wolałby spożyć prosty posiłek na osobności.

W trakcie kolacji kontynuowano rozmowę, ale teraz skupiono się na sprawie wojny; wszyscy wykazywali się głęboką znajomością problematyki międzynarodowej i

znaczną przenikliwością. Beth pomyślała, że służba zyskiwała pierwszorzędne wykształcenie podczas wykonywania swoich obowiązków, ale wszystko to sprawiało wrażenie przedstawienia, odgrywanego na użytek publiczności.

Markiz i jego rodzice muszą się tak zachowywać przez całe życie. Ta myśl przeraziła ją. Na krótką chwilę zamilkła, ale potem znów została wciągnięta do rozmowy. Jako osoba dobrze wychowana, nie miała wyboru, musiała grać swoją rolę.

Pomimo sztucznej swobody i serdeczności Beth czuła, jak ją przytłacza atmosfera tego pokoju, słowa i rozlegający się czasem śmiech przyprawiały ją o pulsowanie w skroniach. Wkrótce powie coś niewybaczalnego, a nie chciała tego. Grubiańskim zachowaniem nie odzyska utraconej wolności, a ze zgrozą myślała o służących, naśmiewających się później w kuchni z głupiutkiej gąski, która nie wie, jak się należy zachować w wielkopańskim domu.

Czy już do końca życia będzie musiała codziennie odprawiać ten rytuał? Zwariuje.

5

Kiedy księżna wstała, żeby ponownie przejść do małego saloniku, Beth poczuła ulgę. Jak tylko usiadły, postawiono przed nimi tacę z herbatą. Księżna odprawiła służących i sama naląła Beth herbaty do prześlicznej, porcelanowej filiżanki.

- Widzę, że źle się czujesz, Elizabeth - oświadczyła po prostu.

- To nie do zniesienia. Dlaczego tak spozywacie posiłki? Księżna się uśmiechnęła.

- My chyba inaczej to odbieramy. To tylko kolacja w rodzinnym gronie.

- A ci wszyscy służący?

- Też należą do rodziny. Co byś zrobiła na naszym miejscu? Niemożliwością jest żyć tu bez armii służących. Czy powinniśmy zburzyć ten dom? Przecież jest taki piękny, a służący kochają go nie mniej od nas. Czują się zaszczyceni, że mogą przebywać w nim razem z nami.

- A ci lokaje całymi godzinami sterczący beczynnie na korytarzu?

Księżna się roześmiała.

- Kiedy nadejdzie dzień, że będziesz czegoś potrzebowała z drugiego końca domu albo musiała przekazać wiadomość, albo kogoś znaleźć, zapewniam cię, że będziesz z tego bardzo zadowolona, Elizabeth. Prawdę mówiąc, ostatnio chciałam wprowadzić pewną innowację. Zaproponowałam, żeby siedzieli i czytali książki, czekając na polecenia. Byli wielce oburzeni.

Uważali, że w ten sposób obniży się ranga domu. Rozwiązaliśmy sprawę kompromisowo. Zgodzili się zmieniać co godzinę. W większości pochodzą z rodzin, które od pokoleń służą książętom Belcraven. Beth odstawiła filiżankę, nie spróbowałszy herbaty.

- Może trzeba się urodzić do takiego życia. Księżna spojrzała na nią.

- Z tego, co o tobie wiem, Elizabeth, szcycisz się swoim wykształceniem i umiejętnością radzenia sobie w życiu. Dlaczego więc nie potrafisz sobie z tym poradzić?

Beth zeszywniała w obliczu takiego zarzutu.

- Nie twierdzę, że nie potrafię. Moim zdaniem to po prostu nie ma sensu.

Patrząc na nią serdecznie, księżna powiedziała:

- Moja droga, najpierw udowodnij, że masz odwagę stawić temu czoło, a potem spróbuj zmienić to, co ci nie odpowiada.

Zanim Beth zdążyła zauważyć, że nie chciała mieć z tym wszystkim nic wspólnego, pojawili się panowie. Choć

nie było służących, kontynuowano analizę sytuacji na kontynencie. Beth rozważała, czy cokolwiek osiągnie, porównując własne położenie z położeniem podbitej Europy, ale doszła do wniosku, że raczej nie. To wszystko był plan księcia; księżna zdawała się go popierać; markiz się zgodził.

A więc markiz musi być celem jej ataków. Zaczęła go bacznie obserwować.

Brał udział w dyskusji, ale wyczuła, że jest spięty. Nie był serdeczny ani swobodny w obecności rodziców i czasem odnosiło się wrażenie, że specjalnie zajmuje stanowisko odmienne niż ksiączę. Beth była ciekawa, czy wywołała to obecna sytuacja, czy też jest to typowe dla tej rodziny. Wcale by się nie zdziwiła, gdyby właśnie tak było. Ksiączę nie był ojcem Ardena i wszyscy o tym wiedzieli; ona była nieślubną córką księcia i też dla nikogo nie stanowiło to tajemnicy; zarówno ją, jak i markiza zmuszano do małżeństwa wbrew ich woli.

Kiedy Beth zastanowiła się nad zawiłymi powiązaniem między osobami obecnymi w pokoju, była zdumiona, że potrafili się tak elegancko zachowywać.

Po jakimś czasie zaproponowano słuchanie muzyki i wszyscy przenieśli się do uroczego saloniku muzycznego, zwieńczonego kopułą przedstawiającą nocne niebo. Księżna ślicznie grała na harfie; potem namówiono Beth, by zaprezentowała swe umiejętności gry na fortepianie. Następnie, ku jej zdumieniu, markiz ujął srebrny flet i zagrał w duecie z matką. Nigdy by nie pomyślała, że należy do ludzi interesujących się muzyką. Musiał dostrzec jej zaskoczenie, bo kiedy skończył, podszedł do niej i wyjaśnił:

- Mam kiepski głos. Kiedy wszyscy byliśmy młodszy, matka często organizowała wieczorki muzyczne i nalegała, bym w nich uczestniczył. - Odnaczał się

wyszukanymi manierami. Pod żadnym względem nie zachowywał się jak zakochany, ale nie było powodów, by teraz udawać.

- Bardzo dobrze pan gra - powiedziała szczerze.

- Lubię to, ale nie ma się czym specjalnie chwalić. Poza tym w dzisiejszych czasach to niemodne wśród takich młodych ludzi, jak ja - rzekł z lekką drwiną. - Te oszklone drzwi wychodzą na wschodni taras. Czy nie ma pani ochoty trochę pospacerować na świeżym powietrzu? Wieczór jest dość ciepły.

Po lekkim wahaniu Beth się zgodziła. Przez moment zaczęła już ulegać jego nienagannym manierom, a to byłoby fatalne w skutkach. Księżę i księżna, ich syn i służba zachowywali się z tak wytworną galanterią, że tylko ktoś o gwałtowniejszej naturze niż Beth zdobyłby się na jawny bunt. Musiała znaleźć się z markizem sam na sam.

- Może potrzebny będzie szal - powiedział, patrząc na jej gołe ramiona. Posłałaby po niego, ale księżna wskazała na swój leżący obok. Wykonany ze ślicznego jedwabiu, niewątpliwie kosztował więcej, niż wynosiły roczne wydatki Beth na stroje.

Zarzucając szal na jej ramiona, markiz musnął palcami jej szyję. Beth się wzdrygnęła. Ich spojrzenia się spotkały i przez chwilę Beth poczuła fizyczną bliskość markiza, co ją do głębi przestraszyło.

Musi stąd uciec. Nigdy, przenigdy za niego nie wyjdzie. Pospieszyła w kierunku drzwi balkonowych, które przed nią otworzył.

Kamienny taras skąpany był w promieniach księżyca. W rozmieszczonych w regularnych odstępach wzdłuż balustrady rzeźbionych urnach zieleniły się rośliny. W powietrzu czuć było świeżość, zewsząd dobiegały odgłosy natury. Było wystarczająco ciepło, by nie

odczuwała zimna, jednak i tak dygotała i szczerzej owinęła ramiona szalem.

- To bardzo ładny dom - odezwał się markiz. - Czy perspektywa zamieszkania w nim nie sprawia pani choćby odrobiny przyjemności?

- Jak by się pan czuł, milordzie, mieszkając w pałacu hinduskiego maharadży?

Dostrzegła, jak białe zęby błyskają mu w uśmiechu. W blasku księżyca jego włosy wydawały się posrebrzone.

- Mógłbym być zaciekawiony, przynajmniej przez jakiś czas. - Ja też - powiedziała zimno Beth - gdyby oznaczało to

chwilową odmianę.

Odłamał gałązkę bluszczu, spowijającego urnę, i zaczął nią obracać w długich palcach.

- Rozumiem - rzeki łagodnie. - Jednak przez jakiś czas musi pani tu pozostać. To będzie świadczyło, że została pani zaakceptowana przez rodzinę. Matka przedstawi panią najbliższym sąsiadom. Może będzie pani łatwiej, kiedy przeniesiemy się do Londynu, żeby wziąć ślub...

- Nie wiedziałam, że nasz ślub odbędzie się w Londynie! Wzruszył ramionami.

- Mój ojciec... książę Zdecydował o wszystkim.

Kieruje się jak najlepszymi intencjami. Chce, żeby została pani w pełni zaakceptowana przez wyższe sfery. Mówił tak rozsądnie, że Beth niemal dała się złapać w pułapkę. Zmusiła się, żeby walczyć.

- Ale ja tego nie chcę, lordzie Arden. Mam lepszy pomysł. Dlaczego nie uciekniemy, by żyć jak wyrzutkowie społeczeństwa? - To powinno go zaszokować.

Nawet jeśli tak było, nie okazał tego.

- Bo ja tego nie chcę.

- A przypuszczam, że zawsze najważniejsze będzie to,

czego pan chce?

Odwrócił się do niej gwałtownie.

- Uczciwie panią ostrzegam, panno Armitage. Moja cierpliwość ma granice. Jeśli nadal będzie pani się zachowywała jak rozkapryszone dziecko, zacznę panią traktować tak, jak się traktuje niegrzeczne dzieci.

Beth nie pozwoliła się zastraszyć.

- Jeśli jest tu jakieś rozkapryszone dziecko - odparła, zataczając koło ręką - to na pewno nie ja nim jestem, milordzie. Zapomniał pan, że jestem skromną, pracującą kobietą?

- Jest pani rozzłoszczoną kotką, rozglądającą się, kogo można by podrapać. Proszę rzucić się z pazurami na księcia, a obronię panią. Ale nie pozwolę, by wyładowywała pani swoją złość na mnie.

Beth się odwróciła. Takie sprzeczki nic jej nie dadzą.

- Pański ojciec powiedział prawie to samo - przyznała. - Ale to w intrygę z panem jestem uwikłana.

- Czyli ze mną musi pani negocjować - odezwał się nieco spokojniej. - Proponuję kompromis. Nie chcę, żeby cały świat pomyślał, że jestem głupcem. Niech łamią sobie głowy, dlaczego wybrałem na żonę biedną dziewczynę niskiego rodu. Ale nie chcę plotek, że zostałem do tego zmuszony albo że nie przypadła pani do gustu moim rodzicom czy że nie nadaje się pani do swojej roli.

Chce. Nie chce. W Beth zrodził się bunt. Wciąż spoglądając na ogrody w srebrnej poświacie, dopowiedziała z sarkazmem:

- Ani że nie mam na to ochoty? Jak, lordzie Arden, zamierza pan mnie zmusić do tego, bym okazywała radość z tego faktu? - Zwróciła się w jego stronę, zupełnie nieświadoma tego, iż blask księżycy sprawił, że jej dość pospolita twarz nabrała rysów anioła dłuta della Robbii.

Zobaczyła, że markiz wstrzymał oddech, być może ze złości. Potem podszedł do niej wolno, uśmiechając się.

- Może, panno Armitage, uda mi się panią oczarować.

Przebiegł ją dreszcz, kiedy zobaczyła, do czego doprowadziły jej słowa. Ale niemądrze odparła:

- Z całą pewnością się to panu nie uda, milordzie.

Zdażyła tylko pisnąć, nim znalazła się w jego ramionach i poczuła na swych ustach jego usta. Obejmował ją mocno,

więc szarpanie się z nim nie miało sensu, ale nie sprawiał jej bólu. Jedną ręką przytrzymał jej głowę tak, że nie mogła się odwrócić, a usta, miękkie i ciepłe, przyciskał tylko na tyle, by zdusić jej sprzeciw. Beth była całkowicie bezradna. Zawsze wiedziała, że mężczyźni są silni; do tej pory nie zdawała sobie jednak sprawy z tego, jak bardzo.

Potem musnął językiem jej wargi. Próbowwała zaprotestować i poczuła jego język na swych zębach, łaskotał nim jej dziąsła. Przeszedł ją dreszcz; zaniepokoił zawrót głowy. Nagle otworzyła szerzej usta, zamierzając go ugryźć. Szybko się cofnął i roześmiał.

- Życie z panią będzie ciekawe - powiedział, a oczy mu dziwnie zabłyśły. - I niebezpieczne.

Beth z rozpaczą stwierdziła, że w jakiś sposób wzbudziła w nim zainteresowanie.

Nadal ją trzymając, spytał lekkim tonem:

- Czy będę musiał przeszukać nasze łóżko małżeńskie, żeby sprawdzić, czy nie ukryła w nim pani sztyletu?

- Jeśli tak będzie mnie pan traktował, milordzie - odparła Beth gwałtownie, znów na próżno próbując mu się wyrwać - nie dojdzie do tego. Proszę mnie puścić!

Chociaż jestem zwolenniczką poglądów Mary

Wollstonecraft, to jeszcze wcale nie znaczy, że ulegam każdemu, kto się na mnie rzuci!

Znieruchomiał.

- Czy zdaje sobie pani sprawę z tego, co pani mówi? - spytał cicho i Beth zrozumiała, jak odebrał jej słowa. Przełknęła głośno ślinę i na jej twarzy pojawił się impertynencki uśmiech.

- Naturalnie. - Jeśli uda jej się sprawić, żeby w to uwierzył, jutro odeślą ją do panny Mallory. W jednym kawałku? - zadała sobie pytanie.

Wielką dłonią ujął ją pod brodę, żeby nie mogła odwrócić głowy. Głos miał zachrypnięty.

- Ilu ich było?

Beth zuchwale potrząsnęła głową.

- Jeśli przedstawi mi pan listę swoich konkiet, milordzie, wyświadczę panu tę grzeczność i wręcę panu swój spis.

.

Puścił ją tak niespodziewanie, że aż się zachwiała.

- Boże!

Beth się odwróciła i oparła o balustradę, czując mdłości. Czy da radę? Ale jeszcze trochę i będzie w drodze do domu. Co może zrobić książę, jeśli jego syn zwyczajnie odmówi? A odmówi. Żaden mężczyzna nie zniesie czegoś takiego.

Złapał ją za ramiona i brutalnie odwrócił, aż znalazła się z nim twarzą w twarz.

- Nie wierzę pani - powiedział.

- Dlaczego? - Pytała zupełnie szczerze. Musiała wiedzieć, dlaczego markiz ma wątpliwości, jeśli ma być przekonująca.

- Razem z panną Mallory prowadzicie pensję dla panienek z dobrych domów. Żeby odnieść sukces w tej dziedzinie, trzeba się cieszyć nieskazitelną opinią.

Beth starała się przybrać beczelną minę.

- Potrafię zachować dyskrecję, milordzie.

Trudno było udawać śmiałą. Markiz miał minę, jakby

gotów był zabić Beth. Ona zaś próbowała udawać zatwardziałą zwolenniczkę wolnej miłości. Czy córka Mary Wollstonecraft, też Mary, nie uciekła ostatecznie z Percym Shelleyem -mężczyzną żonatym? Markiz nie musi wiedzieć, że ta eskapada zbulwersowała zarówno pannę Mallory, jak i Beth.

Nagle wykręcił jej obie ręce i zacisnął dłoń na szczupłych nadgarstkach. Ogarnęło ją przerażenie i zaczęła się szamotać, próbując się uwolnić. Była wstrząśnięta odkryciem, że nie może mu się wyrwać.

- Proszę się nie szarpać - powiedział zimno - albo będę musiał pani zrobić krzywdę.

Nie zamierzał nic jej zrobić? Myślała, że przynajmniej ją uderzy. Jego słowa mogły uspokajać, ale nie wyraz jego twarzy. Serce jej biło jak oszalałe, z całych sił powstrzymywała się, żeby nie zacząć błagać markiza o litość.

Jeśli nie zamierza jej uderzyć, co chce zrobić?

Przypuszczała, że bardziej zuchwała kobieta wiedziałaby. Czy markiz słyszy, jak Beth wali serce? Pragnęłaby cofnąć słowa, które powiedziała, ale to oznaczałoby przekreślenie nadziei na wolność. Nie mogła jednak opanować drżenia wstrząsającego jej ciałem.

Naparł na nią całym ciężarem, na jej nogi, biodra, piersi... To było nieznośne naruszenie jej nietykalności osobistej. Wielki Boże, czyżby zamierzał ją zgwałcić?

- Dlaczego tak się pani boi? - spytał jedwabistym głosem. -Z pewnością wie pani, że nie zamierzam pani zrobić krzywdy, moja droga.

-Jestem oburzona - wydusiła Beth. - Jestem wściekła!

Podniósł wolną rękę i pogłodził ją po policzku.

Wzdrygnęła się.

- Ciekaw jestem czemu? Pod jakim względem pani ko-

chankowie byli lepsi ode mnie?

Beth dostrzegła szansę i z niej skorzystała.

- Czy ucierpiała pańska duma, milordzie? Byli to mężczyźni wrażliwi i inteligentni, i sama ich sobie wybrałam.

- Przepraszam - powiedział lekko, chociaż patrzył na nią z furją. - Moim zdaniem trudno uznać za wrażliwego bądź inteligentnego mężczyznę, który skrada pannie wianek, a jednak jeden z tych wzorów doskonałości musiał to zrobić.

- Sama mu go oddałam, milordzie - odparowała. - Nie skradziono mi go ani go nie sprzedałam za kilka gwinei, a nawet za ślubną obrączkę!

Ze zdumienia aż mu odebrało dech. Mocniej zacisnął palce na przegubach jej rąk, tak że nie mogła powstrzymać okrzyku bólu. Natychmiast zwolnił uścisk, ale czuła, że ledwo nad sobą panuje, i istniało ryzyko, że mu się to nie uda.

Co teraz? Beth wiedziała, że coś się stanie. Coś strasznego.

Jego twarz przypominała kamienną maskę, ale oczy mu płonęły. Nie spuszczał z niej wzroku, przesuwając rękę wzdłuż jej szyi do ramienia. Zadrżała. Odsunął się i Beth odetchnęła głęboko, czując ulgę. Potem objął dłonią jej lewą pierś.

Beth, dysząc ciężko, znów próbowała się uwolnić. Z pewnością każda kobieta, nawet najbardziej doświadczona, walczyłaby, gdyby ktoś sobie pozwalał na takie rzeczy wbrew jej woli. Ale nie mogła się wyrwać ze stalowego uścisku lorda.

Przypomniała sobie, jaki jej przyświeca cel, i znieruchomiła. Zwycięstwo jest tak blisko, nie wolno jej się cofnąć. Czego teraz szukał? Co zdradzi jej ignorancję i cnotliwość?

Poczuła, jak zaczął delikatnie przesuwając palcem po jej piersi, po brodawce. Doznała niezwykłego uczucia. Zamknęła oczy, żeby jej nie zdradziły. Niestłuchane rzeczy działały się z jej ciałem.

Instynkt jej mówił, że może umocnić markiza w przekonaniu, że jest kobietą zuchwałą, reagując na jego pieszczoty, na przykład całując go. Markiz poczuje wstręt na widok lubieżnej zmysłowości. Ale zwyczajnie nie wiedziała, jak to zrobić.

Miała natomiast ochotę krzyczeć i walczyć. Chciała uciec. Jeśli zacznie krzyczeć, przyjdą jego rodzice i położą kres tym męczarniom, ale czy osiągnie swój cel? Starła się więc stać bez ruchu, na ile jej na to pozwalało drżące ciało. Jednocześnie gorączkowo szukała sposobów wykorzystania tej chwili. Musi zrobić coś takiego, co wzbudzi u markiza taką odrazę do niej, że nigdy nie zgodzi się jej poślubić, bez względu na to, czego życzą sobie jego rodzice. I to szybko. Nie zniesie tego dłużej, nie zdradzając się...

Dawno temu podsłuchiwała rozmowę dwóch sprzątaczek, które utrzymywały czystość w szkole. Rozmawiały o swoich mężach i małżeńskich obowiązkach i chociaż Beth ledwo rozumiała, o co im chodzi, teraz przypomniała sobie ich słowa.

„Mój Jem to poczciwy chłop, i pełen wigoru, ale strasznie lubi się certolić, a ja czasem wołałabym mieć to raz-dwa za sobą i usnąć.” Teraz dotarło do niej, co mogło znaczyć owo „certolenie”.

Zbierając całą odwagę i modląc się do bogini, która opiekuje się biednymi, nękanymi kobietami, Beth otworzyła oczy i zapytała, przeciągając sylaby:

- Zawsze się pan tak certoli, milordzie? Nie możemy przejść do rzeczy?

Puścił ją i się cofnął. Na jego twarzy zobaczyła tyle od-

razy, ile sobie życzyła.

W milczeniu patrzyli na siebie. Twarz miał bladą, ale może tylko tak wyglądała w blasku księżyca. Beth przypuszczała jednak, że nie. Ciekawa była, czy dożyje chwili, kiedy będzie mogła wrócić do panny Mallory.

- Jest pani w ciąży? - spytał bez osłonek.

- Naturalnie, że nie!

- Ma pani całkowitą pewność?

Beth zacisnęła zęby, żeby przestać nimi dzwonić.

-Tak.

Nabrał głęboko powietrza.

- Czy może mi pani dać słowo - zaczął ostrożnie - że nie... nie pofolguje pani swoim zmysłom przed ślubem? Uważam, że dość już bękartów w całej tej aferze.

- Naprawdę, milordzie...

- Trochę za późno na urażoną dumę, panno Armitage.

Chcę mieć pani słowo. - Z niesmakiem zacisnął usta. -

Jeśli pani potrzeby są tak wielkie, że nie panuje pani nad nimi, to zaspokoję je przed naszym ślubem, aczkolwiek niechętnie. Dziecko, które pani urodzi, będzie moje.

- Nadal chce pan ze mną wziąć ślub? - spytała przerażona. Beth.

- Nigdy nie chciałem pani poślubić, panno Armitage -

odparł. - Teraz oddałbym majątek, żeby nie musieć pani

tknąć. Ale nie mam wyboru, bo chociaż oddałbym

majątek, nie uwolnię się od ordynacji. Ojciec zostawi mi samą ordynację bez środków na jej utrzymanie, jeśli pani nie poślubię.

Beth przeszedł zimny dreszcz. Bała się, że zemdleje.

- A więc pan też jest bezradny - szepnęła, zastanawiając się, jak można naprawić to, co zrobiła.

- Ale nie bezsilny - powiedział zimno. - Nie uznam bękartów i nie dam sobie przyprawiać rogów. Uważam, że potrafię panią zaspokoić. Każę panią wychłostać i

zamknę pod strażą, jeśli stwierdzę, że mnie pani zdradza z innym. Czy mnie pani zrozumiała?

Przerazona tym, co zrobiła, Beth mogła tylko szepnąć: - Tak.

- A teraz proszę zejść mi z oczu. - Odwrócił się od niej. Beth gapiła się na jego plecy.

- Mi... milordzie...

- Jeśli ceni sobie pani swoją skórę, panno Armitage, radzę, by mnie pani zostawiła samego.

Beth spojrzała na jego rękę, zaciśniętą na zimnej, kamiennej balustradzie, i uciekła.

Jeśli książę i księżna, pogrążeni w lekturze, zauważyli coś niestosownego w wyglądzie Beth, nie okazali tego. Kiedy powiedziała, że pragnie się udać na spoczynek po męczącym dniu, księżna potrząsnęła dzwonkiem, który miała pod ręką. Pojawił się jeden z lokajów, by odprowadzić panienkę do jej pokoi, a drugi poszedł powiadomić Redcliff, że jest potrzebna.

Beth podziękowałaby pokojówce za pomoc, gdyby wiedziała jak, a tak po prostu cierpliwie zniosła jej usługiwanie. Kiedy została sama w ciemnym pokoju, zaczęła oceniać swoje niewesołe położenie.

Książę powiedział, że może zmusić swego syna do małżeństwa, ale niezupełnie go rozumiała. Teraz jej walka o wolność surowo się na niej zemściła. Markiz rozumiał niezręczność położenia Beth i był gotów jakoś jej pomóc. Wszystko zepsuła i to w taki sposób, że do dnia śmierci będzie się tego wstydziła.

Jak będzie mu mogła jutro spojrzeć w twarz, nie mówiąc już o próbie naprawienia tego, co zepsuła, i znalezienia jakiegoś fundamentu dla ich małżeństwa?

Księżna obserwowała, jak młoda kobieta opuszcza pokój. Panna Armitage starała się nad sobą panować, ale zdaje się, że czas spędzony z Lucieniem nie upłynął

spokojnie. Czekwała na syna, by móc lepiej ocenić, co zaszło na tarasie. W końcu dotarło do niej, że markiz nie przyjdzie.

- Williamie, twój plan budzi mój głęboki niepokój - powiedziała cicho.

Książę uniósł głowę znad książki.

-Z czasem ułoży się między nimi. ;

- Spojrzałeś na nią, kiedy przechodziła przez pokój? - spytała. - Ta biedaczka wyglądała na poharataną.

Książę zeszywniał.

- Myślisz, że ją uderzył?

- Skądże znowu. To jej dusza jest poharatana. Ale pozwoliłbyś nawet, żeby ją bił - powiedziała gniewnie - byleby tylko urodziła mu synów.

- Zapewniłem Elizabeth, że włos jej nie spadnie z głowy - oświadczył książę, patrząc na żonę. - Nie pozwolę, żeby ją skrzywdzono.

- W takim razie co zamierzasz zrobić, jeśli będzie ją źle traktował, Williamie? - zapytała nieustępliwie. -

Zakażesz mu wziąć z nią ślub? Nie możesz tego zrobić, bo wtedy nie dopniesz swego. Czy też będziesz im pozwalał przebywać razem, by spełniali swoje małżeńskie obowiązki, pilnie ich strzegąc, jak niebezpiecznego ogiera i cenną klacz?

-Yolande!

Zerwała się na nogi i natarła na niego.

- Powiedz mi, co zamierzasz zrobić? Książę też wstał, policzki mu poczerwieniały.

- Ma pani wspaniałe zdanie o swym synu, madame! Niewątpliwie ocenia go pani na podstawie znajomości jego ojca.

- Nauczył się manier od ciebie, książę. I okrucieństwa.

- Śmiesz oskarżać mnie o okrucieństwo? Odwróciła się i przesunęła dłonią po włosach.

W oczach księcia wyglądała jak dziewczyna, którą poślubił i kochał. Nadal miała zgrabną figurę, a w blasku świec jej włosy przybrały barwę złota.

- Tak, o okrucieństwo - odparła cicho, wciąż odwrócona plecami. - Póki nie przedstawiłeś mi tego planu, nie zdawałam sobie sprawy z tego, jaki potrafisz być bezwzględny. Przez wszystkie te lata myślałam, że cierpiałeś. - Odwróciła się, by na niego spojrzeć oczami pełnymi łez. - Teraz widzę, że byłeś tylko owładnięty chęcią ukarania mnie.

Powiedziawszy to, wybiegła z pokoju. Zbyt pośpiesznie. Na tę myśl książę uświadomił sobie, jakie to głupie przejmować się tym, co powie służba. Czemu nie mieliby raz zobaczyć ich jak zwykłych ludzi, nie półbogów bez skazy, pozbawionych uczuć?

Chęcią ukarania jej? Uważała, że przez te wszystkie lata ją karał? Przez te wszystkie lata katuszy i wyrzeczeń... Przypomniał sobie, jak chciał znaleźć coś, czym mógłby zniszczyć ich złote więzienie. Czy chciał, żeby go znienawidziła? Zobaczyć, jak Yolande płacze?

Targany emocjami książę poczuł złość, którą miał na kim skupić. To wina markiza. To wszystko wina markiza. Teraz nie mógł nawet elegancko zaaranżować zwykłego małżeństwa dla podtrzymania rodu.

Sztywnym krokiem wyszedł na taras, by ukarać swego spadkobiercę, ale nikogo nie dostrzegł w zimnym świetle księżycy. Po jakimś czasie ochłonał. Dziewczyna była zmęczona po podróży i zdenerwowana w obcym sobie miejscu. Jeśli wynikły jakieś problemy, niewątpliwie wywołały je drobiazgi i wkrótce wszystko się ułoży. Wrócił do salonu i po kolei zgasił świece. W blasku księżycy dostrzegł książkę żony, która upadła na podłogę. Podniósł ją i wygładził kartki. Rozgniewana księżna wyglądała tak majestatycznie. Przypomniał

sobie podobne sceny z czasów ich młodości. Dziś wieczorem poczuł się znacznie młodziej.

Ich złota klatka chroniła ich, a zarazem krępowała. Jak stary lew obawiał się, że już nie potrafi żyć bez krat.

Markiz zszedł z tarasu do ogrodu.

Miał poślubić ladacznicę. Równie dobrze mógłby pojąć za żonę Blanche. Właściwie wolałby to. Lubił Blanche, kierowała się swym własnym poczuciem honoru. Co by powiedział księżę, gdyby go poinformował o rozwiązłości Elizabeth Armitage?

Nie przejąłby się, byleby tylko dzieci były z prawego łóża. Nie, nie przejąłby się, byleby tylko zachowano pozory, że są z prawego łóża. Markiz musi im tylko dać nazwisko. O ile będą dziećmi Elizabeth, będą pełnoprawnymi kontynuatorami rodu de Vaux.

Uderzył ręką w pień drzewa. Poczuł ból, ale nie zwracał na to uwagi.

Kroczył przez park, rozkoszując się swą nienawiścią. Kogo nienawidził najbardziej? Elizabeth? Nie. Gardził nią, lecz była tylko marionetką, tak jak on. Księcia? O, tak, mógł go nienawidzić, ale markiz, z prawego czy nieprawego łóża, czuł się członkiem rodu de Vaux i rozumiał motywy postępowania księcia. On też chciał, żeby dzięki jego synom ród nadal trwał.

Swoją matkę? Tak, ją powinien nienawidzić. Wszystko to spowodowała jej głupia rozwiązłość. Ale na tę myśl ścisnął mu serce taki żal, że miał ochotę wyć.

Spacer ukoił trochę jego ból i wracając do domu, zaczął wszystko rozważać od nowa. Elizabeth Armitage nie była głupia, a on nie miał dowodów, że jest kobietą rozwiązłą. Znał takie kobiety, nie dostrzega! u Beth ich zmysłowości. Prawdopodobnie potrafi nad sobą panować, a on już się postara, żeby zachowywała się jak należy. Czuł się dotknięty na myśl, że nie jest niewinna,

ale zadba, żeby nie było gorzej.

Szukając jakiegoś pocieszenia, udał się w kierunku stajni, tak jak w wieku chłopięcym. Spędzał tu każdą wolną chwilę, kiedy tylko udało mu się umknąć przed preceptorem. W stajni było ciemno i cicho, czuł znajomy, ostry zapach koni i siana, słyszał każdy szmer, kiedy zwierzęta poruszały się przez sen. Przez jakiś czas chodził po stajni.

Już miał zamiar wyjść, kiedy dobiegło go ciche pogwizdywanie. Poszedł za tym odgłosem i trafił do ciemnego kąta. Na sianie siedział ktoś, gapiąc się na księżyc, i gwizdał jakąś melodię.

- Co tu robisz? - spytał cichym głosem.

Postać drgnęła i odwróciła się. Markiz poznał chłopaka, którego znalazł w Londynie. Wróbelek.

- Nic, milordzie.

Chłopak był wystraszony, co wydało mu się śmieszne.

Co ich różniło, poza łutem szczęścia? Obaj byli bękartami. Po tamtym wieczorze widział wyrostka tylko raz, wypłacił mu gwineę w monetach jednoszylingowych i postarał się dla niego o pracę parobka stajennego.

Teraz podszedł i usiadł obok niego na sianie.

- Nie bój się. Jeśli zamiast spać, wolisz gapić się na księżyc, to nie moje zmartwienie. O ile znam Jarvisa, wygarbuje ci skórę, jeśli jutro będziesz się ociągał w robocie.

- Z pewnością, milordzie. Na ogół nie sypiam dużo.

Lubię patrzeć na księżyc i słuchać. Tu jest inaczej niż w Londynie.

- Chyba tak. Podoba ci się tu?

- O, tak.

Markiz odchylił głowę i też spojrział na nocne niebo.

- Te trzy gwiazdy tam - powiedział do chłopca - tworzą-

ce linię prostą, to Orion.

-Co?

- Orion. Taką nadano im nazwę. Orion był wielkim, greckim myśliwym, ale obrał sobie zły cel i zaczął ścigać Plejady, więc zabiła go Artemida i teraz jest tamtymi trzema gwiazdami.

- Niech Bóg nas ma w opiece. Cudzoziemcy to dziwni ludzie, to pewne.

Markiz uświadomił sobie, że chłopiec poważnie przyjął jego opowieść, ale tylko się roześmiał.

- Niech to będzie dla ciebie przestroga, Wróbelku, by nie ściągać na siebie gniewu Greczynek. A najlepiej w ogóle unikaj Greków.

Teraz nareszcie zaczął mówić zrozumiale dla Wróbelka, chłopak skojarzył sobie jego słowa z oszustwami karcianymi i tym, co słyszał od drobnych złodziejasków. Słowem „Grek” określano bowiem cwaniaków i szulerów.

- To samo powtarzał mi mój stary kompan, Micky Rafferty. „Naucz się odróżniać, kiedy ktoś udaje Greka.” Polubiłby pan Micka - powiedział w zamyśleniu. - Deportowano go za włóczęgostwo. - Nagle przypomniał sobie, z kim rozmawia. - Najmocniej przepraszam, milordzie.

- Och, nie zaczynaj od nowa, Wróbelku - zaprotestował znużony markiz. - Wiesz, naprawdę nie mogę tak do ciebie mówić. Nie masz normalnego imienia?

- To moje normalne imię.

- A jak się nazywała twoja matka?

- Babs, milordzie.

Markiz spojrzał na chłopca. W ciągu kilku ostatnich tygodni buzia mu się zaokrągliła i teraz wyglądał całkiem niczego sobie. Zasługiwał na lepsze przezwisko niż Wróbelek.

- Wiem - powiedział. - Zmienimy ptaka. Jak ci się podoba Jerzyk?

- Nie wiem. Przyzwyczaiałem się do Wróbelka.

- Ale to nieodpowiednie imię dla młodzieńca, który awansował w świecie, prawda? Jerzyk Babson. Co ty na to?

Oczy chłopca zaświeciły się jak gwiazdy z gwiazdozbioru Oriona.

- Jerzyk Babson? To niby ja?

- Jeśli chcesz.

- Chcę - odparł z zapalem chłopak.

- Dobrze. - Markiz wstał i ziewnął. - Jeśli podoba ci się na wsi, możesz tu zostać.

- Na zawsze?

- Chyba że chciałbyś przenieść się gdzie indziej, jak się wyuczysz fachu.

- Jeśli... jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, milordzie, wolałbym służyć u pana. - W jego głosie wyraźnie można było dosłyszeć uwielbienie.

Markiz ponuro popatrzył na swego wielbiciela. Okazana ulicznikowi dobroć była zwykłą fanaberią, balsamem na zranioną dumę arystokraty, ale nie mógłby skrzywdzić dzieciaka.

- Nie obijaj się w robocie, to będziesz mógł pomagać mojemu masztalerzowi, Dooleyowi - powiedział.

- Dziękuję, milordzie - odparł chłopiec, aż podskakując z radości. - Dziękuję.

- Jednak jeśli masz doglądać moich koni, musisz być wyspany. Zmykaj do łóżka.

- Tak jest, proszę pana. - Chłopak pobiegł, a potem się odwrócił. - Dobranoc.

- Dobranoc, Jerzyku - cicho rzucił markiz w mrok.

6

Beth była zaskoczona, jak łatwo w Belcraven Park dwoje

ludzi mogło unikać spotkania ze sobą, szczególnie gdy jednemu z nich bardzo na tym zależało. Widywała markiza jedynie podczas kolacji i towarzyskich pogawędek, które później toczono. Co więcej, po pierwszym wspólnym posiłku wszystkie kolejne spożywano w szerszym gronie.

W Belcraven mieszkał na stałe kapelan, wielebny Augustus Steep, który również zajmował się rodzinnym archiwum. Od czasu do czasu pojawiała się niejaka pani Sysonby. Była daleką krewną księcia. Po śmierci męża znalazła się w trudnej sytuacji materialnej. Miała dotrzymywać towarzystwa księżnej, ale ponieważ księżna nie odczuwała takiej potrzeby, a pani Sysonby była zapalonym entomologiem, na ogół przebywała w swoich pokojach, oddając się swojemu hobby, pojawiając się i znikając, kiedy chciała.

Wuj i ciotka księżnej, hrabia i hrabina de Nouilly, uciekinierzy z Francji, zajmowali całe skrzydło razem ze swą kaleką córką i garstką wiernych sług. Czasem oni też, bez córki, pojawiali się na kolacji.

Pan Westall, sekretarz księcia, i pan Holden, zarządca majątku, mieli prawo jeść z państwem i korzystali z niego od czasu do czasu, chociaż plenipotent razem z rodziną mieszkał w domku na terenie posiadłości, a pan Westall często jadał u pastora, bo, jak domyślała się Beth, interesował się jego córką.

Pan Westall należał do tych spokojnych, rozmiłowanych w nauce młodzieńcach, w obecności których Beth czuła się najlepiej. Lubiła jego towarzystwo, ale zawsze, gdy z nim rozmawiała, widziała, jak markiz bacznie się im przygląda.

Beth bardzo chciałyby coś zrobić, by przestał być taki podejrzliwy, ale nawet gdyby wiedziała, co powiedzieć,

kiedy miała to zrobić?

Wieczorami markiz nigdy więcej nie spróbował jej gdzieś zabrać, mimo aluzji czynionych przez księżnę. W ciągu dnia zniknął. Księżę utrzymywał sforę ogarów i chociaż sam rzadko polował, markiz czasem gonił za lisem. Beth domyślała się, że resztę czasu spędzał na konnych przejażdżkach i łowieniu ryb. Byleby tylko nie przebywać w domu.

Kiedy się spotykali, zawsze utrzymywał dworny dystans. Beth starała się w miarę możliwości zachowywać równie grzecznie i czekała na okazję, by naprawić to, co zepsuła, przekonać go o swej niewinności. Kiedy nie powiodły się dwie próby spotkania z nim na osobności, została zmuszona do desperackiego kroku i napisała do niego liścik, prosząc o rozmowę w cztery oczy.

Kiedy się spotkali tamtego wieczoru przed posiłkiem, rzekł chłodno:

- Dostałem pani liścik, moja droga. Czy odczuwa pani aż tak pilną potrzebę?

Beth zrozumiała, co miał na myśli, zrobiła się czerwona na twarzy i powiedziała:

-Nie.

Później zdesperowana nawet rozważała, czy nie powinna go zaprosić do swojej sypialni. To mogła być jedyna okazja, by porozmawiać z nim na osobności i prawdopodobnie wtedy przekonałby się, że jest czy też była dziewicą.

Ponieważ prawie wcale ze sobą nie rozmawiali, z pewnością nikt nie wierzył w tę farsę z zaręczynami. Księżę i księżna naturalnie starali się łagodzić sytuację, chociaż Beth zdawała sobie sprawę z niepokoju księżnej. Hrabia i hrabina de Nouilly byli całkowicie pochłonięci własną tragedią. Ale pan Holden, pan Westall i wielebny

Steep musieli z pewnością uznać tę sytuację za dziwną. Lecz nawet jeśli tak było, pilnowali się, by nie dać tego po sobie poznać.

W każdym razie Beth miała powody, żeby być wdzięczna Napoleonowi Bonaparte. Gdyby nie to, że na kontynencie sytuacja stawała się coraz groźniejsza, nawet tak inteligentnym ludziom, jak członkowie rodziny de Vaux, czasem brakowałoby tematu do rozmowy. A tak co wieczór z ulgą rozprawiali o bieżących sprawach.

Pewnego razu markiz wszystkich zaszokował.

- Uważam, że obowiązkiem każdego mężczyzny jest przeciwstawić się Korsykaninowi - oznajmił. - Chciałbym się zgłosić do armii.

Księżę i księżna zbledli.

- To niemożliwe - odparł księżę.

- To całkiem możliwe - odpowiedział markiz i Beth wiedziała, że w ten sposób pragnął uciec przed małżeństwem z nią. Wolał śmierć? Czy też uważał się za niezwycięzonego?

- Zapominasz, markizie - powiedział księżę, znów spokojny i opanowany - że data ślubu wyznaczona jest za kilka tygodni od dziś. Po tym, co nosi teraz nazwę miesiąca miodowego, możemy -wrócić do tego tematu. - Słowom tym towarzyszyło ostrzegawcze spojrzenie. Beth wiedziała, że księżę przypominał swemu spadkobiercy o broni, której mógł przeciwko niemu użyć.

Ten jeden raz markiz zachował się niezgodnie z zasadami dobrego wychowania, odsunął krzesło i odszedł od stołu. Hrabia i hrabina byli wyraźnie zaskoczeni.

- Czy coś się stało? - spytała hrabina.

- Nie, ciociu - wyjaśniła księżna. - Po prostu Arden skończył jeść.

Hrabina prychnęła.

- Maniery angielskiej młodzieży pozostawiają wiele do życzenia. - Powiedziawszy to, wróciła do jedzenia deseru.

Ten jeden raz przy stole zapanowała cisza. Zarówno książę, jak i księżna pobledli. Bładość księcia mogła po prostu wynikać z niezadowolenia; w przypadku księżnej był to strach.

Ile matek, pomyślała Beth, żyje w lęku, odkąd cień wojny znów padł na Europę i synowie oznajmiali, że muszą wziąć udział w walkach?

Kiedy księżna uniosła wzrok i ich spojrzenia się spotkały, Beth uśmiechnęła się do niej współczująco, a księżna oddała jej uśmiech. Od przybycia do Belcraven Beth po raz pierwszy poczuła jakąś więź z tym miejscem, co ją bardzo zmartwiło.

Beth coraz bardziej lubiła towarzystwo księżnej. Kobieta była mądra, bystra i miła. Pewnego razu, kiedy się oddawały typowo kobiecemu zajęciu, to znaczy wyszywały nowy obrus do kaplicy, księżna odważyła się na łagodną krytykę.

- Elizabeth, moja droga... Na użytek ciekawskich mówimy, że ty i Lucien jesteście w sobie do szaleństwa zakochani. Aby to uczynić bardziej prawdopodobnym, lepiej, byście spędzali więcej czasu razem.

Beth nie odrywała oczu od haftu.

- Wasza miłość, to prawda. Jednak markiz nie przejawia ochoty, by przebywać w moim towarzystwie.

- Czy chcesz, żeby ci poświęcał więcej uwagi?

Beth uniosła wzrok.

- Niespecjalnie.

Księżna lekko ściągnęła brwi.

- Elizabeth, czy przypadkiem, jak to mówią, zamierzasz odmrozić sobie uszy, żeby zrobić innym na złość? Czy

można marzyć o lepszym mężu od Luciena? Jest przystojny. Potrafi być nadzwyczaj czarujący.

- Obojętne mi, czy mój mąż będzie przystojny, czy nie, wasza miłość - odparła Beth. - A jeśli lord Arden jest czarujący, to nie wobec mnie. Uważam, że jest zimny i arogancki. - Ale musiała w duchu przyznać, że nie był taki, póki mu nie nagadała tych okropnych rzeczy o sobie.

- To do niego zupełnie niepodobne, moja droga - powiedziała księżna. - W równym stopniu co tobie nie odpowiada mu ta sytuacja. Ale trzeba okazać odrobinę dobrej woli. Czy nie mogłabyś zrobić pierwszego kroku? Beth już raz spróbowała. Wzdrygnęła się.

-Nie.

Księżna westchnęła.

- W takim razie porozmawiam z Lucieniem. - Nawet jeśli to zrobiła, nie przyniosło to żadnych efektów.

Pomijając problemy z markizem, Beth jakoś się pogodziła z życiem w Belcraven. Zaskoczyło ją, z jaką łatwością przywykła do wielkości domu. Wkrótce bez niczyjej pomocy potrafiła odnaleźć główne pomieszczenia. Nie mogła zaprzeczyć, że czerpała przyjemność z podziwiania przestronnych komnat, prześlicznych sztukaterii i mebli, bezcennych dzieł sztuki. Kto mógłby narzekać, mogąc siedzieć i kontemplować w samotności Madonnę Rafaela, portret Van Dyke'a czy scenki z życia chłopów autorstwa Bruegela? Któż mógł być nieszczęśliwy, mając do dyspozycji wielki księgozbiór? Wysoka, wspaniała biblioteka z dwoma rzędami połączonych, przeszklonych regałów stała się najczęściej odwiedzanym przez Beth miejscem. Księgozbiór obejmował całą literaturę klasyczną i wiele nowszych, ciekawych pozycji. Wkrótce było wiadomo, że jeśli potrzebna jest panna Armitage, nie trzeba jej szukać

dalej niż w jednej z trzech głębokich wnęk okiennych w bibliotece.

Beth zwykle nie musiała dzielić sali bibliotecznej z wielbnym Steepem. Chociaż piastował funkcję bibliotekarza, najbardziej pasjonowało go rodzinne archiwum. Wkraczał na terytorium Beth tylko wtedy, kiedy wymagały tego prowadzone przez niego prace badawcze.

Jednak pewnego dnia w bibliotece pojawił się ktoś inny. Siedziała z podwiniętymi nogami na miękkim siedzisku w oknie, kiedy odgłosy kroków skłoniły ją do wyjrzenia zza kotary.

- Dzień dobry, panie Westall - powiedziała wesoło, zawsze ciesząc się na widok miłego młodzieńca.

Odwrócił się i uśmiechnął szeroko.

- Dzień dobry, panno Armitage. Powinienem był wiedzieć, że tutaj panią zastanę. Nie sądzę, by udało mi się panią namówić do pomocy. A może?

Beth chętnie odłożyła zachwycające Podróże sir Johna Mandeville'a.

- Naturalnie. Czego pan sobie życzy?

- Książę interesuje się nowym wynalazkiem niejakiego pana Stephensona. To machina samojezdna, napędzana parą. Jest pewny, że ukazał się artykuł na podobny temat autorstwa pana Trevithicka, ale - dodał sekretarz, puszczając oko - nie może sobie przypomnieć, w jakim magazynie go opublikowano.

Beth zachichotała ze współczuciem.

- Nie mogło to być bardzo dawno - powiedziała - bo z pewnością usłyszałam o panu Trevithicku góra dziesięć lat temu.

- Albo i mniej. Od czego zaczniemy? Beth zastanowiła się chwilę.

- Cóż, nie widziałam tu biuletynów poświęconych na-

ukom technicznym, w rodzaju tych, jakie publikuje Towarzystwo Królewskie. A pan?

- Rzeczywiście nie. Nie mogę powiedzieć, by wcześniej książkę okazywał nadmierne zainteresowanie inżynierią. Teraz jednak mówi, że pogodził się z myślą, iż takie wynalazki są kluczem do przyszłości, i postanowił zrozumieć, jak działają.

- W takim razie uważam, że należy poszukać albo w Annual Register, albo w Monthly Magazine. Są wszystkie numery obu czasopism. Które pan wybiera? Młodzieniec wzruszył ramionami i rzekł:

- Annual Register. - Potem spojrzał podejrzliwie na Beth. Dlaczego ma pani taką triumfującą minę, panno Armitage?

- Dlatego - odparła z szelmowskim uśmiechem Beth - że w Monthly Magazine jest indeks, proszę pana, a w Annual Register tylko spis treści.

Obydwoje wybuchnęli śmiechem i akurat wtedy wszedł markiz. Zmrużył oczy. Gdyby był kogutem, nastroszyłby pióra, pomyślała Beth. Wiedziała, że się zaczerwieniła, chociaż nie miała najmniejszego powodu, by czuć się winna.

Skinął chłodno sekretarzowi.

-Westall.

Młodzieniec się uklonił.

- Milordzie.

Pospiesznie udał się w drugi koniec biblioteki, by przystąpić do poszukiwań.

Beth zachowywała chłodną obojętność i tylko spojrzała pytająco na przyszłego męża. Co go skłoniło do tego, by jej szukał? Okazało się, że księżna.

- Matka poprosiła mnie, żebym to pani przyniósł - powiedział, podając jej egzemplarz Ackerman Repository.

-Widocznie znalazła najnowsze fasony sukni ślubnych.

Beth nie miała najmniejszej ochoty na wybieranie sukni ślubnej. Wzięła od niego zurnal w bezwładne dłonie.

- Dziękuję.

Markiz spojrział na pana Westalla przeglądającego oprawione roczniki Annual Register.

- Może chciałaby pani kierować parowozem, panno Armitage? - spytał w końcu.

- Nie, milordzie, nie sądzę - odparła zdecydowanie. Z pewnością nie przypuszczał, że ona i pan Westall...

A niby czemu nie? Z wyniosłą miną usiadł na ciężkim, bibliotecznym krześle, gotów obserwować każdy ich ruch. Chociaż czuła, jak ją swędzi skóra na karku, Beth zmusiła się, by pomóc sekretarzowi. Widziała, jak pan Westall rzucił jedno czy dwa nerwowe spojrzenia w kierunku markiza, i zastanawiała się, czy swym zachowaniem nie zaszkodzi sekretarzowi. On, ostatecznie, był tylko pracownikiem i można go było zwolnić. Beth mogła być natomiast pewna jednego: jej nikt nie wyrzuci z Belcraven.

Jednak nie zamierzała pokornie milczeć, mimo iż czuła na sobie gniewne spojrzenie markiza, więc kiedy natrafiła na szukany artykuł, zaniosiła go sekretarzowi.

- Proszę, tutaj jest opis lokomotywy parowej wykorzystywanej w kopalni w Yorkshire. Może się przyda.

- Chyba tak - powiedział, biorąc rocznik. - A tutaj znalazłem artykuł o Trevithicku, który książkę musiał mieć na myśli. Dziękuję, panno Armitage.

Ściskając pod pachą roczniki pism, pan Westall wyszedł, nie kryjąc ulgi, że może uciec przed atmosferą panującą w bibliotece.

Beth się odwróciła, by spojrzeć lodowato na markiza.

Wolno wstał z arogancką miną.

- Powiem Westallowi, by więcej tu z panią nie przebywał sam na sam.

Beth była taka zła, że minęła chwila, nim odzyskała głos. - To... to... - zaczęła się jąkać, ale markiz wyszedł już z biblioteki. Z wściekłością zatrzęsnęła szklane drzwi, aż pękła szyba. Spojrzała na nią z przerażeniem.

- Wielkie nieba - szepnęła. - Ile to kosztuje?

Potem przypomniała sobie, że nie musi się przejmować takimi rzeczami. Chcąc, nie chcąc, była członkiem rodziny. Podeszła szybko do stołu pośrodku biblioteki i potrząsnęła dzwonkiem. Natychmiast pojawił się lokaj.

- Pękła szyba - powiedziała. - Proszę powiadomić kogo trzeba, żeby ją wymieniono, Thomas. - Do wszystkich lokajów na służbie zwracano się „Thomas”. To bardzo ułatwiało życie.

- Tak jest, panno Armitage - odrzekł młodzieniec z nieco zaskoczoną miną i wyszedł.

Dopiero wówczas dotarło do Beth, że po raz pierwszy zwróciła się do służącego aroganckim tonem. Nie wiedziała, czy to powód do zadowolenia, czy nie.

Nadal czuła zakłopotanie, że lokaj mógł podsłuchać albo się domyślić, co się tu stało, ale potem wzruszyła ramionami. Szybko zrozumiała, że jedynym sposobem na to, by wytrzymać jakoś w Belcraven, było udawanie, że służba to tylko drewniane manekiny.

Uderzyło ją, gdy odkryła, że czułaby się znacznie szczęśliwsza jako służąca w Belcraven niż jako członek rodziny. Oczywiście nie jako zwykła posługaczka, a gospodyni albo co najmniej jedna ze starszych pokojówek. Wtedy mogłaby spędzać wieczory na rozmowach o dziwnych rzeczach, które się tu dzieją, odprężyć się i być sobą.

Dopiero później dotarło do niej, że miała okazję porozmawiać z markizem i wyjaśnić sprawę swojej moralności, ale z niej nie skorzystała.

Zabiegi księżnej się nie powiodły, więc księżę wziął

sprawy w swoje ręce. Podczas jednego z wieczorów w gronie rodzinnym spojrzął surowo na swego spadkobiercę.

- Markizie, w prasie ukazało się zawiadomienie o waszych zaręczynach - oznajmił, podając mu egzemplarz Gazette. -Pora oficjalnie przedstawić twoją narzeczoną światu.

- Jak pan sobie życzy, sir - odparł markiz obojętnym tonem, ledwo rzucając okiem na gazetę. Czytał książkę i zaznaczył palcem miejsce, w którym przerwał lekturę.

- Dobrze wiesz, czego sobie życzę - powiedział zimno książę. - Wydamy przyjęcie dla dzierżawców i bal dla sąsiadów. Możecie się spodziewać licznych gości. Wspólnie z Elizabeth będziecie ich witać i zachowywać się odpowiednio.

Beth widziała, jaki markiz był spięty, kiedy spojrzął na księcia. Ciekawa była, czy się zbuntuje, ale powtórzył jedynie mechanicznie:

- Jak pan sobie życzy, sir.

Książę aż poczerwieniał z gniewu i księżna pospiesznie wtrąciła:

- Nawet służba uważa twoje zachowanie za osobliwe, Lucienie. Jesteś ponoć zakochany. Zresztą, jak ty i Elizabeth macie się lepiej poznać, skoro się unikacie nawzajem?

Markiz uśmiechnął się lodowato do Beth.

- Wydaje mi się, że Elizabeth i ja bardzo dobrze się rozumiemy, maman.

Księżna spojrzała na nich bezradnie.

- Jutro - oświadczył książę - oprowadzisz Elizabeth po domu i pokażesz jej posiadłość, markizie.

Obaj mężczyźni utkwili w sobie wzrok i Beth dostrzegła, że książę milcząco obiecuje zemstę, jeśli markiz jeszcze raz powie „Jak pan sobie życzy, sir”. Cisza stała się nie

do zniesienia.

Wreszcie markiz zwrócił się do niej z bezosobową układnością.

- Jaka godzina pani odpowiada, Elizabeth?

- Może po śniadaniu, milordzie? - spytała Beth nieco piskliwie. - O wpół do dziesiątej?

Skinął głową i rzuciwszy księciu ironiczne spojrzenie, wrócił do lektury książki.

Beth rozejrzała się po pokoju. Książę patrzył gniewnie na markiza, jakby domagał się jeszcze czegoś. Księżna z niepokojem spoglądała to na męża, to na syna. Markiz udawał, że jest pochłonięty lekturą. Beth uznała, że atmosfera w tym domu jest trudna do zniesienia. Czy spowodowane to było planowanym małżeństwem, czy dawnymi zdradami, czy też zawsze tak było? Ze zdumieniem stwierdziła, że chętnie by im jakoś pomogła, ale potem odrzuciła tę myśl. Miała dość problemów z ratowaniem siebie samej i nie mogła tracić energii na nic innego.

Cicho przeprosiła obecnych i schroniła się w swoich pokojach.

W łóżku rozmyślała o jutrzejszym dniu, który miała spędzić w towarzystwie markiza. Już czuła zdenerwowanie. Ale może, pomyślała, będzie miała okazję naprawić to, co zepsuła swoim głupim gadaniem. Wtedy będą mogli zacząć od nowa i postarać się znaleźć jakiś fundament, na którym da się zbudować ich małżeństwo.

Chociaż umiała trafić do kilkunastu pomieszczeń wykorzystywanych przez rodzinę, następnego dnia Beth uświadomiła sobie, że nawet się nie domyślała, jak obszerny jest Belcraven Park. Tymczasem markiz znał wielki dom od zimnych piwnic po zakurzony strych. Mimo swej rzekomej arogancji wiedział o wszystkich służących pracujących w domu, a nawet znał imiona

wielu z nich.

Porozmawiali z kamerdynerem, Morrisbym, i ochmistrzynią Kelly; szefową praczek, Margery Coombs, i z jedną z panien kredensowych, Elspeth.

Poza nimi było wielu anonimowych pracowników, niektórzy byli wyraźnie wystraszeni, kiedy znaleźli się twarzą w twarz z jednym z członków rodziny. Był na przykład człowiek od nakręcania zegarów i dwoje ludzi, których jedynym obowiązkiem było chodzenie po domu i wymienianie świec lub przycinanie knotów w nich.

Byli stolarze, malarze, murarze i dekarze, którzy pracowali na okrągło, by utrzymać w odpowiednim stanie dom i setki budynków gospodarczych. Poza obsłużeniem rodziny - przygotowaniem posiłków, praniem i sprzątaniami - należało również wykarmić i obsłużyć trzysta osób, dzięki którym to wszystko funkcjonowało. Służba miała swoich służących.

W majątku był browar, piekarnia, wielka pralnia i armia szwaczek. Wyrabiano mydło i ocet, wszystkie produkty z gospodarstwa rolnego gotowano, konserwowano albo jakoś inaczej wykorzystywano.

Wyżsi rangą służący - zarządca, ekonom, majordomus i ochmistrzyni - nadzorowali całą machinę i żyli niemal jak wiejska szlachta.

Oprowadzając Beth i wszystko jej objaśniając, markiz był tak uprzedzająco grzeczny, że nie potrafiła się zdobyć na poruszenie spraw bardziej osobistych.

Po obiedzie kontynuowali obchód. Obejrzeliby warzywniki i sady, ogródki ziołowe i cieplarnie. Minęli psiarnię pełną ogarów i w drodze do domku weterynarza wielkie stajnie, gdzie trzymano czterdzieści koni, a które mogły pomieścić' jeszcze setkę, gdy zjeżdżali się goście.

Beth, wyczerpana fizycznie i psychicznie, poprosiła o chwilę wytchnienia. Markiz najwyraźniej kochał ten

dom

i zauważyła, że nieco się odpreżył podczas tej krótkiej wycieczki. Jeśli ma mu wszystko wyjaśnić, to najlepiej teraz.

- Od czego trzeba zacząć, by zrozumieć takie miejsce? - spytała.

Wzruszył ramionami, obracając w palcach źdźbło słomy.

- Dla mnie to miejsce, gdzie dorastałem, gdzie upłynęło moje dzieciństwo. Jak tylko udało mi się uciec przed moimi nauczycielami, kręciłem się między stajennymi albo wsadzałem palec do miski, w której kucharka coś mieszała, albo chodziłem z Morrisbym po piwnicy i oglądałem wina, odłożone na uroczystości z okazji osiągnięcia przeze mnie pełnoletności. Ale jeśli chodzi o zarządzanie domem, to wiem jedynie, jak kierować ludźmi, którzy to robią. I to w zupełności wystarcza.

Beth mogła mieć tylko nadzieję, że taki dzień nie nastąpi szybko.

- Nigdy nie spytałem, czy jeździ pani konno?

- Nie. Nie miałam okazji, żeby się nauczyć.

- Musimy pani sprawić amazonkę, mogę być pani nauczycielem. Będziemy mieli jakieś zajęcia podczas miesiąca miodowego.

Beth gapiła się na niego zdumiona, a on w jednej chwili stał się spięty i zimny, przypomniawszy sobie wszystko.

- Z pewnością nie chce pani spędzić każdej chwili w sypialni? - spytał nieprzyjemnym tonem. - Nawet jeśli tak, moja droga, proszę o wyrozumiałość. Bez względu na to, jak jurni byli pani kochankowie, dysponuję jedynie możliwościami zwykłego mężczyzny. Ale zapomniałem - dodał z przekąsem - pani zaspokajała swoje potrzeby, nie ograniczając się do jednego partnera, prawda? Na to nie mogę się zgodzić.

Beth się odwróciła, by ukryć rumieniec na twarzy.

- Nieprawda - wymamrotała.

- Słucham?

Głośno przełknęła ślinę i odwróciła się do markiza przodem.

- Nie robiłam tego... co pan powiedział. Nie miałam... Nie zmiękł ani trochę.

- Trochę za późno na paniąską wstydlivość, Elizabeth, ale gratuluję pani zdolności aktorskich. Odczułem wielką ulgę. Bez trudu uda się pani przekonać wszystkich, że się kochamy.

- Wcale nie gram, lordzie Arden - odpowiedziała z desperacją w głosie.

Oparł się o drzwi stajni i przyjrzał się jej uważnie.

- Niech dobrze zrozumiem. Twierdzi pani teraz, że jest pani... Z pewnością nie dziewczyną?

Beth czuła się, jakby za chwilę miała zwymiotować. - Tak.

- Dlaczego? Zdezorientowana pokręciła głową.

- Co dlaczego?

- Dlaczego teraz kłamać? Prawda i tak wyjdzie na jaw. Nie dam się oszukać pęcherzem z krwią, ukrytym w łóżku, by splamić prześcieradła.

Beth zaczerpnęła głęboko powietrza.

- Mówię prawdę, milordzie. Jestem nieskalana. Tamtego pierwszego wieczoru powiedziałam to, co powiedziałam, w nadziei, że... że zerwie pan zaręczyny. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że nie może pan tego zrobić.

Zamyślony podszedł do niej i ujął ją pod brodę. Beth wiedziała, że ma łzy w oczach, i miała nadzieję, że go to przekona.

- Kłopot z kłamstwem polega na tym, Elizabeth, że za-truwa ono prawdę. Skąd mam wiedzieć, że teraz mówi pani prawdę?

- Jak pan powiedział - odparła Beth schrypniętym gło-

sem - przekona się pan.

Puścił ją i odszedł kilka kroków. Stanął i spoglądał na manież.

- Nie wie pani, jak silną odczuwam pokusę, panno Armitage, by osiąść panią tu i teraz. Jeśli wcześniej mówiła pani prawdę, niewątpliwie tego pani chce. Jeśli pani skłamała, zasłużyła sobie pani na to. Bez względu na to, jak bardzo jest niewinna, żadna uczciwa kobieta nie mogłaby powiedzieć czegoś takiego.

- Definiuje pan pojęcie „uczciwej kobiety” tak, jak panu wygodnie, milordzie - odparowała gniewnie Beth. - Owszem, uważam, że małżeństwo to narzędzie ucisku i najlepiej, żeby kobiety go unikały. Ale pożądliwość to innego rodzaju więzienie. Nigdy nie oddałabym się mężczyźnie, którego nie kocham, któremu nie ufam, a... a jeszcze takiego mężczyzny nie spotkałam.

Markiz odwrócił się i spojrzął na nią kamiennym wzrokiem.

- A jeśli spotka pani takiego mężczyznę po naszym ślubie? Nie żartowałem, kiedy mówiłem, że nie dam z siebie zrobić rogacza.

Beth dumnie zadarła głowę.

- Dotrzymam warunków małżeńskiej przysięgi, jeśli ją złożę - oświadczyła. - A pan, milordzie? - spytała z szyderstwem.

Sprawiło jej przyjemność, kiedy zobaczyła, że się zaczerwienił, ale jej radość ze zwycięstwa nie miała trwać długo. Podszedł bliżej i uśmiechnął się nieprzyjemnie.

- Wszystko zależy od tego - rzekł ze złośliwym uśmiechem - jak dobrze będziesz mnie zaspokajała, moja droga. Miejmy nadzieję, że mężczyźni, z którymi się pani zadawała, czegoś panią nauczyli.

Beth aż zatknęło.

- Nie zadawałam się z żadnymi mężczyznami! Uniósł brwi.

- I tak spokojnie pani stała, kiedy ja panią pieściłem? Daj spokój, Elizabeth, nie jestem aż tak naiwny. Jestem gotów uwierzyć, że na tyle zapanowała pani nad swoimi zmysłami, by zachować wianek, ale że nigdy wcześniej nie dotknął pani żaden mężczyzna? Nie.

Łzy płynęły jej po policzkach i Beth już prawie nic nie widziała. Przycisnęła rękę do oczu, jakby mogła tym powstrzymać głupie łzy.

- Och, milordzie. Żałuję, naprawdę bardzo żałuję, że powiedziałam to, co powiedziałam... - Pokręciła głową i głośno przełknęła ślinę. - Teraz zostałam ukarana. Próbowała przejść obok niego, ale chwycił ją mocno za ramiona.

- Uważa to pani za karę? Zasłużyła sobie pani na chłostę! Beth próbowała mu się wyrwać. -

- Proszę mnie puścić!

Usłyszeli czyjeś chrząknięcie.

Zaskoczeni Beth i markiz odwrócili się i zobaczyli Jarvisa, koniuszego. Był blady i śmiertelnie przerażony, gdy powiedział:

- Może odprowadzę pannę Armitage z powrotem do domu, milordzie.

Markiz wciągnął powietrze i jeszcze mocniej ścisnął Beth za ramiona, aż z jej ust wydobył się zduszony krzyk.

- Jeśli nie chcesz stracić pracy, Jarvis, odejdz - rzucił lodowatym tonem.

Mężczyzna nic nie powiedział, ale nie ruszył się z miejsca.

Beth wiedziała, że za chwilę markiz wyładuje całą swoją bezsilną złość na szarmanckim słudze. Prawdopodobnie go zabije. Był również na najlepszej drodze, by

zniszczyć pozory, jakie starali się zachować, jeśli chodzi o ich przyszłe małżeństwo. Ponieważ wyglądało na to, że ślub jest nieunikniony, Beth chciała, żeby jak najmniej o tym mówiono. Miała tylko nadzieję, że była tak dobrą aktorką, za jaką uważał ją markiz.

- Milordzie - powiedziała cicho - Jarvis myśli, że chce mi pan coś zrobić. Nie wie, że nigdy nie uczyniłby mi pan najmniejszej krzywdy.

Zmusiła się do uśmiechu i uniosła drżącą rękę, by dotknąć policzka markiza, mając nadzieję, że przestanie patrzeć na służącego wzrokiem, który zabijał. Odwrócił się do niej i aż się wzdrygnęła, kiedy zobaczyła, że oczy wciąż mu płoną gniewem.

- Naszą sprzeczkę zakochanych - ciągnęła - musiał wziąć za groźną awanturę. Z pewnością nie może pan mieć do niego pretensji o to, że stanął w mojej obronie?

Markiz odzyskał panowanie nad sobą i też się uśmiechnął, chociaż oczy wciąż zdradzały jego prawdziwe uczucia.

- Naturalnie, że nie, moja droga. Mogę się tylko cieszyć, że masz takich obrońców.

Objął ją w pasie i przyciągnął do siebie. Beth musiała się pilnować, by nie próbować mu się wyrwać.

- Nie ma powodów do niepokoju - zwrócił się do Jarvisa. - Panna Armitage i ja jesteśmy jedynie zdenerwowani przed ślubem.

Mężczyzna z wyraźną ulgą dotknął peruki i się oddalił. Beth odetchnęła.

- Zachowała pani zimną krew - rzekł cicho markiz.

- Proszę mnie puścić - zażądała Beth, próbując się oswobodzić. Ale nadal trzymał ją w stalowym uścisku.

Jeszcze mocniej ją przytulił, aż poczuła jego muskularny tors, jego biodro, jego udo...

- Dlaczego? - spytał, ujmując ją pod brodę i zwracając

jej twarz w swoją stronę. - Nie uważa pani, że należałoby teraz dać wyraźny dowód, że mamy się ku sobie?

- Nie! - Beth nie potrafiła sobie wyobrazić nic gorszego, niż zostać pocałowaną z nienawiścią. Mocniej się szarpnęła. - Proszę mnie puścić! - To było beznadziejne.

- Mam propozycję - powiedział markiz z uśmiechem, któremu nie ufała.

Beth znieruchomiała. - Jaką?

Przesunął palcem po jej policzku. Beth odsunęła głowę. Uśmiechnął się jeszcze szerzej i jeszcze straszniej.

- Powstrzymam się od zmuszania pani do znoszenia objawów czułości, tak pani niemiłych, i od wyrzucania pani odrażających czynów, których się pani dopuszczała, jeśli należycie odegra pani swoją rolę.

- Przecież to robię - zaprotestowała Beth.

- Chcę, żeby pani się ubierała odpowiednio, zachowywała, jak przystało na przyszłą markizę, i stwarzała wszelkie pozory, że jest pani zakochana.

Beth się wzdrygnęła.

- Żąda pan całkowitej uległości.

Przyciągnął ją jeszcze bliżej, obracając lekko, tak, że czuła go na swoich wrażliwych piersiach, i uśmiechnął się jak zdobywca.

- W zamian nie będę się pani narzucał, pomijając niewinne gesty na użytek publiczny. Przecież tego pani chce, prawda, Elizabeth?

Nie miała wyboru. Musiała sprawić, by zostawił ją w spokoju, nim sytuacja jeszcze raz wymknie się spod kontroli.

- Zgoda. Proszę mnie puścić. W końcu zabrał ręce.

-Dobrze.

-Beth pospiesznie ruszyła, pragnąc opuścić stajnię i znaleźć

się jak najdalej od niego. Poczwała na swoim ramieniu jego dłoń. Odwróciła się gwałtownie, jak oparzona.
- Spokojnie, moja droga. Od tej chwili obowiązuje nasza umowa. Otrzyj oczy. - Podał jej chusteczkę i Beth wytarła nią łzy. Dobry Boże, co teraz?
Potem wyciągnął rękę, a ona położyła na niej swoją dłoń. Statecznie, jak przystało na lorda i jego żonę, wrócili do domu.

Jarvis patrzył za nimi, jak się oddalali. Przez chwilę myślał, że straci pracę, może nawet życie, ale nie mógł stać obojętnie z boku. To on posadził markiza na jego pierwszym kucyku i nauczył go niemal wszystkiego, co Arden wiedział o koniach. Markiz był dobrym dzieckiem, ale zawsze, kiedy wpadł w złość, budził się w nim diabeł. Dawniej Jarvis miał zgodę księcia, by mu dać kuksańca, kiedy chłopak zachowywał się nieodpowiednio. Pamiętał, jak pewnego razu zdzielił markiza biczem, kiedy panicz wyładował złość na koniu. Chłopiec pobiegł do ojca i księżę przyszedł, by obejrzeć biedną klacz. Potem polecił Jarvisowi, by wymierzył Ardenowi jeszcze sześć batów przed stajnią. Od tamtej pory skończyły się kłopoty, a markiz nie czuł do niego urazy. Szkoda, że nie było teraz komu wychłostać go za to, że w taki sposób traktuje taką miłą damę, jak panna Armitage. Sprzeczka zakochanych. Akurat. Osobliwa miłość.

Służba gadała o nich, ale nikt nie rozumiał, co się dzieje. Niektórzy myśleli, że markiz zrobił jej dziecko, że się tak wyrazić, ale niezbyt się spieszo z ślubem. Jednak z całą pewnością nie wyglądali na zakochanych. Panna Armitage cieszyła się sympatią służby - była miła, zachowywała się jak dama, ale nie była zmanierowana. Nie była jednak w typie markiza. Z całą pewnością. Jarvis pokręcił głową i wrócił do obrządzania koni. Kuce

są teraz mądrzejsze od ludzi.

7

Po rozstaniu z małomównym markizem Beth schroniła się w bibliotece.

Zdaje się, że uwierzył w jej dziewictwo, a jednak niewiele to zmieniło. Nie miała pojęcia, czego jego zdaniem się dawniej dopuszczała. Myślała, że dzięki gruntownemu wykształceniu, obejmującemu lekturę nieokrojonych dzieł literatury klasycznej, zyskała pełną wiedzę o mężczyznach i kobietach oraz o ich wzajemnych relacjach. Rzeczywistość świadczyła jednak, że myślenie takie można było porównać z przekonaniem, że znajomość wanny wystarczy do życia na morzu.

Nie życzyła sobie, by całowano ją z nienawiścią. Co będzie, gdy przyjdzie jej dzielić łóżko małżeńskie z mężczyzną czującym do niej antypatię?

Znów mało brakowało, by z oczu popłynęły jej łzy, ale powstrzymała się od płaczu. Nie przemieni się w bekę. Ogromnie żałowała, że nie ma nikogo, komu mogłaby się zwierzyć, u kogo mogłaby szukać rady. Nie mogła prosić o pomoc pannę Mallory, która zapewne powiedziałaaby jej, by wracała do domu i zrezygnowała z planów małżeńskich. Zresztą Beth podejrzewała, że wiedza ciotki o tym akurat aspekcie życia była równie niekompletna, jak jej.

Księżna była jedyną kobietą zamężną, do której mogła się zwrócić, ale nie potrafiła się zmusić do tego, by wyjawić matce markiza całą tę pożałowania godną historię.

Wydawało się, że ma tylko jedno wyjście: zachowywać się tak układnie, aż markiz w końcu zrozumie, że w żadnym razie Beth nie może być takim potworem, jak to sobie wyobrażał.

Z kim, na Boga, ponoć się zadawała? Dusząc się ze śmiechu, wspominała swoich dawnych adoratorów. Pana Rutherforda, kuratora, który gwałtownie się zaczerwienił, gdy pewnego razu był zmuszony do uwolnienia jej spódnicy od krzewu róż, o który się zaczepiła; pana Graingera, filozofa, który raz ją pocałował w usta, a potem przeprosił najmocniej za swą arogancję i uciekł; doktora Carnarvona, opiekującego się uczennicami w szkole panny Mallory. Pocziwy doktor przez rok krążył wokół niej, nim oświadczył, że nie jest jej wart z uwagi na swe ludzkie słabości, po czym poślubił rozsądną wdowę.

Próbowała sobie wyobrazić któregoś z nich traktujących ją tak, jak to zrobił markiz - całujących ją prosto w usta, dotykających jej piersi. Mężczyzna tak się nie zachowuje wobec szanowanej kobiety.

Potem przypomniała sobie pewną rycinę - ilustrację w jednej ze śmielszych pozycji z księgozbioru panny Mallory, tych, które trzymano zamknięte na klucz przed uczennicami. Przedstawiała Marsa i Wenus. Wenus leżała na wpeł obnażona w objęciach Marsa, który jedną rękę trzymał na jej piersi.

Wielki Boże! Czy markiz myślał, że robiła coś takiego? Z panem Rutherfordem? Beth zerwała się na nogi, ręce przycisnęła do płonących policzków. Jak będzie mogła kiedykolwiek jeszcze pokazać mu się na oczy? Z pewnością takie rzeczy miały miejsce tylko w czasach pogańskich!

Właśnie wtedy do biblioteki weszła księżna.

- Wiedziałam, że cię tu znajdę, moja droga... - Przystanęła, zaskoczona tym, że dziewczyna stoi pośrodku pokoju.

-Czy coś się stało, Elizabeth?

Beth wiedziała, że księżna jej nie uwierzy, jeśli kategorycznie zaprzeczy, więc powiedziała:

- Tylko mały crise de nerfs, wasza miłość.
- Mam nadzieję, że nie przez Luciena - rzekła księżna, podchodząc bliżej. Beth wiedziała, że jeszcze bardziej się zaczerwieniła. - Jest w gruncie rzeczy dobry, ale bywa czasem trudny, jak jego ojciec.
Zaskoczona tą uwagą o ojcu markiza, uczynioną tak swobodnie, Beth mogła jedynie bąknąć: -Och.
Księżna się uśmiechnęła swoim słodkim uśmiechem, który zawsze był lekko melancholijny. -
- To nie musi być temat tabu między nami. St Briac był mężczyzną pełnym fantazji, ale całkowicie nieodpowiedzialnym. Targały nim gwałtowne uczucia, wiecznie kierował się impulsami. Mogłam go poślubić. Chociaż nie był dość dobrą partią dla mnie, jednak małżeństwo z nim nie oznaczałoby mezaliansu. Poprosił o moją rękę, ale nie chciałam go za męża. Był zbyt... wybuchowy.
A więc to stąd się wziął temperament markiza.
- A jednak ja mam poślubić jego syna - wtrąciła Beth.
- Zapewniam cię, Elizabeth, że Lucien nie jest do niego zbyt podobny. Ma wiele ze mnie, a ja, jak widzisz, jestem kobietą bardzo praktyczną. W dużym stopniu wzorował się również na księciu, który diametralnie różni się od St Briaca.
Beth podejrzewała, że księcia i księżną łączy głęboka miłość, ukryta za obowiązującymi ich konwenansami. Dostrzegła to teraz wyraźnie, kiedy księżna z takim podziwem mówiła o swym mężu. Dlaczego więc prowadzą takie, a nie inne życie? Próbowwała sobie "wyobrazić księcia i księżną... Pospiesznie zapanowała nad swoimi myślami.
- Ale ponieważ Lucien jest trochę porywczy, zastanawiam się, czy to nie on tak cię zdenerwował - wróciła znów do tematu księżna.

- Wasza miłość, nie daje mi spokoju tylko moje położenie. Czułabym się tak samo bez względu na to, kto miałby zostać moim mężem. - Ale mówiąc to, Beth wiedziała, że to nieprawda. Markiz potrafił ją zirytować jak nikt.

Księżna, kobieta praktyczna, wzruszyła ramionami.

- Cest la vie. Obawiam się, że muszę cię bardziej zaniepokoić. Spodziewamy się gości, trzeba też pomyśleć o balu. Sądzę więc, moja droga, że jeśli nie chcesz być obiektem plotek, powinnaś zgodzić się na to, żebyśmy ci sprawili nową garderobę. Lucien powiedział, że nie masz nic przeciwko temu.

Beth spojrzała na swą prostą, żółtą suknię. Uważała, że niczym się nie różni od tych, jakie noszą inne kobiety.

- Tak, wiem - powiedziała księżna z lekceważącym uśmiechem. - Ale wygląda na uszytą przez ciebie. Nie zamierzamy przed nikim udawać, że masz majątek, ale będą się zastanawiać, dlaczego cię nie ubraliśmy.

- Dobrze. - Beth westchnęła. Ostatecznie dała już słowo markizowi. - Lecz muszę mieć coś do powiedzenia w tej kwestii.

- Ależ naturalnie - odrzekła uszczęśliwiona księżna. - Chodź ze mną.

Beth już wiedziała, że księżna potrafi bardzo szybko się poruszać, i niemal musiała biec, by dotrzymać jej kroku. Zaraz posłano lokaja, by odszukał szefową szwaczek.

- Pani Butler potrafi uszyć modną, zwykłą suknię i weźmie miarę. Wyślemy muślin do Londynu, by przygotowano dla ciebie toaletę balową. Właściwie - księżna popatrzyła przenikliwie na Beth - mogę zlecić to Lucienowi. W ten sposób pozbedziemy się go i pozwolimy mu trochę odetchnąć. Potrafi wywiązać się z rozmaitych zadań znacznie lepiej od służby. Musimy przejrzeć żurnale.

Kolejnego lokaja wysłano, by je przyniósł z apartamentu księżnej.

- Pozostaje jeszcze sprawa biżuterii - kontynuowała księżna. - Trochę kupi ci Lucien, ale są również klejnoty rodowe, z których część powinnaś otrzymać. - Kolejny lokaj pospiesznie się oddalił, by wykonać polecenie.

W apartamencie Beth udały się prosto do gotowalni. ;.

- Najlepiej zdejmij suknię, moja droga - poleciła energicznie księżna. Beth usłuchała i włożyła negliż.

- Bielizna. Jedwabne koszule nocne - mówiła księżna, jakby zapisywała sobie w pamięci. Beth poczuła, że znów zaczynają ją palić policzki. - Chcesz, żeby ci sprawić całą garderobę teraz, czy też wolisz ją sama sobie kupić już po ślubie?

- Czy to ma jakieś znaczenie? - spytała Beth, czując się jak ktoś, kto poruszył jeden, mały kamyczek, a wywołał lawinę.

- To zależy od tego, gdzie spędzicie miesiąc miodowy i jak szybko zamierzasz zacząć udzielać się towarzysko.

- Nie wiem.

- Spytać Luciena - powiedziała księżna. Beth nie była pewna, czy to było polecenie, czy kolejna rzecz do zapamiętania.

Wreszcie zaczęli się pojawiać wezwani. Wysoka, chuda kobieta, za którą weszła drobna dziewczyna niosąca koszyk i kilkanaście próbek materiałów, okazała się szwaczką. Szybko wzięła miarę Beth, kiedy księżna mówiła o różnych rodzajach sukien.

- Suknie o najprostszym kroju - tłumaczyła. - Zgadzasz się, Elizabeth? - Nim Beth zdążyła odpowiedzieć, księżna mówiła dalej. - Z muślinu. Niech zobaczę. Ten kremowy żakonet jest prześliczny, prawda? Albo ten wzorzysty batyst...

Beth się poddała i pozwoliła księżnej wybrać trzy

suknie, które należało szybko uszyć - jedną z wzorzystego batystu, jedną z żakonetu, ozdobionego zielonym wzorem gałązkowym, i jedną z gładkiego batystu. Księżna poleciła również rozpocząć szykowanie wyprawy ślubnej, cała bielizna miała być opatrzona monogramem.

Ledwie wyszła krawcowa i Beth włożyła skrytykowaną suknię własnej roboty, natychmiast musiała razem z księżną usiąść do oglądania żurnali mód. Zamierzała się sprzeciwić, gdyby uznała wybór za niewłaściwy, ale ostatecznie zrezygnowana pozwoliła decydować księżnej. Co wiedziała o takich głupstwach?

Wydawało jej się, że w jednej chwili wybrano sześć wytwornych i z pewnością drogich toalet, które należało zamówić w Londynie.

- I amazonka - powiedziała stanowczo księżna. - Oraz wysokie buty.

Następnie przed osaczoną Beth niedbale rozłożono na stoliku biżuterię - srebro, złoto, brylanty, rubiny, szmaragdy, szafiry, perły... Nie mogła się powstrzymać, by nie dotknąć ślicznej brylantowej bransoletki, błyszczącej w promieniach słońca, i sznura łagodnie połyskujących pereł. Szybko cofnęła rękę. Rzeczywiście była uwodzona, i to wcale nie pocałunkami.

Zdecydowanie odmówiła przyjęcia czegokolwiek poza sznurem pereł, tradycyjnej ozdoby młodej, dobrze urodzonej damy, kilku bursztynowych drobiazgów, które nie wyglądały na drogie, i, pod presją, paru wyrobów z brylantami. Wybrała najskromniejszy garnitur.

- Jest bardzo ładny - powiedziała księżna pełna wątpliwości, dotykając brylantów - ale kamienie są małe. Nie weźmiesz tego? - spytała, otwierając etui, by pokazać jej wspaniały komplet wysadzany wielkimi brylantami, mieniącymi się wszystkimi kolorami tęczy.

Beth aż się skuliła. Co Beth Armitage miałyby zrobić z czymś takim?

- Nie, wasza miłość. Naprawdę. O wiele bardziej wolę tamten.

- Comme vous voudres, ma chere - powiedziała księżna, wzruszając ramionami.

Beth nie potrafiła sobie wyobrazić, do jak późna musiano pracować w szwalni w Belcraven, ale jedna z jej nowych sukien, w zielone gałązki, była gotowa następnego dnia, zanim pojawili się pierwsi goście. Była to bardzo prosta suknia, marszczona w stanie, ozdobiona jedynie zieloną, jedwabną szarfą, a jednak znacznie strojniejsza od jej dawnych ubiorów. Księżna przyjrzała się jej uważnie. Zaakceptowała wygląd Beth.

Spróbowała ją odwieść od włożenia czepka, ale bez powodzenia. W jakiś sposób czepki stały się dla Beth symbolem i za nic by z nich nie zrezygnowała.

Gośćmi okazali się bliscy sąsiedzi, niejaka lady Frogmorton z córkami, Lucy i Dianę. Towarzyszyła im przyjaciółka, panna Phoebe Swinnamer, młoda dama o wyjątkowej urodzie. Z czego, pomyślała Beth, aż nadto zdawała sobie sprawę. Jednak, musiała przyznać, trudno byłoby właścicielce nie widzieć idealnego owalu twarzy, przejrzystej cery, wielkich, niebieskich oczu i grubych, lśniących, mahoniowych, falujących włosów.

Jednak w młodej damie było coś niepokojącego - w sposobie, w jaki patrzyła na Beth i markiza, i w sposobie, w jaki jej przyjaciółki patrzyły na nią. Nie trzeba było geniusza, by się zorientować, że panna Swinnamer chciałaby się znaleźć na miejscu Beth. Było jasne, że Lucy Frogmorton też jej zazdrościła. Beth przypuszczała, że większość młodych dam w Anglii czuje to samo.

Po raz pierwszy pomyślała, jakie to absurdalne, że los

obdarzył tym rzekomym zaszczytem jedną z nielicznych kobiet, które wcale sobie tego nie życzyły.

Nadal miała zaprzątniętą głowę Phoebe Swinamer, kiedy młodej damie udało się usiąść obok niej. Dopiero później do Beth dotarło, że księżna delikatnie próbowała temu zapobiec.

- Czy mieszka pani w Berkshire, panno Swinamer? - spytała grzecznie Beth. Po latach pracy jako nauczycielka nie bała się zazdrosnych, młodych impertinentek.

- Och, nie - odparła Phoebe z lekkim uśmiechem. - Mamy dom w Sussex, ale dużo czasu spędzamy w Londynie.

- Czyli musi się pani tam podobać. Rzadko odwiedzałam Londyn.

- To mój obowiązek - wyjaśniła Phoebe. - Jestem spadkobierczynią. Muszę odpowiednio wyjść za mąż. Beth się uśmiechnęła.

- Jestem pewna, że z pani urodą i majątkiem wybór należy wyłącznie do pani, panno Swinamer.

Rysy ślicznej twarzy nieco stężały, chociaż nie ulegało wątpliwości, że Phoebe nigdy nie dopuszczała do tego, by się na niej malowały jakieś silniejsze emocje.

- To miło z pani strony, że tak pani sądzi, panno Armitage. - Rozejrzała się. - Belcraven to bardzo piękne miejsce, prawda? Spędziłam tu Boże Narodzenie.

Beth zrozumiała teraz, że Phoebe była poważną kandydatką do ręki markiza. Czyżby byli rozłączonymi kochankami? Samolubnie nigdy nie pomyślała, że markiz musiał zrezygnować z obranej kandydatki na żonę i zgodzić się na ślub z nią. Spojrzała na niego, ale prowadził przyjacielską pogawędkę z paniami Forgomorton i niczego się nie dowiedziała z jego miny. Znowu odwróciła się do Phoebe i zobaczyła, że dziewczycy-

na z satysfakcją odnotowała tamto spojrzenie. Beth zapanowała nad sobą. Ta mała kotka może sprawiać kłopoty. Niewątpliwie miała cichą nadzieję, że jakoś uda jej się popsuć wszystkim szyki i odzyskać szansę. Beth wiedziała, że nie ma takiej możliwości i nie chciała, by dziewczyna jeszcze bardziej utrudniała jej już i tak niełatwe położenie.

- Osobiście - powiedziała - wolę spokojne święta w gronie rodziny.

- A gdzie mieszka pani rodzina? - spytała Phoebe, szukając jakiegoś słabego punktu.

- Mieszkałam z ciotką w Cheltenham - wyjaśniła Beth. - Czy pani rodzice są tu z panią, panną Swinnamer?

- Nie, matka jest w Bath, a ojciec wyjechał do Melton na polowanie. Dziwię się - powiedziała, przeciągając słowa i spoglądając na markiza - że Arden dał się stamtąd wyciągnąć. Zazwyczaj większość zimy spędza w Shires.

- Potęga miłości - powiedziała słodko Beth. -

Zapewniam panią, panną Swinnamer, że wcale nie jest mi tak pilno do zamążpójścia. Ale markiz nalega.

Phoebe niewątpliwie dostała prztyczka w uroczy, kształtny nosek. Nim zdążyła ochłonać, podeszła księżna i zwróciła się do Beth:

- Musisz koniecznie porozmawiać z lady Frogmorton, moja droga. - Jak tylko znalazły się poza zasięgiem słuchu Phoebe, powiedziała: - Mam nadzieję, że cię nie obraziła, Elizabeth.

- Skądże znowu - odparła Beth. - Potrafię postępować z młodymi panienkami. Ale czy słusznie się domyślam, że coś łączyło ją i markiza?

- Och, to nie było nic poważnego - pospiesznie zapewniła ją księżna. - Zdaje się, że miała wiele do zaoferowania i Lucien rozważał jej kandydaturę - muszę wyznać, że częściowo pod wpływem moich namów. Ale nie sądzę,

by kiedykolwiek coś go szczególnie w niej pociągało. Prawdę mówiąc - oświadczyła z udawanym smutkiem - wkrótce po Bożym Narodzeniu musiał wyjechać w związku z jakąś tajemniczą, pilną sprawą, ku wielkiemu niezadowoleniu Phoebe.

Beth ubawiło to nie mniej niż księżną, z ulgą przyjęła fakt, że jej przyszły mąż nie ma złamanego serca. I bez tego mieli dosyć kłopotów.

Usiadła, by pogawędzić z lady Frogmorton, miłą kobietą, która mówiła tylko to, co wypada. Beth miała jednak rację, że córki są zazdrosne. Szczególnie Lucy, starsza i urodziwsza, ciemnowłosa, o ustach jak korale, przyglądała się jej z niedowierzaniem. Beth przypuszczała, że musi się przyzwyczaić do takich spojrzeń.

Kiedy przyłączył się do nich Lucien, była mu wdzięczna za to, jak się zachowywał. Oczywiście nie było mowy o wylewnym okazywaniu uczuć, ale sposobem, w jaki stał obok niej, i tonem swego głosu zdecydowanie przekonał gości, że jakkolwiek dziwne by się to wydawało, ta niepozorna i nie najmłodsza kobieta skradła mu serce.

Wkrótce Beth się zorientowała, że ten balsam na jej dumę był drogo okupiony. Kiedy markiz grał tak wybornie, jak łatwo można było ulec złudzeniom, zapomnieć, że była to umowa, narzucona bezwzględnie, podtrzymywana groźbami użycia przemocy.

Przyglądała się uważnie, kiedy wymieniał żartobliwe uwagi z Phoebe Swinamer. Nie słyszała słów markiza, ale jego postawa była przyjacielska i braterska. Na tyle, na ile potrafiła, panna Swinamer okazywała niezadowolenie, co sprawiło Beth sporą satysfakcję. To godne potępienia, ale aż nadto ludzkie nie czuć sympatii do młodej kobiety, która we własnym mniemaniu jest kimś wyjątkowym i wyraźnie uważała Beth za coś

gorszego od robaka.

Następnego dnia przybył pastor z żoną w towarzystwie sir George'a Matlocka, właściciela ziemskiego, i lady Matlock. Oni również, pomyślała Beth, patrzyli na nią z lekkim zdziwieniem, ale uwierzyli we wszystko, niewątpliwie dzięki wspaniałej grze aktorskiej markiza. Niestety mieli skłonność do nadmiernej wylewności. Beth dziwnie się czuła, kiedy ją traktowano jak członka rodziny książęcej, sama nadal w głębi serca uważała się za prostą nauczycielkę.

Obawiała się, że podczas zaplanowanego balu będzie mniej więcej tak samo. Pomagała księżnej i pani Sysonby zaadresować sto zaproszeń.

- Wyznaję - zauważyła, maczając pióro w kałamarzu - że wydaje mi się to bardzo dużo, jak na wiejski bal.

- Och, to tylko skromna impreza - powiedziała księżna. - Ponieważ przewidujemy jeszcze bale w Londynie, zapraszamy jedynie osoby z sąsiedztwa, a przynajmniej połowa z nich

będzie musiała odmówić, moja droga. - Wyrównała stos kartoników zręcznym ruchem palców. - Panowie nadal bawią w Shires na polowaniu. Panie składają wizyty rodzinom. Niektórzy już wyjechali do miasta, by się przygotować do sezonu. Ale mimo to czuliby się urażeni, gdybyśmy nie wysłali im zaproszenia.

Beth przyjęła to z ulgą. Jednak najwyraźniej i tak powinna się spodziewać ponad trzydziestu rodzin, które przyjadą, by się na nią gapić. Żałowała, że do niej nikt nie wysłał zaproszenia, bo wtedy przypuszczalnie by odmówiła.

Podejrzewała, że markiz też chętnie by uniknął uczestnictwa w balu. Przynajmniej udało mu się wyjechać do Londynu, by wykonać polecenia księżnej. Ale przed wyjazdem odszukał Beth w bibliotece.

- Uważam, że dla zachowania pozorów powinienem się czule z panią pożegnać - powiedział oschle.

- Proszę uznać, że już pan to zrobił - odparła tym samym tonem. Nigdy więcej nie okaże w jego obecności słabości.

Jednak nie znaczyło to, że nie zadygotała ze zdenerwowania, kiedy podszedł do wnęki przy oknie, gdzie siedziała. Przywodził na myśl wielkiego kota, skradającego się do swej ofiary. Zaczęła się bać, że złamie swoją obietnicę i ją obrazi, ale tylko wziął książkę z jej bezwładnych rąk i spojrzał na tytuł.

- Salustiusz? - spytał ze zdumieniem. - Czyta pani po łacinie?

Jakie to dla niego typowe, że uznał to za coś niezwykłego.

- Tak - odparła chłodno. - Czytam po łacinie. Nie zawsze jest to łatwe, ale to dobre ćwiczenie dla umysłu... - Urwała, ponieważ usiadł przy niej i wziął ją za rękę. Bardzo delikatnie. Na jego twarzy nie było gniewu, tylko rozbawienie.

- Nie potrafię pani zrozumieć, Elizabeth - powiedział w zamyśleniu. - Czyta pani po łacinie i nie przyjmuje pani drogocennych klejnotów. A jednak utrzymuje pani, że...

- Już to wyjaśniłam - przerwała mu gniewnie Beth, zabierając dłoń, którą ścisnął.

Pokręcił głową i oddał jej otwartą książkę.

- Proszę mi przeczytać fragment i przetłumaczyć.

Beth ze złością zatrzasnęła książkę.

- Znów wystawia mnie pan na próbę? - wykrzyknęła.

Machnęła mu tomem przed twarzą. - Naprawdę, milordzie uważa pan, że znajomość łaciny jest dowodem prawości? Co w takim razie powiedzieć o wszystkich arystokratach?

Roześmiał się rozbrawiająco.

- Ach, ale to greka nas demoralizuje.
Delikatnie znów wziął od niej książkę i otworzył ją na chybił trafił. Uśmiechnął się, czytając:

- Ita in maxima fortuna minima licentia est. * Pamiętam, jak w Harrow nie wierzyłem, że wysoka pozycja ogranicza wolność. Może jednak stary Caius Sallustius miał trochę racji. - Zamknął książkę i położył ją obok. - Jak pani myśli, czy możemy prosić o pardon? To wszystko doprowadza mnie do szaleństwa. Jeśli jest pani gotowa zachowywać się jak dama, przynajmniej mogę postępować jak dżentelmen. Obiecuję, że nigdy nie wrócę do naszych niefortunnych rozmów.

Beth wstała, między innymi dlatego, że czuła potrzebę, by się od markiza odsunąć. Było coś niepokojącego w samej jego bliskości, szczególnie kiedy był w dobrodusznym nastroju,

- To byłby już pewien postęp - odparła. - Ale czy nie może ich pan zapomnieć?

- Mogę spróbować - rzeki. - Przynajmniej póki nie da mi pani kolejnych powodów, by pani nie ufać.

Już chciała mu gniewnie odpowiedzieć, ale się powstrzymała. Ona też stwierdziła, że życie w stanie wojny jest nie do zniesienia. Przyjrzała się markizowi uważnie i doszła do wniosku, że jest zupełnie szczerzy.

- Wobec tego rozejm - powiedziała, wyciągając rękę. Ujął ją i oficjalnie pocałował jej palce.

- Forsan et haec olim meminisse iuvabit. Rozejm, Elizabeth.

Powiedziawszy to, odwrócił się i cicho wyszedł. Beth musiała się trochę natrudzić nad przetłumaczeniem jego słów.

**Tak to przy największym powodzeniu najmniejsza jest swoboda (przekład Kazimierza Kumanieckiego) (przyp. tłum.).*

Znaczyły mniej więcej: „I to pewnie przypomnieć kiedyś będzie miło”. Dlaczego zaniepokoiło ją odkrycie, że jest wykształcony? Niewątpliwie w młodości większość czasu spędzał na wkuwaniu łacińskich deklinacji i tłumaczeniu Cycerona.

Zakryła ręką miejsce na dłoni, gdzie złożył delikatny pocałunek. Beth targwały sprzeczne uczucia. Po raz pierwszy rozmawiali szczerze i doszli do porozumienia. Może istniała jakaś szansa stworzenia związku opartego na szacunku.

Z drugiej strony zdawała sobie sprawę z tego, iż nie potrafi pozostać obojętną wobec takiej dobroci, a także erudycji. Jej gniew i pogarda tworzyły wał ochronny. Bała się, że gdy go zabraknie, markiz może skraść jej serce z równą łatwością, z jaką zrywa się kwiat z łądygi, i prawdopodobnie traktując to równie lekko.

Może byłoby bezpieczniej kontynuować wojnę.

Bardziej niż kiedykolwiek potrzebowała czyjejś rady.

Nagle przypomniała sobie, że ma ojca. Książę był źródłem jej wszystkich kłopotów. Dlaczego nie miałyby dzielić ich ciężaru?

Ale jak mogła to osiągnąć? Spotykali się podczas kolacji i spędzali razem część wieczoru, lecz poza tym rzadko się widywali. Posłać jednego z lokajów? Z liścikiem czy ustną wiadomością? Miała ochotę zrezygnować, ale plan przybrał postać wyzwania, pojawiła się okazja, by udowodnić samej sobie, że daje sobie radę w złożonym świecie Belcraven. Nieco nerwowo potrząsnęła dzwonkiem. Pospiesznie wszedł lokaj.

- Panno Armitage?

- Chciałabym porozmawiać z księciem, Thomas - oznajmiła.

- Zazwyczaj o tej porze jest zajęty z sekretarzem,

panienko. Czy mam sprawdzić?

- Tak, proszę - powiedziała Beth i kiedy mężczyzna wyszedł, opadła na krzesło, uśmiechając się triumfująco. To tylko kwestia postępowania zgodnie z regułami gry.

Niebawem pan Westall kłaniając się wprowadził ją do gabinetu księcia, a sam dyskretnie się wycofał.

- Tak, Elizabeth? - spytał książę, zdejmując okulary i pocierając wglębienie, jakie pozostawiły na nosie.

Teraz, kiedy przyszła pora, żeby przemówić, Beth wcale nie była pewna, co chce powiedzieć.

- Jest pan moim ojcem - odezwała się w końcu. - Wydawało mi się, że moglibyśmy porozmawiać, ale teraz nie jestem tego taka pewna.

Jego surowe rysy lekko złagodniały.

- Obserwuję cię i podziwiam sposób, w jaki panujesz nad sytuacją. Zapewne uważasz, Elizabeth, że byłoby ci łatwiej, gdybyś mogła spędzić ten czas z dala od Belcraven, w spokoju dotrwać do dnia ślubu, ale to byłaby okrutna dobroć. Uczysz się, jak sobie dawać radę.

- Wydaje mi się, że potrafię sobie poradzić z wystawnością. Nie jestem pewna, czy potrafię sobie poradzić z markizem.

Książę zacisnął usta.

- Co zrobił?

- Nic - pospiesznie zapewniła go Beth. Nie miała zamiaru wywoływać kolejnych waśni w tej nieszczęśliwej rodzinie. - Po prostu nie wiem, jak mam z nim postępować.

Książę się odprężył i uśmiechnął lekko.

- Obawiam się, że zwróciłaś się o radę w tej sprawie do niewłaściwej osoby, moja droga. Ja też nie jestem pewien, jak z nim postępować. Jakoś mi się to udaje, bo

dawno temu zdecydowałem, czego od niego chcę - żeby wyrósł na człowieka wykształconego, zdrowego, o manierach dżentelmena. Nakierowywałem go odpowiednio, stosując konieczną w owym czasie siłę. Czego ty od niego chcesz?

Beth bezradnie uniosła ręce i je opuściła.

- Nie wiem.

- Czego od niego chcesz, czego obecnie ci brakuje?

Beth pokręciła głową. Te pytania nie pomagały jej.

- Jestem taka samotna - powiedziała w końcu. Książę westchnął.

- Ach, samotność... - Spojrzał na nią. - Moja droga, może oczekujesz od niego przyjaźni. Spadkobierca tytułu książęcego nie ma zbyt wielu prawdziwych przyjaciół. Jeśli zaproponujesz markizowi swoje towarzystwo, nie sądzę, żeby ci odmówił.

Beth we wczesnej młodości poznała, co to przyjaźń, ale z czasem jej przyjaciółki opuściły szkołę i więzi uległy zerwaniu. Wiedziała, że książę ma rację. Chciała mieć przyjaciela, a przyjaźń w małżeństwie zawsze uważała za ideał. Ale jej pochopne kłamstwa przekreśliły szansę na przyjaźń między nią a markizem.

Dzielić się z kimś najskrytszymi uczuciami, wysłuchiwać obaw, wiedzieć, że druga osoba natychmiast nas zrozumie - do tego wszystkiego niezbędne było zaufanie.

- Nie potrafię sobie tego wyobrazić - powiedziała słabo. Książę wstał i zaczął się przechadzać po pokoju.

- Sam nie wiem co o tym myśleć. Nie jestem ślepy: widzę istniejące między wami napięcie. Uważałem, że markiz potrafi oczarować każdą kobietę, ale ciebie nie oczarował. Wydaje mi się, że dwoje rozsądnych ludzi potrafi znaleźć wspólny grunt, na którym można wszystko zbudować, jednak ty zdajesz się niczego nie

osiągać. Czy wasze przyszłe szczęście nie jest warte odrobiny wysiłku?

Ich spojrzenia się spotkały.

- Próbujemy. Ale ciągle się okazuje, że budujemy zamki na lodzie.

Książę przyjrzał się jej uważnie, zmarszczywszy brwi, a potem westchnął, potrząsnął głową i odwrócił wzrok.

- Kiedy wszyscy przeniesiemy się do Londynu - powiedział - znajdziesz sobie własnych przyjaciół. Ostatnie dni różnią się od tych, jakie cię czekają w przyszłym życiu. Jak się przekonałaś - dodał oschle - tacy ludzie, jak my, nie muszą stale przebywać w swoim towarzystwie.

Kiedy już się z markizem pobierzecie, nie będzie potrzeby, byście często się widywali. A nawet jeśli, przeważnie nie będziecie sami.

Beth poczuła ukłucie w sercu. Wiedziała, że wcale nie o to jej chodzi.

- Gdybym mogła się przy nim czuć swobodniej... - Nie mogła dokończyć zdania.

Może rumieńce, które pojawiły się na jej twarzy, pozwoliły księciu odczytać jej myśli.

- Niepokoją cię sprawy powinności małżeńskich, Elizabeth? To całkiem naturalne. Jestem jednak pewien, że Arden potrafi zachować się w tych sprawach odpowiednio i delikatnie.

Ale, pomimo ich zawieszenia broni, czy markiz będzie odczuwał potrzebę, by właśnie w ten sposób traktować ją w małżeńskiej sypialni?

Beth spojrzała na księcia i powiedziała:

- Jest pan moim ojcem. - Nie miała najmniejszego pojęcia, co chciała tym osiągnąć.

- Tak. I nawet nie przypuszczałem, że tak bardzo cię pokocham, Elizabeth. Będę cię kochał najlepiej, jak umiem, ale nie zrezygnuję ze swojego planu.

Beth wstała i wykrzyknęła zdesperowana:

- Jakże chciałabym mieć już to wszystko za sobą! Książę podszedł do niej i ujął jej dłoń.

- To się wkrótce dopiero zacznie, Elizabeth. A skończy się nie wcześniej niż wraz ze śmiercią.

Beth miała na myśli jedynie ślub. Teraz ujrzała wyraźnie całe swoje życie, które spędzi u boku obcego człowieka, zmuszona do ciągłego pilnowania się na każdym kroku i stąpania po grząskim gruncie. Przez chwilę przyglądała się księciu, potem wyrwała mu się i wybiegła z pokoju.

Widząc ciekawskie spojrzenie lokaja, opanowała się.

Och, jak nienawidziła tego życia na świeczniku! Zmusiła się, by spokojnie pójść do swego pokoju, gdzie odszukała płaszcz, a potem wyslizgnęła się bocznymi drzwiami, by bezmyślnie spacerować licznymi ścieżkami przecinającymi teren posiadłości.

„Póki śmierć nas nie rozłączy.” Wkrótce będzie musiała powiedzieć te słowa do markiza. Z chwilą, kiedy pojawią się dzieci, naprawdę będą na zawsze ze sobą związani. Nawet gdyby uciekła, nigdy nie ucieknie przed faktem istnienia dzieci.

Nie można cofnąć wskazówek zegara.

„Kiedykolwiek coś się zmienia i przekracza swe zwykłe granice, ta zmiana jest natychmiast śmiercią tego, co było wcześniej.” Nigdy przedtem te proste słowa Lukrecjusza nie przemówiły do niej z taką mocą, jak dziś.

Beth cicho opłakiwała swoje dotychczasowe życie, krążąc po ogrodzie przybranym w wiosenne szaty.

8

Po przybyciu do miasta markiz niewiele zwlekając udał się do domu Blanche. Rzuciła mu się w ramiona.

- Lucienie, najdroższy!

Zanurzył twarz w jej słodko pachnących włosach i wes-

tchnął.

- "Wiesz, dlaczego przyszedłem? Odsunęła się i uśmiechnęła smutno.

- To pożegnanie? Widziałam zawiadomienie o twoich zaręczynach. Czy jest cię warta, najdroższy?

Puścił ją i spytał gwałtownie: - Co chcesz przez to powiedzieć?

Blanche zrobiła się tak biała, jak jej miękko udrapowana suknia.

- Przepraszam, Lucienie. Nie miałam na myśli nic złego. Skoro wybrałaś sobie narzeczoną bez nazwiska, musisz ją kochać, a to najważniejsze.

Markiz przesunął ręką po swych kręconych włosach.

- W ogóle nie powinniśmy o tym rozmawiać.

- W takim razie - powiedziała lekko Blanche, chociaż wciąż była blada - pozwól, że zamówię herbatę, i opowiem ci wszystko o ostatnim skandalu.

Usiadł naprzeciwko i pozwolił jej szczebiotać.

Blanche miała nadzieję, że Lucien się nie domyśli, jak jest jej ciężko. Przygotowywała się do odwiedzin swego *conge*, odkąd przeczytała w prasie anons, lecz nie spodziewała się jego chmurnego wzroku. Co się stało?

Najwyraźniej nie żenił się z miłości. Było jej go żal.

Gdy przerwała swobodną relację o ostatnich skandalach, by dolać mu herbaty, spytał niespodziewanie:

- Blanche, jak mężczyzna może stwierdzić, czy kobieta jest cnotliwa?

Spojrzała na niego zaskoczona.

- Chodzi ci o to, czy jest dziewicą?

- Nie. Chodzi mi o to, czy ma niewinną duszę. Blanche wzruszyła ramionami.

- Mogłabym spytać, dlaczego mężczyzna miałby się tym przejmować. Przypuszczam, że może sprawdzić, jak łatwo ją zaszokować.

Markiz roześmiał się ponuro, odstawił filiżankę i pociągnął kochankę za sobą.

- A ciebie łatwo zaszokować, moja zimowa różo?

Wiedziała, że się zaczerwieniła, co w owym czasie nieczęsto jej się zdarzało.

- Chyba teraz mnie zaszokowałaś, Lucienie. Powiedziałaś, że to pożegnanie. Jesteś prawie żonaty.

Zsunął jej z ramion luźne rękawy sukni, aż ukazały się nagie piersi, a potem delikatnie ujął je w dłonie i uniósł do góry.

- To żadna przeszkoda, by się kochać z najpiękniejszą kobietą w Londynie. - Pochylił głowę, by pocałować obie piersi.

Blanche podnieciła się na samo wspomnienie razem spędzonych chwil.

- Ostatnim razem powiedziałaś „w Anglii” - zauważyła żartobliwie.

Spojrzał na nią i się uśmiechnął. Dobrze znała ten uśmiech.

- Naprawdę? - Porwał ją w ramiona i skierował się w stronę schodów. - No cóż, musisz się pogodzić z okrojeniem twojego dominium na rzecz moich przyszłych obowiązków małżeńskich, ma belle. -

Przystanął, by złożyć hołd obu wrażliwym brodawkom. - Jesteśmy w Londynie, prawda?

Blanche wygięła się zmysłowo i mocno objęła kochanka.

- Albo w raju, najdroższy.

Kiedy kładł ją na łóżku, przytrzymał jej włosy, a potem puścił je, by opadły na poduszkę niczym srebrny deszcz.

- Niech będzie - szepnął i pochylił się, by ją pocałować. Później odgarnął jej wilgotne włosy z twarzy i cicho powiedział:

- A jednak to pożegnanie, moja prześliczna. Blanche pogłaskała jego gładkie, muskularne ramię.

- Wiem, najdroższy. Nie należysz do mężczyzn, którzy po ślubie mają utrzymanki. Mam nadzieję, że nigdy nie będziesz miał kochanki. Jednak będzie mi Ciebie brakowało.

Uśmiechnął się.

- To balsam na moją męską dumę. Jeśli zechcesz, możesz przebierać wśród licznych kandydatów, by znaleźć kogoś na moje miejsce.

- Ach, lecz niewielu jest tak urodziwych, jak ty - odparła. i łobuzersko do niego mrugnęła. - Lubię na Ciebie patrzeć. Może zgodzisz się mi pozować?

Markiz roześmiał się i wyskoczył z łóżka, by przybrać nobliwą pozę.

- Mmm. - Wciąż leżąc, przyglądała mu się, jak się ubiera. Kiedy był gotów, z lekkim wahaniem wyjął z kieszeni płaskie etui i usiadł na skraju łóżka.

- Blanche, zawsze łączyło nas coś więcej niż płatna miłość - powiedział. - Czy możesz przyjąć ten dar jako dowód przyjaźni, wyraz mojej wdzięczności? Nigdy nie miałem wielu przyjaciół.

Blanche spodziewała się prezentu i na swój sposób bała się go. Zbyt dobitnie świadczył o niestosowności ich związku. Poczwała, jak oczy szczypią ją od łez. Była wzruszona delikatnością markiza, chociaż właściwie nie powinno jej to zdziwić. Otworzyła pudełko i zobaczyła jakiś dokument, który okazał się notarialnym aktem własności domu, w którym się znajdowali. Spojrzała przelotnie na papier, ale jej uwagę zwróciło coś, co znajdowało się pod nim - błyszczący niczym tęczą naszyjnik, rozkoszne kwiaty połyskujące zielenią szmaragdów, błękitem szafirów, czerwienią rubinów i żółcią topazów.

Aż jej odjęło mowę, a potem się roześmiała.

- Lucienie, ty cymbale. Co mam z tym zrobić?

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- Przechować, aż odejdiesz na emeryturę?

- Będę go zakładała w domu, kiedy będzie mi smutno. -

Obdarzyła kochanka najśłodszym uśmiechem. - Mój drogi, zawsze

będiesz miał we mnie przyjaciółkę i - dodała ostrożnie - nigdy nie musisz się obawiać, że spróbuję być kimś więcej.

Przez chwilę patrzyła na naszyjnik, a potem przeniosła wzrok na markiza, lekko ściągnawszy brwi.

- Chciałabym powiedzieć jeszcze coś. O niewinnych duszach. Mój drogi, jest niewiele rzeczy, których bym nie wiedziała o mężczyznach i kobietach, i niewiele, których bym nie doświadczyła, ale zawsze mnie traktowałeś jak kobietę honoru. Cnotliwość to narzucona norma społeczna, często pozbawiona racjonalnych przesłanek. Honor to coś, co jest w nas. Tylko my możemy oddać nasz honor.

Wzruszony jej słowami, Arden ucałował jej dłonie i usta.

- Zawsze będę cię szanował, Blanche.

Powiedziawszy to, wyszedł, a Blanche czuła, jak jej płyną łzy, kiedy z uśmiechem patrzyła na różnobarwny naszyjnik.

Lucien pod wpływem impulsu zatrzymał się w White's.

Nie miał ochoty na przebywanie we własnym towarzystwie, a opustoszały Belcraven House wydał mu się ponurym miejscem. W nagrodę spotkał Cona Somerforda, wicehrabiego Amleigh. Ciemnowłosego młodzieniec ze zmarszczonym czołem czytał Timesa.

Kiedy usłyszał swoje imię, uniósł wzrok i na jego twarzy pojawił się uśmiech.

- Dzień dobry, Luce.

- Miło ujrzeć znajomą twarz, Con - powiedział Lucien, ściskając dłoń wicehrabiemu. - Właściwie nie miałem

nadziei, że kogoś spotkam. Myślałem, że wszyscy nadal są w Melton.

- Też tam byłem - rzekł przystojny wicehrabia, zamawiając kolejny kieliszek bordo. - Nie mogłem się skupić na polowaniu na lisy, kiedy na świecie dzieją się takie rzeczy. - Odłożył gazetę. - Nicholas także jest w mieście. Mógł mieć na myśli jedynie Nicholasa Delaneya, przywódcę szkolnej paczki, do której obaj należeli, a którą rok wcześniej reaktywowano w poważniejszym celu.

- Nick jest tutaj? Co go tu sprowadziło?

- To samo, co mnie - odparł Con, wskazując gazetę.

Szare oczy wicehrabiego zrobiły się poważne. -

Oczywiście nic nie

można na to poradzić, ale musi się teraz czuć równie okropnie, jak ja, po tym wszystkim, co zrobił w ciągu ostatniego roku. - Spojrzał ponuro na wino. - Wracam do swojego pułku. Lucien przeszedł dreszcz.

- Znów do tego dojdzie?

- Musi.

- A niech to diabli! Ktoś powinien był zastrzelić tego Korsykanina. - Lucien wspomniął przyjaciół, którzy polegli podczas długiej wojny. Czy wszystko miało się zacząć od nowa? - Bardzo żałuję, że nie mogę walczyć. Może, jak urodzi mi się syn...

Con spojrzał na niego figlarnie.

- Nie sądzę, by Bonaparte czekał tak długo. Przecież nawet jeszcze nie jesteś żonaty.

- Właściwie już jestem - poprawił go Lucien. - W gazetach ukazało się zawiadomienie o moich zaręczynach. Niewątpliwie nawet w tej, którą właśnie czytasz. Wicehrabia zamrugał ze zdumienia, a potem uniósł kieliszek.

- Moje gratulacje! Z córką Swinnamerów?

- Nie - odrzekł Lucien, szybko powziąwszy decyzję, by

nie ujawniać prawdy temu ani żadnemu innemu przyjacielowi. - Nie znasz jej. Nazywa się Elizabeth Armitage. Jest z Gloucestershire.

- Udało jej się cię usidlić, co? - zauważył wicehrabia, najwyraźniej nie będąc tą sprawą zbyt zainteresowany. - Nawet jeśli, mój druhu, nie sędzę, by kwestia Napoleona trwała dziesięć miesięcy. Wszystko się rozstrzygnie tego lata i najlepiej zrobisz, zostając w domu. To będzie krwawa rozprawa.

- A ty? Też masz obowiązki. - Somerford sprzedał patent oficerski rok temu, kiedy odziedziczył tytuł.

- Mam dwóch braci - odparł beztrąsko Con. - Dare też zaproponował swoje usługi Gwardii Konnej. Jesteśmy jedynymi, na których nie spoczywa obowiązek kontynuowania rodu, więc powinniśmy zrobić to, co do nas należy. - Miał na myśli ich Kompanię Hukajów. Pociągnął łyk wina. - Może jeszcze Miles. Ale on z kolei ma jakieś irlandzkie uprzedzenia, by nie służyć Koronie... Słuchaj - zaczął weselszym tonem - dziś wieczorem jesteśmy zaproszeni do Nicholasa. Koniecznie musisz przyjść.

- My to znaczy kto?

- Jest w mieście Stephen. To teraz ważna persona w kręgach rządowych - powiedział znacząco Con. Stephen Bell reprezentował okręg Barham. - I Hal Beaumont.

- Hal! - wykrzyknął Lucien i się uśmiechnął. Hal Beaumont był jego najbliższym przyjacielem. Stracili kontakt, gdy Hal zaciągnął się do armii i wysłano go na wojnę do Ameryki. - Od ponad roku nie miałem od niego żadnych wiadomości. Myślałem, że nadal jest w Kanadzie.

- Częściowo tak - rzekł cicho Con. - Wrócił bez ręki.

- Chryste. - Lucien jak sparaliżowany gapił się na przyjaciela. Razem z Halem brali udział w wielu młodzieńczych awanturach, na ogół wymagających

świetnej formy fizycznej.

- Rozerwało armatę. Jednak dość dobrze to zniósł. Chce się z tobą zobaczyć. Zastanawiał się nad pójściem w twoje ślady.

Lucien też chciał się spotkać z Halem, ale bał się ujrzeć go okaleczonego. Zawstydził się sam siebie.

- A więc dziś wieczorem przy ulicy Lauriston? - upewnił się szybko. - Wyślę liścik do Nicholasa, chociaż wiem, że nie będzie miał nic przeciwko temu, żebym przyszedł. Eleanor też jest w mieście?

- Naturalnie. I ich córeczka. Są w drodze na zjazd rodzinny w domu brata Nicholasa. Przyjechali trochę wcześniej, by poznać najświeższe nowinki.

Lucien starał się ukryć wstrząs, jakim była dla niego wiadomość o kalectwie Hala. Cieszył się perspektywą spotkania z przyjaciółmi. Ciekaw był, jak wygląda teraz Nicholas Delaney, cztery miesiące po powrocie do Anglii. Ostatni raz widział go siedem miesięcy temu. Było to tamtego wieczoru, kiedy przyjacielowi udało się zdobyć plany uwolnienia Napoleona z Elby i przywrócenia mu władzy we Francji.

Drogo okupił ten sukces. W owym czasie był spięty i zmęczony. O mały włos nie stracił życia, zagrożone też było jego małżeństwo. Tyle ryzykował, a w końcu okazało się to jednym wielkim oszustwem. A może nie? Ostatecznie Napoleon wrócił do Francji i znów miał władzę.

Piękna madame Bellaire stwierdziła, że zwolennicy Napoleona dali się wywieść w pole i że zatrzyma pieniądze na swoje własne potrzeby. Czyżby było to jeszcze jedno kłamstwo? A jeśli tak, czy Nicholas będzie się obwiniał o to, że wydobył od kobiety tylko listę nazwisk, a nie odebrał jej nieuczciwie zdobytych pieniędzy?

Lucien dostawał listy od Nicholasa z opisami uroków

życia na wsi. Przyjaciel donosił mu, jaki jest szczęśliwy ze swą żoną i malutką córeczką, ale markiz z przyjemnością sprawdzi to osobiście.

Ciekaw był też, jak wygląda mała panna Delaney.

Arabel miała zaledwie kilka dni, kiedy ją ostatni raz widział, i nie mógł powiedzieć, by wtedy zapowiadała się na piękność.

Tamtego wieczoru, kiedy się znalazł w eleganckim domu przy ulicy Lauriston, pierwszą osobą, którą ujrzał, była Eleanor Delaney - ładniejsza i szczęśliwsza niż kiedykolwiek - w jedwabiach, obwieszona klejnotami, z dzieckiem na ręku. Odwróciła się i jej twarz rozjaśnił szeroki uśmiech.

- Lucienie! - wykrzyknęła, podchodząc, by się z nim przywitać. - Bardzo się ucieszyliśmy z twojego liściku. I należą ci się nasze gratulacje. - Pochyliła się, by mógł ją pocałować. - Musisz nam wszystko opowiedzieć o swej narzeczonej.

Spojrzał na przytuloną do Eleanor kruchą dziewczynkę i ostrożnie ją pocałował w policzek, co było nowym doświadczeniem. Patrzyła na niego wielkimi, złotobrazowymi oczami, ocienionymi gęstymi rzęsami. Dziecko miało nieprawdopodobnie delikatną skórę - już nigdy nie będzie mógł nazwać skóry kobiety miękką jak płatek kwiatu - i słodkie usteczka.

- Wielki Boże, Eleanor. Nie możesz jej pokazać światu. Wszyscy mężczyźni stracą głowy.

Kobieta uśmiechnęła się z dumą.

- Jest niebrzydka, prawda? Ale jeszcze nie urosły jej włoski. Nie ma jednak gwarancji, że później nie będzie niczym nie

wyróżniającą się panienką. Dzieci na ogół są rozczulające.

- To nie ma nic wspólnego z rozczulaniem. Nie oprze się

jej żaden mężczyzna.

Eleanor zachichotała, słysząc takie komplementy.

- Proszę - powiedziała i podała mu niemowlę. - Pozwól, żeby ci podbiła serce. Muszę zamienić słówko z panią Cooke.

- Eleanor! - zaprotestował Lucien, ale dziecko już ułożyło się wygodnie w jego ramionach. - Wracaj tutaj!

- Nicholas jest w bawialni - zawołała, nim znikła. Lucien spojrzał na dziewczynkę. Było coś niepokojącego w tym, że tak ochoczo go zaakceptowała. Arabel w najmniejszym stopniu nie przeszkadzało, że znalazła się na rękach u obcego mężczyzny, i zdawała się wyraźnie zaintrygowana szafirem przy jego szpilce do krawata. Delikatne paluszki wyciągnęły się w jej kierunku.

- Typowa kobieta - mruknął Lucien z uśmiechem. - Zafascynowana tym, co się błyszczy. Chodź, poszukamy taty.

A kiedy szedł przez hol, myśl o własnym dziecku po raz pierwszy przestała mu się kojarzyć wyłącznie z przykrym obowiązkiem.

Wszedł do bawialni, gdzie zastał gospodarza, Nicholasa Delaneya, rozmawiającego z kilkoma członkami Kompanii: sir Stephenem Bellem, członkiem parlamentu, lordem Dariusem Debenhamem - trzecim synem księcia Yeovil, i wicehrabią. Mężczyźni odwrócili się i uśmiechnęli, widząc go z dzieckiem na ręku.

- Wielkie nieba! - zawołał Nicholas, podchodząc do markiza. - Słyszałem, że się zaręczyłeś, ale czyżbyś się zanadto nie pośpieszył?

Lucien nie mógł powstrzymać się od uśmiechu.

- To twoje dziecko. Nie poznajesz? - odparował.

Nicholas wziął od niego córkę, a ta uśmiechnęła się promiennie i zagruchała.

- Rzeczywiście.

Lucien odczuwał czystą przyjemność, widząc, jak przyjaciel zdrowo wygląda - opalił się, w jego brązowych oczach malowało się szczęście. Już po promiennym wyglądzie Eleanor zorientował się, że nic nie zakłóciło małżeńskiej harmonii, teraz miał tego kolejny dowód.

Sprawa, w którą Nicholas zaangażował ich wszystkich w zeszłym roku, początkowo wydawała się żartem, bardzo podobnym do szkolnych psikusów urządzanych w Harrow. Przestała nim być, kiedy Lucien się zorientował, jak bardzo Eleanor cierpi, wiedząc, że jej mąż tak często przebywa w towarzystwie innej kobiety. Więcej czasu zajęło mu odkrycie, jak odgrywanie kochanka Therese Bellaire powoli niszczy Nicholasa. Nie zrozumiał tego naprawdę, póki pewnego wieczoru nie spróbował być szlachetny i nie zwrócił uwagi drapieżnej madame na siebie. Udało się jej samym spojrzeniem sprawić, że poczuł się, jakby go zgwałciła. Kiedy Nicholas w końcu go od niej uwolnił, Lucien czuł jedynie wdzięczność. Po tym doświadczeniu stał się bardziej rozważny w postępowaniu z kobietami, wiedząc już, jakie to uczucie, gdy ktoś z lodowatą obojętnością człowieka znieważy.

Przypomniawszy sobie ze wstydem, jak potraktował Elizabeth Armitage: w jeszcze okrutniejszy sposób zrobił to, co Therese Bellaire zrobiła jemu. To było konieczne, pomyślał. Ale jeśli nie jest taka, jak sądzi...

- Kłopoty? - spytał cicho Nicholas, wciąż z uśmiechem na twarzy, ale przyglądając mu się poważnie. Nick zawsze dostrzegał, co się kryje pod powierzchnią.

- Drobne - przyznał Lucien.

- Zostaniemy tu tydzień - powiedział znacząco Delaney.

- Chodź i poczęstuj się sherry.

Rozmawiano o Napoleonie. Stephen, szczupły blondyn o przenikliwych oczach, martwił się sojuszami i równowagą sił; Dare nie potrafił ukryć podniecenia; Amleigh wrzał gniewem jak nieustraszony, zawodowy żołnierz. Wszyscy się odwrócili, kiedy do pokoju weszła Eleanor z Halem Beaumontem u swego boku.

Wygląda tak samo, pomyślał Lucien. Prawie. Nie widzieli się cztery lata i jeden Bóg wie, co Hal przeżył w ciągu tego czasu. Na jego twarzy pojawiły się nowe zmarszczki, ale

nadal, kiedy się uśmiechał, lekko wykrzywiał usta, jego ciemne włosy tak jak dawniej były pofalowane, był tylko wyższy i silniejszy niż w wieku dwudziestu jeden lat.

Luciena ogarnęła niezwykła radość, że przyjaciel żyje.

- Hal! - Podszedł do Beaumonta i ujął go za prawą rękę. Oczy same skierowały się na pusty rękaw, zatknięty za guziki marynarki, i ogarnął go gniew na niesprawiedliwość losu, a zarazem przygnębienie z powodu irytującej bezsilności.

Hal wyczytał to wszystko z jego twarzy i wzruszył ramionami.

- Bywa gorzej. Najbardziej żałuję tego, że nie będę mógł wziąć udziału w pogromie Bonapartego. - Teraz on z kolei przyjrzał się Ardenowi. - Wyglądasz na bogatego i wpływowego, Luce.

- Noblesse oblige, stary. Nie można pozwolić, żeby wyższa arystokracja tarzała się w rynsztoku.

- Z całą pewnością.

Akurat wtedy pozostali zebrali się wokół nich i rozmowa przeszła na tematy ogólne, a Lucien miał okazję, by spróbować się z tym wszystkim oswoić. Miał przyjaciół, którzy polegli na wojnie, lecz po raz pierwszy jeden z nich został kaleką. Łatwo zapomnieć o zmarłych albo przynajmniej pamiętać ich takimi, jakimi byli, ale Hal

stanowił żywe przypomnienie cierpień.

Spojrzał na Amleigha i Debenhama, ciekaw, czy ten przykład konsekwencji wojny da im nieco do myślenia.

Czy też, tak jak w nim, obudzi jeszcze silniejsze pragnienie walki - żeby się pomścić, ale również, by uśmierzyć poczucie winy. A miał wyrzuty sumienia, ponieważ żył tu, w Anglii - upijając się, tańcząc w Almack's, kochając się z Blanche - kiedy rozerwała się tamta armata, kiedy wojskowi chirurdzy odcięli to, co pozostało z ręki jego przyjaciela.

Jednak nawet kiedy o tym myślał, uśmiechał się i dowcipkował. Wszyscy wiedzieli, że nie miało sensu rozpaczanie nad tym, co się stało. Sam Hal tego nie chciał.

Oczywiście zdawał sobie sprawę, że markiz Arden nie może wybrać najłatwiejszej drogi i wyjechać, by walczyć i polec. Musi się ożenić i spłodzić kolejne pokolenie szanowanych potomków rodu de Vaux.

Co, jak zwykle, skierowało jego myśli na Elizabeth Armitage. Nie ufał jej, ale czasem ją lubił. Poza tym, chociaż była tak cholernie zwyczajna, aż za często zaprzątała jego umysł.

Przypomniawszy sobie, jak kiedyś stwierdził, że wolałby mieć taką żonę, jak Eleanor Delaney, a nie Phoebe Swinnamer. Oczywiście wszyscy oczekiwali, że wybierze sobie kogoś Waśnie w rodzaju Phoebe, czyli śliczną, dobrze urodzoną lalkę, mającą tylko tyle rozumu, by opanować sztukę grzecznej konwersacji. Eleanor Delaney była zaś mądra i niezmanierowana. Nicholas trącił kieliszek Luciena i spojrzał na swoją żonę.

- Jest wciąż zakochana - powiedział lekko, ale zaraz dodał poważniej: - Wiesz, że mężczyzna, który dopiero co się oświadczył, nie powinien w ten sposób patrzeć na

żonę innego.

Specjalnie zrobił tę uwagę, traktując ją jako wstęp do rozmowy. Lucien nie był gotowy do obnażenia duszy, ale chętnie wysłuchałby jakichś mądrych uwag.

- Ciekaw jestem - spytał niewinnie - czy kiedykolwiek miałeś ochotę ją udusić?

Nicholas uniósł brew.

- Tylko dlatego, że ci kazała potrzymać dziecko?

- Nie mówię o Eleanor, tylko o Elizabeth.

Delaney przez chwilę miał zaskoczoną minę, ale potem się uśmiechnął.

- Ach, mówisz' o swojej narzeczonej. A więc masz ochotę ją udusić? Myślę - rzekł z uśmiechem - że to dowód, iż nie jest ci obojętna. - Spoważniał. - Nie, nigdy nie czułem czegoś takiego. Ale trudno powiedzieć, bym się zalecał do Eleanor. Nie należy do kobiet, które budzą żywsze uczucia. Natomiast ja... - dodał, uśmiechając się kpiąco - ...zawsze szczyliłem się tym, że potrafię nad wszystkim zachować kontrolę, łącznie ze swymi emocjami.

Lucien był ciekaw, co się kryje za tym lekko zgorzkniałym tonem.

- Tymczasem ja - odparł - będąc członkiem rodu de Vaux, nigdy w swoim życiu nie odczuwałem najmniejszej potrzeby panowania nad sobą.

Nicholas się roześmiał.

- Jesteś dla siebie niesprawiedliwy? A więc co robi przyszła markiza, że wyprowadza cię z równowagi?

Lucien stwierdził, że trudno mu przedstawić zwięźle wszystkie te cechy Beth Armitage, które działają mu na nerwy, więc skupił się na sprawie najbardziej oczywistej.

- Jest zwolenniczką Mary Wollstonecraft.

Nicholas akurat unosił kieliszek do ust. Ręka mu zawisła

w powietrzu. W oczach pojawiły się wesołe iskierki, wybuchnął głośnym śmiechem. Wino wylało się z kieliszka. - Wielki Boże! - wykrzyknął, kiedy się opanował. - Musisz mi wszystko opowiedzieć. I to zaraz.

Reszta obecnych podeszła, by posłuchać, i Lucien uświadomił sobie, że za daleko się posunął. Wzruszył ramionami i rzekł jedynie:

- Może kiedy indziej.

Delaney spoważniał i skinął głową.

- Niewątpliwie masz rację - zauważył beztrósco. - Nie można rozmawiać o takich rzeczach w obecności Stephena. - A potem powtórzył z naciskiem: - Będziemy w mieście cały tydzień

Nie znając początku rozmowy, pozostali Zadowolili się tym i konwersacja znów zeszła na tematy ogólne.

Nicholas nie próbował być wścibski i chociaż Lucien zauważył kilka zamyślonych spojrzeń gospodarza skierowanych w swoją stronę, ani słowem nie poruszono już sprawy jego życia osobistego. Właściwie wcale nie wiedział, czy chce przeprowadzić szczerą rozmowę z Nicholasem. Z całą tą sprawą wiązało się zbyt wiele tajemnic.

Kiedy Lucien wychodził nad ranem, towarzyszył mu Hal. Padał lekki kapuśniaczek, ale ich płaszcze i nakrycia głowy stanowiły wystarczającą przed nim ochronę.

- Gdzie się zatrzymałeś? - spytał Lucien. - W kwaterach Gwardii.

- Mogę cię przenocować w pałacu przez parę dni. - Zawsze nazywali Belcraven House „pałacem”. Lucien pamiętał cudowne, szalone zabawy z Halem, których nieodłącznym elementem były wyścigi niekończącymi się korytarzami i zbieganie po schodach. Ryzyko natknięcia się na księcia albo zniszczenia jakiejś cennej

ozdoby sprawiało, że zabawy te nabierały posmaku prawdziwego niebezpieczeństwa.

Od tamtej pory Beaumont miał okazję zetknąć się z bardziej realnym niebezpieczeństwem.

- Tylko przenocować? - przekomarzał się Hal, kiedy skręcili z ulicy Bentink w Welbeck. - Czy nie jesteś zbyt mocno przywiązany do swych bogactw?

- Możesz korzystać ze wszystkiego - oświadczył wspaniałomyślnie Lucien i przesunął palcem w rękawiczce wzdłuż sztachet, strącając krople deszczu. Znów się poczuł, jak za szkolnych czasów. Kiedy znajdą się w domu, może spróbuje zjechać po poręczy paradnych schodów. - Możesz wybierać spośród co najmniej dziesięciu łóżek, wszystkie są z najlepszymi, puchowymi materacami. Możesz je położyć po bokach, żeby mieć dość miejsca, by się wyciągnąć. Możesz ułożyć w stos, aż uznasz, że pośłanie jest wystarczająco miękkie dla twojej delikatnej skóry.

- Jak księżniczka na ziarnku grochu? - spytał Hal z uśmiechem. - Jestem zbyt wielkim plebejuszem na coś takiego. Czy wasza lordowska mość potrafiłby wyczuć ziarnko grochu pod dziesięcioma materacami?

Nagle Lucien został z powrotem sprowadzony na ziemię, do rzeczywistości, dorosłości i wszystkich nieprzyjemnych spraw z tym związanych.

- Prawdopodobnie nie - odparł krótko. - Ale tłukę się po pałacu jak jedno ziarnko grochu w strąku. Chodź i zajmij trochę miejsca.

- Chcesz powiedzieć, że ja też się tłukę? - spytał lekko Hal, ale patrzył na przyjaciela z niepokojem i zaintrygowaniem. - Chętnie - ciągnął. - W kwaterze Gwardii jest za dużo weteranów, współczucia i rozmów o wojnie.

- W takim razie chodźmy. Poślę kogoś po twoje rzeczy.

Skręcili na plac Marlborough. Kiedy rozpocznie się sezon, o tej porze w oknach nadal będzie się paliło światło, a ulica będzie tętniła życiem, ale teraz było jeszcze spokojnie. Pomimo pochodni, płonących przed każdym okazałym domem, plac wyglądał tajemniczo w szarym świetle i deszczu. Lucien się wzdrygnął.

- Właściwie - powiedział - czemu nie miałbyś ze mną pojechać do Belcraven Park i służyć mi wsparciem podczas całego tego zamieszania, które mnie czeka? Moja matka zawsze czuła do ciebie słabość.

- Czy nie zepsuję uroczystości? - spytał Hal. Był to pierwszy znak, że krępuje go własne kalectwo.

- Skądże znowu. Będziesz bohaterem.

- Niech Bóg broni. - Spojrzał z ukosa. - Czemu ma to być ciężka próba? Czy ma to coś wspólnego z tym, co załamało Nicka?

Lucien nie był gotów do rozmowy na ten temat, nawet z Halem. Udał, że szuka klucza do wielkich drzwi frontowych.

- Naturalnie, że nie - odrzekł. Przekręcił klucz w dobrze naoliwionym zamku i obaj weszli do wysokiego, ciemnego holu. Na małym stoliku stała zapalona lampa, ale zgodnie z jego poleceniem nikt ze służby nie czekał. Nie był przyzwyczajony do pojawiania się w domu, który sprawiał wrażenie wymarłego. Nigdy wcześniej nie wydał takiego polecenia i podejrzewał, że w pokojach służby niektórzy czuli się dotknięci. A wszystko przez Elizabeth Armitage. Nie powiedziawszy ani słowa, aż nadto żywo mu uzmysłowiła wszechobecność służby, która stanowiła nieodłączny element jego życia.

Nagle się roześmiał.

- Hal, czy będziesz dziś wieczorem potrzebował czegoś poza nocną koszulą? Wszystkich posłałem do łóżek i wydaje się okropną niestosownością budzenie ich o tej

porze. Pomijając już fakt, że nie mam pojęcia, jak to zrobić, chyba że nacisnąć dzwonek przeciwpożarowy?

- Niczego nie potrzebuję. Nie zliczylibym, ile razy spałem w ubraniu na gołej ziemi. I z radością znów pojedę do Belcraven Park. Wiesz, że twoja matka jest moją pierwszą i jedyną miłością. Dlaczego nie zaprosisz również Cona i Dare'a? Obecnie nie mają nic do roboty, czekają na rozkazy.

Lucien uznał, że to bardzo kusząca propozycja, w grupie zawsze różniej.

9

Beth stwierdziła, że ma zbyt wypełnione dni, by mieć czas na filozofowanie. W związku z balem przydzielono jej szereg zadań, pobierała dodatkowe lekcje z zakresu dworskiej etykiety, wielokrotnie jeździła na zakupy.

Odnosiła wrażenie, że większość tych obowiązków wymyślano specjalnie, by ją zająć, ale nawet jeśli tak było, odczuwała wdzięczność. Pogodzona z losem, wszystko pilnie obserwowała i szybko się uczyła.

Nawet zaczęła akceptować stałą obecność służących i nie przeszkadzało jej to, czym się zajmowali. Ale nie mogła zapomnieć o tym, że są ludźmi.

Kiedy pewnego razu natknęła się na małego chłopaka płaczącego w ogrodzie, zatrzymała się zaniepokojona. Pamiętała, że widziała go kiedyś w stajni. Chociaż miał chytry wyraz twarzy, było coś wzruszającego w jego wyrazistych rysach i błyszczących oczach. Nie chciała, żeby był smutny.

- Co się stało? - spytała łagodnie.

Uniósł wzrok, przestraszony, a potem zerwał się na nogi.

- Nic, proszę pani - powiedział, ocierając mokrą twarz.

- Nie uciekaj - poprosiła Beth. - Pracujesz w stajni, prawda?

- Tak, proszę pani.

- Będziesz miał kłopoty, że cię tam nie ma? Zwiesił głowę.

- Nie, proszę pani. Nie spodziewają się mnie szybko po tym, jak stary Jarvis mnie wysmagał batem.

Beth domyśliła się po tym, jak chłopak się poruszał, że kara nie była zbyt dotkliwa, ale zrobiło jej się go żal.

- Przykro mi - powiedziała. - Czy zrobiłeś coś bardzo złego?

Skinał głową i opuścił ją jeszcze niżej. Beth pomyślała, że

dzieciak nie ma dużo więcej niż dziesięć lat. Usiadła na ziemi obok niego.

- Jestem Beth Armitage - przedstawiła się. - A jak tobie na imię?

Spojrzał na nią, zmarszczywszy czoło, jakby odpowiedź na jej pytanie nastęrczała jakiś kłopot.

- Jestem Jerzyk - odrzekł w końcu, lekko buntowniczo. - Jerzyk Babson.

- Słuchaj, Jerzyku, czemu nie posiedzisz tu chwilkę i nie powiesz mi, co się stało? Może uda nam się uniknąć dalszych kar.

Usiadł i się skrzywił.

- Nie sądzę - powiedział markotnie. - Ja i stary Jarvis nie zgadzamy się ze sobą.

- Co zbroiłeś tym razem?

- Puściłem jednego konia. Wikinga. Wielkiego ogiera markiza. Coś sobie zrobił w nogę.

- Ojej - zmartwiła się Beth. Wiedziała, jaką wagę przykładła Arden do właściwej opieki nad końmi. - Zdaje się, że to poważna sprawa.

- Kiedy wróci, zabije mnie - stwierdził chłopak, połykając łzy. - Albo mnie wypędzi.

- Markiz?

Jerzyk skinął głową, po twarzy zaczęły mu płynąć świe-

że łyzy.

Beth bardzo by chciała obiecać chłopcu, że się za nim wstawi, ale obawiała się, że nie ma zbyt dużego wpływu na markiza. Chociaż zawarli rozejm, wcale nie była pewna, czy markizowi będzie zależało na spełnieniu jej prośby, czy też bardziej przejmie się tym, jakich obrażeń doznał jego ulubiony wierzchowiec.

- Jak to się stało, że pozwoliłeś uciec koniowi? - spytała. Chłopak spojrział na nią ostrożnie, ale potem widocznie postanowił jej zaufać.

- Parsknął na mnie. Przestraszyłem się... - Po chwili wymamrotał: - Nie lubię koni. Bestie z piekła rodem.

Beth utkwiała w nim wzrok.

- Nie lubisz?... To dlaczego pracujesz w stajni, Jerzyku?

- On mnie tam umieścił.

-Kto?

- Lord Arden. Przywiózł mnie tu i dał mi pracę w stajni. Beth tylko się domyślała niewyraźnie, co chłopak miał na

myśli, ale jedno nie ulegało wątpliwości.

- Jeśli nie lubisz tej pracy, markiz z pewnością znajdzie dla ciebie coś bardziej stosownego, Jerzyku.

Szczególnie, że niezbyt się nadajesz do pracy z końmi.

Porozmawiam z nim...

- Nie! - wykrzyknął chłopiec, oczy mu się rozszerzyły z przerażenia. - Proszę tego nie robić. Obiecał mi, że mogę pracować z końmi!

- Ale przecież ich nie lubisz - zauważyła Beth. Wyrostek odwrócił wzrok i uparcie milczał, zakłopotana

Beth zmarszczyła czoło.

- A więc nie chcesz, żebym się za tobą wstawiła u markiza? - spytała w końcu.

- Nie, proszę pani. - Jerzyk wstał i otarł twarz rękawem, rozmazując brudne smugi. - Przepraszam za kłopot.

Proszę mu nic nie mówić.

Beth była szczerze wzruszona. Podejrzewała, że ten bezdomny dzieciak czuł się w Belcraven Park równie zagubiony, jak ona, i z jakiegoś powodu równie związany z tym miejscem.

- Dobrze, Jerzyku - obiecała mu. - Ale jeśli będziesz potrzebował pomocy, możesz zwrócić się do mnie, zrobię, co będę mogła.

- Bardzo pani dziękuję - powiedział i uciekł.

Beth westchnęła. Czy markiz rzeczywiście jeszcze raz ukarze chłopaka? Wielu panów uważałoby, że ma do tego pełne prawo. Tak mało знаła markiza, ale przypuszczała, że jest zdolny do okrucieństwa.

Cóż mogła na to poradzić? Była tak nieprzyzwyczajona do przemocy, że chciała się przed nią ukryć, ukryć się nawet przed samą myślą o niej, ale przecież nie można tak żyć.

Wstała i umocniła się w swym postanowieniu. Chociaż jej położenie było trudne, będzie pilnie obserwowała, co się dzieje z Jerzykiem Babsonem. Nie spędzi reszty życia, udając, że nie widzi przemocy i okrucieństwa, a lord Arden będzie musiał to zrozumieć.

Markiz wrócił w dniu balu. Kiedy wkroczył do buduaru księżnej, która wraz z przyszłą synową piła herbatę, Beth niemal go nie poznała. Zupełnie nie przypominał zimnego, odpychającego despoty, jakim go zapamiętała. Oczywiście zdążył się już przebrać, ale wciąż było po nim widać, że zażywał ruchu na świeżym powietrzu.

Czy już słyszał o swoim ogierze? - zastanawiała się Beth. I co się stało z biednym Jerzykiem? Nie mogła uwierzyć, by markiz właśnie wrócił ze stajni, wymierzwszy mu surową karę.

Lucien pocałował matkę w policzek i uśmiechnął się do niej.

- Wyglądasz kwitnąco, maman. Powinniśmy cię zmuszać do częstszego organizowania wielkich balów.

- Ty głuptasie. Jesteś moim ostatnim dzieckiem, które bierze ślub. Mam nadzieję, że nie będę musiała więcej urządzać takich uroczystości.

Markiz wciąż się uśmiechał, gdy się odwrócił do Beth, ale serdeczność zastąpiła obojętność.

- Elizabeth, mam nadzieję, że nie jesteś tym wszystkim wyczerpana?

Wyniosłość to wszystko, na co go stać, pomyślała Beth. No cóż, trudno.

- Nic a nic - powiedziała, przyjmując lekki ton. - Ale to wszystko dla mnie nowe, milordzie. Do tej pory nie zdawałam sobie sprawy z tego, ile ciężkiej pracy wymaga zorganizowanie uroczystości ślubnych.

- Tylko wtedy, kiedy się żeni spadkobierca tytułu książęcego - wyjaśnił oschle.

Beth odniosła wrażenie, że dosłyszała w tonie jego głosu szczerą niechęć do pompy. Dziwne. Lucien de Vaux stanowił dla niej zagadkę, którą coraz bardziej chciała rozwiązać,

- A więc po ślubie będziemy mogli żyć spokojnie? - spytała.

Zaszczycił ją słodkim uśmiechem, ale nie taił, co ją czeka w przyszłości.

- O, nie licz na to, moja droga. Musisz pamiętać, jak dumny jest ród de Vaux. Czy bardzo będziesz narzekała na życie wypełnione modnymi rozrywkami?

Ukryte przesłanie było oczywiste: absolutnie nie liczyło się dla niego, co Beth lubi, a czego nie. O, Boże, pomyślała, znów to samo. Nigdy nie mówili tego, co myśleli, i nigdy nie myśleli tego, co mówili.

Odwróciła się, udając, że jest zajęta nalewaniem dla niego herbaty.

- Jeśli mi to nie przypadnie do gustu - odrzekła, podając mu filiżankę - z całą pewnością się o tym dowiesz... mój drogi.

Po chwili zaskoczenia uśmiechnął się całkiem szczerze.

- Obawiam się tego... moja słodka despotko. - Odpowiedz na to, mówił jego wzrok.

Beth miała wielką ochotę, ale nie wiedziała, do czego to wszystko doprowadzi. Markiz nie należał do ludzi, którzy unikają konfrontacji. Ograniczyła się więc do zatrzepotania rzęsami i rzucenia mu słodkiego i - miała nadzieję - wdzięcznego uśmiechu. Miała tę satysfakcję, że ujrzała jego prawdziwe rozbawienie.

Zauważyła też, że księżna obserwuje ich z lekkim uśmiechem, i pomyślała: proszę sobie za wiele po tym nie obiecywać, wasza miłość. Oboje się uczymy, jak być dobrymi aktorami.

- Maman, ściągnąłem z Londynu kilku kawalerów - oznajmił markiz. - Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu?

- Ależ naturalnie, że nie! Nigdy nie za wielu kawalerów. Kto z tobą przyjechał? I gdzie teraz są?

- Amleigh, Debenham i Beaumont. Zostawiłem ich w pokoju śniadaniowym, by się posilili.

Księżna lekko ściągnęła brwi, chociaż oczy jej błyszcząły figlarnie.

- Kiedy lord Darius bawił tu ostatnim razem, próbował, skonstruować fontannę, z której tryskałby szampan zamiast wody. A pan Beaumont zawsze wywołuje zamieszanie wśród młodszych pokojówek.

- Cóż - powiedział markiz, poważniejąc - niewątpliwie znów będzie w centrum zainteresowania, ale z innego powodu. Stracił lewą rękę.

Księżna wyraźnie się zmartwiła.

- Och, cóż za nieszczęście. Jak się czuje?

- Właściwie dobrze, jak zwykle. I prawie ze wszystkim daje sobie radę. Nie lubi, by się przy nim krzątano.
- Powiem Gorshamowi - oświadczyła księżna. - I założę się, że stanie się jeszcze bardziej atrakcyjny w oczach pokojówek i wszystkich kobiet w okolicy. Zostawiam tobie pilnowanie swoich gości, Lucienie.
- Dobrze, maman - powiedział z chłopięcym uśmiechem.
- Rozumiem, że chcesz, żeby to było okropnie nudne przyjęcie.

Księżna się roześmiała.

- Nic podobnego. Czy ktokolwiek by uwierzył, że to był bal z okazji twoich zaręczyn, gdyby wszystko przebiegło gładko, ty niedobry chłopcze? Idź i przypilnuj swoich gości, zanim coś spsocą.

Przed wyjściem markiz jeszcze raz cmoknął matkę w policzek, natomiast Beth zaszczycił tylko lekkim skinieniem głowy. Uniosła wzrok i zobaczyła, że księżna przygląda się jej z zagadkową miną. Jednak nic nie powiedziała, a Beth wkrótce została wysłana do swego pokoju, by się przygotować do balu.

W sypialni zobaczyła rozłożoną na łóżku śliczną suknię, zamówioną przez księżnę w Londynie, po odbiór której wysłano markiza. Beth zgodziła się na wybór, nie przywiązując do tego szczególnej wagi, ale ilustracja w Ackerman 's Repository nie oddawała w pełni urody toalety.

Wzorzysty jedwab w kolorze kości słoniowej z atłasowymi wstawkami, obszytymi perełkami, połyskiwał i mienił się w blasku świec. Beth nigdy w życiu nie widziała takiej wytwornej sukni. Redcliff krążyła w pobliżu, dumna i zazdrosna, jak matka nowo narodzonego.

Obok toalety leżał bukiet różowych i kremowych róż, umieszczony w wilgotnym mchu, i mała paczuszka.

- Co to takiego, Redcliff?

- Myślę, że to od markiza, panienko - odparła kobieta, uśmiechając się.

Beth poczuła dziwną niechęć do otwarcia pudełka. Z pewnością zawiera prezent i może nie taki, jaki chciała-by otrzymać. Ale nie miała wyboru.

Etui kryło wachlarz, prawdziwe cacko. Jednym ruchem ręki Beth go rozłożyła. Stelaż wykonano z finezyjnie rzeźbionej kości słoniowej, na nim rozpięto cieniutki jedwab, pomalowany w stylu chińskim. Szpilka była złota, a zewnętrzne listewki wyłożono macicą perłową. Beth poruszyła ręką i wachlarz złożył się gładko.

Był to elegancki, odpowiedni, dobrze przemyślany prezent. Z jakiegoś powodu zaniepokoiło ją to. Kim był jej przyszły mąż? Erudyta czy hulaką, przyjacielem czy gwałtownikiem? Może wszystkim po trochu. Można cytować Salustiusza i być brutalem.

Redcliff namawiała Beth, by odpoczęła, ale ona wolała poczytać, zwłaszcza że ostatnio nie miała na to czasu. Jednak klimat powieści pani Brunton nie odpowiadał jej nastrojowi, więc sięgnęła po kilka tomików poezji, przyniesionych z biblioteki. Kartkując je, natrafiła na *Porwany lok Pope'a*.

Powiedz, Bogini, jakież osobliwy
Impuls to sprawił, że Lord tak cnotliwy
Szlachetną napadł Bellę? Powiedz, pytam,
Jakaż dziwniejsza, jeszcze nie wykryta
Przyczyna mogła to sprawić, że miła,
Szlachetna Bella Lorda odtrąciła? *

No właśnie? - pomyślała Beth, czytając te jakże adekwatne do sytuacji linijki. Większość osób uznałaby ją za szaloną. Większość ludzi nie zdawała sobie sprawy z tego, jakie to bolesne znaleźć się w obcym sobie środowisku, bez względu na to, jak luksusowym. Za

kilka godzin czekał ją bał, który większość młodych dam uznawały za swój największy triumf, tymczasem Beth Armitage pragnęła jedynie znaleźć się z powrotem w malutkim, chłodnym pokoju u cioci Emmy i przygotowywać się do jutrzejszych lekcji.

**Przekład Juliusza Kydryńskiego (przyp. tłum.).*

Kiedy Redcliff poinformowała ją, że już czas, wzięła kąpiel w delikatnie perfumowanej wodzie. Wytarła się i włożyła lekki gorset, jedwabne pończoszki i koszulę. Potem pokojówka pomogła jej włożyć suknię. Ta zaś zupełnie jakby żyła swoim własnym życiem: spływała, szeleściła i domagała się jedynie najwdzięczniejszych, najbardziej eleganckich ruchów.

Beth nie zdawała sobie sprawy z tego, jak wspaniała jest to toaleta. Włożona na koszulkę suknia nie ukazywała zbyt wiele, lecz nie zakrywała tyle, ile jej właścicielka by sobie życzyła. Beth nie dostrzegła jednak, jak głęboki dekolt oraz mistrzowsko skrojony stanik znakomicie podkreślają biust. Nie wydawało jej się to czymś stosownym, ale musiała się z tym pogodzić. Nalegała, by zamówiono pasujący do sukni czepek, ale na jego widok też doznała wstrząsu. Widocznie słowo „czepek” można było bardzo dowolnie interpretować. Ten był jedynie paskiem jedwabiu, wyszywanym perełkami, usztywnionym od spodu. Ozdobiono go atłasowymi wstążkami, które tworzyły z jednej strony śliczny węzeł.

- Czy mam uczesać włosy w kok? - spytała pokojówka. Kok wydał się Beth czymś skromnym, więc się na niego zgodziła, ale efekt końcowy ją zaskoczył. Przy wysoko upiętych włosach jej szyja wydawała się smuklejsza, a po włożeniu brylantowego naszyjnika - stała się niemal łabędzia. Zrezygnowana Beth pozwoliła pokojówce

pomóc sobie przy wkładaniu długich rękawiczek z koźlej skóry i zapiąć bransoletkę na jednym ręku. Następnie Redcliff wpięła jej do uszu brylantowe kolczyki, a w środku zamotanych wstążek przy nakryciu głowy umocowała broszkę.

Teraz pozostało jedynie wsunąć nogi w atlasowe pantofelki i stanąć przed lustrem. Beth domyślała się, co zobaczy: pannę Armitage w najkorzystniejszym wydaniu - szczupłą, ale apetycznie zaokrągloną, o jasnej karnacji i lśniących włosach. Był tylko jeden szkopuł: dobrze wiedziała, że i tak nie można jej uznać za piękność.

Przyzwoicie się prezentowała i książęca para nie będzie miała powodu, by się za nią wstydzić, ale mimo usilnych zabiegów i tak była tylko dziewczyną o przeciętnej urodzie. Wolałaby, żeby nikt nie zauważył, iż się starała wyglądać lepiej.

Zdziwiła się, kiedy ją poinformowano, że przyszedł markiz, by ją zaprowadzić na dół, ale zrezygnowana przystała na swój los. Dziś wieczorem był ich debiut aktorski.

Nawet zapomniała pomyśleć, jak też jej narzeczony będzie się prezentował. Aż jej odebrało dech na jego widok; oficjalny czarno-biały strój jeszcze podkreślał blask jego opalenizny i jasnych włosów. Znów poczuła dreszcz, ostrzegający ją po raz kolejny, że nie jest odporna na wdzięki markiza.

- Ładnie pani wygląda - rzekł przyjaznym tonem.

Mająca nerwy napięte do granic Beth odpowiedziała ostro:

- Chyba to samo mogę powiedzieć o panu. Jak cię widzą, tak cię piszą, nieprawdaż?

Oczy mu błysnęły, ale nadal się uśmiechał. Podał jej ramię i ruszyli korytarzem.

- Sugeruje pani, panno Armitage, że pod tymi barwnymi

piórkami kryje się zwykły wróbel? - spytał lekko.
Spojrzała na niego.

- Wróbel jest za mały. Może kogut?

Ich spojrzenia się spotkały i chociaż markiz wciąż się uśmiechał, jego wzrok stawał się coraz zimniejszy.

- Przypuszcza pani, że się nie zemszczę, kiedy jest pani taka wystrojona? Może ma pani rację. Ale niewykluczone, że zapamiętam to sobie i nie puszczę płazem.

Zbyt wyraźnie do niej pił. Beth wiedziała, że można jej zarzucić, iż uparcie pielęgnuje urazy.

- W takim razie możemy być parą gdaczących kwok - powiedziała gorzko - chowających w sercu żal, aż wykluje się z tego jakieś nieszczęście.

Chciała, żeby zabrzmiało to jak propozycja zawarcia pokoju, i może markiz odebrał to w ten sposób, bo się roześmiał.

- Nie zgadzam się być żadnym przedstawicielem drobiu. Wolę, żeby uważano mnie za sokoła. Szlachetny myśliwy o ostrych szponach.

To wzbudzało zbyt duży lęk.

- Nie wątpię - rzekła cierpko Beth - ale myślę, że raczej chodzi o srokę rzucającą się na bezwartościowe świedelka.

- A ty, moja droga - odparł, jego dobry humor przysł - jeśli ciągnąć tę analogię, przemieniasz się w harpię o ostrych zębach i pazurach.

Bez ostrzeżenia otworzył jakieś drzwi i wciągnął ją za sobą do pokoju. Była to sypialnia.

Beth spojrzała na niego oczami wielkimi z przerażenia.

Dlaczego nie potrafi zapanować nad swym ciętym językiem? Dlaczego zapomina, że markiz Arden jest zupełnie niepodobny do mężczyzn, których znała wcześniej?

Był niebezpieczny.

Buntownicza Beth przypomniała jej, że postanowiła nie dać się zastraszyć markizowi. Ostrożna Beth szepnęła, że nie brała pod uwagę, iż znajdzie się z nim sam na sam w sypialni.

- Co pan robi? - spytała. Wypadło to nieco piskliwie. Nie dotykał jej, ale specjalnie stał blisko, demonstrując swą fizyczną przewagę. Beth wysiłkiem woli powstrzymała się, by się nie cofnąć.

- Przypominam pani o naszej umowie - powiedział cierpko. - Czy będzie się pani zachowywała dziś wieczorem jak przystoi?

Beth zamierzała dotrzymać danego słowa, ale nie lubiła, kiedy jej mówiono, by się odpowiednio zachowywała. Uniosła głowę.

- Czy nie widzi pan, że jestem wystrojona jak paw? - spytała gorzko. - Obwieszona rodowymi klejnotami?

- Wie pani, że to tylko mniej istotna część umowy. Beth prychnęła.

- Nie zamierzam nazwać pana pawianem w obecności pańskich przyjaciół i sąsiadów, milordzie.

Zacisnął usta.

- To za mało, Elizabeth. Jedynym rozsądnym wytłumaczeniem naszego małżeństwa jest to, że jesteśmy zakochani. Do szaleństwa, beznadziejnie zakochani.

Dzięki Bogu dobre wychowanie zwalnia nas z konieczności zbyt wylewnego okazywania naszych uczuć. - Cofnął się o krok, ale wcale nie poczuła ulgi, bo zrobił tak tylko dlatego, by zmierzyć ją wzrokiem od stóp do głów.

Beth czuła, że się czerwieni.

- Ale - ciągnął - potrzebne jest to coś w naszym spojrzeniu, nie uważa pani?

Beth zmusiła się do wzruszenia ramionami i przyjrzała

się markizowi tak samo, jak on jej.

- Nie będzie to łatwe, milordzie, ale spróbuję.

Znów podszedł do niej, ujął ją pod brodę i zmusił, by mu spojrzała prosto w twarz.

- Postaraj się, żeby ci się to udało, Elizabeth, bo w przeciwnym razie odbiorę niehonorowy dług.

- Pan w ogóle się nie stara - powiedziała gwałtownie, wrywając mu się. - Czy nie widzi pan, że to niewłaściwy sposób postępowania, żeby skłonić mnie do takiego zachowania, jakie panu odpowiada?

Odsunął się i odwrócił przodem do niej, unosząc brew.

- Jaki więc jest ten właściwy sposób? Byłem tak miły, jak tylko potrafię, ale spotykały mnie jedynie afronty.

Proponowałem pocałunki, ale je pani odrzuciła.

Przestałem się starać i wróciłem do ostrych słów. W tej chwili, moja droga przyszła żono, chcę jedynie, by dziś wieczorem nie doszło do skandalu. W ogóle nie biorę pod uwagę pani uczuć.

- Nie owija pan niczego w bawełnę - zauważyła Beth, zaskoczona jego aż nazbyt trafną analizą jej zachowania.

- Powiedziała pani kiedyś, że woli, by mówić bez ogródek. Wedle życzenia. Ma się pani zachowywać, jak przystoi.

Beth zadygotała, nie wiedziała: ze strachu czy ze złości.

- Jak większość zwierząt, milordzie, nie lubię bata. -

Nabrała głęboko powietrza, by się opanować, nim kłótnia wymknie się spod kontroli. - Gdyby przestał mi pan przypominać, że ma nade mną przewagę, myślę, że zachowywałabym się znacznie poprawniej. - Chciała, żeby zabrzmiało to jak propozycja pojednania, ale markiz nie odebrał tego w ten sposób.

- Nie mam powodów, by tak sądzić - powiedział nieprzejednanie. - Ale jeśli będzie się pani odpowiednio zachowywała, nie zajdzie potrzeba, bym uciekł się do

bata, prawda?

Beth zaciśniętą pięścią uderzyła w otwartą dłoń. Nigdy przedtem nie miała takiej ochoty, by zachować się nieobliczalnie, impulsywnie.

- Ale on wiecznie tu jest! - zaprotestowała. - Ani na moment nie mogę zapomnieć o pana władzy nad sobą! Markiz wzruszył ramionami i dostrzegła, że jest szczerze zakłopotany jej słowami.

- Ale tak już jest ten świat urządzony, Elizabeth. Ani pani nie może tego zmienić, ani ja. Jeśli obiecuję, że nigdy nie będę pani do niczego zmuszał, nie zmieni to faktu, że mogę to zrobić, i to prawdopodobnie w całym majestacie prawa.

Uśmiechnął się i widziała, że naprawdę stara się być miły.

- Nie ma potrzeby tak się unosić, moja droga. Nie będę zbyt wymagającym mężem, a - dodał lekko - ładnym kobietom na ogół nie sprawia kłopotów podporządkowanie sobie swych małżonków. Znam wielu mężczyzn żyjących pod pantoflem.

Wydawało się, że rozmawiają dwoma różnymi językami. Beth przeszła złość i pozostał tylko smutek.

- Nie musi się pan tego obawiać, milordzie - rzekła cicho. - Nigdy nie będę próbowała wykorzystać swych wdzięków, by panem rządzić.

Oświadczywszy to, podeszła do drzwi, ale grzecznie zaczekała, aż je przed nią otworzy.

- Proszę zauważyć - powiedział, kiedy wychodziła przodem - że się powstrzymałem od skomentowania pani oświadczenia w sposób, który sam się narzuca.

Rzucił to lekkim tonem, do którego Beth się dostosowała.

- Wolałby pan, żebym wykorzystała swoje wdzięki?

Rozczaruje się pan, lordzie Arden. Nie dysponuję nimi.

- Jakie to szczęście - odparł, przeciągając słowa - że mam ich dość za dwoje.

Przypuszczała, że była to z jego strony próba rozładowania napięcia przed czekającym ich wieczorem pełnym pułapek i zasadzek.

Szli w milczeniu, póki się nie znaleźli tuż przed otwartymi drzwiami do bawialni. Ze środka dochodził gwar rozmów, okraszany okrzykami i śmiechem. Oczom Beth ukazał się tłum wystrojonych gości, wiedziała, że bawialnia jest ich pełna. Zrozumiała niepokój markiza o zachowanie pozorów. Mieli wystąpić przed śmietanką towarzyską.

Zatrzymała się i zwróciła do niego.

- Przepraszam, jeśli zachowywałam się nierozsądnie, milordzie. Chyba już nie odróżniam, co dobre, a co złe, co mądre, a co głupie. Kiedy walczymy, by utrzymać się na powierzchni w wodzie, której nie znamy, nie zawsze zwracamy uwagę na innych.

Przyjrzał się jej uważnie i znów odniosła wrażenie, że przynajmniej stara się zrozumieć jej punkt widzenia. Chciał jej odpowiedzieć, ale spojrzawszy przez ramię zrezygnował.

- Patrzą na nas. Pocałuję panią bardzo lekko, Elizabeth. Wydatnie nam to pomoże w zachowaniu pozorów, że jesteśmy do szaleństwa zakochani, i zmniejszy - dodał sucho -wymaganą liczbę omdlewających spojrzeń. Chociaż odczuwała przemożną chęć, by uciec, stała bez ruchu, kiedy objął ją i dotknął ustami jej ust. Jak obiecał, pocałunek był delikatny i nie powinien wywołać lęku, jednak nie pozostawił Beth całkowicie obojętną. Był to ich pierwszy pocałunek i zawierał w sobie coś cennego - może troskę, a nawet coś więcej - ciepło rodzącej się przyjaźni. Beth uniosła dłoń, by lekko musnąć policzek markiza.

Rzucił jej krótkie, podejrzliwe spojrzenie. Serce w niej zamarło, kiedy pojęła, że odebrał ten gest jako dowód jej śmiałości. Rzeczywiście stąpali po grząskim gruncie. Ostatecznie nie była pensjonarką, która rumieni się z lada powodu. Była dojrzałą i pewną siebie kobietą, posiadającą przynajmniej książkową wiedzę o mężczyznach, a jednak, z powodu jej głupich słów, jeśli przez chwilę nie miała się na baczności, widział w niej rozpustnicę. Westchnęła, położyła mu dłoń na ramieniu i pozwoliła, by ją wprowadził do jaskini lwa.

W przestronnym, pełnym złocień salonie między ozdobnymi pilastrami wisały gobeliny. Na stropie w regularnych odstępach wymalowany był niebiesko-czerwono-złoty herb de Vaux. Setki świec w skrzących się kandelabrach zdawały się odbijać blask biżuterii i chciwych spojrzeń. Wszyscy umilkli. Beth odnosiła wrażenie, że wpatrują się w nich tysiące par oczu. Zacisnęła dłoń na ramieniu markiza.

Księżę i księżna podeszli do nich i stanęli po obu ich stronach. Następnie księżę przedstawił przyszłą synową. Wszyscy przyjaciele i sąsiedzi głośno bili brawo, ale Beth widziała niedowierzanie na twarzach niektórych, a zawiść w oczach innych. Kiedy znów w sali zapanował gwar, wiedziała, że teraz ona jest tematem rozmów.

Domyślała się, co mówią. „Taka niepozorna.” Nie ma w sobie nic wyjątkowego.” „Nie umywa się do...”

Zapomniała o wyznawanych przez siebie ideałach niezależności i była wdzięczna niebiosom, że charakter wieczoru wymaga, by markiz nie odstępował od niej, w przeciwnym bowiem razie mogłaby ulec panice.

Przerażała ją liczba gości - a byli to tylko ci, których zaproszono na kolację - i sposób, w jaki na nią patrzyli, gdy po kolei podchodziła z narzeczonym do każdej grupki obecnych.

Nie obyło się bez impertynenckich pytań i zazdrosnych spojrzeń młodych panien na wydaniu oraz ich mamuś. Nie obyło się bez nieszczerzej, nadmiernej familiarności. Była zaskoczona i zakłopotana liczbą osób, które próbowały się jej przy-pochlebiać. A przecież była tylko Beth Armitage, nauczycielką.

Jedynie trzech młodzieńcy, którzy przyjechali z Londynu, zachowywali się naturalnie. Beth była ciekawa, co markiz im powiedział, bo musieli go dobrze znać.

Lord Amleigh był przystojnym, ciemnowłosym młodzieńcem o żywych, szarych oczach. Sprawiał wrażenie człowieka uczuciowego, niemal gwałtownego.

Lord Darius Debenham miał płowe włosy i niebieskie oczy. Nie można go było określić mianem „przystojny”, ale nie ulegało wątpliwości, że lubi figle. Wyglądał dokładnie tak, jak ktoś, kto chciałby spróbować zbudować fontannę, z której tryskałby szampan zamiast wody.

Pan Beaumont sylwetką przypominał markiza i był niemal równie przystojny, jak on ze swymi ciemnymi włosami i oczami. Ze współczuciem patrzyła na pusty rękaw jego surduta.

Ci trzej rozmawiali z dwójką sąsiadów o rumianych twarzach - panem Pedersbym i sir Vincentem Hookiem zachowujących się trochę zbyt hałaśliwie.

Po przedstawieniu całej piątki przemówił pan Beaumont.

- Panno Armitage - rzekł, unosząc jej dłoń i całując ją z wprawą donżuana. - A więc to pani jest skarbem ukrywanym przez Ardena. Teraz go rozumiem.

Zdecydowanie różni się pani od innych kobiet.

Beth spojrzała na niego ostro, doszukując się w jego słowach jakiejś insynuacji, ale nawet jeśli tak było - dobrze ją zakamuflował.

- Dziękuję, panie Beaumont - odparła. - Nigdy nie stara-

łam się być jedną z wielu.

- Ale jest pani, a do tego stoi pani na samym czele hordy - powiedział sir Vincent, śmiejąc się głupawo. - Hordy piękności, które polowały na biednego markiza.

Beth spojrzała na markiza, szukając u niego pomocy, ale akurat się śmiał z jakiejś uwagi rzuconej przez lorda Dariusa. Postanowiła dać ujście swej irytacji, skupiając się na odpowiednim celu.

- Hordy? - spytała lekko, bawiąc się wachlarzem. - Może chodzi o kierdel owiec? Ale owce nie polują. A może o chmarę szpaków? Proszę mi powiedzieć, sir Vincencie, jakie ptaki polują grupowo?

- No cóż... - Pulchny sir Vincent poczerwieniał jeszcze bardziej, otwierał i zamykał usta jak ryba. - Że się tak wyrażę...

- Może miał pan na myśli wilki - podpowiedziała Beth niczym życzliwa nauczycielka. - Ale wilki tworzą watahy. A może chodzi o stado dumnych lwów?

Zorientowała się, że markiz i pozostali mężczyźni przysłuchują się rozmowie.

- Czyżbyśmy zakładali zoo? - spytał Arden delikatnie. - Dumnych lwów? Może raczej dumnych książąt.

Beth nie mogła się powstrzymać od śmiechu.

- Albo markizów. A co powiecie na pisk kurcząt? Możemy to zmienić na pisk pokojówek.

- Gęganie gęsi stanie się gęganiem wdów - rzucił z uśmiechem. - Nie, to nie najtrafniejsze. Mam lepszy pomysł. Skwapliwość lampartów i skwapliwość libertynów.

- Czy słysząc to, powinnam może „zapiszczyć”? - spytała Beth, zachwycona tą bystrą i absurdalną rozmową. - A co by pan zrobił ze złośliwością pawianów, milordzie?

- Porównał ze złośliwością nauczycielek - odparł z

triumfem, Beth była świadoma tego, że pięciu mężczyzn przygląda się

im z mniejszym czy większym zaskoczeniem. Przez kilka chwil zapomniała, gdzie się znajduje, i odkryła coś cennego. Nie pamiętała, by ktoś wcześniej zdołał dorównać jej inteligencji, i aż zakreśliło się jej w głowie. Rzuciła szybkie, nieśmiałe spojrzenie na markiza.

Stwierdziła, że on też był zaskoczony. Panujące milczenie przerwał wicehrabia Amleigh.

- Panno Armitage, potrzebne jest bardzo specyficzne słowo, by opisać polujące bestie z salonu Almack's.

Beth uśmiechnęła się do przystojnego młodzieńca, którego niewątpliwie ścigano tam z wielką determinacją.

- Gwardia mamuś? - zaproponowała.

- Pospolite ruszenie debiutantek - sucho wtrącił markiz. -

Uważam, że powinniśmy przestać, Elizabeth, w przeciwnym razie zdobędziemy sobie opinię moli

książkowych. - Odwrócił się do swych przyjaciół. -

Wiecie, że nie zaprosiłem was tu, żebyście się dobrze bawili. Wszyscy oczekują, że zmniejszycie desperację niektórych debiutantek z sąsiedztwa. Odnosi się to również do was, Pedersby i sir Vincencie.

Mężczyźni z humorem przyjęli rozkazy i odeszli, by zabawiać młode damy siedzące grzecznie ze swymi rodzicami.

Po tej dowcipnej rozmowie Beth stała się nagle beztroska.

- Czy żałuje pan swojego kawalerskiego stanu, milordzie?

Spojrzał na nią zimno.

- Jakie to ma znaczenie? Nie winie pani za naszą sytuację. - Nieznacznie zaakcentował zaimek.

Zapomniawszy, gdzie są, Beth poczuła, że znów wrze gniewem.

- No cóż...

Ale zamilkła, bo markiz mocno ścisnął ją za łokieć, aż poczuła ból i osunęła się na krzesło.

- Źle się poczułaś, moja droga? - spytał markiz uprzejmie. Księżna pospieszyła w ich stronę.

- Czy coś się stało, moi drodzy?

Beth pokręciła głową, ukrywając szok.

- Nie - powiedziała. - Poczułam nagle ból... - Spojrzała w zimne oczy swego narzeczonego —... w kostce.

Skręciłam ją w zeszłym roku i czasem niespodziewanie mi dokucza.

- Mam nadzieję, Elizabeth, że nie przeszkodzi ci to tańczyć - zaniepokoiła się księżna.

Beth wstała.

- Och nie, wasza miłość. To tylko nadmierna troska markiza skłoniła mnie do zajęcia miejsca siedzącego.

Rzuciła mu spojrzenie i uświadomiła sobie, że znów doszło między nimi do konfliktu. Właśnie wtedy ogłoszono, że podano do stołu, a ponieważ było to przyjęcie z okazji zaręczyn, Beth musiała oprzeć się na ramieniu markiza i na czele procesji gości udać się do jadalni.

- Cóż z pani za wyjątkowa blagierka - powiedział z niejakim podziwem.

- Prawda? - odparła Beth, zbyt rozzłoszczona tą chwilą brutalnej dominacji, by dobrać słowa.

Przeszli dziesięć kroków w milczeniu, ale nie mogła się powstrzymać, by na niego nie spojrzeć. Usta miał zaciśnięte, wzrok chłodny.

- Tak, to było niemądre, prawda? Jeśli będzie pani ze mną walczyła, Elizabeth, przegra pani i musi się pani liczyć z przykrymi konsekwencjami. Niech się pani nie spodziewa, że będę zważał na delikatność pani uczuć.

- Co się stało z naszym zawieszeniem broni? - spytała ci-

cho, ale dobitnie.

- Obowiązuje poty, póki zachowuje się pani jak należy. Beth powstrzymała się od wypowiedzenia gniewnych słów i spojrzała przed siebie. Jej sytuacja, pomyślała z goryczą, przypomina sytuację oddziału skazanego na stracenie, kiedy w obliczu klęski, nie mając szansy na przeżycie, żołnierze nacierają śmiało, brawurowo, na wroga. Może być uległa i zostać niewolnicą albo walczyć i ponieść klęskę.

Może przynajmniej polec z honorem. Nie było mowy o urządzeniu karczemnej awantury, więc kiedy zajmowali miejsca, posłużyła się delikatniejszym orężem.

- Obiecuję - powiedziała słodko - że będę dokładnie taką oblubienicą, na jaką pan zasługuje, szlachetny markizie.

Markiz był w pierwszej chwili zaskoczony, ale wkrótce przybrał podobny ton, uniósł jej dłoń i złożył na niej długi pocałunek. Rozległ się śmiech, goście obrzucili ich rozmarzonymi spojrzeniami.

- „Gdybyśmy się obchodzili z każdym wedle jego zasług - mruknął - któż by uniknął chłosty?”*

Beth uniosła brwi.

- Nie przypominam sobie, by jakiegoś członka arystokracji ostatnio postawiono pod pręgierzem. A jednak - ciągnęła uprzejmie - czyż w Biblii nie jest powiedziane „A co człowiek sieje, to i żąć będzie”**?

- Lecz ja jestem tylko jak ta lilia na polu - odparował. - Ani nie sieję, ani nie żnę.

- Aha! - wykrzyknęła. - Poplątał pan wersy, milordzie. Lilie na polu nie pracują ani nie przędą. To ptaki w powietrzu nie sieją ani nie żną. Myślałam - zauważyła nieśmiało - że nie chce pan być zaliczany do tego typu ptaszków.

-Bardzo dobrze - powiedział z uśmiechem, uznając jej

zwycięstwo. Już po chwili jednak zrobił triumfalną minę. Beth czekała czujnie. - Mimo to nazwała mnie pani kogutem? Bardzo nieroztropnie...

**Przekład Józefa Paszkowskiego (przyp. tłum) **Za Biblią Tysiąclecia (przyp. tłum.).*

Nawet Beth domyśliła się, w jakim sensie użył tego słowa, i poczerwieniała. Słuchając jego uwag, poczuła w środku miłe ciepło, i ujrzała niemal pożądanie w jego oczach. Postanowiła to zignorować.

- Każdy kogut na swych śmieciach śmielszy - rzuciła, próbując sprowadzić ich słowną szermierkę na bezpieczniejsze wody.

W niebieskich oczach markiza pokazały się wesołe iskierki.

- Kiedy się nastroszy?

Gra wymknęła się Beth spod kontroli i przestała do końca rozumieć aluzje, wiedziała, że musi się jakoś wycofać.

- „Nędzników lada pomyślność nadyma”* - przytoczyła pierwszy cytat, który jej przyszedł do głowy, i skupiła uwagę na zupie, która znalazła się przed nią.

Stwierdziła jednak, że trudno jej przełknąć pierwszą łyżkę. Z lewej strony emanowało coś groźnego.

Spojrzała ostrożnie w bok. Markiz Arden panował nad sobą, minę miał grzeczną i układną, ale jego oczy miały pioruny. Beth szybko przeanalizowała wypowiedziane słowa, szukając niezamierzonej obrazy. O, Boże. Nędznicy. Uznał, że to aluzja do jego urodzenia.

- Przepraszam - powiedziała, starając się, by zabrzmiało to szczerze, a zarazem zachowując lekki ton z uwagi na tych, którzy siedzieli w pobliżu. - Nie chciałam... Nie chciałam nikogo dotknąć, milordzie.

Jej słowa jeszcze bardziej go rozgniewały.

- Czyli zdaje sobie pani sprawę z tego, jak można to było odebrać? - spytał równie lekko, ale przez zaciśnięte zęby. - Musi mi pani powiedzieć, co pani sądzi o moim charakterze, kiedy bliżej mnie pani pozna.

Beth nie miała najmniejszego pojęcia, co miał na myśli, więc zrobiła jedyną rozsądną rzecz w tej sytuacji - zajęła się jedzeniem zupy.

Kiedy podano szóstą potrawę z ryb, na tyle się uspokoiła, że zdołała rzucić jakąś niewinną uwagę, a on na tyle ochłonął, by na nią odpowiedzieć. Wiedząc, że milczenie stanie się powodem komentarzy, zaczęli rozmawiać i nawet wolno wracać do żartobliwego przekomarzania się. Ale teraz bardzo się pilnowali, chociaż z ich twarzy nie schodził uśmiech.

**Przekład Leona Ulricha (przyp. tłum.).*

Markiz rzucał Beth nieszczerze komplementy, a ona nie pozostawała mu dłużna. Odczuwała satysfakcję, że daje sobie radę, że dorównuje mu inteligencją. Była jednak ostrożna - tak ostrożna, jak ktoś, kto porusza się w terenie pełnym niebezpiecznych zasadzek.

Wydawało jej się, że od czasu do czasu dostrzega w oczach markiza prawdziwe rozbawienie, ale on też miał się na baczności. W pewnej chwili, kiedy zrewanżowała mu się za pochwałę oczu komplementem o jego oczach, mruknął:

- Damie bardziej wypada jedynie uśmiechać się głupio. Beth, po trzech kieliszkach wina, szerzej otworzyła oczy i spytała:

- Naprawdę?

Markiz spuścił głowę i się roześmiał. "Znów obrzucono ich pobłażliwymi spojrzeniami. Beth uważała, że jego wesołość jest szczerą. Ale on też regularnie opróżniał

swój kieliszek z winem.

Całe towarzystwo było w wyśmienitych nastrojach dzięki dobremu jedzeniu i trunkom, więc kiedy przystąpiono do wznoszenia toastów, gęsto okraszone były one żartami, finezyjnymi i bardziej rubasznymi. Wzniesiono toast za regenta i całą rodzinę królewską. Oddano należną cześć żołnierzom i marynarzom.

Potem wstał książę.

- Moi przyjaciele. Jest to dla nas naprawdę niezwykle radosna chwila i cieszymy się, że możemy ją dzielić z wami. Nieczęsto się zdarza takie szczęście, by narzeczona była witana w gronie rodziny jak rodzona córka.

Oczy Beth zrobiły się okrągłe ze zdumienia i ledwo się powstrzymała, by nie spojrzeć z przerażeniem na markiza. Tymczasem on przykrył ręką jej dłoń w geście mającym być wyrazem miłości: Beth miała nadzieję, że chciał ją w ten sposób uspokoić. Albo pohamować.

- Razem z księżną ciekawi byliśmy, kiedy Arden znajdzie sobie narzeczoną. Tylu młodych ludzi w naszych czasach zdaje się nie odczuwać potrzeby ich szukania. Nie wiedzą, ile tracą. Z radością powitalibyśmy każdą młodą kobietę, która cieszyłaby się jego względami, ale szczerze mu dziękujemy za wybranie naszej drogiej Elizabeth.

Wszyscy przyłączyli się do toastu, a potem wstał markiz.

- Niektórzy młodzi mężczyźni - powiedział, spoglądając znacząco na swych przyjaciół - rzeczywiście uważają, że żona odgrywa w życiu niewielką rolę. Mogę ich zapewnić, że się mylą. Czyż Eurypides nie powiedział „Skarb męża - żona, która go rozumie”? - Beth zeszywniała, słysząc słowo „skarb”. Wiedziała, że użyte zostało rozmyślnie, ale zachowała uśmiech na twarzy. - Eurypides miał rację. Moje życie już jest barwniejsze

dzięki mojej narzeczonej i z przyjemnością oczekuję na przyszłe rozkosze.

Same słowa nie zawierały nic obraźliwego, jednak coś w sposobie, w jaki zostały wypowiedziane, wywołało chichoty i rubaszny śmiech. Beth wiedziała, że się czerwieni, ale w jednej czwartej było to spowodowane zakłopotaniem, a w trzech czwartych - złością. Dlaczego społeczne konwenanse dawały prawo wznoszenia toastów jedynie mężczyznom? Z przyjemnością skorzystałaby z okazji, by rzucić kilka celnych uwag.

- Spadkobierca wielkiego rodu - ciągnął - nie może żyć w kawalerskim stanie, ale nie było mi spieszno do żeniaczki. Elizabeth usidliła mnie zniechęca. Nie robimy tajemnicy z faktu, że nie wnosi w ten związek pieniędzy ani wielkiego nazwiska, i cieszy mnie to. Bo czy ktoś może w tej sytuacji wątpić, że połączył nas najsilniejszy przymus...

Tak zaakcentował to słowo, że Beth przeszły ciarki po skórze. Wydawało się, że upłynęła wieczność, nim dodał:

- Miłość.

Uniosła wzrok i ich spojrzenia się spotkały.

- Bo przecież rodzące się skłonności mają w sobie niewytłumaczalny urok - dodał pogodnie. - Radzę wszystkim samotnym kawalerom, by się zakochali. Beth utkwiała wzrok w swoim talerzu, zastanawiając się, ilu z obecnych rozpozna cytaty z Molière, w którego dalszej części dramaturg pisał, że cała rozkosz miłości polega na zmianie**. Ale przynajmniej ona i markiz nie musieli się obawiać utraty czegoś, czego nigdy nie mieli. Uświadomiła sobie, że umknął jej fragment jego wypowiedzi, ale z uwagi na jej styl, wcale tego nie żałowała.

-Proszę was - powiedział markiz na zakończenie - byście

jeszcze raz wypili za Elizabeth. I za rodzinę. I za miłość.

**Przekład Jerzego Łanowskiego (przyp. tłum.). **Przekład Jacka Trznadla (przyp. tłum.).*

Wszyscy ochoczo to uczynili i Beth nie dostrzegała obłudy na uśmiechniętych twarzach. Może ludzie słyszą to, co chcą usłyszeć. A może, jak napisał Szekspir, „Świat jest teatrem, aktorami ludzie...”*

** Przekład Leona Ulricha (przyp. tłum.).*

10

Po kolacji nie mitrężono zbytnio czasu, bo zaczęli przybywać goście, zaproszeni na bal, i należało ich powitać. Beth czuła się jak aktorka przystępująca do odegrania kolejnej sceny sztuki.

Znów były zdumione spojrzenia, spekulacje, zawiść. Mogła przysiąc, że kilka matron uważnie przyjrzało się jej kibici.

Poczuła ulgę, kiedy rozpoczęły się tańce, wreszcie mogła uciec przed badawczymi spojrzeniami. Ale kiedy markiz poprowadził ją na środek sali, by z nią zatańczyć otwierającego bal menueta, w pewnym sensie po raz pierwszy od ich dyskusji przy stole, prowadzonej półgłosem, znaleźli się poza zasięgiem uszu innych. Przygotowała się na złośliwą uwagę, nieważne jak słodkim tonem rzuconą. Ale nie doczekała się jej.

- Sprawia pani wrażenie zdenerwowanej - rzekł. - Czyżby zapomniała pani kroków?

- Mój drogi panie - odparła - dorastałam na pensji dla panienek. Potrafię wykonać menueta z zamkniętymi oczami.

- Być może - powiedział z figlarnym błyskiem w oku - ale czy kiedykolwiek tańczyła go pani z mężczyzną?

Zajęli swoje miejsca pośród czterech par, stając przodem

do księcia i księżnej, znajdujących się w głębi sali.

- Zapewniam pana, że tak - odrzekła Beth. - Często demonstrowałam figury z monsieur de Lo, naszym nauczycielem tańca.

- Menueta *a deux* - dopytywał się.

- Czasem - odparła Beth, nie ufając tonowi jego głosu.

- Powszechnie się uważa, że właśnie dlatego tyle wrażliwych, młodych dam zakochuje się w swych nauczycielach tańca. Przez to wpatrywanie się w oczy.

- Zapewniam pana... - Słowa Beth zagłuszyły pierwsze takty muzyki. Wraz z pozostałymi tancerzami głęboko się ukloniła przed księciem i księżną. Nawet kiedy wysunęła prawą nogę i wolno ugięła lewą, wyczuwała elegancję ukłonu markiza. Odezwał się w niej duch współzawodnictwa. Arden odebrał staranne wykształcenie w dziedzinie tańców dworskich, ale ona była przecież profesjonalistką.

Odwrócili się twarzami do siebie. Przyglądała mu się uważnie. Kiedy, jak się tego spodziewała, wykonał głęboki, skomplikowany ukłon, ona dygnęła tak nisko, jak jej tylko na to pozwalała suknia, ani na chwilę nie odrywając wzroku od jego oczu. Potem wolno się wyprostowała. Położyła dłoń na jego wyciągniętym ramieniu dopiero w ostatniej chwili, by wszyscy widzieli, że nie potrzebuje pomocy, by się wyprostować. Przez salę przebiegły oklaski.

Markiz uśmiechnął się i lekkim skinieniem głowy dał wyraz swemu uznaniu. Potem ujął obie jej dłonie i uniósł je do pocałunku, cały czas patrząc jej w twarz. Do Beth zaczęło docierać, co miał na myśli. Menuet *a deux*, podczas którego ani razu nie odwracało się wzroku od partnera, mógł z łatwością zawrócić w głowie młodziutkiej dziewczynie. Co za szczęście, że nie była młodziutką dziewczyną i że tańczyli w cztery pary.

Zabrzmiał właściwy akompaniament i Beth mogła odwrócić wzrok, jako że razem z innymi damami przeszła do środka wolnym, pełnym gracji krokiem menuetowym. Panie wzięły się za ręce i utworzyły kółeczko, po czym zaczęły obracać się w prawo, a panowie - w lewo.

Będąc jeszcze nie tak dawno nauczycielką, Beth nie mogła się powstrzymać przed ocenianiem tańczących. Phoebe Swinnamer była czwartą tancerką i sunęła jak łabędź. Jednak od czasu do czasu dawała upust skłonności do nadmiernej afektacji, co psuło płynność ruchów.

Panie znów wróciły do swoich partnerów, pary zrobiły jeszcze jedno okrążenie, patrząc sobie w oczy.

- Monsieur de Lo był bardzo dobrym nauczycielem - pochwalił ją markiz.

- Podobnie, jak pański nauczyciel, milordzie - odparła uprzejmie Beth. - Chociaż mógłby pan trochę bardziej wysuwać nogę.

Uniósł brew.

- Czyżby mi pani zarzucała, że nie mam wystarczająco wysokiego podbicia, moja droga?

Beth zagryzła usta, żeby nie zachichotać. Trzymali się teraz tylko za jedną rękę i przeszli do kolejnej figury, specjalnie możliwie najdłużej nie spuszczać wzroku ze swoich twarzy. Phoebe Swinnamer miała kwaśną minę i prawie pomyliła krok.

Beth musiała przyznać, że demonstrując figury taneczne z monsieur de Lo, nie dowiedziała się niczego o możliwościach flirtowania w tym majestatycznym tańcu. Nie, nie flirtowania. Uwodzenia.

Partnerzy krążyli wokół siebie, ale nigdy się od siebie zbyt oddalali i cały czas byli świadomi swojej obecności. Zbliżali się, połączeni uściskiem rąk i

spojrzeniami oczu. Wprawnym tancerzom, którzy nie musieli zaprzętać sobie głowy kolejnymi figurami, posuwiste kroki umożliwiały skupienie całej uwagi na partnerze, co przypominało wolny pocałunek.

Zaskoczona swymi niezwykłymi myślami, Beth spojrzała na markiza, powoli go okrążając. To wyraz jego oczu sprowokował ją do takich myśli.

- Zatańczymy menueta a deux na naszym weselu, Elizabeth.

- Nie - sprzeciwiła się odruchowo. . - Ależ tak. Taki jest zwyczaj!

Znow się od siebie oddalili. Taniec bardzo przypominał ich wspólne życie: krótkie chwile, spędzone razem, prowadzące zawsze do separacji. Menuet d deux będzie stosownym początkiem ich małżeństwa, preludium do poważniejszych wyzwań, jakie ich czekały we wspólnym życiu.

Po menuecie rozpoczął się właściwy bal. Beth tańczyła z różnymi partnerami, zadowolona, że może się ukryć w tłumie i w końcu uciec przed ciekawskimi spojrzeniami. Księżna zmusiła młodych kawalerów, by zajęli się pannami podpierającymi ściany, więc Beth tańczyła głównie ze starszymi mężczyznami, co jej bardzo odpowiadało.

Tylko raz źle trafiła. Lord Deveril miał ziemistą cerę, był kościsty, ale wyczuwało się w nim brutalną siłę. Na dodatek śmierdział. Może głównym tego powodem były zęby, bo kiedy się z rzadka uśmiechał, widać było, że są zaniedbane.

- Musi się pani uważać za prawdziwą szczęściarę - rzucił w pewnej chwili. - Nieliczne dziewczyny o pospolitej urodzie, bez pieniędzy, spotyka taki zaszczyt.

Jego maniery były tak nieprzyjemne, że Beth odważyła się na ostrą ripostę.

- Wprost przeciwnie, milordzie. To markiz ma szczęście. Niewielu młodych dandysów znajduje sobie wykształconą żonę.

Deveril wyszczerzył zepsute zęby.

- A po co im ktoś taki? Co za pożytek z intelektu w łóżku?

W obliczu tak karygodnego zachowania należało zostawić lorda, ale Beth nie chciała robić sceny, a ten okropny mężczyzna był gościem.

- Muszę pana prosić, lordzie Deveril, by powstrzymał się pan od mówienia o takich rzeczach - powiedziała chłodno.

- Na Boga! Przecież twierdzi pani, że jest kobietą wykształconą. Z pewnością pani wie, jaki jest cel zawierania małżeństwa? Wyraźnie jest o tym mowa w przysiędze.

Beth nic nie powiedziała, modląc się w duchu, by taniec jak najszybciej się skończył. Na szczęście trzeba było wykonać figurę, która przez jakiś czas uniemożliwiała prowadzenie konwersacji.

Ale nieuchronnie znów znalazła się obok swego partnera.

- Jaką ładną mamy pogodę, nieprawdaż? - spytała, zanim zdążył obrać jakiś innym temat rozmowy.

- Wspaniała wiosna - zgodził się. - Patrząc na ptaki wijące gniazda, wszyscy myślą o ożenku. Nie mam spadkobiercy, nawet dalekiego kuzyna. Podobnie jak markiz posłuchałem głosu natury i też znalazłem sobie atlasową poduszkę na długie, chłodne noce.

Beth ukarała go milczeniem i z ulgą usłyszała, że muzyka cichnie.

Odprowadzając ją z parkietu, lord Dervil powiedział:

- A skoro już mówimy o ptakach, moja gołąbeczko, powinna pani spytać markiza o gołąbki z Drury Lane.

Beth nie miała najmniejszego zamiaru pytać markiza o nic za podszeptem tego człowieka, ale odszukała go, wiedząc, że u jego boku poczuje się bezpieczniej. Miała wrażenie, jakby otarła się o coś plugawego.

Uniósł rękę i natychmiast przyniesiono jej szampana. Zaczęła pić łąpczywie, by się orzeźwić, i aż się zachłysnęła.

- Chyba lepsza byłaby lemoniada, milordzie.

- Jeśli zamierza pani pić tak łąpczywie, to chyba tak. Jest pani zgrzana. Może wyjdziemy na taras?

Spojrzała na niego podejrzliwie, ale uśmiechnął się.

- Proszę się nie denerwować. Nie będziemy sami. Jest tam wiele par, które pragną się ochłodzić. Chodźmy. Powietrze było rześkie i markiz nie kłamał. Na tarasie stało wielu gości, ale znaleźli ustronny kącik.

- Jak się pani podoba pani pierwszy bal? - spytał. Sprawiał wrażenie szczerze zainteresowanego.

- Wszyscy są bardzo sympatyczni - odpowiedziała. - Z wyjątkiem lorda Deverila.

Zmarszczył czoło.

- Nie powinno go tu być. Przyjechał z lady Gorgros, postanowiono nie robić zamieszania, wypraszając go.

Dlaczego zgodziła się pani z nim zatańczyć?

Beth przypomniała sobie, że to lady Gorgros przedstawiła jej wicehrabiego.

- Tańczę z każdym, kto mnie poprosi - odparła. Wzruszyła ramionami. - Wszyscy wydawali się ludźmi godnymi szacunku.

Zobaczyła, że markiz zeszywniał i utkwiał w niej wzrok.

- A on nie zachował się jak należy? Czy mam go wyzwąć na pojedynek?

Mówił zupełnie poważnie.

- Niech pan nie będzie śmieszny - odparła. - Ze wszystkich głupstw modnego życia najgorszy jest

zwyczaj pojedynkowania się mężczyzn o jakieś
błahostki. Znów powiało chłodem.

- Naturalnie - powiedział. - Pani uważa swój honor za
błahostkę. W jaki sposób panią obraził? Nazwał Mary
Wollstonecraft kobietą lekkich obyczajów?

Beth otworzyła usta, żeby ostro go skarcić, ale było to
niemożliwe w obecności gości. Stwierdziła, że głowa jej
pęka z bólu, i zamknęła oczy.

- Elizabeth?

- Proszę mnie zostawić w spokoju.

- Źle się pani czuje?

- Boli mnie głowa - powiedziała.

- W takim razie chodźmy, odszukamy mamę. Zajmie
się panią. Może powinna pani odpocząć.

Beth otworzyła oczy. Wydawało jej się, że dosłyszała w
jego głosie szczerą troskę. Kolejna zagadka do
rozwiązania.

- Nie mogę tego zrobić. Co by sobie pomyśleli ludzie?

- Źe za dużo pani tańczyła i być może trochę za dużo
wypiła wina. Chodźmy. - Delikatnie położył jej dłoń na
ramieniu, ale nie posłuchała go.

- Przed kolacją opadłam z sił, wcześniej wyjdę z balu.
Ludzie pomyślą, że musimy wziąć ślub. Spojrzał na nią
uważnie.

- A musimy?

Beth chciała, żeby ziemia ją pochłonięła. Dlaczego, ach
dlaczego wypowiedziała tamte niewybaczalne słowa
właśnie na tym tarasie?

- Wie pan, że tak - wymamrotała.

- A pani wie, co mam na myśli. Spodziewa się pani
dziecka?

- Naturalnie, że nie - gwałtownie zaprzeczyła. - Obiecał
pan, że nigdy więcej nie wróci do tamtej śmiesznej
sprawy.

- Bo gdyby tak było - ciągnął - to mógłby być pretekst do zerwania naszych zaręczyn. Nawet mój ojciec nie nalegałby na nasz ślub.

Beth zmusiła się, żeby na niego spojrzeć.

- Obawiam się, że nie mogę zaproponować tej drogi ratunku. I chociaż panu by to odpowiadało, milordzie, dla mnie byłaby to wątpliwa wolność, z bękartem na karku. Niemal widziała wysiłek, z jakim zmusił się do uśmiechu.

- Dajemy się ponosić emocjom, Elizabeth. Pamiętaj, że jesteśmy parą gołąbków.

Kiedy wracali na salę balową, Beth zapragnęła mu doku-
czyć i spytała:

- Może gołąbkami z Drury Lane?

Była zaskoczona, że się zarumienił, ale w tym momencie podszedł do niej ktoś i poprosił do tańca. Uśmiechnęła się mimo bólu głowy i rzuciła przeciągłe spojrzenie swemu narzeczonemu.

Z chwilą kiedy znalazła się daleko od niego, ból głowy zaczął się zmniejszać. Kolejny znak, że ich wspólne życie nie będzie łatwe.

W końcu zagrano walca, w którym jej partnerem był markiz. Beth rozpoczęła taniec z lekkim drżeniem serca, zastanawiała się, czy markiz wróci do ich sprzeczki.

Martwiła się również, czy utrzyma opinię niezrównanej tancerki. Na pensji panny Mallory nie uczono śmiałego walca.

Prawdę mówiąc, rozczarowała się tym ponoć ryzykownym tańcem. Z pewnością przetańczenie całego tańca z jednym partnerem było czymś dziwnym i mogło prowadzić do zażyłości, ale tańcząc tak blisko siebie, można spoglądać nad ramieniem partnera i prawie wcale nie rozmawiać, co z markizem udowodnili.

Gdy zasiedli do posiłku, Beth ujrzała u swego boku pana

Beaumonta. Bardzo go polubiła, bo był bezpośredni, miał poczucie humoru i, naturalnie, było jej go żal z powodu kalectwa. Chociaż dorównywał wzrostem i siłą markizowi, nigdy nie czuła się przy nim onieśmielona, być może za sprawą łagodniejszych rysów ogorzałej od słońca twarzy albo ciepła, bijącego z jego ciemnobrązowych oczu.

Mniej się ucieszyła, że przy tym samym stole siedzi Phoebe Swinnamer, bo zawsze odnosiła wrażenie, że młoda dama chętnie przebiłaby ją pierwszym ostrym narzędziem, jakie wpadłoby jej w rękę. Towarzyszem piękności przy kolacji był lord Darius. Beth mogła mieć tylko nadzieję, że syn księcia zaspokoi próżność dziewczyny, chociaż obawiała się, że fakt, iż lord Darius nie jest spadkobiercą tytułu, stanowi poważny minus w oczach panny, która myślała, że udało jej się takiego usidlić. Beth zwróciła się do swego sąsiada.

- Panie Beaumont, czy od dawna przyjaźni się pan z markizem?

- Od czasów Harrow, panno Armitage - odparł z uśmiechem. - I mogę ujawnić takie rzeczy z czasów szkolnych, które chciałby ukryć.

Beth zorientowała się ze sposobu, w jaki zostało to powiedziane, że Beaumont nie zamierza jej obrazić, ale markiz dosłyszał jego słowa i wtrącił się do rozmowy.

- Do czego zmierzasz, Hal?

- Cóż, Luce, uważam, że należy zdradzić twojej przyszłej oblubienicy twój straszny sekret.

- Ale chyba nie ten o krowie? - spytał markiz z niepokojem, co sprawiło, że Beth uniosła brwi.

- Naturalnie, że nie - powiedział pan Beaumont z powagą. , - O dzwonekach?

- To drobny grzeszek - odparł przyjaciel, lekceważąco machając ręką. - Prawdę mówiąc, podejrzewam, że nadal

jesteś z tego dumny.

Beth się odwróciła i usłyszała, jak markiz mówi z uśmiechem:

- Masz rację. Wymagało ogromnej pomysłowości zamienienie wszystkich przewodów dzwonków służby w szkole. Ale okazało się to nie najlepszym pomysłem do wypróbowania tutaj.

Pan Beaumont wybuchnął śmiechem.

- Chyba tego nie zrobiłeś!

- Zrobiłem - potwierdził markiz ponuro. - Musiałem wszystko naprawić, a potem mój ojciec - być może tylko Beth dosłyszała coś w tonie jego głosu, nim zaczął mówić dalej - kazał mi biegać po całym domu z niepotrzebnymi poleceniami, żeby mnie nauczyć, że nie należy przysparzać służbie zbędnej pracy.

- To osobliwe - wtrąciła się panna Swinnamer. - Jaka różnica dla służących, czy są wzywani potrzebnie, czy nie? Zawsze mogą być użyteczni.

- Cóż - rzekł sucho lord Darius - proszę na to spojrzeć z punktu widzenia gościa, który dzwoni po śniadanie i nie otrzymuje go, ponieważ służący myśli, że dzwonek zadzwonił w zupełnie innym pokoju.

- Ach, rozumiem - powiedziała młoda dama, uśmiechając się ciepło do swego partnera. Najwyraźniej syn księcia w garści był jednak coś wart. - Rzeczywiście, milordzie, to byłoby wielce denerwujące.

- Niewątpliwie służącemu należałaby się ostra reprymenda.

- Ależ oczywiście, lordzie Dariusie - łaskawie zgodziła się młoda dama. - Miałby szczęście, gdyby go nie odprawiono.

Lord Darius spojrział na nią.

- Kiedy wszystko spowodował jakiś żartowniś?

- Moja mama - oświadczyła panna Swinnamer - mówi,

że nie wolno pozwalać służącym tłumaczyć się, dlaczego źle pracują, bo wtedy będą zawsze się wymigiwać od swych obowiązków. - Rozejrzała się wkoło i może dostrzegła dezaprobatę obecnych. - Naturalnie sprawca całego zamieszania zasługuje na porządne baty.

- Moja droga Phoebe - odezwał się markiz, przeciągając sylaby - czy to oznacza, że pragniesz, by mnie wychłostano?

Biedna Phoebe najwyraźniej zapomniała początku rozmowy. Tylko się gapiła z otwartymi ustami, podczas gdy inni z mniejszym lub większym powodzeniem ukrywali uśmiechy.

Beth postanowiła się wtrącić.

- O ile zrozumiałam - powiedziała - złoczyńcę już odpowiednio ukarano. Pochwalam metody wychowawcze księcia. W moim przekonaniu kary cielesne rzadko osiągają zamierzony efekt, chyba że chodzi o przypadki zezwierzęcenia.

Markiz spojrział na lorda Dariusza i pana Beaumonta.

- Chyba nazwała nas bestiami - poinformował ich. Spojrział z ukosa na Beth. - Może nawet pawianami.

- Pawianami? - spytali jednocześnie.

Beth czuła, jak się czerwieni, ale spojrziała z poważną miną na markiza.

- Lord Arden żartuje. Chodzi mi jedynie o to, że dzieci szybciej uczą się odróżniać dobro od zła, kiedy wytłumaczy im się niewłaściwość ich postępowania, niż kiedy się je bije.

Markiz wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Czy zapomniałem wspomnieć o chłóście? Ale zarazem bardzo dokładnie mi wszystko wytłumaczono. Wydaje mi się, moja droga, że będziemy się spierać o metody wychowywania dzieci.

Na wspomnienie o dzieciach Beth odwróciła się do pana

Beaumonta, szukając bezpieczniejszego tematu rozmowy.

- Chyba będzie mi potrzebna amunicja. Jakież to straszny sekret zamierzał pan ujawnić?

Mężczyzna się uśmiechnął.

- Ukrywał go z największą troską - odparł. - Wprawdzie nie wiem, w jaki sposób uda się to pani wykorzystać, lecz jestem pewny, że jeśli uda się to komukolwiek, to właśnie pani. - Spojrzał z udawanym niepokojem na swego przyjaciela, który akurat żartował z lordem Dariusem, a potem ściszył głos do szeptu. - Był prymusem - mruknął. - Najlepszym uczniem w klasie. Beth, w pierwszej chwili zaskoczona, zachichotała.

- Przyznaję, że zaczęłam podejrzewać... Ale czemu trzymać to w tajemnicy?

- Dobry Boże, chyba nie mówi pani tego poważnie! Zyskać sławę erudyty? Lecz była to tylko chwilowa nieostrożność, spowodowana brakiem doświadczenia. Kiedy trafiliśmy do Cambridge, był już mądrzejszy i udało mu się tam przetrwać bez zwracania na siebie uwagi.

Beth w pierwszej chwili miała ochotę zaprotestować, ale stwierdziła, że usłyszane słowa zawierają dużo prawdy, i pokiwała głową.

- A pan, panie Beaumont? Czy był pan geniuszem?

- Nie, nigdy - zapewnił ją szczerze, jednak nieco rozba-
wiony. - Byłem najzupełniej przeciętnym uczniem. Daję pani słowo, panno Armitage.

- A co pan zrobił ze swymi przeciętnymi zdolnościami? - spytała, wiedząc, że jej rozmówca nie jest głupi.

- Byłem bardzo przeciętnym żołnierzem, panno Armitage.

- Nieprawda - powiedział markiz, znów włączając się do rozmowy; Beth podejrzewała, że cały czas się im

przysłuchiwał. - Został majorem, chociaż woli nie posługiwać się tym stopniem. Tak często wymieniano go w rozkazach dziennych, że w Gwardii Konnej już nie mogli słuchać jego nazwiska...

- Czyż nie dotyczy to wszystkich? - pospiesznie przerwał mu pan Beaumont. - Trzeba mieć wyjątkowego pecha, by w czasie wojny nie wyróżnić się od czasu do czasu.

- Niech to będzie dla ciebie nauką, Hal - powiedział markiz i Beth wiedziała, że ma na myśli zdradzanie sekretów, a nie wojenne wyczyny.

- Zapamiętam to sobie - oświadczył pan Beaumont. - Chociaż nie wydaje mi się, by panna Armitage wzięła ci za złe, że lubisz posługiwać się rozumem.

Markiz w zamyśleniu przyjrzał się Beth.

- Nie wiem. Będąc sama niezwykle inteligentna, może spróbować od czasu do czasu mnie zakasać.

Beth zarumieniła się na ten dowód jego przenikliwości.

- Mam taką nadzieję - rzekła zuchwale.

- Wyzwanie! - powiedział pan Beaumont. - Nie odważyłbym się założyć, kto zwycięży.

- A ja tak - oświadczyła panna Swinnamer. Zadowolona z siebie popatrzyła złośliwie na Beth. - Mama mówi, że kobieta nigdy nie wygra, starając się w czymkolwiek prześcignąć mężczyznę.

- Cóż, panno Swinnamer - odparła grzecznie Beth. - Nie mamy cienia wątpliwości, że pod tym względem nigdy nie będzie pani powodem niepokoju dla swej mamy.

Markiz zakrztusił się winem. Piękność wciąż zastanawiała się nad tą dziwną uwagą, kiedy markiz i Beth odeszli od stołu.

- Gdy pomyślę, że mało brakowało, bym się jej oświadczył, przechodzą mnie ciarki - powiedział, wciąż walcząc ze śmiechem.

- Dlaczego zamierzał się pan oświadczyć o rękę kogoś, z kim ma pan tak niewiele wspólnego?

Wzruszył ramionami.

- Moim obowiązkiem było poślubić kogoś, a chyba nie należę do mężczyzn, którzy się zakochują. Oczekiwano, że się ożenię z dziewczyną w rodzaju Phoebe Swinnamer - jest szlachetnie urodzona, posażna, piękna L. nadzwyczaj dobrze wychowana.

- Nie ma w tym jej zasługi - oświadczyła z mocą Beth, wiedząc że stanowi przeciwieństwo takiego ideału. Markiz uśmiechnął się do niej i pokręcił głową. , - Nie umie pani zapanować nad swymi emocjami, jak obydwójce wiemy.

- Potrafię być uprzejma - odparła Beth - chyba że ktoś mi da powód, żebym taka nie była.

- Jest pani złośnicą - stwierdził markiz, na jego twarzy wciąż widać było rozbawienie. - Ale proszę się tym nie przejmować. Coraz bardziej mi się to podoba. - Powiedziawszy to, zostawił ją kolejnemu tancerzowi, całkowicie wytraconą z równowagi.

W końcu o czwartej nad ranem bal się skończył i Beth mogła udać się do łóżka. Wsunąwszy się, wyczerpana, pod kołdrę, wróciła myślami do wydarzeń wieczoru.

Kiedy pokojówka zamierzała wyjść, Beth spytała:

- Redcliff, wiesz coś o gołąbkach z Drury Lane?

- Nie, panienko. Tylko raz byłam w Londynie i nigdy nie byłam w teatrze. Przypuszczam, że trzymają je w klatkach dla ozdoby.

- Chyba masz rację. Ale to wszystko jest bardzo dziwne - powiedziała Beth, zapadając w sen.

Redcliff wspomniała o tej niezwykłej rozmowie naza-jutrz rano podczas śniadania spożywanego przez wyższych rangą służących. Była zdumiona, kiedy Hughes, osobisty pokojowy markiza, wziął ją później na

stronę.

- Na pani miejscu, panno Redcliff - powiedział - odwiódłbym pannę Armitage od rozmowy o gołąbkach z Drury Lane.

- Dlaczego, panie Hughes? Mężczyzna zasznurował usta.

- Powiem jedynie, że Biała Gołąbka z Drury Lane cieszy się szczególnymi względami markiza. Jeśli rozumie pani, co mam na myśli.

Pokojówka się zapłoniła.

- O, tak. Biedactwo! I któż to nabił jej tym głowę?

- No właśnie. Markiz też będzie się nad tym zastanawiał, jeśli dojdzie to do jego uszu.

Jednak Lucien zapomniał o uwadze Beth. Bardziej się martwił czymś innym i zanim położył się do łóżka, usiadł i skreślił liścik do Nicholas Delaney.

Drogi Nicholasie!

Na moim przyjęciu z okazji zaręczyn pojawił się Deveril. Myślałem, że uciekł z Madame, ale musiał jakoś załagodzić sprawy z władzami. Pomyślałem, że powinienes o tym wiedzieć. Jest równie nieprzyjemny, jak zawsze.

L de V

Polecił wysłać liścik do Grattingley, domu brata bliźniaka Nicholas, lorda Stainbridge.

Nie wiedział, czemu obecność lorda Deverila tak go zaniepokoiła, pomijając fakt, że był to pociły człowiek o bardzo złej reputacji. Było czymś naturalnym nie chcieć oglądać kogoś takiego w pobliżu swego domu, ale istniały jeszcze inne powody.

Deveril brał udział w spisku Therese Bellaire, mającym na celu pozbawienie sympatyków Napoleona ich pieniędzy. Lucien odniósł wrażenie, że Deveril miał również coś wspólnego z Eleanor Delaney w okresie,

kiedy mieszkała ze swym obmierzłym bratem. Z pewnością nie było miłości między Nicholasem a Deverilem.

Wszyscy przypuszczali, że lord Deveril uciekł z Therese Bellaire, by móc korzystać z nieuczciwie zdobytych pieniędzy, a miał zamiłowanie do rozpustnych uciech. Jego pojawienie się wywołało pełne niepokoju pytania.

11

Nazajutrz Beth wstała zupełnie wyczerpana. W głowie czuła nieznośne łupanie, w ustach kwaśny smak, a wszystkie jej potknięcia poprzedniego wieczoru stały jej jasno przed oczami.

Dlaczego nie potrafiła się zachowywać sztucznie i skromnie? Może powinna wziąć kilka lekcji u matki panny Swinnamer. Dlaczego markiz nie rozumiał, że niezależny duch i czytanie nie czynią z niej ladacznicy? Przypomniła sobie, jak ją nazwał złośnicą. Z pewnością nie polubi złośnicy. Nie może polubić kogoś, komu nie ufa, a na tarasie jasno dał jej do zrozumienia, że nie ma do niej za grosz zaufania.

Westchnęła rozgoryczona. Zdaje się, że było tak, jak powiedział. Słowa raz wypowiedziane zaczynają żyć swoim własnym życiem. Nie można ich cofnąć. Za każdym razem, kiedy obydwójce byli zirytowani, tamten okropny wieczór na tarasie wracał i ich prześladował.

A do tego wszystkiego czuła gniew, że sam markiz nawet nie próbował udawać, że jest święty, a jednak nie przeszkadzało mu to karać jej za jakieś bliżej nieokreślone naganne czyny. Wiedziała, że zachowuje się zgodnie z wyznawanymi przez siebie zasadami, i nie potrafi się powstrzymać od krytykowania markiza.

A potem, oczywiście, nazwie ją złośnicą.

Księżna posłała po Beth, by zjadła z nią późne śniadanie w jej apartamencie, i Beth czuła się w obowiązku udać

się do niej. Kilka grzanek i kawa sprawiły, że poczuła się lepiej, ale trudno jej było przyłączyć się do radosnego szczebiotu księżnej.

- Z przyjemnością patrzyłam, jak świetnie się czuliście w swoim towarzystwie - mówiła księżna. - Wiedziałam, że Lucienowi dobrze zrobi kilka dni pobytu w mieście. Bardziej przypomina siebie, co powinno ci wszystko ułatwić, moja droga. Zresztą nie zostało zbyt wiele podobnych okazji. Jeszcze tydzień przyjąć tutaj, zakończony ugoszczeniem wszystkich sąsiadów, i przeniesiemy się do Londynu. Wtedy zostaną już tylko dwa tygodnie do ślubu.

Dwa tygodnie. Beth nie mogła przełknąć posmarowanej masłem grzanki. Znała wyznaczoną datę ślubu, ale dopiero teraz dotarło do niej, że zostało już tak mało czasu.

- Czy potrzebny aż taki pośpiech? - zaprotestowała. - Wywołała niepotrzebne plotki.

- Tak, ale księżę nalega, by nie odwlekać ślubu - powiedziała przeprasza jąco księżna. - A wasze pierwsze dziecko

przyjdzie na świat po dziewięciu miesiącach, kładąc kres wszelkim spekulacjom.

Beth głośno przełknęła ślinę i księżna spojrzała na nią przenikliwie.

- Moja droga, czy wiesz coś o małżeństwie? Czuję, że muszę ci zastąpić matkę w tych sprawach.

- Wiem wszystko o małżeństwie - odparła pośpiesznie Beth i ujrzała zaskoczenie w oczach księżnej. - Dużo o tym czytałam.

- Musiałaś natrafić na niezwykle książki - zauważyła księżna. - Ale nawet wtedy łatwo stracić... orientację w takim temacie. Moja starsza córka, Maria, myślała, że dzieci przychodzą na świat tylko wtedy, kiedy śpi się z

mężczyzną w jednym łóżku. Zanim z nią porozmawiałam, już zdążyła przekonać Gravistona, by zajmowali osobne sypialnie, podając jako powód jego chrapanie. Myślała, że jej kłopoty się skończyły.

Beth była przerażona.

- Jak mogła pani zmusić ją do tak wstrętnego jej małżeństwa?

- Wstrętnego? - powtórzyła księżna. - Och, nie, pobrali się z miłości. Ale Maria, mając zaledwie osiemnaście lat, nie chciała mieć od razu dzieci. Usłyszawszy, że „dzielenie łoża” prowadzi do narodzin dzieci - wyjaśniła księżna z uśmiechem - myślała, że może się całować z Gravistonem i robić inne rzeczy bez żadnych konsekwencji.

Beth rozpaczliwie pragnęła spytać, czy można mieć dzieci bez pocałunków i „innych rzeczy”, ale spuściła wzrok. Księżna w zamyśleniu przyjrzała się przyszłej synowej.

- Wiesz, Elizabeth, myślę, że i tak powiem ci coś niecoś. Na książkach nie zawsze można polegać.

I zrobiła to, co obiecała.

Beth słuchała z szeroko otwartymi oczami. A więc na tym polegały owe „ceregiele”.

W końcu, zapłoniona, mając przed oczami obraz Wenus i Marsa, spytała:

- Ale z pewnością wszystkie te... te zabiegi nie są konieczne?

- Masz rację - odpowiedziała spokojnie księżna. - Ale gdybym podejrzewała, że Lucien z nich zrezygnuje, byłabym na niego bardzo zła. Pomijając kwestię twojego zadowolenia, są niezbędne dla twojego dobrego samopoczucia.

Beth przypomniawszy sobie, jak markiz z zimną krwią przesuwając palcem po jej piersi, i jakie zrobiło to na niej

wrażenie. Uniosła ręce do rozpalonych policzków.

- Wolalabym raczej z tego zrezygnować! Księżna podeszła do niej i ją objęła.

- Moja droga, przepraszam, że tak cię zaniepokoiłam. Jak powiedziałam, moje córki wyszły za mąż z miłości i chociaż trochę się denerwowały, nie bały się małżeńskich powinności. Widzę, że zupełnie inaczej jest z tobą i Lucieniem. Nic dziwnego, wy jesteście zmuszeni do tego kroku.

Poklepała Beth po ramieniu i dodała lżejszym tonem:

- Ale i tak możesz się uważać za szczęściarę, Elizabeth. Jest bardzo przystojny, bardzo szarmancki. Z pewnością widzisz w nim coś pociągającego, prawda?

Beth pokręciła głową. Nie tyle było to zaprzeczenie, co gest rozpacz, bowiem markiz Arden niewątpliwie pociągał kobiety, lecz jej wcale to nie cieszyło.

Księżna westchnęła.

- W takim razie muszę cię prosić, żebyś pamiętała, że on czuje mniej więcej to samo, co ty. - Kiedy Beth spojrzała na nią ze zdumieniem, wyjaśniła: - Oczywiście nie jest niewinny, ale musi cię poślubić, chociaż cię nie kocha. Jeśli czasem jest niemiły, pamiętaj, że jego nerwy też są napięte do granic możliwości.

Beth bardzo chciała odważyć się powiedzieć księżnej, co zrobiła, i poszukać u niej rady, ale wiedziała, jak by ją tym zaszokowała. Nie mogła tego uczynić.

Po tym szczegółowym wyjaśnieniu, na czym polegają powinności małżeńskie, nie mogła również stanąć twarzą w twarz z mężczyzną, z którym będzie dzieliła łóżko.

Ostatecznie wróciła do siebie, wymawiając się bólem głowy.

W ciągu następnych dni Beth posłusznie pokazywała się publicznie, stała u boku lorda Ardena, razem przyjmowali delegacje z różnych stron, które składały im

najgorętsze życzenia pomyślnej przyszłości. We wszystkich przemowach wyrażano również nadzieję, że wkrótce przyjdzie na świat spadkobierca Belcraven. Jak powiedział wstrętny lord Deveril, cel małżeństwa był dla wszystkich zupełnie oczywisty.

Beth mogła tylko rozmyślać, w jaki sposób doprowadzić do poczęcia tego dziedzica.

Po jednym z przyjęć jej przyszły małżonek dopadł ją, nim schroniła się w swoich pokojach.

- Dzięki pani zdobyłem opinię, jakiej nigdy dotąd nie miałem - oznajmił z uśmiechem, kładąc sobie jej rękę w zagięciu swego ramienia. - Wszyscy ci zacni ludzie potrafią się poznać na godnej podziwu kobiecie. Nie podejrzewali, że jestem aż tak rozsądny.

Starał się być miły, ale Beth miała nerwy napięte do granic wytrzymałości i próbowała mu się wyrwać. Nie puścił jej.

- Proszę się ze mną przejść - powiedział, wciąż miło, ale kategorycznie.

Beth nie miała wyboru, musiała z nim pójść na spacer ci-sową aleją.

- Nie wolno pani się mnie bać, Elizabeth - oświadczył bez ogródek.

- Czy to rozkaz? - spytała. Chciała, żeby zabrzmiało to lekko, ale wypadło śmiertelnie poważnie. Spojrzała na niego z niepokojem. Zupełnie, jakby nie panowała nad tym, co mówi.

Lekko zmarszczył czoło, nie tyle zły, co zaintrygowany.

- Co się z panią ostatnio dzieje, Elizabeth? Zachowuje się pani jak koń, który boi się bata. Czy ktoś zrobił albo powiedział coś, czym panią zdenerwował?

- Nie - szybko, za szybko odparła Beth. Ostatnią rzeczą, o której chciała rozmawiać z markizem, były

wyjaśnienia księżnej dotyczące pożycia małżeńskiego. By podtrzymać rozmowę, spytała: - A co zrobiłby pan z koniem, który boi się bata?

- Rzuciłbym go na pożarcie psom.

- Co?! - wykrzyknęła, ale zobaczyła wesołe iskierki w jego oczach.

- Przepraszam - powiedział. - Naturalnie najpierw starałbym się naprawić szkodę. - Zatrzymał się i odwrócił do niej przodem. Uniósł dłoń, by dotknąć jej twarzy.

Beth cofnęła się i próbowała mu się wyrwać.

Przytrzymał ją mocniej.

- Na miłość boską, proszę się opanować! Co się z panią dzieje?

Co się z nią działo? Każda pieszczota przywodziła jej na myśl obraz przedstawiający Marsa i Wenus. Nie wiedziała, jak z wdziękiem sobie z tym poradzić, i była przerażona, dokąd to może zaprowadzić.

- Nie lubię, jak się mnie dotyka - powiedziała sztywno, dotyk jego dłoni palił ją jak rozpalone żelazo.

- Dlaczego?

Beth spojrzała na narzeczonego.

- To całkiem naturalne...

- Nie zgadzam się. Jest pani na tyle mądra, by wiedzieć, że musimy się nauczyć, by było nam ze sobą dobrze, a jednak nie czyni pani żadnych wysiłków...

- Przykro mi, że wymaga to takiego wysiłku - odparowała Beth.

Lord Arden gniewnie zaczerpnął powietrza, ale zabrał rękę.

- Czy przyczyną tego jest sposób, w jaki dotknąłem panią tamtego wieczoru? - spytał.

Beth głośno przełknęła ślinę. - Tak.

Markiz miał zmieszana minę, niemal jakby żałował tego, co zrobił.

- W takim razie przepraszam za tamto. Wtedy wydawało mi się to konieczne, ale nie powinienem się tak zachować bez względu na pani... - Nabrał powietrza. - To się nigdy więcej nie powtórzy, Elizabeth. Ma pani moje słowo.

- Czyli więcej mnie pan nie dotknie w taki sposób? Beth wiedziała, że w jej głosie słychać zarówno nadzieję, jak i rozczarowanie.

- Wie pani, że nie to miałem na myśli.

Zdawał się znów imputować, że Beth posiada rozległą wiedzę na tematy damsko-męskie.

- Wiem jedynie, milordzie - wyrzuciła z siebie - że najlepiej będzie, jak będzie pan trzymał ręce przy sobie, póki nie

zostanę formalnie zmuszona do znoszenia pańskich obmierzłych pieśczoł! - Powiedziawszy to Beth ruszyła przed siebie, nie zwracając uwagi na przekleństwo, które markiz wymamrotał pod nosem. Bała się, że się na nią rzuci.

Jednak pozwolił jej odejść. Przez kilka kolejnych dni nie narzucał się jej swoją osobą.

W końcu jednak znalazła się sam na sam z markizem w powozie, kiedy wracali z wiejskiej szkoły, którą odwiedzili. Udali się do niej z księciem i księżną, ale rodzice markiza przyjęli zaproszenie pastora na herbatę. Dopiero kiedy Beth uświadomiła sobie tego konsekwencje, pomyślała, że być może wszystko to wcześniej zaplanowano.

Markiz rozsiadł się wygodnie - jeśli był spięty, nie dawał tego po sobie poznać, stwierdziła Beth zła jak osa - i oglądał prezent, który wręczyły im dzieci. Była to dokładnie wypolerowana tablica ze wzorem, wykonanym z mosiężnych gwoździ. Przedstawiał herb de Vaux i inicjały E i L.

- Czy ma pani jakiś pomysł, co powinniśmy z tym zrobić? - spytał markiz od niechcena.
- Może powiesić nad drzwiami? - zaproponowała, świetnie wiedząc, że nad głównym wejściem do Belcraven znajdował się herb de Vaux wyryty w granicie.
- A może nad naszym łóżkiem? Beth drgnęła.
- Znow to samo - zauważył. - Wie pani, że któregoś dnia będzie musiało do tego dojść.

Beth czuła, jak robi się czerwona. Spojrzała nerwowo na stangreta i forysia.

- Odczuwam normalny niepokój - mruknęła. ' - Albo się pani boi, co odkryję.

Beth spojrzała na niego. Czy naprawdę tak myślał?

- Obiecał pan, że nigdy więcej o tym nie wspomni. Ich spojrzenia się spotkały.

- Przepraszam. Ale pani reakcja wywołuje bardzo dziwny stan umysłu. To zrozumiałe, że jestem podejrzliwy.

Beth znow spojrzała na służących. Czy wiedział, że nie mogli podsłuchać prowadzonej przyciszonymi głosami rozmowy, czy też, z arogancją typową dla członków rodu de Vaux, nie przejmował się tym? Nie mogła się powstrzymać, by nie odpowiedzieć na jego insynuacje.

- Mógł pan pomyśleć - wysyczała - że cierpię z powodu zwykłej panińskiej skromności.

- Mógłbym - przyznał bez przekonania.

- Jest pan odrażający! - wysapała i była pewna, że widziała, jak foryś drgnął. Cóż, wątpiła, by udało im się oszukać służbę w Belcraven.

- I mam odrażające maniery - dodał, przeciągając sylaby, wciąż na pozór odprężony. Ale widziała, że jest zły.

Reszta podróży upłynęła im w całkowitym milczeniu.

Kiedy pomógł jej wysiąść z powozu, Beth ruszyła szybkim krokiem przed siebie. Dogonił ją i chwycił za ramię.

- Zwolnij, pani - powiedział. - Proszę nie zapominać o

naszej umowie.

Beth spojrzała na powóz, który właśnie ruszył.

- Jeśli wydaje się panu, że udało się nam ich oszukać, to jest pan głupszy, niż myślałam.

- Przecież nigdy nie uważała mnie pani za głupca, Elizabeth. Służący dużo widzą, ale to nie powód, żeby zachowywać się skandalicznie. Obiecała pani grać swoją rolę w miejscach publicznych.

Beth odwróciła się do niego. W tej chwili, na szczęście, nie było służącego w zasięgu wzroku.

- A pan obiecał, że uwierzy w to, że jestem uczciwą kobietą.

- Niezupełnie. Obiecałem zachowywać się tak, jakby pani była uczciwą kobietą. A czy mam uwierzyć, że jest pani małą, naiwną gąską? Kobieta, która czyta klasyków?

- Chyba na świecie jest miejsce nie tylko dla idiotek, które mają pstro w głowie, i bezwstydných ładacznic?

- Ziemia niczyja - zauważył w zamyśleniu. - Czy nadal pani twierdzi, że zachowała pani niewinność?

- Nie należę do żadnego mężczyzny - oświadczyła Beth, zmieszana.

- Należy pani do mnie.

- Nie. Jestem niezależną kobietą i zawsze nią pozostanę. W oczach markiza zapaliła się jakaś iskierka; objął Beth rękami za szyję. Zamarła.

- Co...

- Mam ochotę panią udusić - powiedział dziwnie zamyślony. - Ciekaw jestem, czy Nicholas ma rację?

Beth gapiła się na niego. Ten człowiek zwariował. Kiedy nerwowo przełykała ślinę, czuła jego palce na swojej krtani. Gdyby zacisnął je nieco mocniej, znalazłaby się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Gdzie, na litość boską, jest wszechobecna służba?

Potem przesunął ręce i zaczął zataczać malutkie kółeczka na jej brodzie, wywołując rozkoszne uczucie, którego nie mogła zwalczyć, chociaż próbowała. Pochylił głowę.

- Nie - powiedziała błagalnie, ale nie usłuchał.

Jego wargi były twarde, ciepłe i delikatne, ale Beth się bała. Próbowała mu się wyślizgnąć, lecz trzymał ją mocno. Poczwała na swych wargach jego wilgotne usta i język. Jęknęła w proteście, ale jednocześnie ogarnęła ją dziwna błogość i jej nogi stały się miękkie.

Markiz wolno cofnął się, chociaż wcale tego nie chciała. Przesunął palcem po jej drżących wargach.

- Może Nicholas ma rację - rzekł. - Ale jeszcze raz przepraszam. Nie zamierzałem pani przestraszyć i, jak powiedziała pani niedawno, nie ma potrzeby, bym panią dręczył swymi obmierzłymi pieścizotami, prawda?

Thomas...

Beth odwróciła się gwałtownie i zobaczyła lokaja stojącego jak posąg w pobliżu. Od jak dawna tu był?

- Proszę odprowadzić pannę Armitage do jej apartamentu - polecił markiz. Spojrzał na Beth. - Nowa umowa? Beth głośno przełknęła ślinę. Ten pocałunek wcale nie sprawił jej przykrości. Jednak fakt, że markiz zapamiętał jej uwagę, mógł świadczyć, że dotknęła go swymi słowami. Księżna chyba miała rację, jeśli chodzi o stan jej nerwów.

- Zgoda - odparła. - Nowa umowa.

Poszła za lokajem, ale po kilku krokach się odwróciła.

Markiz patrzył na nią ze zmarszczonym czołem. Czy był zły? Czy też równie niespokojny i niepewny, jak ona?

Lucien zauważył trwożliwe, zaintrygowane spojrzenie swej narzeczonej. Miała powód, by czuć się zbita z tropu, ale potrafiła doprowadzić mężczyznę do szaleństwa. Lekceważyła go i prowokowała, a wszystkie jego zmysły domagały się, by ją poskromić, zmusić do

nazwania go swym panem.

Mógł ją zastraszyć, mógł ją zmusić, ale był pewien, że równie dobrze może ją uwieść, jeśli się naprawdę postara.

Lecz najśmieszniejsze w tym wszystkim było to, że podejrzewał, że nie może zrobić nic. Myśl, że mógłby zranić Elizabeth, nawet w tak niewinny sposób, jak kradnąc jej całusa, była odrażająca.

Naprawdę miał ochotę ją udusić, ale tylko dlatego, że chciał, by zobaczyła, jaki jest naprawdę, by przestała pielęgnować jakieś błędne wyobrażenia, które narodziły się w jej głowie, zbyt nabitej różnymi ideałami. I tę samą potrzebę czuł, kiedy ją całował. Chciał ją uwieść, oczarować, wyrugować z jej głowy wszystkie te uczone, kąśliwe poglądy, aż mu ulegnie, będzie go potrzebowała. Nigdy nie czuł niczego podobnego wobec żadnej kobiety i wcale nie był pewny, czy to normalne.

Poszedł do pokoju bilardowego i machinalnie wrzucał bile do luz.

Zastał go tam Hal Beaumont.

- Masz chandrę?

Lucien spojrzał na przyjaciela.

- Ślub to szatański wynalazek. Hal się roześmiał.

- Powinniście uciec.

- Elizabeth kiedyś też to zaproponowała. Może powinienem przywiązywać więcej wagi do jej słów.

- Może. Sprawia wrażenie kobiety rozsądnej.

Lucien rzucił kij bilardowy na stół.

- W tej chwili nie.

- Nie mogę powiedzieć, byście wyglądali na szczęśliwych. Możesz mi kazać iść do diabła, Luce, ale muszę zapytać: co się dzieje?

- Idź do diabła - odparł uprzejmie Lucien.

Hal wzruszył ramionami.

- Jak chcesz. Już raz byłem w połowie drogi do piekła i wróciłem. - Musiał coś dostrzec w twarzy markiza, bo się skrzywił. - Przepraszam. Brzydki nawyk wywierania presji emocjonalnej. - Westchnął. - Ale kiedy człowiek otrze się o śmierć, wszystko zaczyna inaczej postrzegać. Nie znoszę widoku ludzi popełniających głupstwa. Nie chciałbym patrzeć na to, jak się męczysz w małżeństwie. - Ja też bym tego nie chciał - powiedział ponuro Lucien. Rozejrzał się. Stół bilardowy stał w szerokiej galerii, której ściany zawieszono były średniowieczną bronią. - Chodź. Chyba to miejsce wpływa na nas tak przygnębiająco. Gdyby jeden z tych haczyków puścił, posiekałoby nas na kawałki. Poszukajmy sobie przyjemniejszego otoczenia.

Hal powstrzymał go silnym uściskiem ręki.

- Dlaczego, Luce? Jeśli to wszystko pomyłka, musi istnieć jakieś wyjście. Nie wierzę, żeby panna Armitage zmuszała cię do małżeństwa.

Okłamywanie Hala wydawało się sprzeczne z rozsądkiem. Lucien spróbował wyjawić mu chociaż część prawdy.

- To małżeństwo zostało zaaranżowane. Rodzice wybrali mi na żonę Elizabeth.

Hal wiele wyczytał z tych słów. Przestał ścisnąć przyjacielowi ramię.

- W takim razie postaraj się, żeby było udane. Jest kobietą serdeczną, inteligentną, z poczuciem humoru.

Uważam, że świetnie do siebie pasujecie.

- Jak osioł do karocy - rzucił Lucien i uciekł. Hal, będąc człowiekiem rozsądnym, nie zatrzymywał go.

Następnego dnia odbywało się przyjęcie dla sąsiadów.

W wielkiej sali balowej podejmowano okoliczne ziemiaństwo i innych zacnych ludzi winem oraz wytwornymi potrawami, serwowanymi przy dźwiękach

muzyki Mozarta. Drobniejsi dzierżawcy bawili się na błoniach, gdzie na rożnach piekło się mięsiwo, w dzbanach z piwem nigdy nie było widać dna, a grajkowie przygrywali do tańca.

Beth krążyła między jednymi a drugimi, trzymając pod rękę markiza. Wymieniła grzeczne uwagi z doktorem, adwokatem i zamożniejszymi farmerami. Prowadziła sztywne rozmowy z żonami chłopów małorolnych i parobków. I wcale nie dlatego, że czuła się lepsza od nich, tylko oni tak bardzo byli onieśmieleni. Czyż nie widzieli, że mimo zewnętrznych pozorów jest taka, jak oni?

Cała tajemnica tkwiła w tym, że wszystkim tym ludziom sprawiało przyjemność wysłuchanie kilku słów wypowiedzianych przez przyszłą księżną, natomiast za nic mieliby dzień spędzony z Beth Armitage, nauczycielką. Było to niedorzeczne, jednak Beth nie mogła im odmówić tej przyjemności, albowiem ten dzień był najwyraźniej czymś wyjątkowym w ich życiu, wypełnionym niekończącą się, nudną harówką.

O wiele lepiej czuła się z dziećmi, bo zachowywały się bardziej naturalnie. W pewnej chwili usiadła z grupką maluchów, by nauczyć ich piosenki-wyliczanki.

Markiz stał obok, obserwując ją. Kiedy w końcu uwolniła się od dzieci, powiedział:

- Bardzo dobrze pani to robi.
- To mój zawód.
- Obawiam się, że już nie.

Beth nie spierała się z nim.

- Nie jestem taka swobodna z ich rodzicami. Czuję się tak dziwnie, jakbym grała w sztuce. „Z prawej strony wchodzi przyszła księżna.”

- Nonsens. Kochają panią. Nie tylko mówi pani do nich, ale również ich słucha. Zachowuje się pani tak, jakby

przez chwilę była jedną z nich.

Beth spojrzała na niego. . - Przecież jestem jedną z nich. ; Zastanowił się. Po chwili zadumy pokręcił głową.

- Obawiam się, że już nie. - Powiedział to lekko przepraszającym tonem.

- Wiem - zgodziła się Beth, wzdychając. - Ale przynajmniej pamiętam, jak to było. - Spojrzała na łąkę pełną ludzi - rozmawiających, tańczących, jedzących, pijących. – Czy wyobraża sobie pan - spytała - jak to jest być jednym z tych ludzi? Martwić się o to, co włożyć do garnka, o dach nad głową, skąd wziąć pieniądze na lekarstwo dla chorego dziecka?

- Nie - odparł. - Ale jeśli zajdzie taka potrzeba, postaram się, żeby mieli co włożyć do garnka, żeby mieli dach nad głową, wyślę doktora do ich chorego dziecka. A więc ostatecznie na kim ciąży większa odpowiedzialność? Nim Beth zdążyła odpowiedzieć, spojrzał nad jej ramieniem.

- Oto ktoś równie niskiego stanu, jak pani. Zostawię was, byście się napawali swą prawością.

Beth niespodziewanie znalazła się sama w towarzystwie pana Beaumonta. Czuła się, jakby została skarcona, a do tego całkiem słusznie. Co więcej, obawiała się, że znów uraziła markiza. Pora, by zaczęła myśleć nie tylko o swojej wrażliwości, ale również o wrażliwości innych. Markiz był arogancko pewny swego wysokiego miejsca w hierarchii społecznej, ale zarazem bardzo poważnie traktował swoje obowiązki.

Żałowała, że ją zostawił i nie dał jej nawet szansy naprawienia błędu. Rozmawiała więc z panem Beaumontem, starając się sprawiać wrażenie szczęśliwej narzeczonej.

- Wie pani, panno Armitage - oznajmił, kiedy szli w stronę domu - chciałbym, żeby nie odczuwała pani potrzeby,

by przede mną grać.

- Słucham?

- To zbyt cenne - wyjaśnił delikatnie. - Lucien mi o wszystkim powiedział.

Beth zrobiła okrągłe oczy. , - Wszystko? Pan Beaumont przyjrzał się jej badawczo.

- Nie. Nie powiedział, dlaczego właśnie panią wybrano na jego żonę, oświadczył tylko, że takie jest życzenie jego rodziców.

- I dziwi pana, że owa wybranka jest taka zwykła i pospolita - cierpko zauważyła Beth.

- Domaga się pani komplementów, panno Armitage? - spytał żartobliwie. - Przecież pani wie, że to nieprawda. Beth spojrzała na niego zdumiona.

- Wprost przeciwnie. Lusterko codziennie mi mówi, że nie jestem piękną. I nie kolekcjonuję komplementów, panie Beaumont.

- Może nie ogląda się pani, kiedy jest pani ożywiona - zauważył z uśmiechem. - To prawda, że jest pani przeciętnej urody, ale pani twarz się ożywia, kiedy pani mówi, a ponadto ma pani „wymowne oczy”. Odbija się w nich pani inteligencja.

Beth poczuła, że się czerwieni.

- Panie Beaumont, nie wolno panu mówić takich rzeczy. Zresztą to nieprawda.

- Czy mam przez to rozumieć, że Lucien tego pani nie powiedział? - spytał zdumiony. - Uważałem, że jest bardziej pomysłowy. Prawdę mówiąc - dodał, a w jego oczach zapaliły się wesołe iskierki - jest niezrównanym donżuanem. Ale jeśli zamierza zostawić pole do popisu innym...

Dotarli do ogrodu różanego w pobliżu domu. Spacerowali teraz po nim dostojniejsi goście, podziwiając kwiaty, ale Beth i jej towarzysz znajdowali się dość

daleko od nich. Beaumont zerwał z krzewu pąk i musnął nim lekko policzek dziewczyny. Nachylił się bliżej i poczuła jego ciepły oddech na swojej szyi, kiedy szepnął jej prosto do ucha:

- Coś pani powiem, panno Armitage. Uważam, że szkoda pani dla niego. Ucieknijmy razem.

Beth aż się zakrztusiła ze śmiechu.

- Jest pan bezczelny! - Nie budził w niej niepokoju, jak markiz, i całkiem miło spędzała z nim czas.

Uśmiechnął się ze zrozumieniem.

- Wiem. I też jestem niezrównanym donżuanem. A więc jak? Mimo deklaracji, że jest donżuanem, pytanie zadał zupełnie poważnie, co ją przestraszyło.

- Dlaczego pan mówi takie rzeczy, kiedy wie pan, że nie mogę tego zrobić?

Wciąż się uśmiechał, ale na jego twarzy pojawiła się zaduma.

- Potrafię się poznać na prawdziwym skarbie, panno Armitage. Chciałbym się ożenić, ale kogo widzę wokoło? Same Phoebe Swinnamer i Lucy Frogmorton. Pani jest zupełnie inna.

Beth nie wątpiła w jego szczerłość, bez względu na to, jak absurdalne mogło się to wydawać, i nie wiedziała, co powiedzieć.

- Wiem o tym, panie Beaumont, ale...

- Ale panią przestraszyłem. - Spoważniał i otwarcie spojrzął jej w oczy. - Kiedy pierwszy raz wspomniałem o ucieczce, tylko żartowałem. Ale z każdą sekundą coraz bardziej tego pragnę. To nierealne i przepraszam panią. Spojrzał na pączek kremowej róży, trzymany w ręku.

- Wyjadę i zobaczy mnie pani dopiero w dniu swojego ślubu. Potem będzie tak, jakby ta rozmowa nigdy nie miała miejsca. Ale zanim to nastąpi, panno Armitage - spojrzął na nią, wyciągając ku niej różę - jeśli uzna pani

to za stosowne, może mi pani o niej przypomnieć. Beth jak sparaliżowana wzięła kwiat i patrzyła, jak Hal Beaumont się oddala. Prawdę powiedziawszy, gdyby istniał jakiś sposób wyzwolenia się z kłopotliwego położenia, w jakim się znalazła, może skorzystałaby z propozycji pana Beaumonta, bo był znacznie sympatyczniejszy od jej narzeczonego. Życie z nim pozbawione byłoby gwałtowności i nie przypominałoby stąpania po grząskim gruncie.

Potem rozejrzała się po ogrodzie i zobaczyła Luciena de Vaux. Śmiał się z jednym z dzierżawców. Słońce połyskiwało w jego jasnych włosach, był odprężony i pełen wdzięku. Nagle powietrze jakby się rozrzedziło i Beth wiedziała, że każde inne miejsce na świecie poza tym pięknym ogrodem byłoby dla niej nie do zniesienia. Szybko dołączyła do grupki gości.

Niebawem markiz znów był przy jej boku i przedstawiał ją kolejnym ludziom, dla których księstwo Belcraven było . wszystkim. Teraz mogła odgrywać swoją rolę niemal z pamięci i miała czas, by obserwować zachowanie markiza.

Poważnie traktował swoje obowiązki.

Był zdumiewająco odpowiedzialny. Znał nazwiska większości osób, często wygłaszał pochlebne uwagi na temat wydarzeń z przeszłości. Najwyraźniej rozumiał życie farmerów i ich główne troski.

Potrafił niewinnie flirtować z kobietami zamężnymi w każdym wieku, nie obrażając ich - Beth przypomniawszy sobie słowa pana Beaumonta, jakim to niezrównanym donżuanem jest markiz. Poczuliła rozgoryczenie, że nigdy nie próbował uwieść jej. Potem musiała przyznać, że próbował raz czy dwa, a teraz niewątpliwie prędzej dałby sobie język uciąć, niż powtórzył takie głupstwo. Zauważyła, że potrafił sprzeciwiać się temu, z czym się

nie zgadzał, zdecydowanie, ale delikatnie, tak, że jego przeciwnik uświadamiał sobie swój błąd, lecz nie czuł się publicznie upokorzony. Beth pomyślała, że powinna się nauczyć postępować w ten sposób.

Lucien de Vaux coraz bardziej ją zaskakiwał.

- Czemu marszczy pani czoło? - spytał, kiedy zostawili lokalnego pośrednika handlu zbożem i właściciela sklepu z towarami żelaznymi. - Czyżbym znów obraził pani radykalne przekonania?

- Obawiam się, że to zmęczenie - odpowiedziała Beth tak pojednawczym tonem, na jaki tylko było ją stać. - I chyba muszę pana przeprosić. Rzeczywiście poważnie traktuje pan swoje obowiązki.

- Naturalnie. - Pomyślała, że sprawiła mu przyjemność swymi słowami. - Chociaż znajduję się w osobliwej sytuacji. Wprawiam się do robienia tego, czego - mam nadzieję - jeszcze bardzo długo nie będę musiał robić, a na razie aż nazbyt często mam zbyt dużo wolnego czasu.

- Czy książę nie pozwoli panu włączyć się do zarządzania księstwem?

Spojrzał na nią ze sceptyczną miną.

- Razem mielibyśmy iść w zaprzęgu?

Beth zupełnie zapomniała o tym, kto był jego ojcem.

- Wydaje mi się, że długo trzeba się wprawiać do tej roli

- powiedziała. - Uplyną lata, nim będę się dobrze czuła w roli księżnej, jeśli w ogóle kiedykolwiek to nastąpi.

- Z czasem przywyknie pani do tego. Jednak teraz uważam, że powinna pani odpocząć. Przyjęcie prawie się skończyło. Jutro wyjeżdżamy do Londynu i tam, jak się domyślam, oczekuje się od pani, by cały sezon zaliczyła pani w ciągu dwóch tygodni.

Rzeczywiście nazajutrz wszyscy wyruszyli do Londynu. Beth podróżowała z księżną tym samym powozem,

którym przyjechała z Cheltenham. Służbę umieszczono w dwóch innych. Księżę jechał kariolką, a markiz dosiadł Wikinga, konia, którego nie dopilnował Jerzyk. Beth ogarnęły wyrzuty sumienia, że zapomniała o Jerzyku Babsonie. Wielki czarny ogier nie zdradzał żadnych oznak obrażeń, był narowisty i nawet markizowi trudno go było poskromić. Nedorzeczością było przypuszczać, by dziecko dało sobie radę z taką bestią.

Kiedy się zatrzymali na postój, Beth rozejrzała się wśród licznych służących, ale nie dostrzegła chłopca. Czyżby markiz wychłostał go niemal na śmierć? Odprawił go? Musiała to sprawdzić.

Kiedy skręcili do małego sadu, rosnącego obok gospody, poruszyła ten temat.

- W stajniach Belcraven spotkałam małego chłopca. Powiedział, że pracuje przy koniach, ale nie widzę go tu.

- Musi pani chodzić o Jerzyka. Niezły z niego ptaszek. - Markiz mówił pobłażliwym tonem, ale nie wyjaśniało to nieobecności chłopca.

- Gdzie on jest?

- Razem z Dooleyem przyprowadzą moje gniade do miasta. Dlaczego pani pyta? - spytał podejrzliwie.

- Polubiłam chłopca - wyjaśniła Beth. - Zdaje się, że miał kłopoty w związku z Wikingiem. Czy z koniem wszystko w porządku?

- Tak, ale Jarvis bał się, że mógł złamać sobie nogę, więc porządnie przetrzepał chłopakowi skórę. - Spojrzał na nią, ściągnawszy brwi. - Mam nadzieję, że nie przybiegł do pani na skargę?

- Och, nie - zapewniła go. - Dowiedziałam się o tym całkiem przypadkowo. - Po chwili dodała: - Bał się, że pan go też zbije, kiedy się o wszystkim dowie.

- Mógłbym to zrobić - odparł od niechcienia - gdyby

szkody były poważne. Jest niedbały, a ten koń kosztował mnie osiemset gwinei.

- Aż tyle dał pan za konia! - wykrzyknęła Beth.

- Tak - odparł cierpko. - A jeśli wygłosi pani banalny wykład o ekstrawagancji arystokracji, stłukę panią na kwaśne jabłko, Elizabeth.

Beth wcale nie była pewna, czy markiz żartuje, czy mówi poważnie.

12

Znalazłszy się w bezpiecznym powozie, Beth starała się pozbierać myśli. Miała podstawy, by sądzić, że markiz nie jest okrutnym panem dla swych sług, nie należało jednak z tego wyciągać pochopnych wniosków. Wciąż obawiała się, jak będzie się zachowywał wobec swej żony. Naprawdę uważała, że powinien wiedzieć, iż Jerzyk boi się koni, ale dała chłopcu słowo. Postanowiła, że jakoś spróbuje załatwić tę drobną sprawę. Dzięki temu nie będzie myślała o własnym niewesołym położeniu.

Jednak kiedy dotarli do Londynu, wkrótce zapomniała o Jerzyku. Znalazła się w całkiem innym świecie.

Tylko dwa razy była w Londynie i chociaż razem z ciotką Emmą obejrzały wystawę Akademii Królewskiej w Somerset House i przechadzały się obok pałacu królewskiego, nigdy się nie zapuściła w bardziej eleganckie rejony Mayfair. Na podstawie swych poprzednich doświadczeń doszła do przekonania, że Londyn jest hałaśliwy i brudny, ale odkryła, że ci, których na to stać, znajdą tu oazy spokoju o niezwyklej urodzie.

Przy placu Marlborough wznosiło się około dwudziestu okazałych rezydencji, niektóre oddzielały od ulicy ogrodzone dziedzińce, do innych prowadziły wspaniałe schody. Środek placu zajmował piękny ukwiecony

skwerek z fontanną.

Powóz zatrzymał się przed wielkim domem podwójnej szerokości. Herb, dumnie wieńczący wejście, świadczył, że to Belcraven House. Drzwi się otworzyły i armia służących wybiegła, by zająć się książęcą rodziną.

Które; członkiem była teraz ponoć i Beth.

Miała wrażenie, jakby ją grzecznie przewieziono z jednego więzienia do drugiego.

Odkąd znalazła się w domu przy placu Marlborough, nie miała ani chwili dla siebie i nigdy nie nadarzyła jej się okazja spotkania z Jerzykiem Babsonem. Najpierw zabrano ją na wyczerpującą rundę po sklepach, potem do krawców na niekończące się przymiarki, a każdego wieczoru ciągnano na przyjęcia towarzyskie. Sezon dopiero co się zaczął, a jednak nie brakowało okazji, by spadkobierca Belcraven i jego narzeczona mogli się pokazać.

Zazwyczaj o trzeciej, czwartej nad ranem Beth kładła się do łóżka, ale pozbawiono ją przywileju spania do południa, jakim cieszyła się arystokracja. Od samego rana była na nogach, by brać dodatkowe lekcje dworskiej etykiety i odpowiedniego traktowania osób nisko urodzonych. Księżna nieustannie jej przypominała o tym, że niebawem wszyscy poza rodziną królewską będą zajmowali od niej niższą pozycję społeczną i wszelkie pomyłki w odnoszeniu się do nich mogą być brzemiennie w skutkach.

Beth miała ogromną ochotę usiąść z pokojówką i porozmawiać o miejscu kobiety we współczesnym społeczeństwie, ale wiedziała, że pokojówka byłaby tym równie zbulwersowana, jak księżna.

Po śniadaniu wszystko zaczynało się od nowa: przedpołudniowe wizyty, salony, przejażdżka po parku, wystawna kolacja, teatr, wieczorek, bal albo raut.

Wszyscy się na nią gapili; ludzie w kółko powtarzali te same banalne uwagi. Nawet tak ciekawe wydarzenia, jak kampania Napoleona i pokonanie Murata przez Austriaków, były omawiane tak powierzchownie, że stawało się to nudne. Beth była pewna, że nigdy w życiu nie zechce już uczestniczyć w żadnych imprezach towarzyskich.

Markiz prawie zawsze tkwił u jej boku, ale nigdy nie byli sami. To oznaczało, że nie mieli okazji, by się do siebie zbliżyć, ale przynajmniej nie mogli się kłócić. W rezultacie przestała się

go bać, a czasem nawet znajdowała w nim oparcie.

Pewnie stapał po tym trzęsawisku i mogła się spodziewać, że pospieszy jej z pomocą, gdyby się potknęła, chociażby przez wzgląd na dumę rodu de Vaux. Czasem mogła nawet liczyć na inteligentną konwersację z nim, chociaż najwyraźniej nie było w dobrym tonie rozmawiać zbyt poważnie, nawet o grożącej wojnie.

Beth stale miała nadzieję, że spotka którąś ze szkolnych przyjaciółek. Na pensję panny Mallory uczęszczały panienki z najlepszych domów i Beth zaprzyjaźniła się z kilkoma rówieśniczkami. Przyjaźnie ustały, kiedy wszyscy wrócili do swego zwykłego życia - Beth oddała się nauce i nauczaniu, a jej koleżanki rzuciły się w wir życia towarzyskiego, założyły rodziny i stały się matkami. Niestety nigdy nie spotkała żadnej ze swych dawnych znajomych.

Nie udało jej się również zawrzeć nowych przyjaźni. W tym sztucznym środowisku, gdzie czuła się w równym stopniu obiektem ciekawości, jak i dziwolągiem, trudno było znaleźć prawdziwe zrozumienie.

Beth była pewna, że przynajmniej część swych kłopotów zawdzięcza Phoebe Swinnamer. Wraz ze swą matką

przyjechała do miasta i zachowywała się powściągliwie, jakby czuła się urażona, jakby naprawdę została porzucona. Bóg jeden wie, co wygadywała dziewczyna, ale jeśli markiz przystanął, by powiedzieć jej „dobry wieczór”, wszyscy wstrzymywali oddech, nadstawiając uszu. Raz, kiedy jakoś go skłoniła do tego, by z nią zatańczył, inne pary wpadały na siebie, bowiem ani na moment nie odrywały wzroku od twarzy markiza. Zobaczyli, jedynie, jak markiz rzuca Beth spojrzenie pełne udawanej rozpacz, aż ledwo powstrzymała się od śmiechu. Ich położenie nie było najlepsze, ale Beth z ulgą stwierdziła, że markiz przynajmniej nie jest zakochany w innej. Pamiętała, z jakim przerażeniem mówił o tym, że miałby poślubić taką próżną gąskę. Biedna Phoebe.

Jednak wcale jej nie było do śmiechu, kiedy pewnego razu została wciągnięta do rozmowy z dziewczyną. Wiedziała, że wszyscy nadstawiają uszu, by nie uronić ani jednego słowa.

- Jakie to musi być dla pani męczące, panno Armitage, że

wyznaczono tak nieodległą datę ślubu - powiedziała, przeciągając słowa. - Nalegałabym... - Phoebe urwała i spuściła wzrok. Z pewnością by się zapłoniła, gdyby potrafiła. - Będę nalegała - poprawiła się - by mieć mnóstwo czasu, żeby wszystko zorganizować, jak należy.

Z pewnością przeciwiczyła tę kwestię. Beth straciła resztki sympatii dla złośliwej kotki.

- Naprawdę? - spytała. - Jestem pewna, że pani przyszły mąż z przyjemnością dowiedziałby się, że pani pragnienie błyszczenia w towarzystwie jest większe od pragnienia, by zostać jego żoną.

Piękność spojrzała na nią, ale brnęła dalej.

- Miałam na myśli jedynie to, panno Armitage, że chciałabym, by ślub i wesele odbyło się, jak należy.

- To bardzo miło z pani strony - odparowała Beth z uśmiechem. - Jestem pewna, że księżna doceni pani rady. Proszę do niej pójść i powiedzieć jej, pod jakimi względami mój ślub będzie niedopracowany.

Phoebe nie potrafiła znaleźć odpowiednich słów i mało brakowało, by straciła panowanie nad sobą, co w jej przypadku oznaczało, że jej idealne rysy nieco się wyostrzyły pod wpływem emocji.

- La! - rzekła z uśmiechem. - Ale mnie pani przyłapała. Oświadczam, że musi być niezwykle wyczerpujące rozmawiać z kimś tak byстрыm, jak pani. Z całą pewnością dobrze pani wie, panno Armitage, że w naszych kręgach panuje zwyczaj, by od zaręczyn do ślubu upłynęło więcej czasu.

To „naszych” wyraźnie świadczyło, że nie zaliczała do nich swej rozmówczynie. Beth przygotowywała się do druzgocącej, a jednak akceptowanej odpowiedzi, kiedy uświadomiła sobie obecność markiza.

- A pani, panno Swinnamer, z pewnością musi wiedzieć - powiedział dobitnie - że nic sobie nie robię z przyjętych zwyczajów. I jestem przekonany, że któregoś dnia jakiś kawaler, który da się złapać w sidła pani urody, będzie chciał tak szybko stanąć z panią na ślubnym kobiercu, jak ja tego pragnę z Elizabeth.

Ta mistrzowska riposta zdobyła tyle punktów, że dały się

słyszeć chichoty. Pani Swinnamer, krążąca w pobliżu, rzuciła się na ratunek córce. Matka była zła i oburzona, ale Phoebe jedynie lekko ściągnęła brwi. Obejrzała się raz, wielce zaintrygowana, i Beth pomyślała, że dziewczynie aż do tej pory nie przyszło do głowy, że markiz nie był pod wrażeniem jej urody.

- Przyznaję, że żał mi tej biedaczki - odezwała się, kiedy przeszli do sali, w której podawano napoje i przekąski.
- Niepotrzebnie - powiedział z mocą. - Jest jak pułapka, posmarowana miodem - należy zawsze jej unikać.
- Gdyby jej pan unikał - zwróciła mu uwagę Beth - nie byłibyśmy obiektem takich ociekających miodem ataków.

Zaprowadził ją do stosunkowo spokojnego kącika, gdzie mogła usiąść.

- Napije się pani wina? Mają też negus i orszadę.
- Poproszę negus.

Skinął na krążącego w pobliżu lokaja i zamówił napój.

- Jeśli ma pani jakieś zastrzeżenia - powiedział - proszę je zgłosić mojej matce. To ona ściągnęła piękną Phoebe na moją głowę.

- Jej zdaniem byłaby dla pana odpowiednią żoną? - spytała Beth, zaskoczona. Uważała księżną za bardziej przenikliwą.

- Jej zdaniem nadawała się na moją żonę - poprawił ją - i dzielnie starała się zrobić, co w jej mocy. - Pojawił się lokaj i markiz podał Beth chłodny napój. - Wyznaję, że to wszystko była moja wina. Phoebe zastawiła na mnie sidła i dałem się w nie złapać. Nie na jej urodę - wyjaśnił - tylko na jej fałszywy połysk. Zrodziło się we mnie ogromne pragnienie, by zarysować tę nieskazitelną powłokę. Mogłoby to się okazać tragiczne w skutkach, gdybym się nie opamiętał wystarczająco wcześnie i nie wyrwał z orbity jej wpływów.

Była to jedna z tych okazji, kiedy rozmawiał z Beth tak, jakby była równorzędnym partnerem, może nawet kimś, kogo lubi.

Napiła się trochę i powiedziała:

- Jestem pewna, że nawet Phoebe po przebudzeniu ma włosy w nieładzie, a na jej policzku widać odcisnięty

ślad poduszki.

- Tak pani uważa? - spytał niespiesznie. - To było jedno z pytań, które mnie omal nie zgubiło: czy Phoebe potrafi zachować idealną urodę podczas nocy poślubnej.

Beth zamarła. Gwałtownie przełknęła napój i zakrztusiła się. Markiz złapał szklanke, nim jej zawartość wylała się na suknię z zielonego jedwabiu. W końcu Beth udało się zaczerpnąć tchu.

- Dobrze się pani czuje? - spytał. - Nie myślałem, że to aż takie śmieszne.

Beth wstała.

- Już wszystko w porządku - powiedziała i chrząknęła cicho, czym zdradziła się, że kłamie. - Zdaje się, że czeka już mój partner do następnego tańca.

Markiz odstawił szklanke na stół i dogoniwszy Beth, zatrzymał ją, kładąc jej dłoń na ramieniu.

- Chcę skorzystać z prawa pierwszeństwa - oświadczył. - O co chodzi? - Przez chwilę przyglądał się jej; uważnie, a potem rzekł: - Ach, przerażająca perspektywa małżeńskiego łoża. Wciąż ta panińska skromność? - W jego głosie dosłyszała znajomą ironię.

- Z pewnością to całkiem zrozumiałe?

- To cholernie niedogodne - dodał i wiedziała, że rozmyślnie użył słowa „cholernie”. - Musi pani szybko się zdecydować, moja droga, czy chce być pani traktowana, jak delikatny kwiat, który należy chronić przed wszystkimi niebezpieczeństwami, czy też chce być pani traktowana na równi ze mną.

- Na równi z panem - odrzekła natychmiast Beth. - Ale z pewnością jest też miejsce na odrobinę panińskiej skromności, milordzie. Czy mężczyźni nie przeżywają lekkiego niepokoju przed czymś nowym? Na przykład przed pojedynkiem?

Uchwycił się tego słowa.

- Brak mi doświadczenia w dziedzinie pojedynkowania się - oznajmił. - Czy tak traktuje pani naszą noc poślubną? Wyobraża ją sobie pani jako mierzenie z pistoletów z odległości dwudziestu kroków? - Figlarne iskierki, które już tak dobrze znała, pojawiły się w jego oczach. - Bliższe rzeczywistości byłoby porównanie z zapasami - mruknął. - Albo walką na miecze.

Beth czuła, że się czerwieni, ale nie miała prawa okazać oburzenia. Sama go sprowokowała.

- Mam nadzieję - powiedziała - że w naszej sypialni będzie panował pokój.

Markiz spoważniał.

- Jeśli jest pani tak uczciwa, jak pani utrzymuje, Elizabeth, krew będzie znaczyła nasze łożo małżeńskie.

Krew zazwyczaj nie jest symbolem pokoju.

Beth wiedziała, że jeśli wcześniej się zapłoniła, teraz popładła. Jego słowa były całkowicie prawdziwe, a jednak słychać w nich było jakąś aluzję do przemocy i do tego, że nie pozbył się wątpliwości.

Westchnął i wziął ją pod rękę.

- Przepraszam. Nauczono mnie, bym traktował kobiety w określony sposób, a pani domaga się czegoś zupełnie innego. Bez względu na to, jak bardzo silną rośliną chciałaby pani być, uważam, że będzie rozsądniej z mojej strony, jeśli jeszcze przez jakiś czas będę traktować panią jak delikatny kwiat.

Zaprowadził ją na salę balową, gdzie wykonywano jakiś ludowy taniec, do którego z łatwością można się było przyłączyć. Zręcznie wmieszali się w tłum tancerzy.

„Jeszcze przez jakiś czas...” Dopiero po nocy poślubnej, kiedy jej dziewicza krew splami prześcieradło, markiz pozbedzie się wątpliwości.

Beth z jasnym uśmiechem przyczepionym do twarzy dała się porwać bezmyślnemu tańcu.

Od tamtej pory traktował ją z chłodną kurtuazją. Beth brakowało krótkich chwil swobodnych rozmów, ale była gotowa z nich zrezygnować, by uniknąć raf.

Wydawało się, że Phoebe Swinnamer też dała im spokój i skupiła całą uwagę na młodym hrabim Boltonie, który był równie afektowany, jak ona.

Stanowiło to pewną ulgę, ale Beth codziennie uczestniczyła w jakichś imprezach towarzyskich, podczas których

narazona była na ciekawskie spojrzenia i musiała zawsze udawać zakochaną narzeczoną - oczywiście w sposób wytworny i elegancki.

Markiz niekiedy uciekał do klubu lub spotykał się z przyjaciółmi, ale Beth nie miała takich chwil wytchnienia. Pewnego wieczoru, kiedy szykowali się do wyjścia do teatru, ku zaskoczeniu wszystkich załapała się łożami. Ponieważ markiz stał najbliżej niej, znalazła się w jego ramionach.

Posadził ją na kanapie i objął ramieniem.

- Maman, to się musi skończyć. Książę i księżna wymienili spojrzenia.

- Panna Armitage nie jest przyzwyczajona do takiego trybu życia - wyjaśnił markiz. - Mnie jest trudno, a co dopiero jej, wiecznie otoczonej nieznajomymi. Do ślubu pozostał niespełna tydzień. Niech odpocznie. Wszyscy to zrozumieją.

- Jeśli pomyślą, że coś jej dolega... - zaczęła księżna, pełna wątpliwości.

- Czy w takim razie lepiej, żeby się załamała nerwowo na oczach ludzi, niż opuściła kilka przyjęć?

Do tej pory Beth zdążyła się opanować.

- Już się dobrze czuję - powiedziała, wzruszona troską markiza.

- Nieprawda - rzucił szorstko. - Jest pani blada jak ścia-

na i ma pani podkrążone oczy. - Żartobliwie dodał: -
Swoim wyglądem niszczy pani moją sławę
niezrównanego kochanka. Niech się pani położy,
ogłosimy całemu światu, że się pani przeziębiła.
Każdemu może się to przytrafić.

Beth wyciągnęła swoją malutką koronkową chusteczkę i
wydmuchała nos.

- Rzeczywiście wygląda, jakbym miała katar. -

Pociągnęła nosem.

- No właśnie - powiedział, podając jej swoją chustkę,
znacznie większą i praktyczniejszą. - Jutro przyjmie pani
kilku gości, będzie pani dużo pociągać nosem, a potem
schroni się w swoich pokojach. Jeśli trochę urózuje pani
nos, żeby zwiększyć pozory prawdopodobieństwa,
powinna pani zyskać przynajmniej dwa dni wytchnienia.

Beth nie mogła się powstrzymać, żeby nie zachichotać,

- Ależ z pana mistrz podstępny - powiedziała. Temperatura
natychmiast opadła.

- Czyż wszyscy nimi nie jesteśmy? - odparł chłodno i
potrząsnął dzwonkiem. Kiedy znalazła się pod opieką
pokojówki, markiz, książę i księżna wyszli do teatru.

Nieszczęśliwa Beth leżała w swoim łóżku, rozmyślając
o tym, jak każda chwila harmonii i dobroci zostaje
zatruta. Czy istniała dla nich jakaś nadzieja?

Jednak dzięki podstępowi markiza zyskała dwa dni
spokoju, tak jej potrzebnego. Spędziła je w swoim
pokojku, czytając i odpoczywając. Kiedy „wyzdrowiała”,
do ślubu zostały zaledwie dwa dni i księżna
wykorzystała ten fakt, by ograniczyć życie towarzyskie.
Nie oznaczało to wcale, że Beth miała wolny czas, ocze-
kiwano bowiem, że będzie towarzyszyła księżnej przy
nadzorowaniu ostatnich przygotowań, ponadto zostały
jeszcze końcowe przymiarki sukni ślubnej. Do miasta
zaczęli też ściągać krewni i wszyscy składali im wizyty.

Jedynym plusem było to, że markiz wymówił się od udziału w nich, oświadczając beztrąsko, że od kołyski zna wszystkie te magiery i nie trzeba go im przedstawiać. Beth doszła do wniosku, że nawet jeśli jego nieobecność jej nie ucieszyła, przynajmniej było mniej okazji do sprzeczek.

Wolała w ogóle nie myśleć, jak to rokowało ich wspólnemu życiu.

Okres „choroby” Beth oznaczał też odrobinę wolności dla Luciena. Z chwilą gdy jego przyszła oblubienica została zwolniona z obowiązku uczestniczenia w niekończących się imprezach towarzyskich, nie miało zbytniego sensu, by on sam się na nich pokazywał. Ale nie brakowało mu rozrywek, ponieważ Kompania Hultajów zebrała się, by pożegnać Co-na i Dare'a, którzy mieli wyjechać, by dołączyć do armii Wellingtona, w sam dzień ich ślubu. Jak zwykle przyjaciele zebrali się w domu Delaneyów przy ulicy Lauriston. Nicholas i Eleanor wrócili do miasta po odwiedzeniu rodziny w Grattingley, a ich dom zawsze był otwarty dla przyjaciół.

Lucien spędzał większość wieczorów u nich.

Trzy dni przed ślubem Eleanor odważyła się zadać zuchwałe pytanie:

- Czy nie powinieneś raczej zostać w domu z Elizabeth, milordzie?

- By siedzieć przy kominku, jak Godric i Godgifu? - odparł kpiąco.

Eleanor lekko ściągnęła brwi, słysząc jego ton, i markiz pożałował, że okazał się taki zgorzkniały. Ale zanim zdążył coś dodać, zwróciła się do Nicholasa.

- Kim byli Godric i Godgifu? - spytała.

Miał zaintrygowaną minę, ale wyjaśnił:

- To król Henryk I i jego żona Matylda. W ten dość złoś-

liwy sposób przezywali ich Normanowie, mając im za złe ich szczęście domowe i ich próby anglizowania dworu. -Spojrzał na Luciena i dodał: - Nie chce kupić encyklopedii i zadrecza mnie najróżniejszymi pytaniami.

- Uważam, że powinien być jakiś pożytek z męża - powiedział Lucien i skrzywił się, bo znów się zorientował, że przez jego słowa przebija gorycz.

- Tylko pomyśl - Eleanor zwróciła się do męża - gdyby panna Fitcham należała do nauczycielek, które potrafią czegokolwiek nauczyć swoje uczennice, właściwie wcale nie byłbyś mi potrzebny.

- Czyżby? - spytał prowokująco. Eleanor się zaczerwieniła i wstała.

- Widzę, że zaczynasz się zachowywać niestosownie, więc ucieknę, póki jeszcze mogę. - Odwróciła się i rzuciła pożegnalne spojrzenie Lucienowi. - Jeśli było to dobre dla króla Anglii, milordzie, nie rozumiem, dlaczego jest to nieodpowiednie dla ciebie.

- Na Boga, to zmasowany atak - stwierdził Lucien ze śmiechem i uznał się za pokonanego. Zwrócił się do Nicholasasa. - Jak możesz wytrzymać z taką bystrą kobietą?

- To stałe źródło zachwyty. Jest również serdeczna. Czy Elizabeth jest oschła?

To był atak bezpośredni.

- Nie wiem - odparł w końcu Lucien.

- Luce - zaczął Delaney - jesteś mądry, bogaty, przystojny, a do tego jesteś największym donżuanem w Anglii. Udało ci się oczarować nawet Eleanor tuż pod moim nosem. Jak możesz nie wiedzieć, czy twoja narzeczona jest serdeczna, czy oschła?

Lucien uświadomił sobie, że nigdy nie próbował uwieść Elizabeth Armitage. Owszem, znieważał ją, groził jej i wymyślał. Ale czy uwodził? Nie. Nie mógł o tym

rozmawiać, nawet z Nicholasem.

- Jak mogę nie wiedzieć? - powtórzył lekko. - Ponieważ ona jest kaktusem, a ja przypominam balon, wypełniony dumą i poczuciem własnej ważności. Boję się do niej zbliżyć wystarczająco blisko, by to sprawdzić.

Przyjacielowi drgnęły usta.

- Domyślam się, że chodzi o sukcesora rodu Vaux.

- Och - powiedział Lucien - ród de Vaux musi mieć spadkobiercę, nawet jeśli miałbym całkiem opaść z sił...

- Słyszając swoje słowa, wybuchnął śmiechem.

- Zupełnie naturalne - zgodził się Nicholas i dodał żartobliwie. - O ile dobrze sobie przypominam, mówiłeś kiedyś, że twoi służący codziennie napełniają cię dumą, posługując się ręczną pompką? Zyskuję bogatą wiedzę o życiu alkowianym wielkich tego świata.

- Miej trochę szacunku - zbeształ go Lucien, wciąż nie mogąc opanować śmiechu. - Nie, żebym się nie zastanawiał, jak to wygląda u moich rodziców...

- Wszyscy się nad tym zastanawiamy.

Na wspomnienie swych rodziców - a szczególnie ojca, który wcale nie był jego ojcem - Lucien spoważniał.

- Czy nie odczuwasz wdzięczności - spytał - że nikt nie wywiera na tobie presji, byś zadbał o przedłużenie rodu?

- Ponieważ mój brat nie wykazuje ochoty do żeniaczki, prawdopodobnie na mnie spadnie ten obowiązek. Nie uważam tego za coś nieznośnego - odparł Delaney, szczerząc zęby - ale ja nie jestem napompowany dumą. -

Wybuchnął śmiechem. - Wiesz, od tej pory zawsze, kiedy usłyszę ten

zwrot, będę miał jednoznaczne skojarzenia. - Pokręcił głową. - Eleanor z satysfakcjonującą regularnością odbiera mi siły, ale zostawia swoje ciernie przed drzwiami do sypialni.

- Eleanor nie ma cierni.

Przyjaciel ponownie wybuchnął śmiechem.

- Akurat! Znasz Eleanor, odkąd okoliczności nieco ją ujarzmiły. Powtarzam jej, że nic dziwnego, że jako dziecko tak często dostawała baty. Zadziwiające jest to, że tak niewielki odniosło to skutek.

- W takim razie, jak ją trzymasz w ryzach? Nicholas spoważniał.

- O jakich ryzach myślisz?

Było to wyzwanie i Lucien zeszywniał.

- Co robisz, żeby zachowywała się, jak należy?

Życzliwe, brązowe oczy przyjaciela stały się dziwnie zimne.

- Sam nigdy nie zachowywałem się, jak należy. Dlaczego miałbym próbować zmuszać do tego innych?

- Jest twoją żoną, do cholery. Delaney pokręcił głową.

- Jest Eleanor. Nigdy nie chciałem zostać strażnikiem drugiego dorosłego człowieka i Bóg okazał się na tyle łaskawy, by obdarzyć mnie żoną samodzielnie myślącą. Zamierzasz spróbować utrzymać Elizabeth „w ryzach”?

Lucien wiedział, że już czynił takie próby. Ale cóż innego mógł zrobić, kiedy Bóg jeden wie, do czego zdolna będzie ta kobieta, jeśli da jej pełną swobodę? Będzie nosiła łachmany. Zadawała się ze służbą. Głosiła rewolucyjne hasła. Oddawała swoje ciało każdemu Tomowi, Dickowi czy Harry'emu? Dotarło do niego, że obojętne mu było wszystko, poza tym ostatnim. Nawet jeśli zachowała wianek - przynajmniej tak twierdziła - co ją powstrzyma, z chwilą gdy go straci? Córka Mary Wollstonecraft była najlepszym przykładem tego, do czego mogą doprowadzić hasła, głoszone przez jej matkę.

- Elizabeth to nie Eleanor - powiedział Lucien.

- Nie. Przypuszczam, że jest bardziej wykształcona.

- Ma głowę nabitą niemoralnymi poglądami tej Wollstonecraft.

-Nie.

- Chodź - powiedział przyjaciel.

Przeszli do biblioteki. Nicholas zapalił lampę i z gęsto zastawionych półek wziął dwie książki. Bez trudu je znalazł. Były to dzieła Mary Wollstonecraft - Obrona praw mężczyzny i Obrona praw kobiety.

Delaney wskazał to drugie.

- Powinien to przeczytać każdy mężczyzna, żeby chociaż spróbować zrozumieć. Uważam, że jeśli o ciebie chodzi -powinieneś ją przeczytać szczególnie uważnie.

Nawet Nicholas potrafił rozżłościć Luciena.

- Czy mam zostać szermierzem praw kobiet? Przyjaciel się uśmiechnął.

- Ziemia by się zatrzęsała z wrażenia. Nie, ale przynajmniej mówilibyście tym samym językiem.

- Byłoby lepiej, gdyby Elizabeth nauczyła się mówić moim językiem. Co sądzisz o ucieczce Mary Godwin z Percym Shelleyem? - natarł na niego Lucien. - Zostawił żonę z dwójką dzieci. I na dodatek zabrał jeszcze przyjaciółkę swojej kochanki.

- Sądzę - odparł poważnie Nicholas - że gdybym poznał Eleanor, będąc mężem innej kobiety... Ale nie jestem pewien, czy ma to tutaj zastosowanie. Uważam ich wszystkich - żonę, kochankę, przyjaciółkę kochanki i samego poetę - za szalonych. - Wzruszył ramionami. - Nie zamierzam zastanawiać się nad takimi ekscentrycznymi wybrykami poetów. Usilnie próbuję zdjąć ze swych barków brzemie świata. To niesprawiedliwe oczekiwać od Eleanor, by dźwignia, mnie i jeszcze tamto wszystko.

Lucien był zadowolony, że Delaney zmienił temat rozmowy.

- A Napoleon? - spytał, by rozmowa biegła w dobrym kierunku.

- Tak samo.

- A Deveril?

Na dźwięk tego nazwiska Nicholas pokiwał głową.

- Mam z nim rachunki do wyrównania - przyznał spokojnie, chociaż miał groźną minę. - Ale nie będę dążył do ich uregulowania. Nic by z tego dobrego nie wynikło. To byłaby tylko zemsta.

- Zemsta potrafi być słodka.

- Nigdy tego nie doświadczyłem.

- A co powiesz o wszystkich naszych psikusach w Harrow? - Lucien odłożył książki, które trzymał.

- To nie była zemsta. To były chłopięce figle. - Nicholas wziął książki i znów podał je markizowi.

Lucien przez krótką chwilę patrzył przyjacielowi w oczy, ale potem się poddał. Jednak pilnował, by rozmowa nie zeszła znów na ten temat.

- Byłem zaskoczony, widząc Deverila w Anglii - powiedział. - Myślałem, że uciekł z Therese Bellaire.

- Therese nie zgodziłaby się na ucieczkę - zauważył Nicholas, gasząc lampę. - Ale owszem - dodał, kiedy wychodzili z pokoju - Deveril był z nami. Wyjątkowo nieprzyjemny towarzysz podróży. - Jakiś cień przemknął po jego twarzy, co sprawiło, że Lucien pomyślał o tamtej dziwnej podróży, kiedy to madame Bellaire porwała Delaneya. Przetrzymywali go przez wiele dni, a potem umieścili na pokładzie innego statku, udającego się do Colony. Powrót do domu zajął mu prawie cztery miesiące, w tym czasie wiele osób obawiało się, że zginął.

- Skoro wrócił - ciągnął Nicholas - musiała się go pozbyć. Ostatecznie nigdy nie był jej kochankiem.

Byli sami w holu. Lucien, pragnąc zaspokoić swoją

ciekawość, odważył się zadać pytanie dotyczące osoby zimnego dworaka.

- Kim właściwie dla niej był? Przyjaciół wżruszył ramionami.

- Kimś, kto podzielał niektóre z jej gustów. Wszelkie męty trzymają się razem. Miał wypaczoną, ale bujną wyobraźnię. - Nim Lucien zdążył pomyśleć o kolejnym pytaniu, Nicholas rzekł: - Będąc człowiekiem chciwym, bardzo się interesował jej intrygą. Podróżował z nami, aby zapewnić sobie udział w zyskach.

- Musiało mu się udać - powiedział Lucien. - Nigdy nie był biedny, ale chodzą słuchy, że wrócił nieprzyzwoicie bogaty - nacisk kładzie się jak zwykle na „nieprzyzwoicie”. Dlatego znów wkręcił się do towarzystwa. Pieniądze zawsze otwierają wszystkie drzwi.

Nicholas spojrział na markiza czujnie.

- Bogaty? Pieniądzy nie było znów tak dużo, a Therese większość z nich przeznaczyła na własne potrzeby.

- Być może tylko się przechwała. Ale wynajął dom przy placu Grosvenor. Jeździ cholernie dobrymi końmi - przebił moją cenę na gniadosze Millhama i przykro mi, kiedy je widzę. Ma ciężką rękę. Słyszać plotki, że szuka żony, i wcale mu nie zależy, żeby pochodziła z wysokiego rodu. Bardziej zależy mu na tym, by kupić sobie taką, która będzie odpowiadać jego gustom.

Delaney się skrzywił.

- Że jakiś rodzic sprzedałby swoje dziecko takiemu, jak on... Ciekaw jestem, Luce, skąd ma te wszystkie pieniądze. Prawdę mówiąc, zastanawiam się, czy nie udało mu się pokonać Therese jej własną bronią.

- Pozbawił madame jej nielegalnie zdobytych środków?

- spytał Lucien, szczerząc zęby. - Możesz mówić, że zemsta nie jest słodka, ale znajduję w tym prawdziwą

przyjemność.

- Sprawiedliwość, a nie zemsta - powiedział Nicholas z uśmiechem. „Fiat justitia et pereat mundus”*. Jednak nie wszystko się zgadza. Nie rozumiem, czemu Deveril miałby się cieszyć nieuczciwie zdobytymi pieniędzmi.

- Ani ja, na Boga. Co z tym zrobimy? Nicholas spojrzął na markiza.

- Na razie nic. Ta sprawa może zaczekać. Bierzesz ślub, co wymaga pewnego wysiłku. Przekonałem się o tym na własnej skórze. Masz też co czytać.

Lucien spojrzął na książki.

- Spodziewasz się, że coś zmienią? Myślę, że świetnie rozumiem Elizabeth, jedynie tego nie pochwalam.

**Niech zginie świat, byleby sprawiedliwości stało się zadość (przyp. tłum.).*

- A uważałem cię za rozsądnego mężczyznę. Nigdy nie rozumiemy drugiego człowieka, a najgroźniejszym złudzeniem jest przekonanie, że tak jest. - Delaney był zupełnie poważny, a w takich chwilach należało go słuchać uważnie. - Żałuję - powiedział w zamyśleniu - że nie wróciliśmy wcześniej i nie mieliśmy okazji poznać twojej Elizabeth. Wydaje mi się, że przydałby się jej jeden czy dwóch przyjaciół.

Lucien poczuł się winny, że nigdy nie pomyślał o tym, iż jego narzeczona nie ma żadnych przyjaciół.

- Mogę z nią przyjść któregoś dnia.

- Proszę bardzo, jeśli chcesz. Ale zostały tylko trzy dni do ślubu sezonu i niewątpliwie będzie wołała trochę ciszy i spokoju, niż spotykać się z kolejnymi nieznanymi. Przywieź ją do nas po miesiącu miodowym. Myślę, że z uwagi na Deverila zabawimy tu jeszcze kilka tygodni.

Podeszli do drzwi od salonu, ale tam Nicholas zatrzymał się z ręką na gałce.

- Na ogół nikt nie lubi słuchać dobrych rad, Luce, ale muszę ci coś powiedzieć. Bez względu na to, jakie macie ze sobą problemy ty i Elizabeth, małżeńska sypialnia nie jest właściwym miejscem do ich rozwiązywania. -

Spojrzał na markiza. - Walcz, jeśli musisz, ale w łóżku tylko kochaj. A jeśli na razie nie jesteś jeszcze do tego zdolny, zaczekaj, aż będziesz gotów.

13

Ceremonia zaślubin miała się odbyć w sali balowej w Belcraven House i wieczorem w przeddzień ślubu Beth nie mogła się powstrzymać, by tam nie pójść. Wielką salę ze złoconymi kolumnami i łukowatym sklepieniem oświetlał jedynie zimny blask księżyca, barwiąc wnętrze na srebrno i szaro. Kwiaty już stały na swoich miejscach - w ogromnych pojemnikach, rozpięte na kratkach, zawieszane na ścianach. Powietrze przesycone było wilgocią i zapachem roślin, aż trudno było oddychać. Była zupełnie sama. Służący skończyli prace i poszli spać, by odpocząć przed długim, ciężkim dniem, który ich czekał nazajutrz.

W słabym świetle sala przypominała kaplicę, ale Beth się cieszyła, że nie weźmie ślubu w kościele. Nie było nic wzniosłego w tym narzuconym małżeństwie.

Chociaż osłodzone kulturalnym zachowaniem, było równie brutalne, jak wyrachowane porwania w przeszłości, kiedy nie liczyły się uczucia kobiet, tylko ich posag.

- A moim posagiem jest tylko moja krew - mruknęła. - Dla rodu de Vaux bezcenny skarb.

Musiła przyznać, że markiz był miły i uważający, szczególnie przez kilka ostatnich dni. Nie miała też co kryć, że nie była odporna na jego urok. Był urodziwym

mężczyzną i gdyby go oceniać jedynie jako dzieło sztuki, było się czym zachwycić. Był inteligentny i na swój sposób wrażliwy. Jego towarzystwo sprawiałoby jej nawet przyjemność, gdyby nie ich okropna sytuacja. Ostatecznie nigdy by go nie poznała, gdyby nie ich przykre położenie. Beth aż straciła dech, kiedy dotarło do niej, że gdyby teraz miała okazję wrócić do dawnego życia, wcale by jej to nie ucieszyło.

Markiz przyprawiał ją o szybsze bicie serca, wystarczyło tylko, by znalazł się tuż obok niej. Kiedy dwornie ujmował jej dłoń, aż zapierało jej dech; kiedy na nią patrzył, na całym ciele czuła łaskotanie.

Może właśnie dlatego ze strachem myślała o swym małżeństwie. Jutro o tej porze będzie całkowicie w mocy lorda, stanie się ofiarą jego lubieżności. A przecież nic do niej nie czuł.

Objęła się ramionami i przeszedł ją dreszcz. Bardzo żałowała, że księżna nie pozostawiła jej w błogiej nieświadomości, co oznacza znalezienie się we władzy markiza. Pamiętała tamto okropne spotkanie na tarasie w Belcraven Park i sposób, w jaki potrafił rozpalić jej zmysły, sam pozostając przy tym niewzruszony jak posąg. Teraz wciąż prześladowały ją wizje, jak z zimną krwią doprowadza ją do stanu miłosnej ekstazy, a wiedziała, że niewiele potrzeba, by ją podniecić...

Do sali weszła księżna, niosąc świecznik. Pełgające płomyki świec wydobyły czerwień ścian, złocenie kolumn. Sala przestała być tajemnicza, a stała się wesoła.

- Czy coś cię trapi, Elizabeth?

- Nie - odrzekła Beth, nie potrafiąc wyjaśnić, czemu siedzi tu po ciemku.

Księżna odstawiła świecznik, podeszła do dziewczyny i

ją objęła.

- Och, moje biedactwo. Proszę, nie bój się. Naprawdę, nie masz żadnego powodu, żeby się bać Luciena.

- Żadnego? - spytała Beth, wyrywając się z objęć księżnej. - Żadnego? Od jutra może mnie zatłuc niemal na śmierć i nikogo to nie będzie obchodziło!

- Co? - wykrzyknęła księżna. - Czyżby kiedyś podniósł na ciebie rękę? Jeśli tak, osobiście go wychłostam!

- Nie - pospiesznie zaprzeczyła Beth, bo księżna była naprawdę rozgniewana. Nie wspomniała, że jej syn już dwa razy zagroził, że ją zbije.

- Dzięki Bogu - powiedziała księżna i odetchnęła z ulgą.

-Przyznaję, że Lucien ma trochę gwałtowną naturę, ale wszyscy mężczyźni są tacy. Bądźmy szczerze, Elizabeth, cieszymy się z ter go, kiedy chcemy, by nas bronili albo walczyli za nasz kraj, do czego tak wielu z nich będzie zmuszonych już niebawem. Jednak Lucien jest dżentelmenem i potrafi się opanować. Nie wolno ci się go bać. Jeśli kiedykolwiek cię skrzywdzi, musisz mi o tym powiedzieć, a przyrzekam ci, że gorzko tego pożałuje.

Stanowiło to pewne pocieszenie, ale Beth ze

zdumieniem stwierdziła, że ma mieszane uczucia.

Zgodziła się przyjąć zaoferowaną pomoc, lecz w głębi duszy wolałaby, żeby walka między nią a markizem była uczciwa, żeby brali w niej udział tylko oni dwoje.

- A teraz powiedz mi - poprosiła księżna - dlaczego się tak uśmiechasz?

- Naprawdę nie wiem, wasza miłość - odparła Beth. -

Ale

to wszystko jest takie śmieszne. Nigdy tego nie

chciałam. - Pokręciła głową. - Sądzę, że będzie najlepiej, jak udam się na górę i odpocznę.

Księżna popatrzyła za wychodzącą Elizabeth i westchnę-

ła. Obserwowała syna i jego przyszłą żonę i sama nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć. Czasem zachowywali się poprawnie, innym razem - w ogóle się nie zauważali. Niekiedy, gdy mieli okazję rozmawiać, wydawało się, że cudownie się bawią; wówczas była zadowolona, że jej inteligentny syn nie oddał się próżniactwu, jak większość jego znajomych. Jednak kiedy indziej sprawiali wrażenie, jakby się nienawidzili, a teraz wyglądało na to, że Elizabeth się markiza boi. Chciała porozmawiać z synem, ale Marleigh poinformował ją, że markiz poszedł się spotkać z przyjaciółmi. Jak zwykle. Udała się więc na poszukiwanie księcia i zastała go w bibliotece. Stał grzecznie, póki nie usiadła naprzeciwko niego, ale przyglądał się jej podejrzliwie. Księżna uświadomiła sobie, że nigdy wcześniej nie przychodziła do niego bez zapowiedzi. Nagle dokonała niezwykłego odkrycia. Od dnia narodzin Luciena ich życie uległo bez powodu wykoślawieniu. Zapomniała, że przyszła porozmawiać o małżeństwie syna.

- Dlaczego? - spytała łagodnie. - Dlaczego sobie to zrobiliśmy? - Zobaczyła, że mąż niemal się wzdrygnął, słysząc te pytania. - Williamie, dlaczego pozwoliliśmy, by takie drobnostki zniszczyły nam życie?

- Drobnostki? - spytał ostro. - Mieć spadkobiercę, który nie jest moim synem, to dla mnie nie jest drobnostką. Mało brakowało, by skryła się za zasłonę oficjalności, jednak się przemogła.

- Ale takie rzeczy się zdarzają. Cały świat wie, że spadkobiercą Melbourne'a jest syn lorda Egremonta, w innych rodzinach sytuacja wygląda podobnie. Czy wszyscy tak się od siebie oddalili, jak my?

Książę zerwał się z fotela.

- Nasze małżeństwo się nie rozpadło. Traktuję cię z sza-

cunkiem. Traktuję markiza jak swego syna.

- Czyżby? - spytała.

Odwrócił się i serce jej się ścisnęło, kiedy zobaczyła wyraz jego oczu.

- Kocham go, Yolande. Ile razy pragnąłem żyć w nieświadomości! Potrafi mnie doprowadzić do szału - przyznał z lekkim uśmiechem - ale wszystkie dzieci czasem nas wyprowadzają z równowagi. Nigdy nie mógłbym marzyć o lepszym synu.

- Czemu w takim razie nie możesz mi wybaczyć? - krzyknęła.

Książę podszedł szybko do żony i przyklęknął obok jej krzesła.

- Wybaczyć ci? Wybaczyłem ci w chwili, kiedy mi o tym powiedziałaś, Yolande. Czy robiłem ci wymówki? Poczula się bardzo dziwnie. Czy rzeczywiście miała przeszło pięćdziesiąt lat? Była podniecona, jakby znów była dziewczyną. Wyciągnęła rękę, by dotknąć włosów męża, najpierw tylko palcami, a potem całą dłonią.

- Nie, mój drogi - powiedziała cicho. - Nigdy nie robiłeś mi wymówek. Ale nie mogłeś się zmusić do tego, by mnie dotknąć.

Złapał jej dłoń i złożył na niej gorący pocałunek.

- Yolande, pragnąłem cię i cierpiałem bardziej, niż potrafisz to sobie wyobrazić. Bezsenne noce albo sny o tobie tak prawdziwe, że budziłem się przerażony, myśląc, że byłem z tobą...

- Przerażony? - spytała, zaciskając dłonie na jego rękach.

-Przerażony?

- Znienawidzisz mnie za to - odezwał się cicho, ale podniósł głowę, by spojrzeć jej w oczy. - Gdybyś dała mi jeszcze jednego syna, Yolande, chyba zabiłbym markiza. Jej uścisk zelżał, ale wciąż trzymała go za rękę.

- Williamie, nie byłbyś zdolny do czegoś takiego.

Wyrwał się jej, wstał i przeszedł w drugi koniec pokoju.
- Może nie - powiedział twardo - ale z pewnością postarałbym się, żeby zniknął. Tytuł książęcy należy się temu, w którego żyłach płynie krew de Vaux. Jak na ironię, myślę, że Lucien potrafiłby to zrozumieć, nawet jeśli dla ciebie byłoby to niepojęte.

Księżna się uśmiechnęła, chociaż miała łzy w oczach.

Wstała lekko i podeszła do męża. Objęła go.

- No cóż, mój drogi, teraz nie musimy się już tym martwić. Objął ją, na jego twarzy malowało się niedowierzanie.

- Yolande, po tym wszystkim, co ci wyznałem?

- Może zrobiłbyś to, co powiedziałaś. Już nigdy się tego nie dowiemy. - Wyciągnęła rękę i musnęła jego policzek. - Ja też cierpiałam - rzekła drżącym głosem.

Przesunęła delikatnie palcami po jego ustach. - Nazwałeś go Lucieniem.

Książę chwycił jej rękę.

- Słucham?

- Nigdy przenigdy nie powiedziałaś o nim „Lucien”. Zawsze był markizem, nawet kiedy był dzieckiem.

Dziękuję Bogu za Elizabeth. - Nie była zdolna do wybiegów i z jej ust wyrwały się najprostsze słowa: - Weź mnie, Williamie.

Oczy mu pociemniały.

- Yolande, minęło tyle czasu...

Ogień, który tłumiała przez ponad dwadzieścia lat, zapłonął w niej.

- Zapomniałeś, jak to się robi? - spytała żartobliwie. - Nie martw się. Ja pamiętam.

- O, Boże - jęknął. - Ja też. - Powiedziawszy to, zbliżył usta do jej ust i nagle wydało im się, że czas się cofnął i znów są młodzi.

Księżna wsunęła ręce pod surdut i poczuła znajome,

twarde muskuły. Rozkoszowała się wyjątkowym, cudownym pocałunkiem. Ciało małżonków z łatwością się do siebie dopasowały.

Książę przesunął ustami wzdłuż szyi żony. Natrafił na wysoki kołnierz jej sukni.

- Odkąd nosisz suknie pod samą szyję? - spytał.

- Odkąd skończyłam czterdzieści lat. - Roześmiała się, pijana szczęściem. - Zostaw mnie na chwilę z garderobianą, a zmienię to.

Przesunął ręką po sukni z cieniutkiego muślinu i dotknął piersi księżnej.

- Mogę zastąpić garderobianą - oświadczył zachrypniętym głosem. - Niezwykle szybko wraca mi pamięć. Pamiętam, ile razy cię rozbierałem, mój największy skarbie.

Odwrócił ją i pospiesznie zaczął odpinać malutkie guziczki, całując jej gołe plecy.

Księżna zaoponowała.

- Tutaj, Williamie? Nie możemy.

- Tutaj. Teraz - rzucił roznamiętnionym głosem. Przestał rozpinąć guziki, objął żonę i przytulił mocno. - Czy ja śnię, Yolande? Nie zniosę tego, jeśli to tylko sen.

Odchyliła głowę do tyłu.

- Nie, mój drogi. Nie śniesz, chyba że ja też śnię. Ale obiecuję ci: jeśli to sen, przyjdę do twojej sypialni, jak tylko się obudzę.

Ukrył twarz w jej lokach i się roześmiał.

- Żaden człowiek nie zasługuje na takie szczęście. - Przesunął dłońmi w górę i delikatnie musnął jej piersi. Zadrżała, czując falę pożądania, od którego aż jej się zakręciło w głowie.

- Williamie!

- Tak. Ale chyba się starzeję - powiedział, nie przerywając słodkich tortur. - Łóżko wydaje mi się niezwykle

pociągające. O ile dobrze pamiętam, kochanie się na podłodze jest okropnie niewygodne.

Księżna niechętnie przyznała mężowi rację, chociaż obawiała się, czy potrafi o własnych siłach wejść na piętro, i nie chciała się z nim rozstawać. Bala się, że za moment czar pryśnie. Uwolniła się z objęć księcia i powiedziała:

- Za chwilę będę gotowa. Znów ją porwał w ramiona.

- Pójdę z tobą - oświadczył. Przesunął drżącymi palcami po jej twarzy, a następnie pocałował ją żarliwie. Potem odsunął się od niej.

- Thomas! - krzyknął i do pokoju zajrzał lokaj. - Idź powiedz mojemu pokojowemu i garderobianej księżnej, że nie będą potrzebni.

- Tak jest, wasza miłość - odrzekł lokaj, ale wybałuszył oczy, widząc swych państwa splecionych w uścisku.

Kiedy służący wyszedł, by wykonać polecenie, księżna zachichotała i ukryła twarz na piersi księcia.

- Co sobie pomyślą?

- A kto się tym przejmuje? - Ujął jej piersi i wypchnął je ku górze, a potem pochylił głowę i wolno pocałował najpierw jedną, a potem drugą. Kiedy brodawki nabrzmiały pod materiałem sukni, delikatnie chwycił jedną zębami, aż księżna jęknęła i przywarła do niego.

- Powiedziałem ci, że wraca mi pamięć - wyjaśnił z uśmiechem. - Chodźmy do łóżka, reine de mon coeur.

Markiz wrócił do domu przy placu Marlborough dość wcześnie. Wymknął się z przyjęcia pożegnalnego Cona i Dare'a, które nieoczekiwanie przerodziło się w jego wieczór kawalerski.

Było dość przyjemnie, ale wkrótce zmęczyły go sprośne żarty przyjaciół, a ich rady, dotyczące nocy poślubnej, były zupełnie nie na miejscu. Zauważył, że Nicholas dwa razy zmienił temat rozmowy, kiedy stała się zbyt ordynarna, czego nie zrobiłby w innych okolicznościach.

Ostatecznie Lucien zdecydował się pójść pieszo do domu, by ochłonać. Uważał to za nie najgorszy pomysł, by jutro być w pełni władz umysłowych.

Dopiero dziś wieczorem dotarło do niego, że nigdy nie próbował posiąść kobiety, nie pragnąc tego. Czasem było to tylko chwilowe zauroczenie; kiedy indziej, jak z Blanche, było to coś głębszego, ale zawsze towarzyszyło temu silne pożądanie.

Czy pożądał Elizabeth Armitage? Niespecjalnie.

Podziwiał jej ducha i jej inteligencję; kiedy była ożywiona, stawała się nawet ładna, ale nie budziła w nim żadnych żywszych uczuć, nie licząc chwil, kiedy go wyprowadzała z równowagi.

Jeden raz, kiedy ją pocałował, coś poczuł, ale zrezygnował z tego bez żalu, jeśli nie liczyć wyrzutów sumienia, że zmusił ją do pocałunku, którego nie chciała. Co będzie, jeśli będzie się wzbraniała przed konsumpcją ich małżeństwa? Wątpił, czy stać go na to, by ją zmusić siłą. Nawet, jeśli będzie mu powolna, nie miał gwarancji, czy obudzi jego pożądanie. Czułby się cholernie głupio, gdyby się nie sprawdził jako mężczyzna.

- Wszyscy w łóżkach, Thomas? - spytał lokaja, wchodząc do domu.

- Tak, milordzie. Księżę i księżna położyli się niedawno. Markiz lekko się zdumiał, że lokaj z własnej woli udzielił tej

dodatkowej informacji. Potem uświadomił sobie, że została ona wypowiedziana dziwnym tonem. Będąc już na schodach, obejrzał się na młodzieńca w liberii i upudrowanej peruce. Siedział sztywno na krześle, stawianym specjalnie na noc. Był czujny, ale bezosobowy, jak przystało na dobrego służącego.

Lord Arden nie wiedział, że służący nadal był oszołomiony po tym, jak ujrzał owe wyrafinowane

istoty, jakimi byli w jego oczach księżę i księżna Belcraven, jak szli po schodach, ze zmierzwionymi włosami, śmiejąc się i obejmując. I to jeszcze w ich wieku.

Markiz czuł się dziwnie niespokojny, jakby mu czegoś było brak. Postanowił pójść porozmawiać z matką, przypuszczalnie jeszcze nie usnęła. Jednak kiedy znalazł się przed drzwiami sypialni księżnej, dobiegły go jakieś słabe głosy i nie zapukał.

Pokojówka? Nie, to męski głos. Nie miał specjalnej ochoty zobaczyć się z księciem. Jednak kiedy już prawie odchodził, wydało mu się, że usłyszał cichy pisk.

Szybko odwrócił się z powrotem, ale teraz zza drzwi dobiegł go śmiech.

Stał, patrząc na mahoniowe drzwi, zakłopotany. Gdyby nie wiedział, że to niemożliwe, pomyślałby, że w sypialni odbywa się mała orgia.

Jedno nie dawało mu spokoju: jego matka i kto? Nagle przyszła mu do głowy dziwna myśl, że to wszystko przez Elizabeth Armitage i jej dyskusyjne, radykalne poglądy.

Szybko ruszył do apartamentu księcia, który znajdował się zaraz obok. Zapukał, ale nikt się nie pojawił, więc sam sobie otworzył drzwi. W żadnym z trzech pokoi nie zastał księcia. Łóżko było przygotowane, leżała na nim nocna koszula, woda do mycia zdążyła wystygnąć.

Markiz "wolno wrócił pod drzwi sypialni matki i znów zaczął nasłuchiwać. Odgłosy były słabe, ale jednoznaczne. Uśmiechnął się szeroko. Dzięki Bogu mylił się przez te

wszystkie lata. Chociaż było to zupełnie pozbawione logiki, dowód - zawahał się chwilę, szukając w myślach właściwego słowa - zażyłości jego rodziców obudził w nim jakieś nadzieje co do jego własnego małżeństwa.

Wkrótce usnął głęboko, natomiast w innej części wielkiego domu książę i księżna prawie przez całą noc nie zmrużyli oka.

Nazajutrz, w dniu swego ślubu, Beth czuła się jak marionetka. Inni nią poruszali i ją przestawiali z miejsca na miejsce. Ponieważ nie powinna spotkać pana młodego wcześniej niż podczas wieczornej ceremonii, cały dzień spędziła w swoich pokojach. Niewątpliwie markiz mógł chodzić, gdzie chciał, ale w gruncie rzeczy nawet jej to odpowiadało. Przypominała kłębek nerwów i nie wątpiła, że w miejscu publicznym tylko by narobiła wstydu.

Księżna spędziła z nią rano nieco czasu i najwyraźniej była w nadzwyczajnym humorze, chociaż sprawiała wrażenie zmęczonej, raz nawet ziewnęła. Krótką wizytę złożyła Beth również jedna z sióstr markiza, lady Maria Graviston. Była drobniutka i bardzo bystra, ale nie miała umysłu analitycznego. Bez pytania zaakceptowała narzeczoną, którą sobie wybrał jej brat, powiedziała wszystko, co wypadało, a potem przez dwadzieścia minut opowiadała o trójce swoich żywych dzieci. W końcu ucałowała Beth w policzek i oświadczyła, że musi uciekać, jeśli chce wyglądać jak najlepiej na jej ślubie. Druga siostra markiza, lady Joannę Cuthbert-Harby, już wcześniej przysłała grzeczny liścik, w którym informowała, że niestety nie będzie mogła być obecna, ponieważ w każdej chwili „spodziewa się doniosłego wydarzenia”. Oczekiwała piątego dziecka. Wszystkie te dowody płodności nie wpłynęły kojąco na nerwy Beth. Wśród osób ją odwiedzających znalazł się także książę. Był w wyśmienitym nastroju, co zrozumiałe, albowiem za kilka godzin miały się urzeczywistnić jego zamiary. Przyniósł prezent ślubny od markiza, cudowny garnitur brylantowy, o wiele okazalszy od tego, który chciała

ofiarować jej księżna. W jego skład wchodził między innymi diadem z brylantowymi łożkami, które kołysały się i mieniły w świetle. Beth próbowała sprzeciwić się jego włożeniu, ale wkrótce dała się przekonać, że dla kobiety o jej pozycji jest jak najbardziej odpowiedni. W obliczu tego, co ją czekało tej nocy, stwierdziła, że nie ma serca do drobnych pojedynków.

Nawet pojawienie się panny Mallory nie przyniosło jej pocieszenia. Dzieliła je teraz głęboka przepaść, która wydawała się jeszcze większa z uwagi na to, że ciotkę Emmę wprowadzono w błąd. Czas spędzony z dawną opiekunką raczej przygnębił Beth, niż dodał jej otuchy.

- Muszę wyznać - powiedziała panna Mallory, popijając herbatę - że to rozkosz podróżować tak wygodnie. Jak ładnie ze strony księcia, że wysłał powóz specjalnie po mnie. A ten dom jest prześliczny.

- Musisz kiedyś odwiedzić mnie w Belcraven Park, ciotciu Emmo - rzekła Beth nieco zgryźliwie.

Panna Mallory jakby tego nie zauważyła.

- Słyszałam, że słynie ze swej wspaniałości. Świetnie wyglądasz, Beth. - Udowodniła jednak, że widok bogactwa nie do końca zniszczył zasady, które wyznawała. - Jesteś szczęśliwa? Możesz się jeszcze rozmyślić, jeśli masz jakieś wątpliwości.

Wątpliwości, pomyślała Beth. To mało powiedziane. Jednak z uwagi na ciotkę uśmiechnęła się i skłamała.

- Bardzo szczęśliwa. Jest nam z markizem bardzo dobrze.

- Ogromnie mi ulżyło. Bardzo się zdziwiłam, że tak szybko się zgodziłaś przyjąć oświadczyzny markiza. Bałam się, czy nie kierowałaś się względami materialnymi, a może - dodała szeptem, chociaż były zupełnie same - pożądaniem.

Beth zaczerwieniła się.

- Z całą pewnością nie!

- Ależ naturalnie - zgodziła się panna Mallory, sama zapłoniona. - Dostrzegłaś w markizie szlachetniejsze przymioty. Jesteś mądrzejsza ode mnie. Jacy jesteśmy niesprawiedliwi, kiedy widząc przystojnego mężczyznę albo piękną kobietę, skłonni jesteśmy uważać ich za płytkich lub bezmyślnych.

Beth nie mogła już dłużej znieść rozmowy o swym małżeństwie.

- A co tam w szkole? Brakuje mi jej - powiedziała, a potem dodała szybko: - Nawet mimo tego, że jestem tu taka szczęśliwa.

- I wszystkim brak ciebie, moja droga. Bardzo trudno jest mi znaleźć kogoś na twoje miejsce. Kandydatki są albo zupełnie głupie, albo zbyt surowe. Jednak myślę, że jedna się nada. Poza tym niewiele się zmieniło, z wyjątkiem tego, że Clarissa Greystone w końcu wyjechała.

- Naprawdę? Jak do tego doszło?

- Losy jej rodziny odmieniły się na lepsze. Powinna być teraz w Londynie. Najpierw robiła tyle szumu, a kiedy w końcu wyjeżdżała, wcale nie wyglądała na szczęśliwą, głupia dziewczyna. - Panna Mallory wstała. - Cóż, chyba muszę znaleźć drogę do swojego pokoju i przygotować się do uroczystości. Aż nie mogłam uwierzyć, kiedy księżna mi powiedziała, że przed oblicze pastora poprowadzi cię regent we własnej osobie.

- Prawda, że to niesłychane? - zgodziła się Beth, chociaż właściwie przestało ją już cokolwiek dziwić i prawdopodobnie nawet by nie mrugnęła, gdyby do pokoju wtargnął smok i w całości połknął pannę Mallory.

W oczach starszej pani pojawił się błysk.

- Mówię sobie, że dzięki temu zyskuję koneksje z

rodziną królewską. Mam tylko nadzieję, że zabiegi księcia, dotyczące twojego pochodzenia, zostaną uwieńczone pomyślnym skutkiem, inaczej wybuchnie straszny skandal, szczególnie, kiedy wciągnięta została w to rodzina królewska.

- Jakie zabiegi? - zainteresowała się Beth.

- Nie wiedziałaś? - spytała kobieta. - Przypuszczam, że pomyśleli, że i tak już dość masz na głowie.

Znów usiadła i nachyliła się ku wychowanicy.

- Nie można się było przyznać, że jesteś córką Mary Armitage, ponieważ miała ona jeszcze pięcioro dzieci i liczną rodzinę, która nigdy o tobie nie słyszała.

Wystarczyłoby sprawdzić datę twoich urodzin, a wyszłoby na jaw, że jesteś nieślubnym dzieckiem. Na szczęście Denis Armitage - mąż Mary - miał brata-szałaputa, który włóczył się po kraju, prowadząc awanturnicze życie. Całkiem beznadziejny przypadek. No więc ów Arthur Armitage poślubił córkę kuratora z Lincolnshire, a potem ją rzucił. Księżę widocznie załatwił dokumenty, z których wynika, że żona Arthura - jak jej było? Marianna - wydała na świat dziecko. Mary powierzyła opiekę nad bratanicą męża mnie i łożyła na twoje wychowanie.

- A co się stało z moimi „rodzicami”? - spytała Beth, wcale niezadowolona z tego nowego rodowodu.

- Mariannę Armitage zmarła na febrę, kiedy miałaś niespełna dwa latka. Arthur wpadł po pijanemu do Wash i się utopił. Zdaje się, że dziesięć lat temu.

- Wiesz co, ciociu Emmo - powiedziała cicho Beth - ciekawa jestem, czy kiedykolwiek się przyzwyczaję do tego, by dopasowywać wszystko do swoich życzeń, jak to robią oni.

-Oni?

- My - poprawiła się Beth, zmuszając się do uśmiechu. -

Arystokracja. Najwyższe warstwy społeczeństwa. Idź i popraw swoją urodę, ciociu Emmo. Regent niewątpliwie zechce ci uścisnąć rękę.

Słyszając to, panna Mallory przeraziła się i pospiesznie wyszła.

Beth siedziała spokojnie, podziwiając elegancką kompozycję z ostróżek. To, co podejrzewała od dawna, okazało się prawdą. Była tylko jedna osoba na świecie, z którą mogła się teraz spotykać na zasadach równości i uczciwości. Markiz.

Powinien to być wspaniały fundament dla małżeństwa, ale w rzeczywistości Beth czuła się okropnie samotna.

O odpowiedniej porze, jakby była dzieckiem, wykąpano ją, wytarto i wyperfumowano. Włosy uczesano jej w taki sposób, by jak najlepiej prezentował się diadem.

Następnie ubrano ją w suknię z białego atłasu, z narzutką z koronki, zebraną u dołu, a z tyłu przechodzącą w tren. Szyję i ręce ozdobiono jej brylantami, na piersiach przypięto broszkę, w uszach połyskiwały drogocenne łożki, drżące jak krople. Piękny diadem przytrzymał przejrzysty welon na jej lokach.

Kiedy się przejrzała w lustrze, stwierdziła, że czary jak zwykle zadziały. Jak wszystkie panny młode, była prześliczna.

Wydawała się nawet godną spadkobiercy tytułu książęcego. Żałowała, że nie czuje się ani trochę taką, na jaką wygląda.

Na dół zeszła w towarzystwie księżnej i grupki druhen - młodych kobiet z dobrych rodzin, których prawie nie знаła. Dygnęła przed regentem i z godnym podziwu spokojem przyjęła jego przesadne komplementy.

Przy wtórze muzyki weszła do zatłoczonej sali balowej u boku postawnego regenta. Prawie się nie denerwowała.

Strach przed czekającą ją nocą uczynił Beth obojętną na

wszystko, co się działo.

Z uwagi na regenta wszyscy goście kłaniali się, kiedy ich mijali.

Markiz ubrany był niemal tak wytwornie, jak ona. Miał spodnie do kolan z białego atłasu i frak z kremowo-złotego brokatu, zapinany na brylantowe guzy opracowane w złoto, wielki, niebieski brylant rzucał iskry spośród fałd krawata. Ale uroda markiza przewyższała wspaniałość stroju. W blasku tysiąca świec jego włosy lśniły jak złoto, a oczy błyszczały jak szafiry. Ujął dłoń Beth i pocałował ją. Przez całą uroczystość czuła ciepło jego ust na swej skórze.

Beth wypowiedziała słowa przysięgi małżeńskiej stanowczo, podobnie jak markiz. Ciekawa była, czy chwilami nie stawały mu ością w gardle, jak jej. To, co robili, wydawało jej się niemal świętokradztwem, jednak była świadoma, że nie są niczym niezwykłym małżeństwa, w których liczą się głównie względy praktyczne, a nie miłość.

„Śrubuję ci miłość, wierność i uczciwość małżeńską...”

Wiedziała, podobnie jak wszyscy obecni, że wcale nie o to chodzi. Miała nadzieję, że na sali nie ma lorda Deverila, który by znów jej uświadomił, co się naprawdę kryje za tymi wzniosłymi słowami.

Potem goście po kolei składali im życzenia, tylko teraz - zadziwiające - była już „milady”. Markizą Arden.

Wydawało się to takie nieprawdopodobne. Kiedy już ucisnęła dłoń, jak się jej wydawało, wszystkim na tej Ziemi, nastąpiła chwila wytchnienia przed toastami i tańcami. Markiz zamówił dwa kieliszki szampana.

Wypił swój, jakby naprawdę było

mu to potrzebne. Beth zrobiła to samo. Była już na tyle doświadczona, by nie wychylić go jednym haustem, ale zdumiała się, jak szybko kieliszek okazał się pusty.

Kiedy kolejny kelner przystanął w pobliżu, odstawiła pusty kieliszek i wzięła pełny. Markiz spojrział na nią zaskoczony, a potem sam wziął drugi kieliszek i uniósł go w górę.

- Za małżeństwo - powiedział.

Beth uniosła swój kieliszek i rzuciła wyzwanie.

- Za równouprawnienie.

Westchnął. A gdy i ten kieliszek opróżniła do dna, rzekł:

- Mam nadzieję, że jadła pani.

- Przyniesiono mi tacę z jedzeniem do pokoju - odparła, ani trochę nie kłamiąc. Nie wspomniała jednak, że nie była w stanie niczego przełknąć. Jednak zrozumiała zakamuflowane ostrzeżenie i powstrzymała się od sięgnięcia po kolejny kieliszek. Już odczuwała wpływ wypitego wina i chociaż uczucie było całkiem miłe, nie chciała przesadzić. Wyobraziła sobie nową markizę padającą na twarz i zachichotała.

Usłyszała, jak markiz cicho jęknął. Wziął ją za rękę.

- Chodźmy. Powinniśmy zająć honorowe miejsce na sali, by wysłuchać toastów.

Przeprowadził ją, jak nakazywała tradycja, trzymając za rękę, a tłum rozstępował się przed nimi niczym wody Morza Czerwonego. Rozlegały się kolejne ciche gratulacje i uwagi, jakie zwykle się słyszy na ślubach - „śliczna panna młoda”, „jaki przystojny”, „jaka szczęśliwa”, „musiało kosztować majątek”.

- Co pana zdaniem musiało kosztować majątek? - spytała go cicho. - Moja suknia czy pański frak?

- Pani brylanty - odparł.

- Naprawdę? - spytała, spoglądając na błyszczącą bransoletkę. - Może powinnam je oddać biednym.

- Musiałbym kupić pani kolejny garnitur, i jeszcze jeden, i następny, aż w końcu sami znaleźlibyśmy się w dzielnicy ruder.

Spojrzała na niego i przekonała się, że mówi poważnie. Duma rodu de Vaux nakazywała, by kobiety przyozdabiać drogocennymi klejnotami.

- Ciekawa jestem - spytała - ile kompletów brylantowej biżuterii dzieli nas od ubóstwa?

- Jeśli postanowi pani to sprawdzić, wkrótce się przekonamy. Ale cieszę się - powiedział z uśmiechem - że w końcu czuje się pani jedną z nas.

Beth przebiegł zimny dreszcz, jak łatwo przeszło jej przez gardło owo „nas”. Jednak było śmieszną rzeczą walczyć z rzeczywistością.

Doszli do podwyższenia, na którym ustawiono fotele dla regenta, księcia i księżnej oraz dla nich. Kiedy zajęli swoje miejsca, wzniesiono toasty za rodzinę królewską, co oznaczało, że Beth wypła jeszcze trochę szampana. Gdy przyszła kolej na toasty za nią, powstrzymała się od picia, ale stwierdziła, że czuje się coraz bardziej niefrasobliwie.

Nim orkiestra zaczęła grać menueta, w ogóle przestała się denerwować.

Przy pierwszych taktach muzyki razem z markizem ukłonili się głęboko regentowi. Potem zwrócili się przodem do siebie. Kiedy Beth dygnęła przed swym dopiero co poślubionym mężem, przypomniała sobie jego przestrogi dotyczące tego tańca i pomyślała, że są przesadzone. Z pewnością to emocjonujące wykonywać ten taniec na oczach setek ludzi, ale ostatecznie to tylko taniec.

Jednak okazało się, że nie tylko.

Beth zapomniała, z jakim napięciem partnerzy wpatrują się w siebie nawzajem podczas menueta a deux.

Monsieur de Lo mógł nie odrywać od niej oczu przez cały taniec, a i tak w najmniejszym stopniu nie czuła się poruszona; teraz odkryła, że konieczność utrzymywania

kontakty wzrokowego z markizem wywołuje u niej przyspieszone bicie serca.

Krążyli dostojnie wokół siebie, to jedno, to drugie, wirowali jak liście na niespokojnej wodzie, zbliżali się do siebie, by natychmiast się od siebie oddalić. Ale zawsze jego niebieskie oczy wyjawiały jej jakieś tajemnice. Jej oddech stał się płytki, nerwy miała napięte do tego stopnia, że nawet ocieranie się jedwabnych spódnic o skórę przyprawiało ją o dreszcz. Kiedy zbliżali się do siebie, kiedy markiz ujmował jej dłoń swymi ciepłymi palcami, wydawało jej się, że łączy ich jakaś więź; kiedy się oddalali, odnosiła wrażenie, jakby rozrywano coś, co stanowi jedność.

Beth nie doświadczyła wcześniej takiego uczucia.

Przerażało ją.

Wreszcie menuet się skończył. Mogła dygnąć i odwrócić wzrok. Ale markiz przytrzymał jej dłoń, kiedy się wyprostowała, i złożył na niej gorący pocałunek. Beth poczuła się tak, jakby zamierzał posiąść ją tu i teraz. Twarz ją paliła; znów wróciły z całą siłą myśli o nocy poślubnej.

Jej następnym partnerem był książę, więc miała okazję odzyskać panowanie nad sobą, przynajmniej na zewnątrz. Jeszcze jeden kieliszek szampana pomógł jej uciszyć wewnętrzne demony. Zatańczyła z księciem Devonshire i z księciem Yorku. Pomyślała, że teraz chyba nie wypada jej tańczyć z kimś, kto nie jest przynajmniej księciem, z wyjątkiem markiza. Na tę myśl zachichotała i książę Yorku uszczypnął ją w policzek z aprobatą. Wypiła więcej szampana i stwierdziła, że bez żadnych obaw może znów zatańczyć ze swym mężem. Ale potem gwałtownie została sprowadzona na ziemię. Markiz przedstawił jej kolejnego partnera w tańcu, zwykłego człowieka z gminu.

- Pan Nicholas Delaney i jego żona Eleanor. Dwójka moich najbliższych przyjaciół.

Dwójka? - pomyślała podejrzliwie Beth, przyglądając się eleganckiej kobiecie. Ale coś tajemnego, co istniało między Nicholasem i Eleanor Delaneyami, rozwiało wszelkie wątpliwości. Nawet kiedy markiz tańczył z panią Delaney, śmiejąc się z czegoś, co powiedziała, Beth nie czuła ukłucia zazdrości.

Chociaż Nicholas Delaney nie był tak przystojny, jak markiz, rozumiała, że można go pokochać. Jego dość niesforne, ciemnozłote włosy i szczupła, ogorzała twarz były niezwykle pociągające. I było coś rozbijającego w jego ciemnobrązowych oczach.

Kiedy ją prowadził na parkiet, powiedział:

- Uważam, że to barbarzyński zwyczaj.

Beth spojrzała na niego zaniepokojona. Czy markiz mu zdradził, co było powodem ich małżeństwa? Uniósł brwi, widząc jej niepokój.

- Ta pompa, towarzysząca, ślubowi - wyjaśnił. - Mój ślub z Eleanor był cichy. Obawiam się, że po tym wszystkim miesiąc miodowy jest bardziej potrzebny dla podreperowania zdrowia niż dla przyjemności.

Dla przyjemności? Beth nigdy nie pomyślała, że ten czekający ją koszmar, miesiąc miodowy - kiedy znajdzie się w końcu na łasce i niełasce markiza - można traktować w kategoriach przyjemności. Uświadomiła sobie, że nie ma pojęcia, czy zostaną tutaj, czy też wrócą do Belcraven Park. Z pewnością to drugie.

- Miło będzie wrócić na wieś - powiedziała.

- Tak. Razem z Eleanor zamierzamy spędzać większość czasu w naszym domu w Somerset.

Beth czuła, że w innych okolicznościach potrafiłaby sensownie porozmawiać z tym mężczyzną, ale w tej chwili zdolna była jedynie wygłaszać banały.

- Dopiero niedawno przyjechaliśmy tu z Belcraven Park.
' Delaney się roześmiał.

- Red Oaks z całą pewnością nie przypomina Belcraven Park. To nie wieś. To całe miasto.

Beth zachichotała.

- Ma pan rację. O wiele bardziej wolałabym zamieszkać w małym domku.

- O wiele łatwiej nim zarządzać. Kiedy wrócicie do Londynu, musicie koniecznie nas odwiedzić. Mamy niewielki dom przy ulicy Lauriston. - Uśmiechnął się do niej. - Zupełnie zwyczajny.

Oddała mu uśmiech.

- To cudownie.

Musiał posiadać jakąś magiczną moc. Udało mu się pokonać jej skrepowanie i przez chwilę czuła się jak zwykła, rozsądna kobieta. Ale potem dali się porwać żywemu tańcowi ludowemu i nie mieli okazji do dalszej rozmowy.

Później, kiedy dołączył do swej żony, Nicholas Delaney powiedział:

- Powinniśmy wcześniej się z nią zaprzyjaźnić.

- Dlaczego? - spytała Eleanor.

- Jest przerażona i czuje się bardzo samotna.

Eleanor spojrzała na pannę młodą, stojącą z mężem i jego rodzicami, uśmiechniętą i sprawiającą wrażenie szczęśliwej. Ale nie wątpiła w słuszność oceny męża: miał do tego wyjątkowy dar.

- Wiesz, o co w tym wszystkim chodzi? - spytała.

- Nie, lecz to coś... perfidnego. Myślę, że ze wszystkich kobiet ty jedna mogłabyś pomóc Elizabeth. Ale teraz już za późno.

- Uważasz, że nigdy nie powinni się pobrać.

Nie było to pytanie, tylko stwierdzenie faktu, lecz Nicholas pokręcił głową.

- Uważam, że świetnie będą do siebie pasowali, jeśli dadzą sobie szansę. - Uśmiechnął się do żony i uniósł jej dłoń do pocałunku. - Bardzo dobrze wiemy, jak łatwo można zaprzepaścić to, co nam zsyłają niebiosy.

Uśmiechnęła się do niego, żałując, że nie są sami. Nie potrzebowali nikogo poza Arabel.

- Nie możesz powiedzieć czegoś Lucienowi? - spytała.

- Uczyniłem to, chociaż nie zdawałem sobie sprawy z powagi sytuacji. Teraz już nic więcej nie można zrobić. Jest tak samo zaklinowany, jak ona.

Eleanor spojrzała na przystojnego markiza. On też sprawiał wrażenie dumnego i szczęśliwego pana młodego, ale ponieważ go znała równie dobrze, jak Nicholas, widziała, że to wszystko tylko pozory. Rozpromieniony uśmiech jedynie maskował napięcie i niepokój. A było to niebezpieczne. Spojrzała pytająco na męża, mężczyznę nieskończenie fascynującego, ale który nigdy nie budził w niej lęku.

Pokręcił głową.

- Teraz już za późno na głoszenie kazań. Możemy tylko mieć nadzieję, że jego wrodzona dobroć przewycięży arogancję. I przypuszczam, że przeczytał książki, które mu dałem.

Delaney poprowadził żonę na parkiet.

- Książki? - spytała ze zdumieniem Eleanor. -

Lucienowi?

- Mam kilka tomów, nie zawierających tekstów erotycznych.

- Które się mogą przydać mężczyźnie w noc poślubną? - spytała złośliwie.

Ustawili się do walca.

- Jeśli pamiętasz naszą noc poślubną - powiedział - przyznasz, że podręcznik właściwego zachowania był zbędny.

Eleanor wiedziała, co miał na myśli. Wystraszona serią dziwnych wydarzeń i niewyraźnymi wspomnieniami gwałtu, potrzebowała czułości i dobroci i je znalazła.

- Czy są jakieś książki, które uczą dobroci serca? - spytała. Rozległa się muzyka i zaczęli wirować w tańcu.

- Biblia? - spytał z lekkim uśmiechem. - Koran. Weda. Abhidhammapitaka. Bhagawadgita...

- Próbujesz uzmysłować mi moją ignorancję - stwierdziła bez urazy. - Ale przynajmniej się domyślam, że to wszystko teksty religijne. Chcesz powiedzieć, że dałeś je Lucienowi?

- Żałuję, że o tym nie pomyślałem - odparł ze śmiechem.

- Pożyczyłem mu książki Mary Wollstonecraft.

- Spodziewasz się, że spędzą tę noc, dyskutując o prawach kobiet? - spytała sceptycznie.

- Myślę, że byłoby to całkiem niegłupie - odparł. - Ale będąc ponad owo przyziemne interesowanie się tym, co się dzieje w sypialniach innych... - Wolno przyciągnął żonę, aż znaleźli się nieprzyzwoicie blisko siebie. Na szczęście do tego czasu zdążyli już wyjść z sali na korytarz.

Eleanor była gotowa na jego pocałunek, gdy ich usta się zetknęły. Ogarnęło ją znajome podniecenie, pragnienie, by znaleźć się w domu, sam na sam z Nicholasem.

Przywarła do niego całym ciałem.

- Próbuję sobie wyobrazić - szepnęła, kiedy przestał ją całować - jakby to było, gdybym czuła to, co teraz, w naszą noc poślubną. Ten głód. I świadomość, że wkrótce zostanie w pełni zaspokojony.

Nicholas przesunął palcem po jej szyi, wywołując u niej dreszcz.

- Ciekaw jestem, czy noc połączenia się nowożeńców kiedykolwiek tak wygląda - odparł. - W pełni świadome przeżycie nocy poślubnej wydaje się czymś sprzecznym

w samym założeniu. - Westchnął. - Jak powiedziałem Elizabeth, to barbarzyński zwyczaj. Myślę, że pora na nas. Nie mam ochoty patrzeć, jak ofiary będą prowadzone na miejsce uświęconych straceń.

- Z radością wrócę do domu. Z radością wyjechałabym do Somerset. - Słowa te zawierały wyraźną aluzję.

- Ja też. Ale chyba musimy zainteresować się sprawą Deverila. Mogłem zrezygnować z małostkowej zemsty, ale nie podoba mi się, że wypłynął na takie szerokie wody. Wolałbym go widzieć w błocie.

- Ja też - przyznała Eleanor, przypomniawszy sobie obrażającego mężczyznę, który próbował ją kupić, a potem uwieść obietnicą małżeństwa. - Ale to niebezpieczny człowiek, Nicholasie.

- Tak jak ja - odparł spokojnie jej mąż.

14

Beth zobaczyła, jak Delaneyowie wychodzą, i poczuła się tak, jakby opuścili ją ostatni sojusznicy. Zgodnie z obietnicą, pan Beaumont się nie pojawił. Lord Darius i wicehrabia Amleigh najwidoczniej byli już w drodze do Belgii, by wziąć udział w coraz bardziej prawdopodobnej wojnie. Przypuszczała, że ciotka Emma kręci się gdzieś w pobliżu, ale nie sądziła, by akurat ona mogła jej jakoś pomóc.

Nikt jej nie mógł pomóc.

Beth brała kieliszek z winem zawsze, kiedy jej proponowano, i po pewnym czasie stwierdziła, że otaczającą rzeczywistość przesłania jej delikatna mgiełka.

Jednak aż za szybko nadszedł moment, by razem z markizem udali się na spoczynek. Księżę i księżna, drużyna i kilkunastu przyjaciół markiza utworzyło korowód, by odprowadzić ich do sypialni.

Jego sypialni.

Beth nigdy dotąd nie przypuszczała, że tak otwarcie, bez

skrępowania można okazywać, że się wie, co się będzie działo za tymi drzwiami. Ani na chwilę nie opuszczało jej wspomnienie obrazu przedstawiającego Marsa i Wenus, gorąco pragnęła uciec i schować się przed wszystkimi znaczącymi spojrzeniami, przed nerwowymi chichotami. Ileż wulgarności kryło się w tym ślubnym ceremoniale.

Potem znalazła się z markizem sam na sam. Zamroczenie alkoholowe minęło, była spięta i lekko ją mdliło.

Stała i patrzyła na niego. Był taki rostry, taki silny...

Po chwili westchnął.

- Czy rzeczywiście jest pani taka przerażona, na jaką pani wygląda, czy więcej w tym udawania?

- Naprawdę jestem przerażona - szepnęła. Nalał jej do kieliszka ciężkiego, czerwonego wina.

- Proszę - powiedział, podając jej kieliszek. - To powinno pomóc. - Sobie też nalał wina, wypił je i znów napełnił kieliszek.

Beth miała nadzieję, że wino rzeczywiście pomoże. Wolałaby znów odczuwać zamroczenie, ale ręce zaczęły się jej trząść i rozlała wino. Na jej ślicznej białej sukni wykwitła ciemnoczerwona plama. Rzuciła kieliszek i się rozplakała.

Markiz porwał ją w ramiona. Walczyła zawzięcie, kiedy niósł ją na łóżko, a potem kładł na jedwabnej narzucie.

- Uspokój się, moja droga - powiedział cicho, cofając ręce. - Nie zamierzam cię zgwałcić.

Usiadł obok niej na łóżku.

- Jest pani niewinna, prawda, Elizabeth? Skinęła głową.

- Jest pani cholernie głupia - rzucił niemal ze złością. Potem wyciągnął rękę, by otrzeć z jej twarzy łzę. - Gdzie się podziała ta śmiała panna Armitage, którą przywiozłem z Cheltenham?

Beth spróbowała się uśmiechnąć.

- Została markizą?

Wyciągnął rękę i delikatnie zdjął jej diadem z głowy, a następnie rzucił go beztrzesko na stolik przy łóżku.

- Dość tego arystokratycznego przepychu. Wiesz, moja droga, uświadomiłem sobie, że jak do tej pory księciu udało się dopiąć swego. Jesteśmy małżeństwem. Ale nie może nam dyktować, jak będziemy żyli. Uważam, że potrzebny pani długi okres adaptacji, nim będzie pani gotowa do macierzyństwa. Nie będzie Marsa i Wenus, pomyślała Beth z nadzieją.

- Nie będzie to panu przeszkadzało? - spytała.

- Nie - odrzekł łagodnie. - Nie będzie mi to przeszkadzało. - Powiedział to z ulgą. Beth poczuła się trochę urażona.

- Ale gdzie będzie pan spał? - spytała.

- Dziś w nocy z panią. Niepotrzebne nam ludzkie gadanie. Mężczyzna może spać z kobietą i nie musi to oznaczać zbliżenia fizycznego. - Opadł na łóżko obok niej, jedną ręką przesłonił oczy. - Boże. Za dużo wypilem.

Zachowywał się tak swobodnie, tak naturalnie, że Beth nagle pozbyła się wszelkich obaw i zachichotała.

- Ja chyba też. Szampan sprawił, że czułam się taka beztrzeska. - Nie mogła się powstrzymać od chichotu.

- Co panią tak rozśmieszyło, Elizabeth? - spytał, przewracając się na bok i uśmiechając się do niej z sympatią.

- Beth - powiedziała, starając się opanować.

- Beth?

W końcu udało jej się uspokoić i odwróciła głowę w jego stronę.

- Mam na imię Beth - przedstawiła się wyraźnie.

; - Czemu, u diabła, nie powiedziałaś tego wcześniej?

Beth wzruszyła ramionami.

- To był symbol.

Uśmiechnął się. W jego niebieskich oczach tańczyły płomyki świateł.

- A teraz mi to powiedziałaś. Czy to też ma symboliczne znaczenie?

- Chyba tak - odparła Beth, stwierdzając, że oczy same jej się zamykają. - Zostaniemy przyjaciółmi?

- Zgoda - powiedział, śmiejąc się cicho, i przewrócił ją na brzuch, by dostać się do guzików z tyłu jej sukni. - Już wcześniej pomagałem się rozbierać niejednemu przyjacielowi.

Beth była zaskoczona, jak mało sobie robiła z tego, że ją rozbierał - wydawało jej się, że jej głowa nie jest połączona z resztą ciała. Kiedy znalazła się nago w pościeli, znów zachichotała.

- To chyba nie wypada.

- Wcale nie - zaprzeczył wesoło. - Zresztą i tak nikt nie oczekuje, żebyś w noc poślubną została w nocnej koszuli. Jeśli chcesz, żeby służący poczuli dreszczyk emocji, mogę ją trochę rozedrzeć.

- Jest taka droga.

- Wścibstwo służby kontra oszczędność Beth Armitage - podsumował. - Spij, moja słodka markizo.

Powiedziawszy to, wyszedł z pokoju. Beth posłuchała jego rady i wkrótce znalazła się w objęciach Morfeusza. Markiz zabrał do gotowalni wino i jak tylko zamknął za sobą drzwi, opróżnił kolejny kieliszek. Może powinien się dokumentnie upić; podobno alkohol czyni z mężczyzny impotentą, chociaż osobiście nigdy tego nie doświadczył. Obiecawszy swej żonie białe małżeństwo, rozbierając ją, stwierdził, że uczucie, które nim zawładnęło, wcale nie przypomina miłości platonicznej. Była zdumiewająco śliczna - miała kremowobiałą skórę, jędrne, pełne piersi, długie, zgrabne nogi i najwspanialszy wzgórek łonowy, jaki kiedykolwiek w życiu

pragnął całować i pieścić...

Wypił kolejny kieliszek wina.

I była niewinna. Podejrzywał, że wie o tym już od dawna, ale była niepodobna do kobiet, z którymi miał do czynienia do tej pory - doświadczonych kokietek czy naiwnych dziewczyc. Była bystra i inteligentna, potrafiła samodzielnie myśleć. Nigdy nie szukałby tych cech u żony, lecz teraz silnie do niego przemawiały.

Lektura książek Mary Wollstonecraft też dała mu dużo do myślenia. Nie zgadzał się ze wszystkim, co autorka pisała, ale przekonał się, że jest na tyle rozsądna, by go zainteresować. Już się nie mógł doczekać chwili, kiedy przedyskutuje z Beth kilka poruszonych przez nią kwestii.

Westchnął. Prawdopodobnie będą mieli mnóstwo czasu na akademickie dysputy. Wolałby raczej pogłębiać wiedzę

swej wyzwolonej żony w innych dziedzinach, ale nie była jeszcze do tego gotowa. Przypominała mu zranionego ptaka. Zamierzał wypić jeszcze jeden kieliszek wina, ale opanował się. Nie byłoby dobrze, gdyby rano znaleziono go śpiącego w ubraniu na podłodze. Rozebrał się i położył do łóżka, w którym spała jego żona, trzymając się z dala od miękkiego, ciepłego, pachnącego ciała, które było tak blisko.

Kiedy Beth obudziła się rano, wolno zaczęło do niej docierać, że coś jest nie tak. Była naga. Nigdy nie spała nago. Przypominała sobie niewyraźnie niektóre wydarzenia ostatniej nocy.

Uniosła nieco powieki i się rozejrzała.

Była sama w łóżku.

Wszystko sobie przypomniała. Upiła się. Zalała się.

Urżnęła się. Zacerwieniła się na myśl, że goście weselni mogli to zauważyć.

A markiz ją rozebrał. To pamiętała. I nie...

Usiadła gwałtownie, zobaczyła markiza, siedzącego w fotelu i obserwującego ją, i szybko wsunęła się z powrotem pod kołdrę. Ubrany był we wspaniały niebieski szlafrok z adamaszku, włosy miał w nieładzie.

- Dzień dobry, milady - powiedział z ciepłym uśmiechem.

- Dzień dobry - odpowiedziała Beth, przyglądając mu się podejrzliwie.

Lekko zmarszczył czoło.

- Nie rób takiej przerażonej miny, Beth - rzekł. - Chcę, żebyś znów była śmiała i radykalna.

Beth poczuła, że wraca jej trochę odwagi.

- Trudno być śmiałym, kiedy się leży nago w pościeli, milordzie.

W jego niebieskich oczach pojawiły się "wesole iskierki.

- Naprawdę? Nie zauważyłem tego wcześniej.

Beth poczuła, że się czerwieni, ale nie mogła się powstrzymać, by się nie uśmiechnąć.

- Jesteś okropny.

- Tylko tacy są coś warcu. - Podeszedł do łóżka, trzymając jej szlafrok z grubego atłasu, i opuścił go wolno na kołdrę. -

Odesłałem twoją garderobianą. - Przyglądał się jej przez chwilę. Beth ciekawa była, czy on też osunie się na nią, jak jej szlafrok, i przykryje ją swym ciałem... Ale się cofnął. - Chcę zamówić dla nas śniadanie w twoim buduarze. Na co masz ochotę?

- Na jajka - odparła, uświadomiwszy sobie, że jest głodna. Uśmiechnął się.

- Cieszę się, że mamy przynajmniej równie mocne głowy. Ja też nigdy nie choruję po przepiciu. -

Powiedziawszy to, wyszedł z pokoju.

Nie tracąc czasu, Beth wyskoczyła z łóżka i włożyła

nocną koszulę, a na nią narzuciła szlafrok. Prawdę mówiąc, więcej okrywały niż jej suknia ślubna, porzucona niedbale na podłodze i na dobrą sprawę zniszczona plamą z wina, ale i tak nie czuła się ubrana. Ostrożnie wślizgnęła się do swojej gotowalni, ale nikogo tam nie zastała. Usiadła, by rozczesać splątane loki; ubolewała, że nie ma czepka, który dodałby jej odwagi. Co za ślub. Upiła się, potem dostała hysterii i pozwoliła, żeby mężczyzna rozebrał ją do naga. Stwierdziła, że żałuje, iż nie zrobił „tego”, kiedy była pijana. Teraz będzie musiała czekać cały dzień, by skonsumował ich związek.

Kiedy wróciła do sypialni, by z przyzwyczajenia posłać łóżko, aż odjęło jej mowę z przerażenia. Na prześcieradle zobaczyła plamę z krwi. Ale nie czuła, by zaszła w niej jakaś zmiana. Czy mógł to zrobić, a ona nawet nie zdawała sobie z tego sprawy?

Markiz wszedł do pokoju.

- Oto śniadanie... Co się stało? - Potem zobaczył prześcieradło. - Nie martw się. To nie twoja krew. Nie chciałem, żeby ludzie zaczęli gadać, tym bardziej, że nasz ślub odbył się w pewnym pośpiechu. Zaciałem się brzytwą i ozdobiłem w ten sposób prześcieradło.

- O wszystkim pomyślałeś, milordzie - powiedziała Beth, czując się trochę urażona.

- Nie wątpię, że wolałabyś się związać na całe życie z jakąś niezdarą o szlachetnym sercu i wielkim umyśle.

Jednak, niestety, jesteś skazana na mnie.

- Nikt nie kwestionuje pańskiej szlachetności - odparła zgrabnie Beth. I zamarła, przerażona.

Grzecznie przystanął, by ją przepuścić przed sobą.

- Chyba najlepiej będzie, jak udamy, że nie padły te słowa. Beth z chęcią to zrobiła. Znów grząski grunt. Czy to się

nigdy nie zmieni?

W milczeniu przeszli przez jej gotowalnię i sypialnię do wytworzonego buduaru, gdzie stół już przykryto obrusem i zastawiono porcelaną. Beth nałożyła sobie jajka, a z drugiego półmiska kilka kiełbasek i trochę bekonu. Przez ostatnie dni żyła w takim napięciu, że zupełnie straciła apetyt.

Wziąwszy pod uwagę pułapki, które na nich czyhały nawet wtedy, kiedy prowadzili najbardziej niewinne rozmowy, z radością wzięła przykład z męża i jadła w milczeniu. Kiedy jednak zaspokoila głód, milczenie zaczęło jej ciążyć.

Zacząła się bawić obrączką ślubną, do której się jeszcze nie zdążyła przyzwyczaić.

- Jak długo, milordzie, pozostaniemy tu w odosobnieniu? Spojrzał na nią zamyślony.

- Chyba póki nie zwrócisz się do mnie „Lucienie”. Ich spojrzenia się spotkały.

- Naprawdę powinien się pan nauczyć, by mnie do niczego nie zmuszać, lordzie Arden. W przeciwnym razie zostaniemy pustelnikami z placu Marlborough.

- Odmawia pani zwracania się do mnie po imieniu?

1 Na takich warunkach tak.

Przyjrzał się jej uważnie, a potem uśmiechnął się najbardziej olśniewająco, jak tylko umiał.

- Proszę, moja droga Beth - powiedział łagodnie - żebyś mówiła do mnie „Lucien”.

- Dobrze, Lucienie, zgoda - odparła Beth tonem nauczycielki, mając nadzieję, że w ten sposób nie da po sobie poznać, jakie zrobiło to na niej wrażenie.

Markiz oparł łokcie na stole i złożył brodę na rękach. Jego niebieskie oczy były jasne i figlarne.

- Czy to jest klucz do twego serca, moja wstydliva różo? Proszę, mój pachnący raj, mój aniele rozkoszy, chodź

usiądź mi na kolanach i pocałuj mnie.

Beth spojrzała na męża podejrzliwie i próbowała ukryć przed samą sobą, jaki zamęt wywołały w jej umyśle jego słowa. -Nie. Westchnął i opadł na oparcie krzesła.

- Warto było spróbować. Myślę, że zaczekam, aż mnie uwiedziesz, moja droga.

- W takim razie mało prawdopodobne, by pojawili się spadkobiercy chwały rodu de Vaux.

- Zobaczymy. - Markiz wstał i się przeciągnął. - Teraz, rozwiązawszy problem zwracania się do siebie, pora, żebyśmy wyjechali i spędzili kilka dni w Hartwell.

- W Hartwell?

- Nie martw się. To nie miniatura Wersalu Ludwika XVI w Buckinghamshire. To moja wiejska posiadłość w Surrey. Nic wielkiego, właściwie domek. Tylko garstka służących. Możemy odpocząć w sielskiej atmosferze.

- A potem? - spytała Beth.

- Potem naprawdę powinniśmy wrócić do Londynu na resztę sezonu. Musisz ugruntować swoją pozycję w towarzystwie, ale obiecuję, że nie będę cię tak eksploatował, jak moja matka.

- Z całą pewnością nie - powiedziała Beth, wstając. - Proszę przestać mnie traktować, jak dziecko, mi...

Lucienie. Sama zadbam o swoje życie towarzyskie.

- Do pewnego stopnia. Bądź szczerą, Beth. Nadal potrzebujesz rad, jak sobie poradzić w towarzystwie.

Beth wcale nie miała na to ochoty, ale musiała mu przyznać rację.

- Bardzo dobrze. A teraz, milordzie... Lucienie, najdroższy -poprawiła się, wybuchając śmiechem - muszę wezwać Redcliff. Chyba że zamierzasz również dziś być moją garderobianą.

Jej nieostrożna paplanina znów ją zdradziła i Beth zobaczyła w oczach męża błysk. Podszedł do niej i zaczął

rozpinać perłowe guziczki z przodu szlafroka, całą uwagę skupiwszy na tym, co robił. Beth spojrzała obojętnie na jego urodziwą twarz, zastanawiając się, co powinna zrobić, co miała ochotę zrobić.

Wsunął ręce pod materiał i ściągnął jej szlafrok z ramion. Czuła na swej skórze jego gorące dłonie.

Szlafrok osunął się

na dywan i Beth bardzo się ucieszyła, że włożyła pod niego koszulę nocną.

Markiz dotknął palcami trzech guziczków. Beth powstrzymała go ruchem dłoni.

Spojrzał na nią rozbawiony.

- Garderobiana nigdy nie zostawiłaby mojego szlafroka leżącego na podłodze - powiedziała pośpiesznie.

- Skąd ci przyszło do głowy, że jestem garderobianą? - spytał. Otoczył ją ramionami. Tak, jak tamtej okropnej nocy, a jednak zupełnie inaczej. Beth mogła być zdenerwowana i niepewna, ale nie czuła lęku.

Pocałował ją lekko w czubek nosa i Beth odskoczyła, próbując mu się wyrwać.

- Puść mnie! Powiedziałeś, że zaczekasz, aż cię uwiode. Puścił jej ręce, jednak wciąż ją obejmował. Była zupełnie bezbronna.

- Tak, ale czy wiesz, na czym polega uwodzenie? - spytał. - Muszę przyznać, że robisz ogromne postępy.

Prowokujące uwagi to cudowny początek...

- Wcale nie... - Pocałunkiem zamknął jej usta. Kiedy przestał ją całować, Beth spróbowała znowu:

- Wcale... - I tym razem nie dał jej dokończyć.

Gdy skończył ją całować, roztropnie zachowała milczenie. Zresztą i tak wątpiła, czy potrafi powiedzieć coś sensownego. Wydawało jej się, że całe jej ciało pulsuje, rozpierała ją jakaś nieznana energia, która paliła

wszystkie myśli, jak słońce wypala poranną mgłę.
- ...ale musisz wiedzieć, co trzeba zrobić potem - dokończył. - A także - dodał cicho - czy masz ochotę na nagrodę. - Pochylił głowę, żeby znów ją pocałować. Tym razem nie ograniczył się do tego, by zamknąć jej usta pocałunkiem. Tym razem delikatnie skłonił ją, by je otworzyła. Po raz pierwszy poczuła jego język na swoim języku. Jęknęła, ale nie wiedziała, czy był to wyraz protestu, czy rozkoszy. Żadna z ksiązek nie przygotowała jej na coś takiego. Czując przez koszulę jego gorące dłonie - jedną trzymał na plecach na wysokości łopatek, drugą poniżej talii, rysując nią małe kółeczka i przyciskając Beth do siebie. Szorstki materiał jego szlafroka drapał ją przez cieniutki jedwab, a jej brodawki, ach, jej brodawki zaczęły żyć własnym życiem. Wdychała aromat mydła i jeszcze czegoś - czegoś ciepłego, korzennego i niebezpiecznego. Zapach mężczyzny. Bezwiednie szerzej otworzyła usta. Poczuła, jak palcami przesuwają po jej lokach. Całym jej ciałem wstrząsnął dreszcz. Całkowicie się markizowi poddała, uchwyciwszy się dłońmi jego szlafroka. W końcu przestał ją całować. Wzdrygnęła się i wtuliła twarz w jego ramiona. W głowie jej się kręciło, czuła, jak głaszczące ją po włosach.
- Beth? - spytał cicho.

15

Beth zareagowała na to pytanie, jak dziecko, któremu zaproponowano cukierka, jednak zawahała się. Gdyby markiz zaniósł ją do łóżka i ją posiadał, nie opierałaby się, ale sama nie potrafiła jeszcze podjąć decyzji. Ochłonawszy nieco, bała się dać unieść požądaniu. Pokręciła głową. Markiz westchnął i puścił ją. Lecz zaraz potem splótł

palce z jej palcami i pociągnął ją do jej sypialni. Beth czuła, jak jej wali serce, kiedy przyglądał się jej uważnie. Jakaś część jej nadal pragnęła, by ją namówił do zrobienia tego kroku.

Ale w końcu dał jej spokój.

- Zadzwoń na pokojówkę. Porozmawiamy z księciem i księżną i wyruszymy w drogę. Nie ma co zwlekać. Powiedziawszy to, poszedł do siebie, a Beth opadła na fotel, wcale nie będąc pewna, czy jest mu wdzięczna za jego powściągliwość.

Godzinę później, ubrana w nową suknię z zielonej krepy, Beth dołączyła do swego męża. Miał na sobie zwykłe ubranie i tamten moment nieokiełznanej namiętności wy-, dawał się już tylko snem. Razem udali się na poszukiwanie księcia i księżnej.

Księżna pocałowała Beth w policzek.

- Ślicznie wyglądasz, moja droga. Rozumiem, że Lucien porywa cię do Hartwell. Razem z księciem spędziliśmy tam część naszego miesiąca miodowego.

:

Beth zauważyła, że księżna rzuciła spojrzenie księciu, i zobaczyła, że ten zawsze poważny mężczyzna uśmiecha się. Z jakiegoś powodu poczuła się zażenowana, jakby była świadkiem intymnej sceny.

Książę też pocałował Beth.

- Witamy w rodzinie de Vaux - powiedział, a był przy tym tak z siebie zadowolony, że nagle Beth zapragnęła zepsuć mu dobry nastrój. Najwyraźniej uważał, że jego plan powiódł się całkowicie. Beth odczuła dziwną satysfakcję na myśl, że będzie musiał poczekać dłużej niż dziewięć miesięcy na swe wnuki.

Prawdę mówiąc, była zaskoczona swym kwaśnym humorem. Najgorsze miała za sobą i nie została zmuszona do uległości. Wyglądało na to, że markiz

skłonny jest zaczekać, aż będzie gotowa do skonsumowania ich związku. Wyjeżdżali do małego domku na wsi, gdzie będą mieli ciszę i spokój. Powinna być zadowolona.

Postanowiła być zadowolona.

Jak tylko znalazła się w wygodnym powozie, tym razem mając u swego boku markiza, starała się być miła.

- Powiedz mi coś więcej o Hartwell - poprosiła.

Był odprężony i dzięki Bogu nie zdradzał najmniejszych oznak roznamiętnienia.

- Jak powiedziałem, to wiejski domek. Uważam, że całkiem ładny, z uroczym ogrodem. - Rozciągnął usta w uśmiechu. - Właściwie można to ująć tak: złudna prostota. Wymaga mnóstwo pracy i pieniędzy zachowanie takiej sielskiej atmosfery, ale i tak jest to urocze. W głębi ogrodu płynie strumyk, jest też sad i gołąbnik.

- Czy powinnam wziąć ze sobą swój kostium pasterki Z jedwabiu i koronki? - spytała żartobliwie Beth.

- Jak Maria Antonina w Petit Trianon? Zdecydowanie nie. Prawdziwy urok Hartwell polega na tym, że możemy nosić to, na co mamy ochotę. - Rozwiązał krawat i rzucił go na siedzenie po drugiej stronie. - Voila Wolność.

Beth rozwiązała kokardy swego wysokiego, słomkowego kapelusza, zdjęła go i rzuciła na jego krawat.

Oczy mu błyszczały, kiedy rozpinał guziki koszuli. ;

Beth spojrzała na niego podejrzliwie.

- Nie mam ochoty brać udziału w tym współzawodnictwie, milordzie.

Uśmiechnął się.

- Lucienie - albo tu i teraz rozbiore się do naga.

- Lucienie - powiedziała pospiesznie Beth.

- Lucienie, mój drogi? - zaproponował.
- Wystarczy Lucienie - odparła. - Uważam, że blefujesz.
Nie rozebrałbyś się tu do naga.

- Naprawdę musisz się nauczyć nie prowokować mnie, milady - powiedział cicho, powtarzając jej wcześniejsze słowa. A potem się roześmiał. - Ale tym razem nie podejmę wyzwania. Ostatecznie spełniłaś mój warunek. A nie chcę zmuszać cię do używania pieszczotliwych określeń.

Beth na chwilę spuściła wzrok, żeby zebrać myśli.

- Chciałam ci podziękować - odezwała się w końcu. - Jesteś bardzo dobrym

- Nie musiałaś tego powiedzieć z takim zdumieniem. - Kiedy zaniepokojona spojrzała na męża, zobaczyła, że żartuje sobie z niej. - Nie jestem kandydatem na świętego - wyjaśnił. - Miłość, pożądanie, powinności małżeńskie. - Skrzywił się. - Możesz to nazywać, jak chcesz. Powinno to przynajmniej sprawiać przyjemność obu stronom. Pod tym względem nie zgodzę się na żaden kompromis. Mamy przed sobą całe życie.

- Niezupełnie, jeśli mam urodzić spadkobiercę Belcraven - zauważyła Beth, zaskoczona, że tak spokojnie potrafi rozmawiać o tych sprawach.

Rzucił jej spojrzenie pełne irytacji.

- Jeśli nadal będziesz taką pedantką - ostrzegł - być może zostało ci już bardzo niewiele życia. Beth zmarszczyła czoło.

- Wiecznie grozisz mi użyciem przemocy.

- Och, daj spokój - powiedział, przeciągając sylaby. - Chyba zdarzyło się raz czy dwa, że nie byłem taki żądny krwi.

- I kto tu jest pedantem?

- Co wolno wojewodzie... - zaczął.

- To - odparła - wygląda mi na kolejne wyzwanie. Nie

mógł temu zaprzeczyć.

- „Jak straszną urazę amory wywołać mogą i jakie to spory potężne w błahej się lęgną przyczynie”?

- Pope. Porwany lok - rozpoznała natychmiast. - To drobnostka - stwierdziła, a potem zaproponowała inny cytat: - „Kobiety są systematycznie poniżane błahymi dowodami atencji, które w opinii mężczyzn należy im okazywać, gdy w rzeczywistości w sposób obraźliwy umacniają one ich dominację nad nimi”.

- To musi być boska Mary. - Markiz westchnął, ale w jego oczach nadal paliły się wesołe iskierki. Pomyślał przez chwilę, a potem powiedział: - „Przyjaźń wyklucza wszelkie wywyższanie się”.

Beth zmarszczyła czoło.

- Chyba tego nie znam. Jednak to wspaniała sentencja, pod którą z pewnością podpisałyby się Mary Wollstonecraft.

- Przyznaję się, że też nie wiem, kto jest autorem tych słów. Zdaje się, że kiedyś zacytował mi je Nicholas Delaney. - Wziął ją za rękę. - Ostatniej nocy ślubowaliśmy sobie przyjaźń, Beth. Czy mogę mieć nadzieję, że ta przysięga wciąż obowiązuje?

Była ogromnie wrażliwa na każdy jego dotyk, ale starała się tego nie okazywać.

- Chyba naszym przeznaczeniem jest sprzeczać się. To dziwny rodzaj przyjaźni.

- Jedyń rodzaj - stwierdził z uśmiechem. - Nie mam przyjaciela, któremu nie podbiłbym oka.

- Znów przemoc - zaprotestowała, ale lekko. Roześmiał się.

- Obiecuję, że nigdy ci nie podbiję oka.

- Nawet wtedy, kiedy przebiję twój najlepszy cytat?

- Nawet wtedy.

- Bardzo dobrze. - Beth uśmiechnęła się do męża trium-

fująco. - „Przyjaźń jest bezinteresownym handlem między równymi; miłość nikczemnym obcowaniem tyranów i niewolników.” Oliver Goldsmith.

Skinieniem głowy uznał jej zwycięstwo. Machinalnie przesuwał palcem po jej dłoni, rozważając te słowa.

- Ciekaw jestem, czy robi różnicę, kto jest tyranem, a kto niewolnikiem?

- Dla mnie nie. Nie pragnę być ani jednym, ani drugim. Pocałował jej dłoń i puścił ją.

- W takim razie pozostaje nam tylko przyjaźń. Nie mam złudzeń - rzekł sucho - że będzie to łatwe. Idem velle atque idem nolle, ea demum firma amicitia est*

- Obawiasz się, że mamy zbyt odmienne gusty? - spytała. - To jakim cudem rozpoznajemy nawzajem swoje cytaty? Poza tym lubię twoich przyjaciół.

- Czyli mogę mieć nadzieję - powiedział z uśmiechem. - Najwyraźniej gustujesz w hultajach.

Dotarli do Hartwell w wyśmienitych humorach. Miejsce okazało się tak niegroźne, jak markiz obiecał. W małym, piętrowym domku były tylko cztery skromne sypialnie. Wokół rozciągał się przyjemny ogród, na skraju którego płynął strumyk. Było tylko pięć osób służby i Beth uznała, że z taką liczbą sobie poradzi.

Poczuła ulgę, kiedy się okazało, że będą zajmowali z markizem osobne sypialnie, chociaż wiedziała, że drzwi, łączące oba pokoje, nie są zamykane na klucz, a nawet gdyby

**Tego samego chcieć i tego samego nie chcieć to właśnie jest niezawodna przyjaźń (przyp. tłum.).*

były - nie mogłaby ich zamykać. Została zmuszona do tego małżeństwa, ale zgodziła się na nie, - zgodziła się w pełni. Śmieszne byłoby teraz przemienianie ich związku w farsę.

Beth była zła na siebie za to, że intymna strona

małżeństwa wywołuje u niej aż taką konsternację. Zawsze uważała siebie za kobietę praktyczną. Mimo nowo osiągniętej harmonii każda myśl o markizie i łożu małżeńskim sprawiała, że ogarniała ją fascynacja i lęk. Nienawidziła takiego zamętu w głowie. O wiele bardziej wolałaby odłożyć to wszystko do czasu, gdy będzie potrafiła o tym myśleć ze spokojem i racjonalnie.

Ale czy on zechce czekać? Pomimo jego osobliwych deklaracji, że zaczeka, aż ona go uwiedzie, że zaczeka, aż sprawi im to przyjemność, nie spodziewała się zbyt wielkiej cierpliwości po takim mężczyźnie, jak on. Czy wytrwa w swoim postanowieniu chociaż jeden dzień? A może lepiej, gdyby miała już to wszystko za sobą? Nie było w zachowaniu markiza nic z donżuanerii, kiedy oprowadzał ją po domu, ogrodzie i zabudowaniach gospodarczych. W stajni jeszcze raz porozmawiali o lekcjach jazdy konnej, ale tym razem na spokojnie. Była wzruszona tym, że specjalnie dla niej wybrał konia i wyprawił go do Hartwell, by na nich czekał.

Tarantowaty wałach o żeńskim imieniu Stella wydawał się spokojny i przyjaźnie na nią patrzył.

O szóstej zjedli starannie przygotowany, ale prosty posiłek w małym pokoju stołowym. Pokojówka przyniosła wszystkie dania, łącznie z zimnym deserem, a potem ich zostawiła, więc obsługiwali się sami. Był to pierwszy, normalny posiłek, jaki Beth zjadła po wyjeździe z Cheltenham, ale uznała, że lepiej tego nie mówić.

Najlepiej nie mówić nic, co mogłoby wywołać kontrowersje.

Rozmawiali głównie o poezji, przeciwstawiając twierdzeniu Bena Jonsona, Że dobry poeta w równym stopniu takim się rodzi, co nim zostaje, opinię Sokratesa, że poetami kieruje nie mądrość, tylko natchnienie i niemal czarodziejski dar. Beth była zaskoczona tym, jak

bardzo musiała się starać, by obronić swe stanowisko. Hal Beaumont widocznie nic a nic nie przesadzał, mówiąc o inteligencji markiza. Beth była tym raczej zaniepokojona. Kiedyś przewidywała, że będzie miała do czynienia z trzpiotem.

Gdy w końcu ogłosili rozejm, oddali się mniej absorbującemu zajęciu - rozegrali kilka partyjek kasyna. Potem Beth grała na fortepianie, chociaż wiedziała, że nie tyle obdarzona jest talentem, co umie to robić.

Na pierwszy rzut oka był to najnormalniejszy wieczór, ale nerwy Beth były napięte jak struny instrumentu, na którym grała.

W końcu, nie mogąc tego dłużej znieść, oznajmiła, że chciałaby się położyć. Markiz wstał. Spojrzała na niego z trwogą. Ale tylko otworzył jej drzwi, ucałował dłoń i życzył dobrej nocy.

Rozpaczliwie pragnęła go spytać, jakie ma zamiary, ale nie śmiała. Redcliff posłała jej łóżko i wyszła. Beth leżała, nasłuchując, czekała na odgłos przekręcanej gałki. Nie wiedziała, czy powita pojawienie się męża z przerażeniem, czy z ulgą, ale w miarę jak zegar odmierzał minuty, zaczęła myśleć, że z ulgą. Nie mogła dłużej znieść tego napięcia...

Markiza Arden usnęła; obudziła się następnego ranka wciąż jako nietknięta dziewczyna. Powiedziała sobie dobitnie, że właśnie tego chciała i że to najlepszy sposób, by pokrzyżować plany księcia.

Zabawili w Hartwell dziesięć dni i wszystkie upłynęły im podobnie jak pierwszy. Każdego ranka urządzali sobie konne przejażdżki, Lucien okazał się zdumiewająco cierpliwym i wyrozumiałym nauczycielem. Beth robiła postępy, ale płaciła za nie bolącymi mięśniami i otarciami skóry. Mąż nauczył ją grać w pikiety i ogrywał ją z kretesem. Ona zawsze

pokonywała go w warcaby. Czytali książki z małej, lecz świetnie zaopatrzonej biblioteki, a później toczyli żarte dyskusje o swych lekturach, chętnie wymieniając się poglądami, ale zarazem starając się zdobywać punkty podczas nieustannie trwającego współzawodnictwa. Kiedy spacerowali po ogrodzie albo szybkim krokiem chodzili przez pola, rozprawiali o sytuacji międzynarodowej i szansach Napoleona na zwycięstwo nad krajami sprzymierzonymi przeciwko niemu. Lucien nie wątpił, że Napoleon poniesie klęskę i wyraźnie pragnął być ze swymi przyjaciółmi, szykującymi się do tej walki.

Któregoś dnia zacytował nawet słowa, włożone przez Szekspira w usta Henryka V.

- „Szlachta, dziś w Anglii w miękkim śpiąca łożu, przekleństwem swoją nazwie nieobecność, a mało będzie herby swoje cenić, kiedy usłyszy szczęśliwego męża... - Urwał. -Gdzie i kiedy to się jeszcze okaże. Ale wątpię, by nastąpiło to później niż przed dniem świętego Kryspina.

Gdyby pierwsze zbliżenie gwarantowało przyście na świat potomka, Beth położyłaby się na trawie i powiedziała markizowi, by ją posiadał i wyjechał walczyć. Ale nie było pewności, że od razu zaszłaby w ciążę ani też że ich pierworodnym byłby syn. Poza tym nigdy nie wiadomo, czy dziecko wyżyje.

Uprzywilejowana pozycja markiza wymagała, by pozostał tak bezpieczny, jak to tylko możliwe, i współżył z żoną, aż przyszłość rodu zostanie zabezpieczona.

Jak powiedział Nicholas Delaney, był to barbarzyński zwyczaj.

Poza tym jednym wybuchem Lucien unikał okazywania emocji i poruszania najbardziej osobistych i

kontrowersyjnych tematów, chociaż na próbę podzielili się niektórymi swoimi poglądami na temat wolności jednostki i metod rządzenia. Beth ze zdumieniem odkryła, że jak na przedstawiciela swojej klasy markiz był w miarę liberalny, chociaż czasami miała ochotę przekląć jego arogancką krótkowzroczność.

Jeśli chodzi o kontakt fizyczny, to ograniczał się on do kurtuazyjnych gestów, jakie przystoją dżentelmenowi i damie - markiz pomagał jej pokonywać przeszkody, zsiadać z konia, służył jej ramieniem podczas spacerów. Jednak czasem Beth przyłapywała go na tym, jak się jej przygląda, i wyraz jego oczu wywoływał u niej dreszcz. Piętnastego czerwca, ostatniego dnia pobytu w Hartwell, podczas leniwego, słonecznego popołudnia siedzieli na porośniętym trawą brzegu strumienia, pogrążeni w lekturze. Lucien miał na sobie swobodny strój: luźne spodnie, prosty surdut, zrezygnował z krawata na rzecz zawiązanej pod szyją chustki. Słomkowy kapelusz ocieniał mu twarz. Beth ubrana była w najcieńszą i najprostszą suknię z muślinu, kapelusz z szerokim rondem chronił ją przed słońcem.

Powietrze wypełniały ptasie trele i brzęczenie owadów. Czasem plusk wody informował o obecności ryb.

- Może powinieneś spróbować tu powędkować, Lucienie - zaproponowała Beth. - Może złapałbyś coś na kolację.

Markiz uniósł głowę znad książki i się uśmiechnął.

- Tylko, jeśli chcesz się zająć kiełbami i kleniami, dobrymi na jeden kęs. W tym strumieniu niewiele jest ryb wartych łapania.

- Nie mógłbyś go zarybić?

- Zdaje się, że próbował tego mój ojciec. To nie najlepszy strumyk do uprawiania wędkarstwa. Po pierwsze prawie wysycha podczas suszy...

Przerwało im głośnie kwakanie. Zza zakola rzeki wychy-

nęła rodzina kaczek, zawzięcie wiosłując. Na czele płynęła matka, a za nią w karnym szeregu pisklęta. Tylko jedno wlokło się roztargnione z tyłu, a potem przebierało łapkami jak szalone, próbując dołączyć do reszty.

Beth zachichotała i sięgnęła po specjalnie zabraną torbę z owsem.

- Jestem pewna, że nasz mały leń jest w romantycznym nastroju - powiedziała do Luciena, kiedy dołączył do niej nad brzegiem strumienia. - Najwyraźniej jest tak pochłonięty podziwianiem pejzażu, że zapomina wiosłować.

- W takim razie musimy go nazwać Wordsworthem - orzekł Lucien, przyglądając się żonie karmiącej ptaki. Chociaż nosiła budki, od słońca zrobiło jej się kilka piegów na nosie, które uznał za urocze. Tu, na wsi, żyjąc spokojnie, zaczęła się odprężyć i okazywać swego ducha, swą inteligencję i poczucie humoru. Markiz coraz bardziej się nią zachwycił. Gdyby go ktoś wcześniej zapytał, powiedziałby, że dni spędzone na spacerowaniu po wsi i wieczory w towarzystwie tylko jednej osoby, wypełnione lekturą i dyskusjami, szybko go znudzą. Teraz jednak z niechęcią myślał o powrocie do Londynu i rzuceniu się w wir życia towarzyskiego.

Beth ma w sobie coś magicznego, pomyślał. Kiedy zobaczył ją po raz pierwszy, wydała mu się zwykła, a jednak wiele rzeczy - sposób, w jaki przechylała głowę, gdy coś ją zaciekawiło, grymas ust, gdy coś ją rozbawiło, to, jak zapalały się jej oczy, gdy się śmiała - przemieniało ją w urzekającą osobę. Jednak to coś było niezwykle delikatne, szybko ginęło, kiedy była nieszczęśliwa.

Ogromnie się bał, że zniszczy owo coś na zawsze.

Przyglądając się żonie teraz, jak rozmawiała z

„Wordsworthem” i ganiła matkę za zabieranie jedzenia

wprost sprzed dziobów piskłat, pragnął wziąć ją w ramiona tu, na tym słonecznym, porośniętym trawą brzegu, i pokazać jej wspaniałość miłości.

Beth uniosła wzrok i przyłapała markiza na tym, że się jej przygląda. Spojrzała na niego pytająco.

- Tylko stoję na straży - powiedział lekko - na wypadek, gdybyś przez swój entuzjazm wpadła do wody.

Beth pospiesznie przeniosła wzrok na kaczki. Już wcześniej przytrafiało jej się coś takiego. Najzwyczajszą chwilę nagle zakłócały niespokojne myśli, dziwne obawy. Czy on czuł to samo, czy też były to tylko wytwory jej niespokojnego umysłu?

Lucien przykucnął obok niej, tak, że poczuła na policzku jego gorący oddech, i powiedział:

- Może powinienem nauczyć cię pływać? W pobliżu Belcraven Park jest jedno miejsce, wystarczająco głębokie, a zarazem bezpieczne.

Beth poczuła, że serce szybciej jej zabiło. Nie potrafiła sobie wyobrazić, jak mogłaby wejść z nim do wody.

Może by ją przytrzymał, wilgotne ubrania oblepiłyby ich figury. A może kąpałby się nago, jak to ponoć mieli w zwyczaju mężczyźni? Zaszło jej w gardle, wiedziała, że jest czerwona na twarzy. Nie podnosiła głowy, skupiając całą uwagę na kaczkach.

- Chyba niezbyt mi na tym zależy, Lucienie.

- No, no - mruknął i odgarnął lok z jej zapłonionego policzka. - Czyż Szekspir nie napisał: „Prawdziwy szlachcic śmierci się nie boi”? Markiza nie powinna się niczego bać.

Beth pospiesznie wstała, otrzepując z dłoni resztki owsa, i znalazła się z mężem twarzą w twarz.

- Napisał też, o ile sobie przypominam: „Bo miłosierdzie bóstwa jest znamieniem”. Błagam cię, lordzie Arden - zwróciła się z żartobliwym apelem - byś był miłosierny i

oszczędził mi wody.

Roześmiał się i wstał z wdziękiem. Delikatnie dotknął palcem jej nosa.

- Czy zawsze znajdziesz odpowiedni cytat, by dać mi celną ripostę? Za dużo czasu spędzasz na lekturze książek, milady.

- Najwyraźniej to wspaniałe przygotowanie do małżeństwa, milordzie.

- Podejrzewam, że tylko ze mną. - Znów usiadł na trawie w pobliżu książek. - Chodź, usiądź przy mnie, Beth. Wyczuła, że jego prośba ma szczególne znaczenie. Cały czas nie mogła się opędzić od myśli, że dziś jest ich ostatni dzień pobytu na wsi.

Serce jej waliło, ale mając nadzieję, że na zewnątrz wygląda na opanowaną, Beth usiadła na kocu. Markiz odrzucił kapelusz i przysunąwszy się, położył jej głowę na kolanach.

- Poczytaj mi - poprosił i zamknął oczy. Spoczywająca na jej kolanach głowa Luciena parzyła Beth jak rozpalone żelazo. Tak jej zaschło w ustach, że bała się, czy zdoła cokolwiek powiedzieć. Ale przynajmniej mogła się uważnie przyjrzeć mężowi, kiedy tak leżał przed nią w całej swej krasie, niczym ofiara na ołtarzu. Miała ochotę dotknąć jego złotych loków, które mu opadły na gładkie czoło, przesunąć palcem wzdłuż prostego nosa do kształtnych ust.

Tymczasem on otworzył niebieskie oczy i spytał wyzywająco:

-Nie?

- Ależ naturalnie - odparła pospiesznie, starając się nie dać po sobie poznać, jak markiz na nią działa, a z czego on z pewnością zdawał sobie sprawę.

Ujęła w drżące dłonie nowy tom poezji Coleridge'a i zaczęła czytać:

- „W Xanadu kazał Kubła Chan wznieść cud...” Choć utwór był oryginalny, wydawał się dość niewinny, przynajmniej wtedy, gdy czytała go pierwszy raz. Teraz, kiedy obok leżał wyciągnięty jej mąż, wiersz nabrał nowego znaczenia. Głos Beth lekko drżał, gdy czytała:
- „Że zda się: ziemia oddech z trudem łapie...” Jednak ostatnie linijki uderzyły ją najsilniej.

Wij wokół niego w kształt obwodu
Trzy smugi, trwogą zasłoń oczy,
On rosą żył, a mleko toczył,
Z rajskiego toczył je ogrodu.

Nie otwierając oczu, markiz rzekł:

- Celny opis rozpieszczonej arystokracji, chociaż chyba nie to biedny Samuel miał na myśli. Czy zamknęłaś oczy, jak przystało, moja hurysko?

- Nie - przyznała się, bo rozkoszowała się jego urodą.

- „Strzeż się wód!” - zacytował z wcześniejszej linijki. Otworzył oczy i ich spojrzenia się spotkały. - „Bo ty wszak jesteś tu ze mną, na brzegu tej pięknej rzeki; przyjaciółko droga...”

Beth, nie mogąc oderwać oczu od jego twarzy, oblizwała usta.

- Nie poznaję tego.

Zgrabnie wstał, a ona poczuła chłód w miejscu, gdzie wcześniej trzymał głowę.

- Wordsworth, naturalnie, chociaż nie pamiętam, jaki to wiersz. - Podał jej rękę, by pomóc jej wstać. Beth chciała spytać, czy jest jego przyjaciółką, czy wyłącznie przyjaciółką. Przypomniała sobie inną linijkę z wiersza Wordswortha, która nie dawała jej spokoju.

- „Dziwne są chwile namiętności...”

Nie wypuszczając jej ręki, markiz zacytował żartobliwie;

- „Kobieta ideał, pełna cnót. Chroni, pociesza, rozkazuje...!?. Zabrzmiało to, jak opis matki, a nawet

guwernantki.

- Nie jestem pewna, czy chciałabym być taką kobietą - zaprotestowała Beth.

- Nie? Myślałem, że zdaniem Mary Wollstonecraft to ideał. Może dwie kolejne linijki bardziej ci przypadną do gustu: „A jednak jest w niej pogodny duch. Opromienia ją anielski blask”. Chyba pora wracać do domu, mój aniele.

Odwrócił się, wziął książki i koc, pozostawiając Beth z uczuciem niedosytu.

Kiedy wracali, stwierdziła w duchu, że ta przyjaźń, ta cnotliwość, ta rozmowa o duszy i aniołach, która z pewnością zachwyciłaby Laurę Montreville, jej nie wystarczała. Dlaczego? Ponieważ jej umysł cały czas zaprzętały bardziej przyziemne sprawy. Jak długo wytrzymają tak, jak Wordsworth i jego oddana mu siostra, Dorothy? Bo pomimo skomplikowanych więzów rodzinnych, które ich łączyły, oni z całą pewnością nie byli rodzeństwem. Czy rzeczywiście markiz zaczeka, aż ona uczyni pierwszy krok? To było takie niesprawiedliwe. Nie miała pojęcia, co robić.

Tamtego wieczoru, ich ostatniego wieczoru w Hartwell, Beth zaproponowała spacer przy świetle księżyca. Był piękny czerwcowy wieczór, księżyc w pełni sunął po niebie nad ich głowami. Znów posrebrzył złote loki markiza i Beth przypomniała sobie wieczór na tarasie w Belcraven i dotyk dłoni Luciena na swej piersi. Wzdrygnęła się, ale tym razem nie ze strachu czy obrzydzenia.

- Zimno ci? - spytał z troską.

- Nie, skądże znowu. Chyba ktoś mnie wspomniał. Szli wśród złotokapów, których długie, żółte kwiaty rozsiewały wokół swój zapach. Beth westchnęła.

- Żal ci będzie wracać do Londynu? - spytał.

- Tak, trochę. Takie proste życie bardziej mi odpowiada, ale wiem, że musimy jechać do miasta.

- Kiedy skończy się sezon, możemy znów tu przyjechać, jeśli chcesz.

- A co byś zwykle robił? Wzruszył ramionami.

- Wpadł na krótko do Brighton. Spędził trochę czasu w Belcraven Park. Odwiedzał przyjaciół.

- Tęsknisz za swymi przyjaciółmi? - spytała Beth zaciekawiona.

Uśmiechnął się, jego białe zęby błysnęły w świetle księżyca.

- Mam nowego przyjaciela.

Musiała o tym porozmawiać, ale odwróciła się.

- Nie przeszkadza ci to? - spytała.

- Że mam przyjaciela?

- Że masz tylko przyjaciela.

Obrócił ją delikatnie przodem do siebie.

- Czy wyglądam na niezadowolonego? - spytał. -

Potrafię się cieszyć towarzystwem kobiety, nie żądając niczego więcej.

Beth bezradnie uniosła ręce i je opuściła.

- Nic nie wiem.

Ujął ją delikatnie pod brodę, by móc się dokładnie przyjrzeć jej twarzy.

- Nie chcę ci dokuczać, Beth. Jeśli mnie pragniesz, wystarczy, żebyś mi to powiedziała.

Popatrzyła w oczy markiza, próbując odgadnąć jego najskrytsze myśli.

- Nie wiem.

Nie dostrzegła na jego twarzy rozczarowania ani niezadowolenia. Uśmiechnął się i pocałował ją lekko w usta.

- Kiedy będziesz wiedziała, wystarczy, że mi powiesz.

Wziął ją pod rękę i wrócili do domu.

Gdy dotarli do drzwi balkonowych, Beth nieznośną wy-

dała się myśl, że rozejdą się do swoich sypialni, jak to robili każdej nocy. Nagle powiedziała:

- Pocałuj mnie, Lucienie.

Przystanął i spojrział na nią, na jego ustach błąkał się uśmiech, w oczach była serdeczność.

- Jak służący pokojówkę? Cóż, czemu nie?

Położył ciepłe i miękkie jak aksamit dłonie na jej ramionach i przesunawszy nimi wzdłuż jej szyi, ujął jej głowę.

Beth zamknęła oczy, rozkoszując się jego dotykiem.

Poczuła, jak markiz pociera lekko chropawymi palcami skórę na jej brodzie. Jednocześnie przywarł do niej całym ciałem.

- Obejmij mnie, Beth - szepnął.

Otoczyła go ramionami i powodowana jakąś nieuświadomianą potrzebą przyciągnęła go gwałtownie do siebie. Objął ją tak mocno, że niemal złączyli się w jedno.

Przechylił jej głowę i poczuła na swych ustach dotyk jego warg. Odniosła wrażenie, że cały świat zaczął wirować.

Kiedy markiz wolno odsunął głowę, nadal wszystko wokół się kręciło. Jego miękkie usta pozostawiały wilgotny ślad wzdłuż szyi Beth. Odchyliła głowę do tyłu i pozwoliła się pieścić. Przesunął dłonie w górę i objął jej piersi.

Przeszedł ją dreszcz. Jej omdlałe ciało powitało to z rozkoszą, ale jej umysł skulił się ze strachu. Czuła się, jak ktoś, kto modlił się o łagodny deszczyk, a otrzymał gwałtowną ulewę.

Drzwi balkonowe otworzyły się gwałtownie.

Odskoczyli od siebie i odwrócili się szybko. Ujrzeni przerażoną twarz lokaja.

- Milordzie. Milady. Najmocniej przepraszam!

Mężczyzna, czerwony jak burak, uciekł. Beth i Lucien

spojrzeli na siebie i wybuchnęli śmiechem. Ale Beth czuła, jak ją pali twarz. Nigdy w życiu nie była taka zawstydzona. Pospiesznie wygładziła stanik sukni.

- Prawdopodobnie myślał, że to lokaj z pokojówką skryli się w krzakach. - Lucien zachichotał. - Cóż, dzięki temu zyskamy sławę romantyków. - Spojrzał na nią, wciąż się uśmiechając, ale w zamyśleniu. Widziała pożądanie w jego oczach, jednak odzyskał panowanie nad sobą, z czego była zadowolona. Ktoś musiał zachować zimną krew na tych wzburzonych wodach, bo inaczej z pewnością utoną.

A mimo to znów zapragnęła znaleźć się w jego ramionach.

On tymczasem przytrzymał drzwi, by mogła wejść do środka, a potem je zamknął za nią.

Przeszli przez przedpokój do małego holu. Markiz wziął lampę, którą tam dla nich zostawiono, i oświetlił nią schody. Nagle znaleźli się w magicznym kręgu, poza którym wydawało się, że nic nie istnieje.

Chociaż się nie dotykali, Beth czuła jego obecność, jakby się obejmowali. Z pewnością przyjdzie teraz do jej sypialni i dokończy ten szalony taniec, który zaczął się pocałunkiem.

Czy tego pragnęła? Nie wiedziała. Przerazało ją to, a zarazem pociągało... Wiedziała jedno: chciała już to mieć za sobą. Nie mogli dłużej tak żyć, stojąc na skraju przepaści. Z pewnością, kiedy w końcu dojdzie do zbliżenia między nimi, będą się mogli odprężyć i znów poczują się swobodnie.

Lucien wszedł do jej sypialni, ale tylko po to, żeby postawić lampę na stole. Odwrócił się, by na nią spojrzeć, i Beth zaczęła się gorączkowo zastanawiać, co powinna zrobić.

- Znów ogarnęła cię panika - zauważył.

Beth chciała zaprotestować, ale z jej ust wydobył się tylko nieprzekonujący dźwięk.

- To z pewnością bardzo głupie z mojej strony - powiedział z dziwnym uśmiechem - ale kiedy będę cię kochał po raz pierwszy, mój aniele, chcę, żebyś była tamtą dziką megierą, która nazwała mnie pawianem.

Patrzyła bezradnie, jak markiz kieruje się w stronę drzwi.

Odwrócił się i uniósł brew.

-Jeśli zechciałabyś spróbować, można mnie od tego odwieść.

W tamtej chwili, głęboko poruszona figlarnymi iskierkami w jego niebieskich oczach i popychana przez dziwne siły, które czuła w sobie, Beth podjęłaby taką próbę, gdyby tylko miała choć blade pojęcie, co trzeba zrobić. Kiedy starała się wymyślić jakąś prowokującą uwagę, Lucien cicho wyszedł.

Zrezygnowana opadła na łóżko. Musiała przyznać, że miał rację. W ich noc poślubną nazwał ją zranionym ptakiem i chociaż dni spędzone w Hartwell były czasem rekonwalescencji, nadal czuła, że ma poharataną duszę. Już się go nie bała, ale jeszcze nie znajdowała w sobie dość odwagi, by nazwać markiza pawianem. Jeśli chciał takiej Beth, będzie musiał trochę zaczekać.

Nie mogła mu sprawić zawodu.

16

Lucien postanowił jechać konno obok powozu. Pomimo przyjaźni, jaka się między nimi zrodziła, powrót do Londynu przypominał Beth ich pierwszą wspólną podróż - przepaść między nimi była niemal równie głęboka. Podczas jazdy z Cheltenham Beth czytała Samokontrolę, ale Laura Montreville przestała jej już się podobać. Co wspólnego miało owo jałowe poszukiwanie wzoru prawości z tą... tą ogromną pasją? Więc zamiast

oddawać się lekturze, spędziła czas na poważnych rozmyślaniach.

Miała coś bardzo cennego niemal na wyciągnięcie ręki - przyjaźń w małżeństwie. Wyobrażała sobie jednak, że będzie ona oddzielona od bardziej przyziemnych uczuć, które mogłyby jej nawet zagrażać. Teraz przekonała się, że jest wprost przeciwnie. Fakt, że ich małżeństwo było niepełne, stanowił przeszkodę na drodze do osiągnięcia całkowitej harmonii.

Musi się postarać, by jakieś nedorzeczne skrupuły jej czy też jego nie uniemożliwiły im tego. Co za ironia losu! Po latach przestrzegania dziewcząt, by unikały lubieżnych mężczyzn, okazało się, że nie potrafi zaciągnąć własnego męża do sypialni.

W Belcraven House powitali ich książę i księżna. Beth odniosła wrażenie, że oboje przyglądają się jej z niepokojem, szczególnie księżna, ale rodzice Luciena byli zbyt taktowni, by okazać to otwarcie, zresztą Beth i Lucien zachowywali się tak swobodnie, że rozproszyli ich obawy.

Kiedy znalazła się w swojej sypialni, Beth spojrzała na niezamykane na klucz drzwi między pokojem jej a męża. Sypialnie przedzielała jedynie jej gotowalnia. Niby niewiele, a jednak... Nie powinno jej sprawić większej trudności przejście dziś wieczorem przez te drzwi i powiedzenie „Weź mnie, Lucienie”.

Ale nie była do tego zdolna. Musi znaleźć jakiś subtelniejszy sposób. Wielka szkoda, że nie ma książek, poświęconych sztuce uwodzenia.

Drgnęła, słysząc pukanie do drzwi gotowalni. Skinęła głową Redcliff, by je otworzyła. Serce jej waliło, chociaż wiedziała, że to wielce nieprawdopodobne, by markiz przyszedł ją zniewolić w biały dzień.

Przebrał się z zakurzonego stroju do jazdy konnej w

ubranie odpowiednie w mieście - pantalone, buty z cholewami, ciemny surdut i, po raz pierwszy od dziesięciu dni, wysoko zawiązywany krawat.

- Znow uwięziony - zauważył, kiedy dostrzegł jej spojrzenie. - Nie wiem, czemu kobiety narzekają na dyktaturę mody. Przynajmniej nikt się nie spodziewa, byś zaciskała sobie węzeł na szyi i nosiła to wszystko w upalny dzień.

- To prawda. Ale z drugiej strony nikt nie wymaga od ciebie, żebyś chodził w cieniutkich jedwabkach w środku zimy.

- Powinniśmy zostać ekscentrykami i wymyślić nowy styl rozsądnego ubierania się. Co by to mogło być... Beth się zastanowiła.

- Nie widzę powodu, czemu mężczyźni nie mieliby nosić letnich strojów z lekkiej bawełny, wyciętych pod szyją, jak suknie kobiet. Już stają się modne luźne, kozackie spodnie, sprawiają wrażenie bardzo wygodnych.

- Jeśli chcesz poznać moje zdanie, uważam, że głupio się w nich wygląda... Ale panie mogą sobie szyć suknie balowe na zimę z wełny i aksamitu, do tego z peleryną i kapturem, by stawić czoło największym przeciągom.

- Zaprojektuję jedną jeszcze dziś. Ale może - zaproponowała przekornie - byłoby prościej, gdyby kobiety zimą nosiły spodnie, a mężczyźni latem - sukienki.

Wybuchnął śmiechem.

- Starczy. Poddaję się. Prawdę mówiąc, wycofuję się, kiedy jeszcze mogę. Czy masz tu wszystko, czego ci potrzeba?

- Tak, naturalnie. Wychodzisz?

- Tylko na krótko. - Spowaźniał. - Zdaniem księcia lada dzień może dojść do konfrontacji armii Napoleona z siłami sprzymierzonych. Być może już do niej doszło,

choć nic jeszcze o tym nie wiemy. Chcę się dowiedzieć, co mówią na mieście.

Beth przebiegł dreszcz na myśl, że nawet teraz, w takiej pozornie spokojnej chwili, mogą się ważyć losy Europy. Gdzieś w Belgii huczą armaty i padają zabici. Może wśród nich są ich znajomi.

- Tak, proszę idź i spróbuj się czegoś dowiedzieć. Lucien pocałował ją w policzek i wyszedł.

Beth przypomniała sobie pełnego entuzjazmu wicehrabiego Amleigh i lekkomyślnego Dariusa Debenhama i zmówiła modlitwę za ich bezpieczeństwo, za

bezpieczeństwo wszystkich. Cóż to za nonsens. Czy można mówić o bezpieczeństwie podczas wojny?

Pomimo modlitw, odmawianych w kościołach w każdą niedzielę, nie wierzyła, by Bóg miał jakiś wpływ na losy wojny.

Nie mogła nic robić, tylko zająć się własnymi sprawami.

Z zalem pomyślała, że Lucien wkrótce spotka się ze swymi przyjaciółmi i znajomymi. Nie miała przyjaciół, a tylko bardzo niewielu znajomych. Kiedy rozejdzie się wiadomość o ich powrocie do miasta, przypuszczalnie zaczną pojawiać się goście, ale będą to tylko ciekawscy nieznajomi. Była już zmęczona takim sztucznym życiem.

Przypomniała sobie Eleanor Delaney. Spodobała jej się ta kobieta, jak również, w sposób, w którym nie było nic zdrożnego, pociągał ją jej mąż. Ciekawa była, czy nadal bawią w mieście. Może Lucien ją do nich zabierze?

Przekonała się jednak, że trudno jej będzie znaleźć czas na nieoficjalne wizyty. Księżna wprosiła się do niej na herbatę i niebawem spytała synową, czy czuje się gotowa znów brać udział w życiu towarzyskim. Kiedy Beth niechętnie przyznała, że tak, księżna przedstawiła jej bogaty program spotkań,

- Zostało tak mało czasu - wyjaśniła, uśmiechając się przeprasząco - a musimy wprowadzić cię w świat. Ostatecznie, jeśli będziesz enceinte, przez dłuższy czas życie towarzyskie będzie przed tobą zamknięte.

Beth poczuła, że się zaczerwieniła na myśl o tym, jak to mało prawdopodobne, ale księżna wzięła to za przejaw skromności.

- To całkiem możliwe - powiedziała wesoło - a musimy cię przedstawić u dworu, kiedy wciąż jeszcze będziesz miała smukłą kibić. Widziałaś suknię?

- Nie, księżno - odparła sparaliżowana Beth.

- Rozmawialiśmy o niej - przypomniawszy jej księżna - ale rozmowa z panną młodą tuż przed ślubem... - Uniosła ręce w charakterystyczny dla siebie sposób. -

Uzgodniłyśmy, że przerobimy dla ciebie suknię Joanny, przypominasz sobie? I tak nigdy nie ma okazji, by ją włożyć powtórnie. Chodź, jest w sąsiednim pokoju.

Na środku w przylegającej do buduaru Beth nieużywanej sypialni stał spowity muślinem manekin. Redcliff ściągnęła materiał i ukazała się najbardziej frymuśna, najpiękniejsza suknia, jaką kiedykolwiek Beth widziała. Stanik był obcisły, według dawnej mody, a spódnica rozłożysta. Cała uszyta była z delikatnego, wzorzystego jedwabiu w kolorze niebieskim, i wyszywana perełkami.

- A dopiero co rozmawialiśmy z Lucieniem o rozsądnych strojach - powiedziała słabo Beth.

- Naprawdę? - spytała ze zdziwieniem księżna. - Moja droga, nie ma nic rozsądnego w życiu dworskim. Lucien nie znosi tam chodzić.

- Dlaczego? - spytała Beth.

- Z powodu peruk.

- Z powodu peruk?

- Obowiązuje dawna moda. Mężczyźni muszą mieć przypudrowane włosy, a ponieważ niewielu z nich może

sobie zapleść warkoczyk, oznacza to konieczność zakładania peruk. - Księżna dała znak Redcliff, by przykryła suknię. - Będiesz musiała odbyć w niej próbę. - Ale dlaczego muszę być przedstawiona na dworze? - spytała Beth. - Nie jestem młodą dziewczyną, która dopiero wkracza w świat, zresztą nie jestem go ciekawa. - To nie ma nic do rzeczy, Elizabeth - powiedziała surowo księżna. - Władca musi być poinformowany o każdej większej zmianie w naszym życiu. Nie przypadkiem król zwraca się do Luciena i Belcravena „Nasz wierny i z całego serca kochany kuzynie”. Mimo swych egalitarnych poglądów Beth była pod wrażeniem, że monarcha interesuje się jej życiem. Była też na tyle uczciwa, by przyznać, że przedstawienie jej na dworze królewskim będzie przeżyciem niezwykłym, ale zarazem przerażającym. - Nie mam najmniejszego pojęcia, co robić - wyznała. - Och, to dość łatwe - rzuciła od niechcienia księżna, kiedy wróciły do buduaru. - Oficjalny ukłon - a jesteś w tym bardzo dobra - kilka słów, jeśli zostaniesz zaszczycona... - Myślała już o czymś innym, patrząc na plik zaproszeń, które przyniosła z sobą. - Pójdziemy na bal do Almack's i lady Bessington - powiedziała, przeglądając zawiadomienia. - Niektóre są dla ciebie. - Podała synowej kilka biletów wizytowych. - Może są wśród nich od osób, których nie znam. - Wątpię - odparła Beth, ale spojrzała na zaproszenia. - Nie, nie widzę tu nikogo ważnego. Miałam nadzieję, że spotkam jedną czy dwie dawne przyjaciółki z pensji panny Mallory, ale tak się nie stało. Pójdę na imprezy wybrane przez panią. - Jeśli dasz mi nazwiska swych przyjaciółek, Elizabeth, mogę polecić, by je odszukano. Być może nie obracają się w naszych kręgach, ale są całkiem do

zaakceptowania.

Beth podała księżnej pięć nazwisk, nie liczyła jednak na zbyt wiele. Wiedziała, że dwie jej dawne znajome poślubiły wojskowych i mało prawdopodobne, by bawiły w Londynie. Z pozostałych trzech tylko jedna, Isabel Creighton, wyszła za mąż za arystokratę, ale Beth od lat nie miała od niej żadnych wieści.

W końcu księżna zdecydowała, że Beth powinna mieć przed kolacją trochę czasu dla siebie. Wieczorem przewidziana była wizyta w teatrze Drury Lane.

Księżna chciała, żeby Beth się położyła i odpoczęła, ale ona wolała kontynuować lekturę Samokontroli.

Ostatecznie obiecała ciotce Emmie krytyczną recenzję, a poza tym chciała jak najszybciej skończyć ją czytać.

Przedstawione w powieści uczucia nie przemiewiały do niej. Kiedyś, będąc całkowitą ignorantką, w pełni rozumiała podejmowane przez Laurę poszukiwania idealnego mężczyzny. Teraz wątpiła, czy ktoś taki istnieje, a nawet jeśli tak - podejrzewała, że życie z nim okazałoby się bardzo trudne. Niełatwo byłoby mu dorównać. Co więcej, zrobiwszy pierwsze, niepewne kroki w świecie uczuć, Beth nie ufała takiej „chłodnej” ocenie kandydatów na mężów.

Zdawała sobie sprawę z tego, że Mary Wollstonecraft uważała miłość za kiepski fundament dla małżeństwa, ale z pewnością było w nim miejsce nie tylko na rozsądek, lecz również i na uczucie.

Laura, pomyślała kwaśno Beth, z pewnością byłaby zachwycona, gdyby ją opisano jako „kobietę-ideał, pełną cnót, co chroni, pociesza, rozkazuje”. Beth wielokrotnie analizowała ten cytat i zaczęła się zastanawiać, czy nie była to subtelna zniewaga, a przynajmniej skarga.

Wątpliwe, by Lucien pragnął mieć za żonę wzór doskonałości, podobnie jak ona nie życzyła sobie ideału

za męża.

Zawzięcie czytała książkę, z każdą stroną coraz mniej lubiąc Laure, kiedy Marleigh zapowiedział gościa.

- Młoda dama, jaśnie pani, sama, ale zacna. Panna Claris-sa Greystone.

- Clarissa! - powiedziała Beth, nie kryjąc radości. - Jak cudownie. Proszę ją wprowadzić. - Trudno było uznać Clarissę za przyjaciółkę, bo była uczennicą, do tego sześć lat młodszą od Beth, ale była poważną, młodą osobką i o wiele lepszą towarzyszką od Laury Montreville.

Jednak kiedy dziewczyna weszła, w jej zachowaniu Beth dostrzegła niepewność i skrepowanie. Clarissa miała na sobie drogą suknię z batystu, na głowie modny kapelusik, co świadczyło, że finanse jej rodziny musiały się znacznie poprawić, ale nie wyglądała na szczęśliwą.

- Clarisso! - powitała ją Beth. - Jak miło cię widzieć. A więc jednak masz swój sezon.

- Tak - odparła cichym głosem dziewczyna. Beth zamówiła herbatę i posadziła swojego gościa.

- Jesteś zadowolona? - spytała.

Clarissa zaczekała, aż zamknęły się drzwi za Marleighem, a potem padła na kolana przed Beth.

- Nie! Och, droga panno Armitage... chciałam powiedzieć milady. Proszę mi pomóc!

Beth nakłoniła dziewczynę, by wstała z klęczek.

- Clarisso, co się stało?

- Zmuszają mnie do... do małżeństwa.

Beth posadziła dziewczynę na kanapie i usiadła obok niej.

- Moja droga, większość kobiet skazanych jest na małżeństwo - zauważyła rozsądnie. - Widzisz, że nawet mnie to spotkało.

- Ale pani poślubiła markiza Ardena - powiedziała płacz-

liwie Clarissa - a ja mam poślubić lorda Deverila!

- Deverila! - krzyknęła z przerażeniem Beth. Clarissa ukryła twarz w dłoniach.

- Widzę, że go pani zna. Panno... wasza miłość, nie mogę tego zrobić! Nawet, żeby uratować nas wszystkich przed więzieniem za długi! - Nagle zaczęła grzebać w torebce i wyciągnęła z niej kartkę papieru. - Dał mi to. Beth rozłożyła kartkę, pokrytą wyraźnym, czarnym piśmem. Był to opis zachowania się przyszłej żony Deverila, nakazujący całkowite posłuszeństwo i wymieniający kary, głównie cielesne, za rozmaite przewinienia. Przypominał regulamin więzienny. Beth była oszołomiona.

- Rozumiem, jak się czujesz... Słyszę Marleigha. Spróbuj się uspokoić, moja droga.

Pojawienie się lokaja i pokojówki z ciastkami dało Beth czas na zebranie myśli. A to historia. Sama cierpiała katusze z powodu narzuconego jej małżeństwa, ale musiała przyznać, że z mężczyzną, który miał wiele zalet. Być zmuszonym do poślubienia takiego lorda Deverila!

Pomyślała o własnym położeniu. Z jednej strony była wdzięczna, że los okazał się dla niej łaskawszy. Z drugiej strony wiedziała, że książę i tak zmusiłby ją do małżeństwa, nawet gdyby jego syn był głupcem lub jeszcze jednym Deverilem.

Nalała gościowi herbaty i mocno ją posłodziła.

- Proszę, Clarisso, wypij to i porozmawiamy.

Dziewczyna napiła się trochę, ale potem odstawiła filiżankę i załamała rękę.

- Moi rodzice nie mają za grosz litości. Błagałam ich! Ale mój ojciec... Jest hazardzistą. Nic nam nie zostało, a mam jeszcze dwóch braci... Matka mówi, że to obowiązek córki.

- Nie jest obowiązkiem żadnej córki poślubić lorda Deverila - oświadczyła z mocą Beth. - Jeśli musisz wyjść za mąż, z pewnością można znaleźć lepszego kandydata.

- Ale mówiąc to, Beth wiedziała, że to nieprawda. Żeby dobrze wyjść za mąż, potrzebny był posag. Tylko tacy mężczyźni, jak lord Deveril, płacili, by zdobyć żonę. Clarissa wcale nie była ładna. Miała pociągłą twarz, szerokie usta i niesforne, rude włosy. Fakt, że odznaczała się żywą naturą i była młoda, ale nie należała do dziewcząt, które skłaniają mężczyzn do zapomnienia, jakie plusy ma okazały posag.

- Czy ślub ma się odbyć wkrótce? Clarissa pokręciła głową.

- Zaręczyny będą ogłoszone w przyszłym tygodniu, ale ślub będzie we wrześniu.

Beth ujęła rękę dziewczyny.

- Pomogę ci, Clarisso. Jeszcze nie wiem, co się da zrobić, ale znajdę jakieś wyjście.

Clarissa się uśmiechnęła.

- Och, wasza miłość!

- I myślę, że w tej sytuacji musisz zwracać się do mnie „Beth”. Ostatecznie jesteśmy spiskowcami.

Clarissa się odprężyła, jakby zdjęto jej z ramion wielki ciężar. Nim dziewczyna wyszła, Beth poczuła się tak, jakby ten ciężar zwalono jej na głowę. Clarissa tak w nią wierzyła, a ona nie miała pojęcia, jak może odmienić położenie dziewczyny.

Sięgnęła po „regulamin” lorda Deverila, który Clarissa zostawiła na krześle. Po ponownym jego przeczytaniu tylko umocniła się w swym postanowieniu. Rozpacz dziewczyny była usprawiedliwiona; żadna uczciwa kobieta nie mogła stać z boku i pozwolić na dokonanie się czegoś, co niewiele się różniło od zniewolenia i zalegalizowanego gwałtu. Beth nie udało się

przeciwwstawić księciu, ale może pomóc Clarissie. Machinalnie wsadziła kartkę papieru między stronicę książki.

Przypomniała sobie również o Jerzyku Babsonie. Była tak pochłonięta swoimi sprawami, że przez kilka ostatnich tygodni nie poświęciła chłopcu chwili uwagi. Zadzwoiła na Redcliff i razem z nią udała się na tyły pałacu. Stajnie, należące do Belcraven House, mogły pomieścić tylko dziesięć koni i trzy powozy. Skromnie, jak na ród de Vaux, pomyślała ironicznie Beth.

Same podatki za konie i powozy, płacone przez księstwo Belcraven, doprowadziłyby do bankructwa większość ludzi.

Nakazała sobie surowo, by przestać myśleć tak cierpko, i poszła przywitać się ze swoim koniem, który właśnie dotarł z Hartwell. Kto wie, kiedy znajdzie czas, by znów przejechać się na Stelli.

Przez cały czas Beth rozglądała się za Jerzykiem.

W pewnej chwili wyszedł z boksu z wiadrem w ręku.

Wyglądał zdrowo, pogwizdywał sobie.

- Jerzyku! - zawołała Beth.

Odwrócił się zaciekawiony, potem postawił wiadro na ziemi i dotknął ręką czoła.

- Milady.

Beth podeszła do niego, świadoma dezaprobaty Redcliff.

- Nie jestem pewna, czy mnie pamiętasz - powiedziała.

- Pewnie, że pamiętam - odparł zuchwale. - Przecież widziałem, jak pani wyjeżdżała po weselu, nie?

Beth nie kryła zdumienia.

- To znaczy, że byłeś na moim ślubie? Zachichotał.

- A gdzieżby tam! Nie, proszę pani. Ale na drugi dzień mieliśmy prawdziwą wyżerkę. Cała służba. Dawno się tak nie napchałem. Przepraszam, milady. - W najmniejszym stopniu nie przejmował się swoim

językiem. Lucien miał rację. Niezły był z niego gagatek. Beth się ucieszyła. Najwyraźniej nie działa mu się żadna krzywda. W tejże chwili na podwórze wszedł mężczyzna.

Beth domyśliła się, że to główny masztalerz. Nic nie rzekł, ale wyraźnie nie spodobało mu się to, co zobaczył.

- Lepiej wracaj do swoich zajęć, Jerzyku - powiedziała. Chłopak rzucił śmiałe spojrzenie swojemu szefowi i puścił do niej perskie oko.

- Już się robi. Wszystkiego najlepszego, milady.

Gwizdząc udał się w swoją stronę, a Beth wróciła do domu,

ciesząc się, że ma jedną rzecz z głowy. Wciąż jednak nie potrafiła rozwiązać problemu Clarissy, a dalsze

rozmyślania nad położeniem dziewczyny nie nastroiły jej optymistycznie. Rodzice Clarissy raczej nie odstąpią od zamiaru wydania córki za lorda Deverila, jeśli nie znajdzie się inny sposób wybawienia ich z kłopotów.

Beth przypuszczała, że oznacza to pieniądze albo lepszego i równie hojnego męża. Nie potrafiła znaleźć ani jednego, ani drugiego. Podejrzewała, że markiz mógłby pomóc, ale czy zrozumie ciężkie położenie Clarissy? A książę albo księżna? Nawet gdyby widzieli niegodziwość planowanego małżeństwa, wątpiła, czy wtrąciliby się w sprawy pomiędzy córką i jej rodzicami. Z pewnością było to niezgodne z prawem. Do kolacji Beth nie posunęła się ani krok naprzód w poszukiwaniu rozwiązania kłopotu Clarissy.

Lucien wrócił do domu bez żadnych konkretnych wiadomości o Napoleonie. Fakt, że Bonaparte zablokował francuskie porty, nie dopuszczając, by towary, ludzie i wiadomości przedostawały się poza granice kraju, sugerował najgorsze.

Jednak życie płynęło dalej, trwały ostatnie tygodnie

sezonu. Nawet wiadomości z Brukseli w równym stopniu dotyczyły balów i przyjęć, co wojny. Beth uznała to za coś niezwykłego.

Tamtego wieczoru wybrali się do teatru Drury Lane na przedstawienie Otella. Beth po raz pierwszy znalazła się w tym teatrze i rozglądała się wkoło, wypatrując klitek z ptakami, ale na próżno. Może słowa lorda Deverila były bez znaczenia.

Jagona grał wielki Kean, niezwykle sugestywnie oddając jego przebiegłość i podstępność. Aktorka, która wcieliła się w postać Desdemony, przypominała zwiewną zjawę o miękkich, siwych włosach, spływających luźno na plecy. Miała

suknię w kolorach bieli i srebra, ozdobioną migoczącymi gwiazdami. Do tekstu sztuki dodano kilka linijek, by podkreślić tę biel, przeciwstawiając jej czerni Maura.

Beth zawsze uważała partię Desdemony za ciekawą, opisywała los kobiety oczernionej i odartej ze czci! Po raz pierwszy dostrzegła analogię do własnego położenia, z tą różnicą, że sama splamiła swoje dobre imię. Przeszedł ją dreszcz, kiedy pomyślała o finale sztuki, w którym Otello dusi żonę w przypiływie zazdrości. Co za szczęście, że ona i Lucien mają więcej rozsądku - i zimnej krwi - niż szekspirowscy bohaterowie.

Podziwiała grę aktorki. Jej interpretacja roli była niezwykle wzruszająca. Zajrzała do programu i przeczytała, że aktorka nazywa się Blanche Hardcastle.

W nawiasie dopisano: „Biała Gołąbka z Drury Lane”.

Ciarki przebiegły Beth po skórze. Nie ruszając się, spojrzała na męża. Był pochłonięty sztuką, ale jego twarz nie zdradzała, by coś go łączyło z odtwórczynią głównej roli kobiecej.

Desdemona zaczęła tańczyć, jej ruchy były niezwykle płynne i pełne klasycznej elegancji. Beth znów zerknęła

na markiza i przeniknął ją chłód do szpiku kości.

Uśmiech na twarzy Luciena świadczył, że jest zakochany do szaleństwa. Czy to u tej aktorki przepadł na całe popołudnie, wcale nie szukając najnowszych wieści? Podejrzanie mało się dowiedział.

Beth ponownie spojrzała na niezwykłą kobietę na scenie. Nie mogłaby mieć pretensji do żadnego mężczyzny o to, że zakochał się w takiej piękności. Jak Lucien może okazać zainteresowanie Beth Armitage, kiedy czeka na niego Biała Gołąbka? Beth oznacza dla niego tylko powinność małżeńską. Kiedyś użył takiego określenia. Jeszcze nie tak dawno nie przejęłaby się tym zbyt, teraz nie zniósłaby myśli, że może znaleźć się w łóżu małżeńskim z obowiązku.

Czy jego delikatność, powstrzymująca go przed skonsurowaniem małżeństwa, była jedynie udawana, a w rzeczywistości chciał ukryć niechęć? Niewątpliwie ostatniej nocy musiał zauważyć jej gotowość, obydwójce wiedzieli, że przewyciężyłyby jej obawy, gdyby tylko zechciał spróbować...

Beth poczuła tak przenikliwy ból, że dziwiła się, że Lucien niczego się nie domyśla. Ale jak mogła oczekiwać, że okaże się wrażliwy na jej skrywane cierpienie, kiedy jego prawdziwa miłość niemal płynęła na scenie przed jego oczami?

Jakże musiał jej mieć dość, pomyślała Beth, skoro pragnął jak najszybciej wrócić do swych prawdziwych przyjaciół i do swej prawdziwej ukochanej. Gdyby miała taką możliwość, uciekłaby, by nigdy więcej nie oglądać swojego męża.

Nim jednak skończył się akt, odzyskała panowanie nad sobą. W antrakcie mogła już zupełnie sensownie rozmawiać o przedstawieniu, a nawet pochwalić głównych wykonawców. Słuchała uważnie każdego

słowa wypowiedzianego przez markiza, ale nie rzekł nic nadzwyczajnego o Białej Gołąbce.

Potem zmuszona była znów oglądać aktorkę i bez powodzenia próbowała nie dopuszczać do siebie myśli, jak ciepło Lucien reaguje na jej grę. Jednak była z siebie zadowolona. Przez cały wieczór zachowała spokój, nie zwracając uwagi na ból, który zagościł w jej sercu.

Po powrocie do domu książę i księżna udali się na spoczynek, zostawiając Beth samą z mężem. Gdy uniosła wzrok, zobaczyła, że Lucien przygląda się jej uważnie. Ogarnęło ją przerażenie na myśl, że mógł wybrać sobie właśnie tę noc, by domagać się od niej spełnienia obowiązku małżeńskiego.

- Wyglądasz na zmęczoną - powiedział. - Nie powinniśmy nigdzie wychodzić w pierwszy wieczór po przyjeździe do miasta. Beth, nie pozwalaj, żebyśmy cię terroryzowali. Jeśli nie masz ochoty tańczyć tego szalonego tańca, powiedz.

- Księżna mówi, że muszę ugruntować swoją pozycję w towarzystwie. I zostać przedstawiona na dworze.

Skrzywił się.

- Chyba tak. Ale to nie znaczy, że wieszcznie musisz się udzielać towarzysko. Maman popada z jednej skrajności w drugą. Albo wie dzie sielskie życie w Belcraven Park, albo wpada do miasta jak huragan i nie potrafi przez chwilę usiedzieć na miejscu. Nie musisz się podporządkowywać jej zasadom gry.

- Muszę coś zrobić - odrzekła Beth i zaraz pożałowała tych słów, bo mogły zabrzmieć jak błaganie o jego towarzystwo.

- Możesz sobie znaleźć ciekawsze zajęcie. Sprawdzę, jakie odczyty zaplanowano w instytutach. Jeśli chcesz, przedstawię cię Fanny Bali. Jest siostrą mojego przyjaciela i prawdziwą sawantką.

Z jakiegoś powodu Beth to nie pociągało. Czyżby aż tak się zmieniła?

- Nie wiem - powiedziała, a potem dodała impulsywnie:

-Chciałabym złożyć wizytę Delaneyom.

Lucien się uśmiechnął.

- Wspaniały pomysł. Może jutro po południu?

- Będą w domu? - spytała, mając na myśli, czy przyjmują jutro gości.

- W wypadku Eleanor i Nicholasa nie trzeba się przejmować takimi sprawami - odrzekł markiz beztrąsko. - Jeśli ich nie zastaniemy, możemy zrobić coś innego i wybrać się do nich kiedy indziej. Możemy pójść do Królewskiej Akademii. Może zechcesz kupić jeden czy dwa obrazy. Jeśli masz ochotę, połóż się - dodał lekko - ja chyba gdzieś sobie jeszcze wyskoczę.

Nawet wiem gdzie, pomyślała z goryczą Beth.

Miała do wyboru: albo zmusić go do wywiązania się z obowiązku małżeńskiego, albo puścić go do kochanki. Zacisnęła usta i zdecydowawszy się na to drugie, udała się do swego pokoju.

Lucien tymczasem poszedł do klubu, lecz niezbyt wesoło spędził ten wieczór. Przygnębiali go ci, którzy poważnie traktowali sytuację, a irytowali ci, którzy zachowywali się tak, jakby nie szykowała się żadna bitwa. Przez cały czas zastanawiał się, co by się stało, gdyby posłuchał niskich pobudek, zaniósł Beth do łóżka i przewyciężył jej wszystkie obawy.

17

Nazajutrz Beth musiała przyznać, że bez względu na to, jak jej mąż spędza noc, w ciągu dnia wywiązuje się ze swych obowiązków. Pojawił się po obiedzie, by zabrać ją do Delaneyów, a także przyniósł jej starannie sporządzoną listę ciekawszych imprez kulturalnych, organizowanych w mieście w ciągu najbliższych

tygodni.

Objęcie patronatu nad spotkaniami muzycznymi i literackimi przez markizę Salisbury i hrabinę Jersey świadczyło, że takie imprezy należą do haut ton.

- Może powinnam zostać patronką sztuki - głośno zastanowiła się Beth.

- Jak sobie życzysz.

Beth doszukiwała się w twarzy męża jakiejś zmiany, jakiegoś potwierdzenia, że spędził upojną noc z kochanką. Ale niczego nie odkryła.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu - powiedział, kiedy wyszli z pokoju - możemy przespacerować się na ulicę Lauriston. To niedaleko, a dzień jest przyjemny.

Beth z radością się zgodziła, ale trudno jej było nawiązać rozmowę. Jako oczywisty temat nasuwała się sztuka, którą obejrzeli ostatniego wieczoru, lecz nie odważyła się dyskutować o przedstawieniu.

- Brak nowych wiadomości o bitwie - odezwała się w końcu. Była to idiotyczna uwaga, bo przecież wieść o walkach lotem błyskawicy rozeszłaby się po mieście.

- Same nieprawdopodobne plotki. Informacje, które docierają, są sprzed czterech, pięciu dni. Ktoś rozpuścił pogłoskę, że państwa sprzymierzone koncentrują wojska. Ktoś inny twierdził, że Napoleon został zastrzelony przez własnych ludzi. Obie zdementowało Ministerstwo Wojny.

- Czy jest szansa, że nie dojdzie do bitwy?

- Nie, o ile ktoś nie zabije Korsykanina. Wydaje się szaleństwem, by wybujała ambicja jednego człowieka mogła spowodować takie zniszczenia. Tyle istnień ludzkich... - Lucien urwał i przez jakiś czas szli w milczeniu. - Mam grupkę przyjaciół - odezwał się w końcu. - Wszyscy byliśmy razem w Harrow. Nicholas, Con, Francis, Hal, Dare... Było nas dwunastu. Teraz żyje

tylko dziesięciu. Hal stracił rękę... Przeklęty Korsykanin.

- Z pewnością nie jest to wyłączną winą Napoleona - zauważyła Beth. - Hal stracił rękę w Ameryce, a

odpowiedzialności za tamtą wojnę nie można zrzucić na Bonapartego. Zdaje się, że ludziom nie potrzeba wiele,

by wszcząć wojnę. Markiz rzucił jej niechętnie

spojrzenie, ale potem roześmiał się krótko i oświadczył:

- O, nie. Nie dam się wciągnąć w dyskusję na ten temat.

Cieszę się, że chcesz poznać bliżej Delaneyów -

powiedział. - Wydaje mi się, że polubisz Eleanor,

choć nie jest moim książkowym. Jeśli jesteś osobą

rozsadną, nie będziesz próbowała konkurować z

Nicholasem.

- Czyżby był geniuszem? - spytała sceptycznie Beth.

- Nie wiem, kim jest. Nigdy nie studiował na uniwersytecie. Ogarnęła go mania podróżowania i odwiedził kilka

dziwnych miejsc. Każda rozmowa z nim może przybrać zupełnie niespodziewany obrót. Byłem kiedyś

świadkiem, jak zniszczył intelektualnie pastora. Wcale

nie jestem pewny - powiedział w zamyśleniu - czy w

ogóle jest chrześcijaninem.

- Wielkie nieba!

Lucien spojrział na nią z udawanym zdumieniem.

- Czyżbym cię zaszokował? Moja droga, uwolnij się od utartych schematów myślenia, od postawy

konserwatywnej.

Beth rzeczywiście była zaszokowana. Razem z ciotką

Emmą kwestionowały wiele rzeczy, ale nigdy wiary chrześcijańskiej.

- Kim jest, wobec tego? - spytała nerwowo, kiedy

znaleźli się przed schludnym, wąskim domem, który

bynajmniej nie wyglądał na pogańską siedzibę.

Lucien tylko się uśmiechnął i zastukał kołatką. Jak

najbardziej przyzwoity lokaj otworzył drzwi i się

uśmiechnął.

- Witam, milordzie. Państwo są w domu.

Beth nieco się uspokoiła. Nie był to dom o złej reputacji.

- Świetnie - powiedział Lucien. - Moja droga, to jest Hollygirt. Hollygirt, poznaj moją żonę, lady Arden.

Lokaj się uklonił.

- Czuję się zaszczycony, jaśnie pani.

Wkrótce się okazało, że taka oficjalność przy ulicy Lauris-; ten numer osiem kończyła się na lokaju. Lucien zaprowadził Beth do dużej bawialni, która bardziej przypominała salonik dla starszych dziewcząt na pensji panny Mallory, z jedną różnicą: tu większość obecnych stanowili mężczyźni.

Nicholas Delaney siedział na podłodze z dwoma młodzieńcami - jeden był niezwykle przystojnym mężczyzną o brązowych włosach, a drugi - rudzielcem o zadartym nosie. Najwyraźniej bawili się dużym żołnierzem-zabawką. Przy stoliku pod oknem siedział blondyn i coś pisał. Hal Beaumont, Eleanor Delaney i młoda kobieta w zaawansowanej ciąży siedzieli na kanapie i bawili się ze ślicznym, pogodnym niemowlęciem. Dżentelmen o urodzie poety brzdąkał na fortepianie. Kiedy wchodzili, uniósł głowę i zagrał fortepianową wersję fanfar na trąbki.

Wszyscy spojrzeli na przybyłych i w jednej chwili Beth zasypano pozdrowieniami i pytaniami, zaczęto jej przedstawiać obecnych. Przypominali jej liczną i dziwną rodzinę.

Eleanor wkrótce odciągnęła ją na bok.

- Nigdy nie zapomiesz, kto jest kim - powiedziała - więc nie zwracaj na nich uwagi. Chodź, lepiej poznaj Arabel. Odznacza się lepszymi manierami niż wszyscy pozostali.

Beth znalazła się na kanapie obok Hala Beaumonta,

którego spotkała po raz pierwszy od tamtej niezwyklej rozmowy w ogrodzie różanym. Uśmiechnął się do niej bez skrepowania.

- Dobrze wyglądasz, Elizabeth. Przepraszam, że nie byłem na twoim ślubie. Miałem kłopoty w swojej posiadłości.

To był tylko wykręt. Beth stwierdziła jednak, że Hal dotrzymał słowa; teraz, kiedy była mężatką, w jego zachowaniu nie było ani śladu poufałości, którą okazał tamten jeden jedyny raz.

- Brakowało nam ciebie - powiedziała i dodała: - Muszę ci wyznać, że wolę, jak się mnie nazywa „Beth”.

Zrobił zaskoczoną minę, ale odrzekł:

- Dobrze, niech będzie Beth.

- A ja jestem Amy Laving - przedstawiła się młoda kobieta, trzymająca niemowlę. - A to jest Arabel. Często ją biorę na ręce w nadziei, że nauczy moje maleństwo odrobiny oglady. Moim mężem jest Peter, ten galant siedzący na podłodze.

Beth spojrzała we wskazanym kierunku. Peter Laving rzeczywiście był przystojny, ale odkąd Lucien dołączył do zebranych, można by się spierać, kto jest przystojniejszy.

- Co oni tam robią? - spytała.

- Miles Cavanagh, ten rudy, przyniósł żołnierza w prezencie dla Arabel - wyjaśniła Eleanor. - To zupełnie nieodpowiednia zabawka dla dziewczynki, ale Nicholas, naturalnie, oświadczył, że nie ma powodu, aby Arabel nie miała zostać w przyszłości żołnierzem. Okropny człowiek.

Ktoś zwolnił sprężynę i grenadier o różowych policzkach przeszedł jakiś metr, potem upadł na nos i jeszcze kilka razy żałośnie poruszył nogami. Zwróciło to uwagę Arabel, która zapiszczała i wyciągnęła rączki.

Jej ojciec wstał i wziął ją na rękę.

- Nie, nie, mała pyzo. Naucz się opierać rannym żołnierzom. Złamali życie wielu skromnym paniąkom.

- Uśmiechnął się do Hala, wcale nieskrępowany jego kalectwem, a potem zwrócił się do Beth. - Witaj. Za jakim rodzajem szaleństwa tęskni twoje serce?

Zaspokajamy wszelkie potrzeby.

Beth o sekundę za długo patrzyła na Luciena i spostrzegła, że nie umknęło to uwadze Nicholasa Delaneya.

Jednak jego wyraz twarzy nie uległ zmianie.

- Nie wiem - odparła pośpiesznie. - Chyba wolę rozsądek. Natychmiast posadził jej niemowlę na kolanach.

- Porozmawiaj z Arabel. Ze wszystkich tu obecnych tylko ona jest normalna.

Beth jeszcze nigdy nie trzymała niemowlęcia. Najmłodsze uczennice panny Mallory miały siedem lat.

Przynajmniej dziewczynka wiedziała, co robić: rozsiadła się wygodnie i wsadziła paluszek do buzi.

Beth spojrzała na Eleanor.

- Cóż za słodkie maleństwo.

- Tak. Otrzymujemy cenne dary z różnych stron - z poważną miną odparła Eleanor. - Ale po chwili się uśmiechnęła. - Powinna teraz zjeść i przespać się. Jeśli zechciałybyście pójść na górę, mogłybyśmy napić się herbaty w cywilizowanych warunkach, kiedy będę ją karmiła.

Chociaż sama propozycja wydała się jej zaskakująca, Beth zgodziła się, podobnie jak Amy.

Eleanor wzięła niemowlę i podeszła z nim do Nicholasa, który delikatnie pocałował córeczkę.

- Spij dobrze, żabko.

Arabel uśmiechnęła się do niego, ale zaraz odwróciła się do mamy z poważną miną. Widocznie głód sprawiał, że

powoli zapominała o dobrych manierach.

Beth zastanawiała się, czy taka pogodna natura była powodem miłości, jaką wszyscy okazywali dziecku, czy też jej wynikiem. Nie miała doświadczenia w kwestii życia rodzinnego, ale nigdy nie wyobrażała sobie tak kochającego ojca, jakim okazał się Nicholas Delaney. Odszukała spojrzeniem Luciena. Uśmiechnął się.

- Idź i dowiedz się, jak to się robi. Chcę mieć córeczkę równie uroczą i grzeczną, jak Arabel.

Uniosła brwi.

- Myślałam, że chodzi ci o spadkobiercę.

- Nie - zaprzeczył. - To pragnienie mojego ojca. Ja chcę gromadkę małych Arabel. I dopiero potem - dodał figlarnie -spadkobiercę.

Beth, będąca nadal dziewicą, uznała tę rozmowę w pokoju pełnym nieznanym za dość śmiałą.

- Jaka szkoda - odezwała się cierpko - że mężczyźni nie zachodzą w ciążę i nie rodzą dzieci. Moglibyśmy się podzielić obowiązkami. - Obecni wybuchnęli śmiechem, a Beth skorzystała z okazji, by uciec z pokoju i dołączyć do Eleanor i Amy.

- Bardzo dobrze powiedziałaś - oświadczyła Eleanor. - Mężczyźni czasem tak się zachowują, jakby rodzenie dzieci było równie łatwe, jak upieczenie bochenka chleba. Hollygirt - zwróciła się do lokaja. - Napijemy się herbaty w moim buduarze, a potem możesz spytać, czego sobie życzą panowie.

Beth spędziła przyjemnie godzinę na pogawędce przy herbacie. Rozmowa dotyczyła głównie dzieci, ale nie przeszkadzało jej to. Prawdopodobnie pewnego dnia ona też znajdzie się w odmiennym stanie, chociaż w tej chwili nie bardzo wiedziała, jak do tego dojdzie.

Żałowała, że brak jej odwagi, by poprosić te dwie miłe i najwyraźniej szczęśliwe mężatki o radę, jak postępować

z mężem, a szczególnie jak skłonić go, by chciał dzielić z nią łożę.

Kiedy nadeszła pora pożegnania, Eleanor Delaney serdecznie uściskała Beth.

- Tak się cieszę, że przyszedłeś. Musisz nas jeszcze odwiedzić. Zazwyczaj jest spokojniej. Teraz wszyscy zjechali do miasta w nadziei, że dowiedzą się czegoś o bitwie.

Brat Petera służy w czterdziestym drugim pułku, na kontynent wyjechała czwórka przyjaciół. Z jakiegoś powodu - dodała z uśmiechem - wszyscy gromadzą się tutaj.

- To... to bardzo szczęśliwy dom.

- To prawda - zgodziła się Eleanor. - Ale ciężko pracowaliśmy na to szczęście.

Nie powiedziała nic więcej, lecz jej słowa zawierały głębszy sens.

Kiedy panie wyszły z pokoju, Nicholas Delaney zwrócił się do przyjaciół:

- Panowie, proszę o uwagę. Sześciu mężczyzn spojrzało na niego.

- Eleanor nie zależy specjalnie na rozmowie o Deverilu. Nie chce, żebym znów angażował się w jakieś awantury, ale nie możemy pozwolić, żeby komuś takiemu uszło wszystko na sucho.

Jednogłośnie przyznali mu rację.

- Zainteresowałem się sprawą. Nie ulega wątpliwości, że w tym roku ma znacznie więcej pieniędzy niż w zeszłym. Muszę założyć, że w jakiś sposób uwolnił Therese Bellaire od większej części nieuczciwie zdobytego przez nią majątku. Z jednej strony bardzo mnie to cieszy, lecz z drugiej nie mogę powiedzieć, że jestem zadowolony, że mu się tak świetnie wiedzie.

Przede wszystkim dlatego, że należy do tego typu ludzi, którzy wykorzystują pieniądze w niecnym celu.

- Jak możemy go od nich uwolnić? - spytał pianista, lord Middlethorpe.

'- Nie wiem,

Francis. O ile się orientuję, nie przechowuje ich w banku ani ich nie zainwestował. Przypuszczam, że trzyma je w złocie w swoim domu.

Hal Beaumont się uśmiechnął.

- Czy się do niego włamiemy? Nicholas Delaney zmarszczył czoło.

- Nie. Jesteśmy ludźmi szanowanymi, poza tym jest wśród nas członek parlamentu.

Blondyn wrócił do swych papierzysk.

- Jestem głuchy, jak pień - oświadczył.

- A więc? - spytał Hal.

- A więc - powtórzył Nicholas - pierwszą rzeczą, jaką zrobił Deveril po powrocie do Anglii, było wynajęcie oddziału zbirów. Dość dobrze pilnują jego i domu.

Bardzo mnie kusi, żeby się włamać i ukraść mu pieniądze, ale byłoby mu bardzo na rękę, gdyby mnie na tym przyłapał i potem mógł włóczyć po sądach. Szukam bardziej subtelny sposobu pozbawienia go majątku.

- Słyszałem plotki - wtrącił lord Middlethorpe - że chce spożytkować część pieniędzy na zakup żony.

- To jeszcze jeden powód - stwierdził Delaney - żeby pozostawić go bez pensa. Jego gusta są zbyt odrażające nawet dla ulicznic z Saint Giles.

Stephen Bell, poseł do parlamentu, odzyskał słuch.

- Kilka miesięcy temu był zamieszany w sprawę śmierci pewnej dziewczyny. Ciało wyłowiono z rzeki. Została zgwałcona. Dopiero co przyjechała ze wsi, była czysta i niewinna jak owieczka. Jednak śledztwo nic nie dało.

Zabrakło dowodów.

- Albo wiedziano, komu zapłacić - powiedział gniewnie Lucien. - Boże, jaki ten człowiek jest odrażający.

- Poradzimy sobie z nim - zapewnił Nicholas. - Nie ma

pośpiechu.

Nakręcił żołnierza. Grenadier zaczął maszerować, odwracając głowę najpierw w lewo, a potem w prawo.

Wszyscy zaczęli wiwatować. Potem, z głośnym i złowrogim Zgrzytnięciem, zabawka znieruchomiła.

Nicholas podniósł ją z podłogi.

- Mam nadzieję, że nie jest to zły znak - powiedział, i.

Po powrocie do domu Beth została powiadomiona, że ma pojechać z księżną do parku. Przed ślubem odbyła już kilka takich przejażdżek. Widocznie ważne było, by teraz, kiedy została markizą, znów się pokazała.

Tylko Beth i księżna siedziały w powozie, który wolno się toczył przez modny tłum. Często je zatrzymywano, by wymienić grzeczne uwagi, Beth rozpoznała kilka osób przedstawionych jej przed ślubem. Została serdecznie powitana po powrocie do miasta i już nie czuła się tak obco. Zrozumiała też, że jako markiza Arden jest ważną personą.

Żałowała, że nie potrafi tego docenić. Wiedziała, że byłaby szczęśliwsza, prowadząc proste, nieuporządkowane życie, takie jak Delaneyowie.

- Księżno, jakim cudem zapamiętuje pani, kto jest kim? Księżna skinęła dłonią i ukłoniła się pulchnemu jegomościowi.

- Czasem udaję. A propos, to był Sefton. Nazwiska ważnych ludzi jakoś same zapadają mi w pamięć. Wiesz - powiedziała między jednym a drugim skinieniem głowy - uważam, że powinnaś się do mnie zwracać maman, jak Lucien.

W pierwszej chwili Beth zdenerwowała ta propozycja. Właściwie nigdy nie miała matki. Ale potem stwierdziła, że nie sprawi jej żadnego kłopotu traktowanie księżnej jak matki.

- Z przyjemnością, maman - odparła i obie panie

uśmiechnęły się do siebie ciepło. Potem zobaczyła Clarissę z matką. Towarzyszył im lord Deveril. Clarissa zamachała do Beth, jakby tonęła, ale księżna tylko nieznacznie skinęła głową, kiedy mijały ich powóz.

- Czy ta młoda dama jest twoją przyjaciółką? - spytała łagodnie.

- Uczęszczała na pensję panny Mallory. Wczoraj złożyła mi wizytę.

- Rozumiem. Niezbyt zależy mi na jej rodzinie ani na towarzystwie, w jakim się obraca, ale nie będę próbowała zabraniać ci się z nią przyjaźnić. Radzę ci jednak, żebyś trzymała się z daleka od lorda Deverila.

- Zrobię to z największą chęcią, maman. Jednak biedna Clarissa musi go poślubić.

- To przykre - stwierdziła księżna po chwili.

- Bardzo. Chciałabym jej jakoś pomóc. - Beth miała nadzieję, że księżna coś jej poradzi albo wyrazi swe poparcie.

Ale księżna spojrzała na nią poważnie.

- Takie małżeństwa nie są niczym wyjątkowym - powiedziała z naciskiem. - Każda rodzina może przeżywać kłopoty, ale w przypadku Greystone'ów całe zło wynikło z hazardu. Ilu ludzi nie upadłoby tak nisko, gdyby nie hazard.

W taki oto sposób księżna zgrabnie przeszła od problemu Clarissy do poważniejszych spraw wyższych sfer. Beth znów została wciągnięta w wir szalonego życia towarzyskiego i ciekawa była, kiedy ponownie będzie miała okazję odwiedzić Delaneyów. Przypuszczała, że Lucien do nich chodził, bo udzielanie się w towarzystwie wydawało się głównie zajęciem pań. A może spędzał czas „z Białą Gołąbką”. Tak czy inaczej, Beth bardzo mało go widywała.

Zobaczyli się dwa dni po wizycie u Delaneyów; markiz

miał zawieźć ją i księżną na raut. Ujął żonę pod brodę i przyjrzał się jej uważnie.

- Widzę, że jest ci ciężko, Beth - powiedział łagodnie. - Życie towarzyskie wcale ci nie służy. Jeszcze tylko kilka tygodni, a potem już nigdy nie będziesz musiała przyjeżdżać do Londynu, chyba że sama zechcesz.

- A ty, Lucienie? Nie będziesz przyjeżdżał do miasta? •
Zrobił zaskoczoną minę.

- Ja lubię Londyn, Beth.

- Domyślam się.

Miała nadzieję, że może dziś wieczorem nadarzy się okazja, by się do niego zbliżyć, ale teraz straciła nawet ochotę, by próbować. Niewątpliwie bardzo by mu odpowiadało,

gdyby siedziała na wsi, rodząc mu dzieci, podczas gdy on zabawiałby się w mieście z Białą Gołąbką. O ile, pomyślała gorzko, kiedykolwiek będą ze sobą w takiej zażyłości, iż poczęcie dziecka będzie możliwe.

Markiz zmarszczył czoło i spojrzał na nią tak, jakby chciał jej zadać pytanie, ale akurat wtedy dołączyła do nich księżna, zmienił więc temat i opowiedział zabawną dykteryjkę. Beth nie mogła się powstrzymać od śmiechu. Zawsze potrafił ją rozśmieszyć, ale nie zagłuszyło to goryczy, która przepelniała jej serce.

Jej chłód zepsuł Lucienowi humor i podczas rautu już się nie starał Beth zabawiać. Boleśnie to odczuła, ale nie potrafiła zmienić swego zachowania. To zdumiewające, myślała, jak dwoje ludzi może się aż tak poróżnić, nie wypowiedziawszy w gniewie nawet jednego słowa.

Kiedy nazajutrz rano wstała z mocnym postanowieniem, by rozpocząć nowe życie i spróbować sobie pozyskać męża, on jak zwykle już gdzieś wyszedł.

Żeby nie myśleć o własnym nieszczęściu, Beth skupiła się na kłopotach Clarissy.

Gdyby miała pieniądze, mogłaby je zaproponować Greystone'om na posag dla córki, ale to i tak niczego by nie rozwiązało. Im chodziło nie tylko o wydanie Clarissy za mąż, zależało również na pieniądzach zaproponowanych przez Deverila. Gdyby im zapłaciła, żeby zrezygnowali z wydania dziewczyny za Deverila, znaleźliby dla niej innego, podobnego kandydata na męża.

Zresztą właściwie nie dysponowała żadnymi pieniędzmi. Miała gwinee, które dała jej ciotka Emma, ponadto Lucien wyposażył ją w fundusze na drobne wydatki. Wszystkie rachunki za dom, jej ubrania i temu podobne regulował plenipotent rodziny de Vaux.

W ostateczności mogłaby pomóc Clarissie wrócić na pensję, ale jej rodzice przede wszystkim tam szukaliby córki. Beth nawet nie była pewna, czy ciotka Emma zgodziłaby się dziewczynę przyjąć. Jako właścicielka pensji zawsze musiała umieć znaleźć kompromis między swoimi zasadami a prawami rządzącymi w świecie interesów.

Kiedy tak siedziała, popijając herbatę i martwiąc się kłopotami Clarissy, do buduaru wszedł Lucien. Było to coś tak niespodziewanego, że wpadła w panikę i zupełnie nie potrafiła wykorzystać sytuacji. Z miejsca poruszyła temat, który zaprzętał jej głowę.

- Czy ci mówiłam, że w zeszłym tygodniu złożyła mi wizytę jedna z dziewcząt z pensji panny Mallory? - spytała. - Clarissa Greystone. Rodzice chcą ją wydać za bardzo niemiłego człowieka. W każdej chwili spodziewa się jego oświadczyn.

Markiz uniósł brew.

- Z niecierpliwością? - spytał, najwyraźniej wcale nieporuszony całą sprawą.

- Nie. Z lękiem.

- Jeśli jej nie odpowiada, powinna odrzucić awanse swego zalotnika, chyba że stawia pieniądze przed wszystkim innym.

- Ona nie, ale jej rodzice owszem.

- Tak, słyszałem, że Greystone nagle się wzbogacił. Beth zastanawiała się, dlaczego Lucien przyszedł, co go do tego skłoniło. Niezręczne milczenie się przeciągało, więc wróciła do tematu, mając nadzieję, że dowie się czegoś ciekawego.

- To straszne, poświęcać dziewczynę dla dobra rodziny. Lucien wzruszył ramionami.

- Z pewnością sama też skorzysta. Jeśli rodzina straciła wszystkie pieniądze, skończyłaby jako guwernantka, o ile miałyby szczęście. Lepsze od tego małżeństwo. Słowom Luciena nie brakowało logiki, a jednak zirytowały one Beth.

- Powinno istnieć jakieś lepsze rozwiązanie. Żadna kobieta nie powinna być zmuszana...
Urwała, kiedy jej mąż gwałtownie wstał.

- Zastanawiam się, czemu tak się przejmujesz tą głupią gąską. Proszę mi wybaczyć, milady, nie mam ochoty dłużej tego wysłuchiwać, tak jakbym to ja był wszystkiemu winien.

Powiedziawszy to, wyszedł z pokoju. Beth siedziała oszołomiona.

Czy uważał, że traktuje go tak oschle, ponieważ nadal ma do niego żal, że zmuszono ją do małżeństwa? Z jednej strony była to prawda - nigdy nie pogodzi się z tym, że zmuszano ją do postąpienia wbrew własnej woli. Ale już od tygodni nie obwiniła o nic Luciena.

Dostrzegła, jak destrukcyjne jest jej obecne zachowanie. Markiz nigdy nie przestanie się spotykać z kochanką, jeśli własna żona nie chce z nim dzielić małżeńskiego łóża i ma dla niego tylko chłodne słowa. Obiektywnie

oceniając rzecz całą, Lucien jako mąż był niezwykle dobry i uważający. Jeśli nie potrafił jej pokochać, nie mogła o to mieć do niego pretensji. Był gotów okazywać jej tyle sympatii, na ile tylko było go stać.

Musiała przyznać sama przed sobą, że kierowało nią przyziemne uczucie - zazdrość. Zazdrość, ponieważ chciała czegoś więcej niż dobroci, niż przyjaźni. Chciała, żeby markiz odwzajemniał jej miłość.

Bo kochała go.

Beth nabrała głęboko powietrza, by się uspokoić. Cóż za głupota, cóż za straszliwa głupota zakochać się i jakie to beznadziejne oczekiwać, by Lucien odwzajemnił jej uczucie. Co może teraz zrobić?

Gdyby była wolna, uciekłaby od markiza najdalej, jak to tylko możliwe. Czy miała jakieś inne wyjście kobieta, która dała się oczarować mężczyźnie z trudem ją tolerującemu? Ale taka droga była przed nią zamknięta. Pozostawało jej tylko jedno - walczyć. Musi uwierzyć, że pewnego dnia uda jej się zdobyć jego miłość, a niewątpliwie pierwszym krokiem do osiągnięcia tego celu było skonsumowanie małżeństwa. Sztuczność ich życia, jej niepokoje i tęsknoty wisiały nad nimi niczym miecz Damoklesa.

Będąc osobą rozsądną, Beth postanowiła to wszystko wyłożyć bez ogródek, w liście.

Ale okazało się, że to wcale nie takie proste, jak myślała. Po pierwsze uznała za konieczne zachowanie dyskrecji, na wypadek gdyby liścik wpadł w niepowołane ręce. Po drugie musiała zdecydować, jak dużo chce powiedzieć. Nawet nie wiedziała, jak zacząć. Milordzie? Markizie? Lucienie?

W końcu napisała „Mój drogi mężu”. To przynajmniej było adekwatne do tego, o co jej chodziło.

„W dogodnym dla pana terminie - napisała ostatecznie -

chciałabym z panem porozmawiać w mojej sypialni o ważnej sprawie. Wydaje mi się, że do niczego nie doprowadzi odwlekanie tego, w nadziei że zajdzie we mnie jakaś zmiana. Być może lepiej będzie, gdy wyeliminujemy mój niepokój w tym względzie". Bardzo dobrze. Wydawało się to dość jasne, a gdyby miał jakieś wątpliwości, powinno je rozproszyć słowo „sypialnia". Podpisała się „Beth", złożyła kartkę, zakleiła ją dokładnie i opatrzyła pieczęcią z herbem de Vaux.

Potem ogarnęła ją przemożna chęć, by porwać list na drobne kawałki. Jednak nie stchórzyła.

Zostawiła liścik na umywalce w mężowskiej gotowalni. Dopiero później poinformowano ją, że tego wieczoru markiz nie będzie jadł kolacji w domu, bo spotyka się z przyjaciółmi.

Z przyjaciółmi? Z jakimi przyjaciółmi? Poczwała szaloną zazdrość, ale udało się jej ją stłumić. Nie było powodu, by nie miał pójść do Delaneyów.

Oświadczyła, że jest zmęczona, i odwołała wszystkie swe wieczorne zajęcia, żeby być pod ręką, gdy Lucien w końcu przeczyta liścik od niej.

Nic jednak nie mogła poradzić na to, że była rozczarowana nieobecnością męża. Zbyt późno się dowiedziała o jego planach. Mogła wybrać bardziej odpowiedni moment, ale co się stało, to się nie odstanie. Nie zamierzała zabierać swojego listu.

Żałowała tylko, że nie może spytać Hughesa, czy jej mąż wrócił do domu i przeczytał wiadomość od niej.

Czy przyjdzie?

Czy bardzo późno?

Jeśli będzie już spała, czy sobie pójdzie?

W końcu zmożył ją sen i nie wiedziała: przyszedł do niej czy nie.

Kiedy obudziła się następnego ranka, nie mogła opędzić się natrętnym pytaniom. Jak zniesie kolejny dzień czekania? Czy markiz przyjdzie do niej, by porozmawiać o tym w biały dzień?

Nie musiała udawać, że źle się czuje. Zjadła śniadanie w swoim pokoju, czekając na pukanie do drzwi, które mogłoby stanowić zapowiedź odwiedzin jej męża. W południe się dowiedziała, że wrócił do domu nad ranem, przespał się, zjadł śniadanie i znowu wyszedł.

Przynajmniej musiał przeczytać jej list. Jaka była jego reakcja i jak należało rozumieć to, że nie przyszedł, by o nim porozmawiać?

Czy przywiązywał do tego tak małą wagę?

Może, pomyślała z goryczą, nie powinna była pisać „W dogodnym dla pana terminie”.

Musiała wyjść z domu, więc wybrała się na długi spacer ze swoją pokojówką. Raz czy dwa próbowała zagaić rozmowę, ale Redcliff, chociaż bardzo lubiła swoją panią, pilnowała się i nie pozwalała sobie na żadną poufałość.

Były już koło domu, kiedy podbiegł do nich jakiś młodzieniec.

- Jaśnie pani! - zawołał.

Redcliff wysunęła się do przodu, by go odpędzić, a wówczas Beth ze zdumieniem rozpoznała Clarissę w męskim przebraniu i powstrzymała pokojówkę.

- O co chodzi, Charles? - spytała, mając nadzieję, że dziewczyna okaże się na tyle bystra, by się nie zdradzić.

Clarissa sprawiała wrażenie, jakby była u kresu sił.

- Muszę z panią porozmawiać - szepnęła. - Uciekłam z domu.

- O, mój Boże - mruknęła Beth. - Dlaczego akurat teraz?

- Ale dziewczyna była tak zrozpaczona, że było nie do pomyślenia, aby ją zostawić. Istniało tylko jedno

wyście: należało wtajemniczyć pokojówkę. Beth pokrótce wyjaśniła wszystko Redcliff i poprosiła ją o zachowanie pełnej dyskrecji.

- To dopiero! - wykrzyknęła służąca. - Tak nie wypada, milady.

- Wypada czy nie, zamierzam pomóc Clarissie - ucięła dyskusję Beth.

Pokojówka cmoknęła z dezaprobatą i wprawdzie niechętnie, ale zgodziła się wziąć udział w spisku.

- Nie możemy tak stać na ulicy - stwierdziła Beth. - Redcliff, czy panna Greystone może niepostrzeżenie wejść do domu? Jej rodzice wkrótce podniosą larum. Na twarzy pokojówki odmalowało się zgorzienie.

- Jest boczne wejście, milady, dla dostawców węgla. Jeśli nie jest zamknięte, prawdopodobnie uda nam się dostać do pani apartamentu tak, żeby nikt nas nie zobaczył.

- Bardzo dobrze - powiedziała Beth. - Prowadź.

Belcraven House był domem wolno stojącym, ale od sąsiedniego budynku oddzielała go tylko wąska alejka, w której ledwo zmieściłby się wóz. Od strony zaułka znajdowały się drzwi. Okazało się, że nie są zamknięte na klucz.

Drzwi i podłoga były czarne od sadzy i wszystkie trzy kobiety ostrożnie przeszły przez mały hol, a następnie wspięły się po wąskich, drewnianych schodach. W końcu pokojówka zatrzymała się przed drzwiami obitymi zielonym rypsem. Za nimi mieścił się korytarz prowadzący do sypialni. Beth zastanawiała się, jak wiele jest takich wąskich, niewygodnych schodów, dzięki którym służba mogła troszczyć się o dom, nie przeszkadzając swym chlebodawcom.

Kiedy się znalazły w buduarze, Clarissa ściągnęła niemodny trójróg i rzuciła go w kąt. Była blada i bliska

histerii.

- Och, Beth! Lord Deveril przyszedł dziś oświadczyć się o moją rękę!

- Naprawdę, Clarisso - powiedziała ze zniecierpliwieniem Beth, mając świadomość, że znalazły się w tarapatkach - nie mogłaś udać, że się zgadzasz? Nie miałam czasu, by przygotować jakiś plan.

- Zrobiłam to - odrzekła dziewczyna i zalała się łzami. Szarpnęła luźno zawiązany fular i wytarła oczy jego końcami. - A potem... A potem moja matka zostawiła nas samych! A on... on mnie pocałował!

Beth ze współczuciem spojrzała na zapłakaną Clarissę.

- A mnie zemdliło i zwymiotowałam śniadanie - dodała dziewczyna, nie bez pewnej satysfakcji.

- Naprawdę? - Beth aż zatkało, lecz po chwili wybuchnęła śmiechem. - Och, Clarisso. I co było potem?

- Wszyscy strasznie się rozgniewali. - Dziewczyna pociągnęła nosem, chociaż w oczach zamigotały jej wesołe ogniki. - Matka próbowała tłumaczyć, że źle się czuję, ale... ale on spojrzał na mnie tak nienawistnie. -

Zupełnie zniszczyła chustkę zawiązaną pod szyją. -

Potem, kiedy sobie poszedł... matka mnie zbiła i zamknęła w pokoju brata. Mój pokój nie zamyka się na klucz.

- Zbiła cię?!

- Powiedziała, że jeszcze bardziej mnie stłucze, jeśli drugi raz zrobię coś takiego, ale naprawdę nie mogłam się powstrzymać! - Dziewczyna tak szarpała fular, że go w końcu rozwiązała. Pociągnęła go pobielającymi palcami. - Śmierdzi mu z ust i wzbudza we mnie przerażenie!

Beth objęła dziewczynę.

- Wierzę ci, moja droga. Ale jak ci się udało uciec? Pomógł ci brat?

- Simon? - spytała z niedowierzaniem Clarissa. - Nie,

wyjechał do Oksfordu. Zresztą jego nic nie obchodzi, póki nikt mu nie zakłóca spokoju. Przebrałam się w jego stare ubranie i wyszłam przez okno.

Beth z podziwem spojrzała na dziewczynę.

- Wielkie nieba! Czy nie było to niebezpieczne? Clarissa wzruszyła ramionami. Spojrzała z niesmakiem na wilgotny i pomięty fular, który trzymała w ręku, i upuściła go na krzesło.

- Jego pokój jest na pierwszym piętrze, a zaraz obok okna biegnie wysoki mur. Zeskoczyłam na mur, potem przeczołgałam się wzdłuż niego do szopy, a tam zeskoczyłam na ziemię. Ale nie mogłabym tego zrobić w sukni - dodała, rumieniąc się. Było widać, że w całej tej historii dziewczyna za najgorsze uważała konieczność przywdziania męskiego stroju.

- Musisz natychmiast się przebrać - zdecydowała Beth i zaprowadziła uciekinierkę do swej gotowalni. Tam Redcliff dała jej bieliznę i jedną ze starych sukien Beth, z gładkiego, niebieskiego muślinu. Clarissa skwapliwie się przebrała. Suknia była trochę za długa, ale poza tym zupełnie dobra.

- W tym czuję się o wiele lepiej - powiedziała Clarissa, uśmiechając się lekko. - Nie masz pojęcia, jak okropnie się czułam, kiedy stałam na placu i na ciebie czekałam. Byłam pewna, że wszyscy wiedzą, że jestem kobietą, i patrzą na moje nogi.

- Ale co my teraz zrobimy? - spytała Beth. - Twoi rodzice zaczną cię szukać. Będą się martwili.

- Nie - odparła twardo dziewczyna. - Będą się tylko martwili o pieniądze lorda Deverila.

- Clarisso, nie możesz tutaj zostać. Służący na pewno cię zobaczą. Czy masz jakieś przyjaciółki, które mogłyby cię ukryć?

Clarissa pokręciła głową i znów zrobiła wystraszoną minę.

- Zamierzasz odesłać mnie z powrotem? Beth uściskała biedną dziewczynę.

- Nigdy. Ale może mi się nie udać zapobiec temu, żeby cię zabrali.

- Czy nie mogę się tu ukryć? - spytała zdesperowana Clarissa. - Nikt poza twoją pokojówką nie widział, jak wchodziłyśmy. To bardzo duży dom.

Beth nie miała specjalnego wyboru. Nie mogła wyrzucić Clarissy.

- Może na krótko - powiedziała.

Zwróciła się do służącej, która nadal całą sobą wyrażała dezaprobatę.

- Gdzie może się ukryć panna Greystone, żeby nie zobaczyła jej służba, Redcliff?

- To nie wypada, milady - zaprotestowała pokojówka.

- Mniejsza o to. Gdzie? Na strychu? W piwnicy?

- Nie, milady. Na poddaszu mieszczą się pokoje niektórych służących. A ściany są bardzo cienkie.

Wszystko przez nie słyhać. A w piwnicach są magazyny. Ciągłe ktoś się tam kręci.

- W takim razie gdzie? Jak mówi Clarissa, to wielki dom. Musi się gdzieś znaleźć wolny kąt.

Redcliff jeszcze bardziej zacisnęła usta, ale w końcu powiedziała:

- Będzie musiała pójść do jednej z nieużywanych sypialni, jeśli już. Ta obok pani buduaru jest wolna.

Z jakiegoś powodu ukrywanie Clarissy w pokoju gościnnym wydawało się bardziej szokujące niż ukrycie jej w piwnicy, ale pokojówka niewątpliwie miała rację.

- Bardzo dobrze - powiedziała Beth. Zabrała Clarissę do sypialni, w której trzymano jej suknię dworską.

Uśmiechając się, uniosła materiał, którym toaleta była

przykryta. Clarissie aż odjęło mowę.

- Ale śliczna.

- Owszem, ale wcale nie mam ochoty jej wkładać.

- Nie byłam przedstawiona na dworze - powiedziała w zamyśleniu Clarissa. - Chyba by mi się to podobało.

- Naprawdę gustujesz w takich rzeczach, Clarisso?

Dziewczyna się uśmiechnęła.

- Chyba nie mam szlachetnego umysłu, Beth, tak jak ty. Lubię ładne stroje i bale, i flirty z młodzieńcami. Lubię fajerwerki, iluminacje i maskarady. Teraz w najlepszym wypadku mogę mieć nadzieję, że zostanę guwernantką albo nauczycielką. Nienawidzę lorda Deverila - wyznała z goryczą. - To wszystko jego wina.

Beth mogła zwrócić uwagę, że to wszystko wina ojca Clarissy, oddającego się hazardowi, ale chyba na niewiele by się to zdało, poza tym nie miała nic przeciwko temu, by całe odium spadło na Deverila.

Zostawiła Clarissę, dając jej do poczytania Samokontrolę i surowo zabraniając jej hałasować. Jednak kiedy wróciła do siebie, nie mogła opędzić się od myśli o tym, jak różne mają upodobania. Jaka szkoda, że Clarissa nie jest córką księcia.

Na samą tę myśl zacisnęła pięści. Za żadne skarby świata nie wróciłaby teraz na pensję panny Mallory. Nigdy więcej nie zobaczyć Luciena? Chyba by umarła.

W gotowalni zebrała rzeczy, które zdjęła z siebie Clarissa.

- Co z tym zrobimy, Redcliff? - spytała.

- Proszę mi to dać, milady - odparła z rezygnacją służąca. - Upchnę to gdzieś pod schodami. Nie wiem, co powie markiz, kiedy się o tym dowie.

- Nie wolno ci mu o tym wspomnieć - ostrzegła ją ostro Beth.

- Wiem - powiedziała pokojówka - ale lepiej, żeby pani

to zrobiła, milady. Powinien wiedzieć, że udzielił schronienia w domu swego ojca uciekinierce. Wyszła z zawiniątkiem pod peleryną. Obie zapomniały o trój rogu i zmiętym fularze, zostawionych w buduarze.

18

Bojąc się zostawić Clarissę samą w domu, Beth wymówiła się bólem głowy i nie opuszczała swojego pokoju. Nawet kolację zjadła w buduarze, dzieląc się jedzeniem z dziewczyną. Rozpaczliwie próbowała wymyślić, gdzie Clarissa mogłaby bezpiecznie się ukryć, ale przyszło jej do głowy tylko jedno miejsce: dom Delaneyów. Chociaż sprawiali wrażenie miłych i serdecznych, za mało ich jeszcze znała, by prosić ich o współudział w spisku. Jednak w razie konieczności była zdecydowana zrobić to. Nie zamierzała potulnie oddać Clarissy rodzicom.

Pożyczyła jej nocną koszulę i przypilnowała, by dziewczyna położyła się do łóżka.

Potem, nie widząc potrzeby odwlekania sprawy, sama przygotowała się do snu i dała Redcliff wolny wieczór. Siedząc z podwiniętymi nogami na kanapie i bezskutecznie próbując znaleźć jakieś wyjście z sytuacji, zupełnie zapomniała o Lucienie, póki ten nie wszedł do pokoju, niosąc karafkę i dwa kieliszki. Czerwone wino, tak jak w ich noc poślubną.

Oczy mu błyszczały, kształtne usta rozciągnął w uśmiechu.

- Nadrabiam miną - powiedział lekko - chociaż nie wiem, które z nas bardziej się boi.

Beth nawet nie próbowała ukryć przerażenia. Myślała przede wszystkim o tym, że w sąsiednim pokoju jest Clarissa i w każdej chwili może tu wejść.

Lucienowi zrzędała mina.

- Może ty? - spytał i nalał jej wina. Tym razem ręce jej

się tak nie trzęsły i z chęcią napiła się czerwonego wina dla kurażu.

Markiz przyjrzał jej się badawczo, nim przemówił. , - Myślałem, że twój liścik jest jednoznaczny, moja droga, ale teraz zaczynam mieć wątpliwości. Wolałabyś, żebym sobie poszedł?

Miała ogromną ochotę powiedzieć „tak”, ale nie chciała też, żeby ją zostawił samą, i aż zadrżała na samą myśl, jak taka odpowiedź wpłynie na ich napięte stosunki.

- Naturalnie, że nie - odparła, wyciągając do niego rękę.
-Tylko... tylko nie spodziewałam się ciebie tak wcześnie. Przez ostatnie kilka dni późno wracałeś do domu.

Odprężył się i znów się uśmiechnął, siadając obok niej.

- Czy to znaczy, że chcesz ze mnie zrobić pantoflarza? Może by mi się to nawet i spodobało. Ale prawdę mówiąc, pomyślałem, że dobrze ci zrobi, jeśli na jakiś czas uwolnię cię od swego towarzystwa.

Wydawało się, że mówi szczerze. Bardzo chciała mu wierzyć.

- Źle myślałeś - powiedziała. - Brakowało mi ciebie.

Nie poruszył się. Nie zaszła żadna wyraźna zmiana w wyrazie jego twarzy, a jednak coś się zmieniło. Beth aż przestała oddychać. Delikatnie wyjął pusty kieliszek z jej dłoni.

- Naprawdę? Może w takim razie masz rację, że obydwójce powinniśmy się wyzbyć obaw. Myślałem, że znów przestałaś mnie lubić.

Serce Beth waliło jak młotem, ciało zalała, fala ciepła. Lucien uniósł jej dłoń i pocałował ją, jego usta były miękkie i gorące. Z zapartym tchem patrzyła, jak pochyla głowę, odwraca jej dłoń i przyciska usta do wrażliwej skóry.

- Och - westchnęła cicho. Spojrzał na nią i odniosła wrażenie, że ogień tańczył w jego oczach. Policzki miał

silnie zaróżowione.

Porwał ją w ramiona. Była zupełnie bezsilna.

- Powiniennem był uwieść cię tamtego ranka, prawda, moja mała radykalistko? - spytał cicho.

Przypomniała sobie tamten dzień. :

- Chyba tak.

Ukrył twarz w jej lokach i poczuła jego usta na swej szyi. Zapragnęła go dotknąć, ale jej dłonie natrafiły tylko na materiał surduta.

- Lucienie - powiedziała - masz na sobie za dużo ubrań. Zakrztusił się od śmiechu, a potem odsunął się nieco, by na nią spojrzeć.

- Jasne, że tak. Byłoby pewną zuchwałością z mojej strony, gdybym przyszedł w nocnej koszuli, nie uważasz?

- Naprawdę? Wcześniej bez skrepowania siedziałeś w szlafroku.

- Ale wtedy - odrzekł - byłem pewny, że nie zostanę twoim kochankiem. Teraz, mój cudowny aniele, jestem prawie pewien, że nim będę.

Ostatnie słowa wypowiedział lekko pytającym tonem, a Beth zamiast odpowiedzi uniosła rękę, by dotknąć jego twarzy. A więc tamtym cytatem nie chciał jej obrazić.

- Nie jestem pewna, czy dostrzegam w tym logikę, mi-lordzie - powiedziała lekko, zagłuszając szybkie bicie serca i starając się nie myśleć o zdenerwowaniu.

Odwrócił głowę, żeby znów ucałować jej dłoń.

- Spodziewasz się, że w takim stanie stać mnie na logikę, ma chere!

- Och. - Zrozumiała, co miał na myśli. Sama nie była zdolna do logicznego myślenia.

- Chyba sprawdzę - rzekł z uśmiechem - ile razy jeszcze zdołam nakłonić cię do powiedzenia „och”.

Spodziewała się, że ją pocałuje, ale Lucien przesunął jedynie delikatnie palcem po jej ustach, wywołując lekkie

łaskotanie i... pragnienie czegoś więcej.

Potem polizał palec i znów przesunął nim po jej wargach.

-Och.

Uśmiechając się, wolno rozpiął guziki jej koszuli i wsunął pod nią rękę. Czekwała, aż położy jej dłoń na piersi, dotknie brodawki, jak tamtego wieczoru; czekała w napięciu na to poruszające do głębi podniecenie.

Pochylił się i zaczął delikatnie ssać płatek jej ucha.

- Och - jęknęła przeciągle.

Potem dotarło do niej, że przesunął dłoń i zaczął muskać jej pierś przez jedwab koszuli nocnej. Odwróciła głowę, by połączyć usta z jego ustami w namiętym pocałunku. Tuliła się do niego i pragnęła pozbyć się ubrań, które ich odgradzały, poczuć na swej skórze dotyk jego skóry.

Kiedy przestali się całować i Lucien sunął gorącymi wargami wzdłuż jej szyi, Beth powiedziała:

- Och i och, i och. Czy mógłbyś zdjąć choć część ubrań? Znów się roześmiał, i to tak serdecznie, że musiał przerwać pieszczotę.

- Jesteś cudowna! Dlaczego zmarnowaliśmy tyle czasu? Przesuwając ręką po jego lokach, spytała:

- Dlaczego nie uwiodłeś mnie tamtego ranka? Byłam prawie gotowa.

Złapał ją za rękę.

- Nigdy nie zmuszałem kobiety - wyznał cicho. - Miałaś taki mały wybór, iż bałem się, że cię wtedy zniewolę. -

Uśmiechając się figlarnie, spytał: - A na ile gotowa jesteś teraz, moja bohaterko? Prawie w połowie? W trzech czwartych? W czterech piątych?

Beth udała, że się głęboko zastanawia.

- W dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach - odpowiedziała w końcu.

Znów porwał ją w ramiona.

- Muszę popracować nad tym jednym procentem, moja urocza nauczycielko...

Na te słowa Beth przypomniała sobie o Clarissie za ścianą, co podziałało na nią jak kubeł zimnej wody. Napięła mięśnie.

Lucien zmarszczył czoło ze zdumieniem.

- Beth, nikt nas nie pogania - rzekł, odsuwając się. - Przykro mi, jeśli miałaś wrażenie, że cię zaniedbywałem, ale nie wymagam nagrody za swoją obecność.

Beth pomyślała, że jeśli ją teraz zostawi, ze złości chyba zdemoluje pokój.

- Lucienie - powiedziała - przestań być taki szlachetny, do cholery!

Wybuchnął śmiechem.

- Och, Beth, kocham cię. Słyszac to, spoważniała.

- Naprawdę?

Spojrzał jej prosto w oczy.

- Naprawdę. Wydaje mi się, że zakochałem się w tobie w Hartwell. Przez ostatnie dni brakowało mi tamtych wspólnie spędzanych chwil. Brakowało mi twojego prowokującego sposobu patrzenia na różne rzeczy i twojej inteligencji. Zawsze z miejsca poznajesz się na moich żartach i często potrafisz znaleźć celną ripostę. Czy bardzo ci będzie przeszkadzało, jeśli twój niewolnik będzie cię kochał, moja huryso?

Czy będzie jej przeszkadzało? Wprost rozpierała ją radość.

- Jak mogłoby mi to przeszkadzać? Od tygodni próbowałam sobie wmówić, że cię nie kocham. Nie udało mi się.

Kiedy Lucien znów wziął ją w ramiona, spytała półgłosem:

- Myślisz, że uda nam się to ukryć przed księciem? Ich usta się stykały, gdy spytał:

- Czemu mielibyśmy to robić?
- Będzie taki z siebie zadowolony.

Znów się roześmiał, ale nie oderwał ust i od nowa zaczęły się czary. Swawolnymi dłońmi i aksamitnymi ustami pieścił ją i hipnotyzował. Była bliska upojenia, ale świadomość obecności Clarissy nie pozwalała jej dać się ponieść namiętności.

Nagle Beth doznała olśnienia.

- Lucienie!

- Tak, najdroższa - powiedział z głową wtuloną w jej piersi.

- Lucienie, chcę, żebyś się ze mną kochał w swoim łóżku. Spojrzał na jej spłonioną twarz, oczy mu błyszczały z zachwytu.

- Mój aniele, jesteś pełna niespodzianek. Cóż to za dziwny kaprys i skąd znalazłaś w sobie dość odwagi, by o to poprosić?

Beth wiedziała tylko jedno: w jego sypialni będą ich odgradzały od Clarissy cztery ściany.

- Czyż nie jestem szaloną radykalistką, mój drogi pawianie? Roześmiał się i porwał ją w ramiona, okręcając wkoło,

kiedy szedł w kierunku drzwi.

- Ciekaw jestem, czego się spodziewasz? To zwyczajny pokój, dokładnie taki sam, jak twój.

Przystanął, trzymając ją wysoko w górze, i pochylił głowę, by delikatnie chwycić zębami jej nabrzmiąłą brodawkę. Beth aż zabrakło tchu, ogarnęło ją gwałtowne pożądanie.

Kiedy na nią popatrzył, wiedziała, że chociaż nie jest w stanie mówić, jej oczy przemawiają za nią. Jej spojrzenie mówiło: „Pragnę cię. Teraz”. Jego oddech stał się urywany, oczy mu dziwnie pociemniały z pożądania.

Byli przed drzwiami do jej sypialni. Markiz zawahał się,

rozważając ich położenie.

- Wiesz, moja czarująca swawolnico, albo będę cię musiał postawić na podłodze, albo cię poprosić, żebyś przekręciła gałkę w drzwiach. Wolę to drugie. - Pochylił się lekko i odwrócił, by mogła do niej sięgnąć.

Skorzystał z okazji, by znów musnąć wargami jej piersi, więc ręce jej się trzęsły, gdy próbowała chwycić gałkę u drzwi.

Kiedy się odkręciła, by jej dosięgnąć, poczuła, jak Lucien zeszywniał.

- Co...

Postawił ją na podłodze tak niespodziewanie, że wyglądało to niemal, jakby ją upuścił. Zaskoczona, dezorientowana, opierając się o ścianę, Beth patrzyła, jak jej mąż robi kilka kroków i podnosi z podłogi męski trójróg. Trzymając go w ręku, markiz odwrócił się do niej i utkwiał w niej wzrok. Bóg wie, co ujrzał na jej twarzy, ale niewątpliwie poczucie winy. Pobladł jak ściana.

- Lucienie...

- Nie. - Zabrzmiało to dość ostro.

Znów zrobił kilka kroków, poruszając się sztywno, jakby odczuwał ból, i wziął z krzesła zmięty fular. Kiedy odwrócił się do niej przodem, odzyskał już panowanie nad sobą. Aż strach było na niego patrzeć.

- Czy to może część twojego nowego stroju? - spytał, jego oczy przypominały kawałki niebieskiego szkła.

- Wiesz, że nie. - Próbowała się uśmiechnąć, lecz strach zupełnie ją sparaliżował. Będzie mu musiała powiedzieć o Clarissie. Nie spodoba mu się to zbytnio, ale nie będzie bardzo zły. A jednak instynkt nie przestawał ją ostrzegać: „Niebezpieczeństwo! Niebezpieczeństwo!”

- Naturalnie, że wiem - powiedział od niechcienia, obracając kapelusz w rękach. - Czy to wszystko było tylko

grą? Ale zrobiłaś ze mnie głupca. I udałoby ci się, gdyby nie ta odrobina lekkomyślności. Dziś w nocy nie poznałbym się, że twoje okrzyki są udawane, że to nie ja pozbawiłem cię dziewictwa. - Wypowiedziawszy te słowa, spojrział na nią z wściekłością i z obrzydzeniem cisnął kapelusz.

- Lucienie! - krzyknęła Beth, zanadto przerażona, by myśleć logicznie. - Nie wiem, o co ci chodzi.

Podszedł do niej szybkim krokiem i brutalnie złapał ją za ramiona.

- Przestań! Nigdy więcej. Będziemy ze sobą, kiedy zajdzie taka konieczność, ale dosyć kłamstw! - Ostatnie dwa słowa podkreślił, potrząsając nią gwałtownie.

- Sprawiasz mi ból! Nie okłamałam cię!

- Jesteś wstrętną kłamczuchą - krzyknął i odepchnął ją od siebie, aż się zatoczyła. Wskazał na kapelusz i krawat. -Kto jest właścicielem tego staromodnego nakrycia głowy, tej szmaty? Może masztalerz? Proszę mi zdradzić swoje gusty, madame. Muszę je znać, jeśli mam ci służyć tak dobrze, jak on!

Nagle Beth doznała olśnienia. Podbiegła do niego.

- Nie, Lucienie, nie! To nie tak. Nigdy nie kochałam nikogo oprócz ciebie!

Wymierzył jej policzek. Uderzenie było tak silne, że aż osunęła się po ścianie na podłogę. Szok odebrał jej mowę.

Markiz przez chwilę patrzył na nią z niedowierzaniem, a potem się odwrócił i ukrył twarz w dłoniach.

I w tej grobowej ciszy do pokoju wpadła Clarissa, z dziwkim wzrokiem, trzymając świecznik w dłoni. Zobaczyła Beth na podłodze, z ręką przy poczerwieniałym policzku.

- Ty bestio! - krzyknęła. - Ty świni! - Rzuciła się na markiza.

Był tak zaskoczony, że zupełnie stracił głowę. Zdążyła walnąć go mocno w skroń, nim odebrał jej broń i obezwładnił, by uchronić się przed dalszymi ciosami.

Do tego czasu Beth udało się wstać. Podbiegła do nich.

- Przestań, Clarisso! W ten sposób nie pomożesz. Lucienie, puść ją.

Zrobił to ostrożnie i dziewczyna podbiegła do Beth, częściowo by ją pocieszyć, częściowo, by sama znaleźć pocieszenie.

- Beth, wszystko słyszałam. On cię uderzył!

- Tak.

Beth i Lucien przyglądali się sobie w milczeniu. Czy życie kiedykolwiek jeszcze będzie takie samo po tym akcie przemocy? Jak mogła być tak tępa, by z miejsca się nie zorientować, w jaki sposób Lucien to wszystko zrozumiał? Te lekkomyślne słowa, wypowiedziane tak dawno, nadal powracały i niszczyły to, co było między nimi.

Markiz odwrócił się tyłem. Poruszał się wolno, jakby był śmiertelnie zmęczony. Opróżnił kieliszek z winem, o którym dawno zapomniał.

- Uważam, że niezbędna jest spokojna rozmowa - powiedział w końcu znużonym głosem. - Czy stać cię na to?

- Naturalnie - odparła Beth. Posadziła Clarissę na krzesło, a sama zajęła miejsce na kanapie. Ciekawa była, czy Lucien usiądzie obok niej. Chciało jej się płakać, i to wcale nie z powodu policzka. Co się stało z ich pięknym uczuciem? Zniszczyła go chwila nieposkromionego gniewu.

Markiz wolał stać. Był blady i spięty. Wziął ręcznik i machinalnie starł kroplę krwi z ust żony.

- Kto to jest? - spytał. - I czyj jest ten kapelusz?

- Lucienie, to jest Clarissa Greystone. Przyszła w męskim przebraniu. Udzieliłam jej schronienia przed

rodzicami.

Lord Arden zamknął oczy i nabrał głęboko powietrza w płuca. Potem z niechęcią popatrzył na Clarissę.

- O, Boże.

Clarissa rzuciła mu chmurne spojrzenie. Następnie zwrócił się do żony.

- Czy potrafisz mi wybaczyć? To, czego się dopuściłem, jest haniebne, nawet jeśli... Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie poza stanem niezwykłego podniecenia.

- Miałeś pełne prawo tak się zachować - powiedziała wyraźnie Beth, wciąż pocierając spuchniętą twarz. Czuła smak krwi, bo ząb przeciął jej wargę. - Gdybym znalazła dowody, że Biała Gołąbka była w twoim łóżku, z przyjemnością zrobiłabym to samo.

Lucien wyprostował się i ściągnął brwi.

- Skąd... Nie, nie odbiegajmy od tematu. Muszę ci zwrócić uwagę, że to nie to samo, Beth. Kobiety już tradycyjnie mają prawo wyrażać swą wściekłość, policzkując mężczyznę. Między innymi dlatego - dodał z ponurym uśmiechem - że wyładowując w ten sposób swoją złość, rzadko kiedy wyrządzają większe szkody. Tobie może pozostać ślad.

- W takim razie muszę popracować nad swoją techniką - oświadczyła Beth melancholijnie - na wypadek gdyby okazało się to potrzebne.

Markiz roześmiał się krótko i znów zaczął przypominać sobie. Zmoczył myjkę w misce z wodą i podszedł do żony, by obejrzeć jej twarz. Delikatnie ująwszy Beth pod brodę, pocałował ją lekko tam, gdzie czuła największy ból, a potem przyłożył do tego miejsca wilgotną szmatkę.

- Jeszcze bardziej cię kocham za twoją dzielność - powiedział cicho - ale nigdy sobie tego nie wybaczę.

Beth wzięła od niego myjkę i przytrzymała ją przy policzku. To prawda, że rozumiała i wybaczyła, ale nie była pewna, czy jej uczucia względem niego się nie zmienią. Kiedy markiz następnym razem wpadnie w złość, czego może się po nim spodziewać?

- Mam nadzieję - "wtrąciła piskliwie Clarissa. - Beth, nie daj się nabrać na jego słodkie słówka. Uderzył cię.

- Wszyscy o tym wiemy, Clarisso - powiedziała Beth tonem nauczycielki. - Rozumiem, co czujesz, ale muszę ci zwrócić uwagę, że ty nie rozumiesz tego, co my czujemy.

Uciszywszy dziewczynę, opowiedziała ze szczegółami jej historię. Kiedy skończyła, markiz nie ukrywał niedowierzania.

- Beth, nic nie możesz na to poradzić. Jej rodzice mają prawo zrobić to, co im się podoba. Takie małżeństwa zawierane są codziennie. Ludzie starają się jak najlepiej dostosować do swego położenia.

- To tylko kolejny dowód na to, że ten świat jest źle urządzone - powiedziała twardo Beth. - Clarissa nie poślubi lorda Deverila wbrew swej woli.

- Deverila! - wykrzyknął markiz i Beth uświadomiła sobie, że po raz pierwszy zdradziła nazwisko bogatego narzeczonego Clarissy. - To zmienia postać rzeczy.

- Dlaczego?

- Z całą pewnością nie można dopuścić, by poślubił uczciwą kobietę. A właściwie jakąkolwiek kobietę.

- To znaczy, że jej pomożesz? Zastanowił się.

- To nie będzie łatwe. Prawdopodobnie uda nam się nie dopuścić, by się dostała w łapy Deverila, ale nie ma żadnego legalnego sposobu, by ją uwolnić od opieki rodziców. Znow ją zbiją i znow znajdą jej jakiegoś Deverila.

- Nikt nie może być bardziej obleśny od lorda Deverila -

wtrąciła Clarissa, wzdrygnąwszy się.

- No właśnie - zgodził się markiz. - Tu muszę ci przyznać rację.

- A jeśli Clarissie się uda - powiedziała Beth - lord Deveril poszuka sobie innej ofiary.

Markiz pokręcił głową.

- Czy mam spędzić resztę życia na ratowaniu niewinnych'; dziewcz przed łajdakami? Jednych i drugich nigdy nie zabraknie.

Beth uśmiechnęła się do męża, chociaż sprawiło jej to ból.

- Lucienie, spróbuję się nauczyć nie przejmować wszystkimi nieszczęściami, jakie zdarzają się na tym świecie, ale nie mogę przejść obojętnie obok ofiary, która znalazła się na mojej drodze. Jednak w tej chwili najważniejszą sprawą jest zapewnienie Clarissie bezpiecznego schronienia. Znasz Londyn. Muszą tu być setki miejsc, gdzie może się ukryć.

- Nie w tym Londynie, jaki znam - odparł.

- Myślałam o Delaneyach - wyznała z wahaniem Beth.

- Z chęcią by pomogli - powiedział - ale jest szereg powodów, dla których byłoby lepiej, żeby w tej chwili nie angażować ich w nic, co ma związek z Deverilem. –

Zamyślił się. - Wspomniałaś o Białej Gołąbce. Co o niej wiesz? Beth poczuła, że się czerwieni.

- Jest aktorką teatru Drury Lane. Jest śliczna i jest twoją kochanką.

- Była. Skąd o tym wiesz?

- Była? - powtórzyła Beth i poczuła, jak budzi się w niej nadzieja. Wiedziała, że Lucien nie okłamywałby jej.

Skinął głową. - Powiedział mi lord Deveril - wyjaśniła. Oczy markiza błysnęły groźnie.

- Zrobił to, na Boga? Uważam, że najprostszym sposobem wyjścia z tej skomplikowanej sytuacji jest zabicie

go.

- Nie możesz tego zrobić! - zaprotestowała Beth. Znów przemoc. Czy to recepta na wszystko?

- Jest trochę za stary, by go wyzwać na pojedynek - zgodził się markiz. - Ciekaw jestem, czy udałoby mi się go nakłonić, żeby to on mnie wyzwał.

Beth nie ukrywała przerażenia.

- Lucienie, to by było morderstwo.

- Możesz to nazwać egzekucją - powiedział i Beth stwierdziła ze zgrozą, że markiz mówi zupełnie poważnie. Zanim zdążyła przedstawić wszystkie argumenty przeciwko pojedynkom, odezwał się znowu.

- Wracając do rzeczy - zaczął, wyraźnie ożywiony perspektywą zabicia kogoś. - Skoro wiesz o Blanche, ona może nam udzielić potrzebnej pomocy.

- W jaki sposób? - spytała Beth, niezadowolona z tego, jaki obrót przybrała rozmowa. Mógł zrezygnować ze spotkania z aktorką, ale to wcale nie oznaczało, że przestał darzyć ją uczuciem.

- Nikt nie będzie szukał Clarissy u Blanche, a Blanche chętnie udzieli jej schronienia.

- Kokota? - spytała przerażona dziewczyna.

- Aktorka - poprawił ją chłodno markiz. - I wyjątkowa dama. To jedyna kryjówka, jaką znajdziesz. Jeśli twoi rodzice wiedzą, że złożyłaś wizytę Beth, jutro pojawią się na progu naszego domu.

Clarissa spojrzała na Beth, szukając u niej rady.

- Uważam, że powinnaś przyjąć tę pomoc - oświadczyła Beth. - Wydaje się, że to bezpieczne miejsce, a teraz już trochę za późno, Clarisso, by zwracać uwagę na twoje dobre imię. Naprawdę nie wiem, co się z tobą stanie, ale jak powiedziałaś, wszystko będzie lepsze od małżeństwa z lordem Deverilem.

Dziewczyna skinęła głową.

- Dobrze. Co mam zrobić?

- Na razie idź się ubierz.

Kiedy Clarissa wyszła z pokoju, Beth spytała:

- Czy możemy teraz tam pojechać? Czy też madame Blanche należy uprzedzić?

- Nie sądzę, by Blanche miała nowego protektora, ale powinienem wysłać jej liścik. Zresztą teraz i tak jest w teatrze. Będziemy musieli zaczekać godzinkę czy dwie. Kogo by do niej posłać... Ach tak, małego ptaszka. Odwrócił się, by wyjść, ale jeszcze raz obejrzał się za siebie.

- Potrafisz mi wybaczyć? - spytał poważnie.

Uśmiechnęła się.

- Już ci wybaczyłam. Zresztą to wszystko zaczęło się wtedy, kiedy udało mi się cię przekonać, że miałam tuzin kochanków. Miałaś rację... słowa, gdy je raz wypowiedzieć, zaczynają żyć swoim własnym życiem. Markiz podszedł i objął ją delikatnie.

- Ukradłem je Horacemu - przyznał się. – „Et setnel ernis-sum volat irrevocabile verbum.”* Przebijemy go Wergiliuszem. Omnia viiicit Amor. ** Kocham cię, Beth. Nawet jeśli jesteś rozpustna, i tak będę cię kochał, Bóg mi świadkiem. I właśnie to doprowadzało mnie do szaleństwa. Uważałem, że jesteś ladaczną, ale i tak cię pragnąłem.

Beth mocniej objęła męża i dokończyła jego cytat.

- Et nos cedamus Amon. I my ulegamy miłości. ***

-Wiem, że jesteś cnotliwa - ciągnął. - Wiem, że jesteś dziewczyną.

Żartobliwie dodał: - Niestety.

**Słowo raz wypowiedziane nie powraca (przyp. tłum.).*

Miłość wszystko zwycięża (przyp. tłum.).* *Przekład Zofii Abramowiczówny (przyp. tłum.).*

Beth się roześmiała i spojrzała na niego.

- A ja cię kocham, chociaż jesteś brutalem. - Dodała nieśmiało: - Też uważam, że to wielka szkoda.

Miała na myśli to, że zniszczeniu uległa chwila największej rozkoszy. Nie wyobrażała sobie, by mogli doświadczyć czegoś podobnego jeszcze raz.

Markiz uwolnił się z jej objęć.

- Nie jestem brutalem - oświadczył. - Brutal wyrzuciłby Clarissę przez okno i zaniósł cię do łóżka. Jestem pawianem w swoim środowisku. Będę postępował zgodnie ze swymi zasadami.

- Czy kiedyś mi pozwolisz o tym zapomnieć? - spytała.

- Nigdy - odparł z uśmiechem. - To najcudowniejsza obelga, jaką kiedykolwiek usłyszałem.

- Jakimi zasadami postępowania kieruje się pawian? - spytała Beth.

- Myślałem, że wiesz. Czy mam stracić wiarę w ciebie?

- Pawian - zaczęła, starając się coś naprędce wymyślić - zawsze pobłaża swojemu partnerowi. Niezawodnie pomaga słabym, szczególnie młodym samicom, i nigdy nie próbuje zabijać, chyba że w obronie własnej. Jest również - dodała z naciskiem - całkowitym monogamistą.

- Hmm. W każdym pierwotnym środowisku pawiany by wymarły.

- Ale mieszkamy w Londynie, najbardziej cywilizowanym miejscu na świecie - oświadczyła Beth.

Uniósł brew.

- Przypomnij mi, żebym cię nie wypuszczał z domu bez opieki, moja naiwna sawantko. Muszę teraz iść i zająć się przygotowaniami. - Beth wyczuła w nim, podobnie jak w sobie, wyraźną niechęć do rozstania, nawet na chwilę.

- Musisz się ubrać - powiedział. - Nie zamierzam sam odwozić Clarissy, poza tym chcę, żebyś poznała Blanche. - Uśmiechnął się. - Nie wyobrażam sobie żadnej innej żony na świecie, której mógłbym to zaproponować. - Czy to komplement? - spytała Beth. - Największy, na jaki mnie stać - odparł i spojrzał na nią czule.

19

Kilka godzin później Beth i Clarissa po kryjomu zeszyły schodami dla służby i bocznymi drzwiami wydostały się na ulicę. Lucien miał na nie czekać w pobliżu.

Oczekiwanie nie było przyjemne. Lucien wrócił do jej pokoju tylko na krótko z instrukcjami i Beth wiedziała, że to nie obecność Clarissy go krępuje. Nie mógł znieść widoku jej twarzy, która już zaczęła się robić sina. Kiedy ubierała się do wyjścia specjalnie wybrała budkę, ściśle przylegającą do twarzy, by zasłonić policzek.

Wkrótce markiz nadjechał wynajętą dorożką i pomógł im wsiąść.

- Pomyślałem, że najlepiej nie wtajemniczać w to służby poza Jerzykiem. Zaniósł liścik do Blanche. Czeka na nas u siebie.

- O tej porze wysłałeś dziecko na ulice Londynu? - Beth nie kryła oburzenia.

- Z pewnością lepiej sobie na nich radzi ode mnie - odrzekł cierpko markiz i podczas jazdy opowiedział, w jakich okolicznościach poznał Jerzyka Babsona.

- Ile jest takich dzieci, jak on - zauważyła smutno Beth.

- Nie zaczynaj od nowa - oświadczył markiz zdecydowanym tonem.

Beth po raz pierwszy rzuciła mu zalotne spojrzenie.

- Może należałoby stworzyć szkołę, gdzie mogliby zdobyć fach?

Westchnął, ale usta mu lekko drgnęły.

- Może.

Uśmiechnęła się triumfalnie, a on pokręcił głową.

Dorożka zatrzymała się przed szeregiem domków, markiz pomógł wysiąść paniom i zapłacił woźnicy. Jak tylko dorożka odjechała, z cienia wynurzyła się chuda postać.

- Wszystko w porządku, milordzie - zameldował z dumą Jerzyk. - Pani jest u siebie i czeka.

- Dobra robota. Idź w takim razie i zaczekaj na nas w kuchni. - Lucien ruszył przodem i zastukał kołatką. Po chwili Blanche sama otworzyła drzwi i wpuściła ich do środka.

Beth pomyślała, że mieszkanie jest bardzo przyjemne, wygodnie urządzone i umeblowane ze smakiem. Wcale nie tak wyobrażała sobie dom kobiety lekkich obyczajów. Odczuwając skrępowanie, spojrzała na Białą Gołąbkę. Z bliska była równie śliczna, jak na scenie. Miała na sobie gładką, białą suknię z najzwyklejszego muślinu, obszytego jedynie odrobiną koronki. Długie, srebrne włosy zwinęła na czubku głowy w prosty węzeł. Beth poczuła się jak wiejska szkapa przy rumaku pełnej krwi.

Jeszcze gorsze było to, że Blanche wyglądała na dobrą i niegłupią. Mary Wollstonecraft może szydzić z kobiet, które nie potrafią robić nic poza dostarczaniem przyjemności mężczyznom, ale co powiedzieć o kobiecie hojnie obdarzonej przez naturę, która jednocześnie zachowała bystrość umysłu?

Po zamknięciu drzwi aktorka taktownie cofnęła się, oddając w tej tak niezwykłej sytuacji inicjatywę Lucienowi.

Odwrócił się.

- Beth, czy mogę ci przedstawić Blanche Hardcastle? - Nie były to oficjalne słowa, tylko szczere pytanie.

- Naturalnie - odparła Beth i wyciągnęła rękę do kobie-

ty. - Bardzo mi miło panią poznać, pani Hardcastle. I jestem bardzo wdzięczna.

Blanche mocno uścisnęła jej dłoń i uśmiechnęła się ciepło, ale kiedy dostrzegła na jej twarzy siniaka, zrobiła okrągłe oczy i z niedowierzaniem spojrzała na markiza.

- A to jest Clarissa Greystone - powiedział szybko. - Właśnie ona potrzebuje twojej pomocy.

Clarissa "wyraźnie nie wiedziała, jak się zachować. Po chwili dygnęła lekko.

- Usiądźmy - zaproponowała Blanche, prowadząc swych gości do saloniku. - Proszę mi dokładnie powiedzieć, czego

ode mnie oczekujecie, a pomogę w miarę swoich możliwości. Lucien pokrótce przedstawił sytuację. Ku pewnemu zaskoczeniu Beth aktorka była całkowicie po stronie Clarissy.

- Lord Deveril jest łobuzem - oświadczyła. - Jeśli połowa z tego, co o nim słyszałam, jest prawdą, nie powinno mu się pozwolić tknąć palcem najgorszej ulicznicy, a co dopiero mówić o młodej panience. Z przyjemnością udzielię pani gościny, panno Greystone, ale to będzie tylko tymczasowe rozwiązanie. Musi się pani zastanowić, co zamierza pani robić w przyszłości.

- Wiem - powiedziała Clarissa. - Była blada i zmęczona.

-Ale w tej chwili nie jestem do tego zdolna. To był najgorszy dzień w moim życiu! - Zalała się łzami.

Beth natychmiast do niej podeszła.

- Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, pani Hardcastle, uważam, że powinnyśmy ją położyć do łóżka. Zdamy jutro porozmawiać o planach na przyszłość.

Blanche zaprowadziła je na piętro do małego, wygodnego pokoju, i upewniła się, czy Clarissa ma wszystko, co jej potrzebne. Potem zostawiła ją z Beth i zamyślona zeszła po schodach. Zastała Luciena rozpartego na jego

ulubionym fotelu i popijającego brandy.

- Podoba mi się twoja żona - oznajmiła. - Czy wolno mi to powiedzieć?

- Możesz mówić, co tylko masz ochotę. Złamawszy niemal wszystkie zasady obowiązujące w dobrym towarzystwie, nie jestem w nastroju do zachowywania pozorów. Blanche nie była pewna, co spowodowało, że jest taki zrzędcący, ale roześmiała się.

- Znalazłeś się w kłopotliwym położeniu, prawda, mój drogi?

Usiadł prosto i spojrzał na nią ponuro.

- Jesteś zła, że przywiozłem tu tę głupią gąskę?

- Nie, Jednak trochę mnie to zaskoczyło, że zadałeś sobie tyle trudu. Nie pomyślałabym, że masz skłonności do filantropii.

- Od ślubu jestem zupełnie innym człowiekiem - odparł cierpko.

- W takim razie dlaczego twoja żona ma siną twarz? - spytała cicho Blanche.

Usiadł sztywno i spojrzał na nią gniewnie, jak prawdziwy de Vaux. Blanche ani drgnęła powieka. Słysząc było tykanie zegara. Z góry dobiegały niewyraźne głosy.

- Uderzyłem ją - powiedział w końcu i jednym haustem opróżnił kieliszek.

Blanche wzięła karafkę i ponownie nalała mu brandy.

- Dlatego, że pomogła dziewczynie?

- Nie. - Lucien nie mógł się zdobyć na to, żeby opowiedzieć całą tę wstrętną historię, ale chciał usłyszeć ocenę Blanche. Chociaż wiedział, że zasługuje wyłącznie na pogardę, czuł, że Blanche jest jedyną osobą, która może nadać temu wszystkiemu sens. Widziała gorsze rzeczy w życiu.

- Za chwilę poczujesz się lepiej - odezwała się w końcu. Utkwił w niej wzrok.

- Ja? To nie ja cierpię.
- Jesteś tego pewien, mój drogi? Odwrócił wzrok.
- Tak, Blanche, masz rację. A Beth? Nie żal ci jej?
- Widzę po jej oczach, że naprawiłeś swój błąd, chociaż przypuszczam, że minie trochę czasu, nim twoje konto będzie zupełnie czyste. Kobiety nie powinny zbyt łatwo wybaczać. I mam nadzieję, że jeśli jeszcze raz ją tkniesz, zdzieli cię pogrzebaczem.
- Czy właśnie to robiłaś?
- To i gorsze rzeczy- wyznała aktorka bez ogródek. - Mój ojciec ciągle bił matkę. Przysięgłam sobie, że żaden mężczyzna nie podniesie na mnie ręki i dotrzymałam słowa.

Usłyszeli, jak drzwi na górze się otwierają.

- Dzięki Bogu - powiedział oschle markiz - że nigdy nie uległem pokusie, żeby ci przyłożyć.
- Dlaczego tego nie zrobiłeś? Kłóciliśmy się, jesteś popędliwy, ale założę się, że nigdy wcześniej nie uderzyłeś kobiety.

Lucien spojrzał na bursztynowy płyn w kieliszku. Nie wypił ani kropli, odkąd mu nałała.

- Naprawdę chcesz wiedzieć?
- Chyba tak.
- Nigdy wcześniej nie kochałem kobiety - powiedział, dodając niemal gniewnie: - I wcale nie wygląda to tak, jak opisują.

Schodząca po schodach Beth nagle zatrzymała się.

Poczuła w sercu miłe ciepło, kiedy usłyszała wyznanie markiza, choć wolałaby nie usłyszeć towarzyszącego mu zastrzeżenia. - A cóż to ma znaczyć? - spytała Blanche rozbawionym tonem.

- Nigdy w życiu nie byłem tak nieszczęśliwy, jak przez kilka ostatnich tygodni. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz porządnie się wyspałem.

- No cóż...
 - I wcale nie dlatego, do cholery!
 - Och. - Aktorka powiedziała to z takim zrozumieniem, że Beth poczuła, że się czerwieni. Wiedziała, że powinna zejść i dołączyć do nich, ale zakłopotanie i ciekawość sprawiły, że została tam, gdzie była.
 - Cóż - oświadczyła Blanche - nawet goszcząc już u siebie jedną osobę, mam wolne łóżko. Na twoim miejscu zdecydowałabym się na ten krok. Obydwoje poczulibyście się znacznie lepiej.
- Markiz roześmiał się głośno. Beth poczuła, że płonie ze wstydu. I tęsknoty. Przypomniała sobie, jak się czuła jeszcze nie tak dawno, zanim wszystko przybrało taki zły obrót.
- Nie owijasz niczego w bawełnę - zauważył Lucien lekko rozbawionym tonem. - Jestem niewątpliwie głupcem, ale czuję, że w tym wszystkim powinno się znaleźć miejsce na dobre obyczaje.
 - Jesteś skończonym głupcem. Co mają z tym wspólnego dobre obyczaje?
 - Jeden Bóg wie. Muszę stąd uciec, nim mnie zdemoralizujesz.
- Beth usłyszała, że markiz wstał. Zebrała się w sobie i zaczęła schodzić ze schodów. Kiedy wyszedł do holu, spotkali się tam.
- Od dawna podsłuchujesz? - spytał wyrozumiale.
 - Od jakiegoś czasu.
 - Czy w takim razie skorzystamy z wolnego łóżka u Blanche?
- Beth odwróciła wzrok i pokręciła głową. Chociaż odczuwała głód, wyjątkowa chwila minęła, ogień zgasł. Nie wyobrażała sobie, że mogłaby tak na żądanie znów go rozpalić. Szczególnie tu. Zwróciła się do aktorki.
- Jeszcze raz pani dziękuję, pani Hardcastle. Za wszyst-

ko. - Widziała po jej uśmiechu, że Blanche ją rozumiała. Ze zdumieniem stwierdziła, że polubiła tę kobietę. Być może z uwagi na wyjątkowość sytuacji traktowała Blanche jak przyjaciółkę.

Opuściwszy dom aktorki, stanęli na chodniku.

- Co teraz? - spytała Beth. Lucien się roześmiał.

- Zupełnie straciłem głowę. Nie mamy powozu, prawda? W tej chwili z sutereny wybiegł Jerzyk, trzymając w ręku nadgryzioną bułeczkę maślaną.

- Jakie są szanse zdobycia dorożki o tej porze, Jerzyku? ,

- Niewielkie, milordzie.

Ruszyli na piechotę w stronę placu Marlborough, Jerzyk dyskretnie szedł w pewnej odległości za nimi.

- Mogłem cię zostawić u Blanche i posłać po powóz - odezwał się po chwili Lucien.

- Dlaczego tego nie zrobiłeś? - spytała Beth, chociaż była zadowolona ze spaceru. Ulice były co prawda prawie wymarłe, lecz z Lucieniem u boku nie bała się chuliganów.

- Nie zamierzam cię zostawiać z nią sam na sam - odparł. - Ma mnóstwo niebezpiecznych pomysłów.

- Tak jak ja - zauważyła Beth. - Nie zapominaj, że jestem zwolenniczką Mary Wollstonecraft.

- W takim razie nie potrzebujesz dodatkowej zachęty.

Spojrzała na niego.

- Czy czytałeś kiedyś jakieś jej artykuły? Nie rozumiem, jak inteligentny człowiek może w nich widzieć coś złego.

- Owszem, czytałem. Niektóre jej pomysły są sensowne, ale uważam, że niesprawiedliwie traktuje zarówno mężczyzn, jak kobiety. Nie wszyscy mężczyźni są brutalami, pozbawionymi serca, tak samo, jak nie wszystkim kobietom w głowie jedynie głupstwa. Właściwie zastanawiam się, czy w ogóle darzy kobiety sympatią.

Beth była zaszokowana.

- Czy masz coś na poparcie swojej tezy? Uśmiechnął się.

- Przygotowałem sobie cytaty, spodziewając się takiej dyskusji. „Jako płeć - napisała ta zasadnicza dama - kobiety są Z zasady leniwe”.

- Miała na myśli to, że brak im wykształcenia i zmuszone są do odgrywania służebnej roli.

- Być może, ale nie napisała tego wyraźnie i odniosłem wrażenie, że uważa większość ludzi obu płci za dzieci, które powinny się od niej uczyć. Jej uwagi o arystokracji są równie stronnicze.

- Cóż, to normalne, że tak uważasz - odparła Beth, bardzo zadowolona z tej dyskusji.

- To prawda. Ale nie możesz ode mnie oczekiwać, żebym był zwolennikiem całkowitego rozprawienia się z arystokracją.

- Muszę wyznać - powiedziała Beth - że po bliższym zapoznaniu się z tym gatunkiem ludzi, przekonałam się, że wielu arystokratów to osoby odpowiedzialne i pracowite, wykorzystujące swoją wyjątkową pozycję dla dobra innych. Czy nie zgodzisz się jednak, że to śmieszne wymagać od kobiet, by niewolniczo słuchały mężczyzn, nawet wtedy, kiedy ci zdecydowanie nie mają racji?

Spójrz na położenie biednej Clarissy.

Pomyślała, że może markiz odpowie jej lekceważąco, lecz powiedział zupełnie serio:

- Tak, uważam, że to śmieszne. Ale nie sądzę, bym kiedykolwiek tego oczekiwał. Moja matka nie ma natury niewolnicy, moje siostry też nigdy mi nie ustępowały. Prawdę mówiąc, póki nie skończyłem trzynastu lat, często to ja musiałem się im podporządkowywać.

Przypuszczam, że niewolniczo słuchały księcia, ale, na Boga, ja też to robiłem.

- Jednak zagroziłeś, że mnie wychłoszczesz. I to dwa razy. - Nie wspomniała o tym, ale policzek, który jej wymierzył, był niczym czarna chmura, która wciąż przesłaniała niebo nad nimi.

Przez jakiś czas szli w milczeniu, wreszcie markiz się odezwał:

- Czasami użycie siły jest konieczne, ale nic nie usprawiedliwia ani nie tłumaczy tego, czego się dopuściłem dziś wieczorem. Nie daje mi to spokoju. - Urwał, a po chwili dodał: -Jeśli chodzi o moje groźby, rzeczywiście odgrażałem się, że cię zbiję - chociaż nie wiem, czy byłoby mnie stać na coś takiego - kiedy wydawało się, że chcesz wywołać skandal w rodzinie. Jeśli ci to poprawi samopoczucie, wiedz, iż w takiej sytuacji zagroziłbym również mężczyźnie, że go spiorę, i istnieje większe prawdopodobieństwo, że bym to zrobił. Czy cieszy cię, że potraktowana zostałeś tak samo, jak mężczyzna?

- Nie wiem - odparła Beth, marszcząc czoło. - Jest późno i jestem zmęczona. Może dlatego udało ci się znaleźć usprawiedliwienie swej przemocy wobec mnie. Chociaż nie ma w tym żadnego sensu.

Przystanął i ją objął. Na środku ulicy. Beth szczypały oczy i nie potrafiła myśleć zupełnie jasno. Z wdzięcznością oparła się na nim.

- To, że cię dziś uderzyłem, pozbawione było wszelkiego sensu - powiedział cicho. - Było to czyste barbarzyństwo i brak opanowania. Obiecuję, że nigdy nic takiego się nie powtórzy. Nawet, gdybyś sobie wzięła tysiąc kochanków, Beth!

Oczy same jej się zamykały. Spojrzała na męża i potrząsnęła głową, by zebrać myśli. Wziął ją na ręce.

- Nie możesz mnie nieść taki kawał drogi - sprzeciwiła się.

- Jesteśmy trzy domy od siebie, ty głuptasie - powiedział.

- Czy wejdziemy głównymi drzwiami? - spytała. - Są małe drzwi z boku, z których korzystają dostawcy węgla.

- Za nic nie będę się potajemnie zakradał do własnego domu - oświadczył markiz, ostrożnie stawiając ją na ziemi. - Jednak lepiej będzie, jak sama przestąpisz próg. W przeciwnym razie lokaj pomyśli, że jesteś pijana.

Jerzyku - zwrócił się do krążącego w pobliżu chłopaka. - Zmykaj. Powiem Dooleyowi, żeby pozwolił ci się przespać.

Lucien otoczył Beth ramieniem, zachęcając ją, by weszła przez wielkie, rzeźbione drzwi.

- Co sobie pomyśli lokaj? - spytała.

- Moja droga, jednym z plusów naszej pozycji jest to, że nie musimy się tym przejmować.

Beth przekonała się, że nie jest jeszcze pełnoprawnym członkiem najwyższych sfer arystokracji, ponieważ zaczerwieniła się, widząc zaskoczenie malujące się na twarzy młodego lokajczyka.

Najwyraźniej nie spodziewał się ich ujrzeć o tej porze nocy, przybyłych pieszo, tym bardziej, że nikt nie wiedział o tym, iż markiza wyszła z domu. Oczywiście nie powiedział nic poza grzecznym:

- Dzień dobry, milordzie i milady.

Beth skierowała się do swojej sypialni. Prawie zasnęła, nim Lucien zdjął jej suknię i pantofelki. Przypomniała sobie ze smutkiem wydarzenia ostatniego wieczoru.

- Poważnie traktuję to, co napisałam w swoim liściku - mruknęła sennie.

- Nie martw się - powiedział, delikatnie odgarniając jej włosy z twarzy. - Jutro wieczorem nic nam nie przeszkodzi, byśmy się pozbyli naszego niepokoju.

Obiecuję ci to, moja droga.

Beth obudziła się następnego ranka, kiedy Redcliff rozsunała zasłony, by wpuścić do pokoju światło słoneczne. Pokojówka podeszła do łóżka, by postawić tacę ze śniadaniem, ale zatrzymała się w pół kroku, gapiąc się na swą panią.

Beth zorientowała się, że ma na sobie halkę, i nawet bała się pomyśleć, jak wygląda jej twarz. Co, na Boga, powinna powiedzieć, szczególnie w sytuacji, gdy służba z pewnością wiedziała, że ona i markiz wrócili do domu nad ranem?

- Pojechaliśmy odwieźć gdzieś pannę Greystone i upadłam. Proszę podaj mi lusterko.

Wystarczył jeden rzut oka. Na prawym policzku widać było wyraźnie siniec.

- Chyba dziś zostanę w swoim pokoju, Redcliff - kontynuowała Beth, próbując nie zwracać uwagi na to, że pokojówka nie uwierzyła w jej wyjaśnienia. Żałowała, że brak jej prawdziwej arogancji de Vaux. - I wolałabym nikogo dziś nie przyjmować.

- Dobrze, milady. Ale szkoda, że wcześniej nic pani nie przyłożyła.

Beth stwierdziła, że kiedy je grzanekę, odczuwa tylko lekki ból, więc szkody nie mogły być zbyt poważne.

- Czy jest coś, co mogłoby pomóc teraz, Redcliff?

- Cóż, niektórzy mówią, że ocet, inni - że oczar wirginijski. Ale uważam, że najlepszy byłby jakiś kosmetyk, milady. - Pokojówka nie ukrywała swojej dezaprobaty. Beth zastanawiała się, czy dla każdego, kto ją zobaczy, będzie oczywiste, że została spoliczkowana.

- Spróbujmy okładów z oczaru wirginijskiego - powiedziała. - Nie mam zbytnej ochoty przez cały dzień pachnieć octem. Potem możesz mi kupić trochę rózu, na wypadek gdybym musiała jednak gdzieś się wybrać.

Kiedy pokojówka wyszła, Beth przypomniała sobie sło-

wa wypowiedziane przez Luciena na pożegnanie. Mieli pozbyć się swych niepokojów. Niepokój i pragnienie nie opuszczały jej od kilku dni, nawet od kilku tygodni, ale teraz zdecydowanie przeważało pragnienie. Wiedziała jednak, że ujrzawszy jej spuchniętą twarz, markiz się zdenerwuje. Zasłużył sobie na to, ale nie chciała też, żeby to zepsuło noc. Kiedy wróciła Redcliff, skrupulatnie przyłożyła do policzka kompres z oczaru. Siedziała przy biurku i czytała, gdy Lucien wszedł do buduaru. Pospiesznie odsunęła od policzka wilgotną szmatkę i uśmiechnęła się do męża, starając się trzymać głowę lekko odwróconą. Nie na wiele się to zdało. Od razu podszedł do niej i ująwszy ją pod brodę, skierował jej twarz do światła. Zacisnął usta. Nie wyglądał na wypoczętego.

- Dobrze by mi zrobiło, gdybyś już nigdy nie chciała zostać ze mną sam na sam - powiedział.

- To śmieszne - odparła Beth. - I wielce niestosowne. Przynajmniej udało się jej trochę go rozbawić.

„- Czyżbyśmy byli nieśmiali?

- - Nie mogę mówić za ciebie, ale siebie uważam przynajmniej za osobę skromną.

- „Życie bez nagany, i otwarta prostota, wstyd skromno rumiany”* - zacytował z uśmiechem.

Beth wiedziała, że czerwieniejąc potwierdza prawdziwość tych słów. Nie przypominała sobie tego cytatu.

- Owidiusz - oświadczył Lucien z triumfalnym uśmiechem. - Amores. Podejrzywałem, że panna Mallory nie posunęła się tak daleko w twoim liberalnym wykształceniu.

- Dziwię się, że w Harrow posunięto się tak daleko w twoim przypadku - odparła Beth.

- W Cambridge. Nie ma absolutnie żadnych ograniczeń,

jeśli chodzi o to, czego się można nauczyć w Cambridge. Czyż nie mają racji, nie dopuszczając na tamtejszy uniwersytet kobiet?

Beth już otworzyła usta, by rozpocząć dyskusję na ten temat, kiedy dostrzegła figlarne iskierki w jego oczach.

- Chcesz doprowadzić do kłótni, mój markizie? - spytała słodko.

Przysiadł na skraju biurka i ujął jej dłoń.

- Pomyślałem sobie, że gdybyśmy się posprzeczali i nie podniósłbym na ciebie palca, może odzyskałabyś pewność siebie.

- Czy wyglądam na zdenerwowaną? - spytała i uniosła jego rękę, by ją pocałować. - Lucienie, proszę zapomnij o tym. Wiem, że to się nie powtórzy. Mam nadzieję, że nigdy więcej nie dojdzie do takiej sytuacji.

- Ale od samego początku się mnie bałaś - powiedział, wstając i biorąc ją w ramiona. - I zobacz, ile miałaś racji.

- Nie - zaprzeczyła, tuląc się do niego. - To mnie tylko uspokoiło. W chwili największego wzburzenia prawie nic mi nie zrobiłeś, a teraz tak się tym gryziesz.

**Przekład Benedykta Hulewicza (przyp. tłum.).*

Przywarł ustami do jej warg i pocałował ją żarliwie, wyrażając w ten sposób skruchę i troskę. I pożądanie. Beth już zaczęła myśleć o kochaniu się rankiem, kiedy otworzyły się drzwi i do pokoju wpadła Redcliff.

- Mam, milady... O, przepraszam!

Pokojówka uciekła, ale Lucien z ociąganiem odsunął się od Beth.

- Właściwie przyszedłem, by ci powiedzieć, że przez cały dzień nie będzie mnie w domu. Mam się ścigać na swoim Wikingu ze Stephenhamem majora Greya w Richmond. O wiele bardziej wolałbym zostać tu z tobą, ale wszystko już dawno temu ustalono, przyjęto zakłady. Czy masz coś przeciwko mojej nieobecności, Beth?

- Naturalnie, że nie - skłamała. - Ale co z Clarissą?
- Nie ma powodu do pośpiechu - odparł beztrosko. - Jest dość bezpieczna. Poczekajmy.

- A co, jeśli jej rodzice nie uwierzą mi, że jej nie widziałam? Co, jeśli będą próbowali robić kłopoty?

Zachował się jak de Vaux.

- Tutaj? - spytał ze zdumieniem. - Nie będą śmieli. Życzę ci spokojnego dnia, moja droga. Odpocznij sobie. - Złożył pocałunek na jej ustach. W jego oczach zapaliły się figlarne iskierki. - Zdrzemnij się przed czekającą nas nocą.

Beth szybciej zabiło serce.

- Będiesz się ścigał na Wikingu przez cały dzień? - spytała.

- Muszę potrenować - powiedział wesoło i szybko wyszedł. Beth wybuchła śmiechem, chociaż wiedziała, że policzki

musi mieć czerwone ze wstydu. Myśl o czekającej ich nocy sprawiła, że zrobiło się jej gorąco, stała się nerwowa i nie mogła usiedzieć na jednym miejscu.

Musiała coś zrobić i wyjść na świeże powietrze. Jednak nie miała ochoty pokazywać się z taką twarzą w towarzystwie. Kiedy wróciła Redcliff, zaczęły eksperymentować z kremem, który zamaskował najgorsze zasinienie. Potem pokojówka uczesała Beth tak, że włosy zachodziły jej na policzki. Nie była to jej ulubiona fryzura, ale skutecznie maskowała opuchliznę. Na koniec włożyła budkę z wielką kokardą z boku.

Obróciwszy się przed lustrem w jedną i drugą stronę, Beth uznała, że nie widać siniego policzka.

Ale gdzie pójść?

Przejrzała zaproszenia, ale żadne jej nie zainteresowało. Potem sięgnęła po spis imprez kulturalnych, przygotowany przez Luciena.

Lekturę przerwała jej księżna, która nie kryła zdziwienia, widząc Beth przy biurku w negliżu, ale w kapeluszu na głowie.

- Razem z Redcliff wypróbowałyśmy nową fryzurę - wyjaśniła Beth bez mrugnięcia powieką.

- Ach - powiedziała księżna, oceniając efekt. - Nie jestem pewna, czy ci w niej dobrze, Elizabeth. Sprawia, że twoja twarz wydaje się zbyt okrągła.

- Jestem tego samego zdania, maman. Czy mogłabym w jakiś sposób być przydatna?

- To nudna sprawa. Sir Peter Greystone przyszedł spytać o swoją córkę. Marleigh się nim zajął, ale potem zameldował mi o tym. Zdaje się, że głupia dziewczyna uciekła i pomyśleli, że mogła przyjść do nas.

Beth miała nadzieję, że jej doświadczenie w symulowaniu nie zawiedzie jej, chociaż księżna była osobą niezwykle spostrzegawczą.

- Tutaj? - spytała. - Myśleli, że Clarissa jest tutaj? Mogę zapewnić, że jej tu nie ma, maman.

- Nie rozumiałam, jak mogłaby być, wczoraj też nas nie odwiedziła.

- Czy naprawdę uciekła? - spytała Beth.

Księżna wzruszyła ramionami.

- Tak twierdzą. Nie potrafię pojąć, jak można robić tyle hałasu o nic.

- No cóż, bardzo się cieszę - powiedziała Beth, starając utrzymać się w roli. - Żadnej młodej dziewczyny nie powinno się zmuszać do ślubu z lordem Deverilem.

- Naturalnie masz rację - zgodziła się księżna. - To okropny człowiek - dodała z lekkim niesmakiem. - Też przyszedł, ale Marleigh szybko go odprawił.

Beth pomyślała, że trzymanie armii służących ma czasem swoje dobre strony.

- Masz jakieś plany na dziś? - spytała księżna, patrząc na

stos zaproszeń leżących przed synową. - Ja wybieram się do lorda Taberleya, by obejrzeć jego kolekcję średniowiecznej

biżuterii. Mówią, że należy do najlepszych na świecie.

Masz ochotę mi towarzyszyć, Elizabeth?

- Dziękuję, ale nie, maman. Jestem trochę zmęczona i chciałabym odpocząć.

Księżna spojrzała na nią z niepokojem.

- Na pewno jesteś zdrowa, ma chere! Tak łatwo się męczysz. Może...

- Och, nie sądzę - powiedziała Beth, czytając w myślach księżnej.

- Nigdy nie wiadomo - odparła księżna. - Urodziłam Marię dokładnie w dziewięć miesięcy po ślubie.

- Obawiam się, że w naszym przypadku to raczej nierealne.

- Och - powiedziała księżna. - Rozumiem. No cóż, nie szkodzi. Macie dużo czasu, a z chwilą kiedy na świecie pojawiają się dzieci, życie się zmienia. - Księżna, nim wyszła, serdecznie pocałowała synową w policzek. Beth pilnowała się, by nadstawić lewy.

Gdy tylko została sama, natychmiast zdjęła kapelusz i zniszczyła nieefektywną fryzurę. Potem próbowała znaleźć sobie jakieś zajęcie. Najświeższe wydanie Timesa, gazety, którą zazwyczaj czytała z przyjemnością, nie wzbudziło jej zainteresowania. Kolejne spekulacje o Napoleonie i ruchach oddziałów, wszystkie sprzed czterech, pięciu dni. Fascynujący artykuł w Quarterly Review o Habsburgach nie przemówił do niej.

Kilkanaście razy spojrzała na zegar, ale wskazówki tkwiły niemal w miejscu.

Gdy przyniesiono jej obiad, tylko przebierała w talerzu, zadrezczając się pytaniami. Kiedy markiz wróci? Czy przyjdzie do domu na kolację? Wydawało się, że do

pory posiłku wieczornego zostało tyle czasu. Czy okaże się to wielką śmiałością, jeśli zamówi kolację w swoim pokoju dla nich dwojga? Tak czy inaczej, dla Beth okazało się to zbyt śmiałe.

W końcu doszła do wniosku, że nie pozostaje jej nic innego, jak gdzieś się wybrać.

Potrzebny jej długi spacer, by pozbyć się nadmiaru energii. Zdecydowawszy się, wezwała Redcliff i przy jej pomocy włożyła suknię z wzorzystego, jasnoniebieskiego batystu i niebieski spencer z diagonalu, a do tego wysoki kapelusik z białej słomki. Znów dała sobie upiąć loki po bokach twarzy. Patrząc w lustro, westchnęła.

- To śmieszne! W tym kapeluszu muszę mieć ze sto osiemdziesiąt centymetrów!

- Właśnie o to chodzi, milady. Zresztą przy markizie nie musi pani się tym przejmować. I tak będzie od pani wyższy.

Beth znów spojrzała na zegar. Minęło zaledwie pół po południa. Jak może za nim tak tęsknić? To nie było nawet pożądanie, tylko zwykła tęsknota za jego obecnością, za jego figlarnym uśmiechem, za jego błyskotliwym umysłem, za jego objęciami.

- Czy coś się stało, milady?

- Nie - odrzekła Beth, zbierając myśli. - Redcliff, wybieremy się na długi spacer.

Pokojówce zrzędnęła mina.

- Dokąd, milady?

- Nie wiem - odparła beztrąsko Beth.

- Może do Green Park?

- Na Boga, nie. To tuż obok. Może do londyńskiego Tower.

- Co! - wykrzyknęła służąca. - Przecież to kawał drogi, milady. I miejscami jest zbyt niebezpiecznie. Koniecznie

musi pani wziąć powóz.

- Nie chodzi mi o przejażdżkę powozem, Redcliff — powiedziała z uporem Beth. Może jednak ten dom był więzieniem? Co by się stało, gdyby najzwyczajniej w świecie wyszła drzwiami frontowymi? Wyobraziła sobie spacer wkoło placu, a za sobą sznur zaniepokojonych służących, i aż się uśmiechnęła. Ale co ma zrobić? To żadna przyjemność ciągnąć za sobą po Londynie niechętną pokojówkę, aczkolwiek prawdopodobnie miała ona rację, mówiąc o niebezpieczeństwie.

- Wiem - powiedziała nagle. - Odwiedzimy Clarissę. Zresztą i tak muszę z nią porozmawiać.

- Pannę Greystone? Dokąd ją pani wywiozła, milady? Beth zadrżała. Czy Redcliff będzie znała to nazwisko? Na

wystawach sklepowych często umieszczano plakaty przedstawiające popularne aktorki, wśród nich również Blanche.

- Do pani Hardcastle - odparła obojętnie. Żadnej reakcji, dzięki Bogu.

- Chce pani, żeby przygotować powóz, milady? - spytała pokojówka, zakładając, że usłyszy odpowiedź twierdzącą.

- Nie, chyba nie. - Beth miała ochotę na spacer, ale nie chciała, żeby więcej służących dowiedziało się o jej skandalicznej znajomości z Blanche Hardcastle. - To niedaleko... - powiedziała i urwała. - Boże, nie znam adresu. Ale jestem głupia.

Redcliff wyraźnie ulżyło, lecz jej pani nie zniechęcała się tak szybko. Ta wyprawa z wolna stawała się prawdziwym wyzwaniem.

- Chłopak! - wykrzyknęła triumfująco. - Chłopak stajenny imieniem Jerzyk. On zna adres. Poślij po niego.

- Chłopak stajenny! - wykrzyknęła pokojówka. - Tutaj?

- Bardzo dobrze, Redcliff - oświadczyła Beth tonem nie-
Znoszącym sprzeciwu. - Same do niego pójdziemy.

- Do stajni, milady? -Tak.

Pokojówka najwyraźniej zrozumiała, że cierpliwość jej
pani jest na wyczerpaniu. Wyszły z domu przez okazałe
drzwi frontowe, a potem udały się do stajni, by porozma-
wiać z masztalerzem Grangerem.

Żyłasty mężczyzna o ziemistej cerze był wyraźnie zdu-
miony, że ktoś chce rozmawiać z chłopakiem.

- Ten huncwot - mruknął pod nosem. - Pewnie, że tu jest,
choć żadnego z niego pożytku. Ale markiz
powiedział, żeby tu spał. Nie powinien się włóczyć
nocami, oto co...

Urwał, bo na dziś Beth miała już dość marudzącej służ-
by. Po raz pierwszy spojrzała tak, jak to robili de Vaux.
Masztalerz natychmiast przestał zrzędzić.

-Już się robi, milady - powiedział pospiesznie. - Ej! Wró-
belku! Chodź no tu!

Po chwili pojawił się Jerzyk, miał na sobie brudny far-
tuch, koszulę i bryczesy.

- Tak, panie Granger?

- Markiza chce z tobą mówić.

Chłopak się odwrócił i uśmiechnął szelmowsko do Beth.

- Słucham, wasza miłość.

Beth odciągnęła go od zaintrygowanego masztalerza.

- Jerzyku, dokąd pojechaliśmy wczoraj wieczorem?

- Słucham?

- Chodzi mi o adres. Chcę odwiedzić młodą panienkę.

- Och, Scarborough Lane osiem. Ale jak pani tam trafi,
milady?

- Czy Redcliff nie będzie wiedziała? - zdziwiła się Beth.

- Nie - z całkowitym przekonaniem oświadczył chłopak.

-To mała ulica, niedawno powstała.

Beth spojrzała na niego i się uśmiechnęła.

- Uważasz, że powinieneś być naszym przewodnikiem?
- Tak będzie najlepiej, milady - odparł Jerzyk z miną niewiniątka.

Beth zwróciła się do mężczyzny.

- Panie Granger, czy nie będzie pan miał nic przeciwko temu, jeśli na jakiś czas oderwę Jerzyka od jego obowiązków? Może mnie zaprowadzić tam, gdzie chcę pójść.

Mężczyzna zmarszczył czoło.

- Stangret jest wolny, milady. Zna Londyn jak własną kieszeń.
- Chcę się przejść - odparła Beth zdecydowanym tonem.
- Któryś z lokai będzie odpowiedniejszy od Wróbelka, milady.

Beth zadarła brodę i znów wyniośle spojrzała na mężczyznę.

- Wolę, żeby mi towarzyszył Jerzyk, Granger. Markiz życzy sobie również, żeby zwracać się do chłopca po imieniu.
- Tak jest, milady - powiedział pospiesznie mężczyzna. Kilka minut później już byli w drodze. Jerzyk w grubej, wełnianej kurtce szedł kilka kroków za Beth i Redcliff. Kiedy znaleźli się na ulicy i skierowali we właściwą stronę, Beth powiedziała:

- Jerzyku, nie rozumiem, jak masz nas prowadzić, idąc z tyłu. Dlaczego nie pójdziesz przodem?

Chłopak ochoczo je wyprzedził i odtąd Beth i Redcliff statecznie podążały za nim. Żadne z nich nie zauważyło osobnika, który przestał podpierać kute ogrodzenie pośrodku placu i zaczął iść za nimi.

Tym razem drzwi domku przy Scarborough Lane numer osiem otworzyła rezolutna, młoda pokojówka. Jednak oczy zrobiły się jej okrągłe ze zdumienia, kiedy Beth podała jej swój bilet wizytowy. Przez chwilę wydawało

się, że zatrzaśnie im drzwi przed nosem. Beth pomyślała, że chyba już do perfekcji opanowała spojrzenie de Vaux, bo pokojówka jednak wpuściła ich do środka i pokazała drogę do saloniku, nim wyszła, mruczając coś po cichu.

Jerzyk mrugnął i ruszył za nią.

Po chwili pojawiła się Biała Gołąbka.

- Biedna Agnes mało nie zemdląca, milady. - Spojrzała na Redcliff, która w końcu połapała się, w czym rzecz, i nie kryła swego oburzenia. - Założę się, że pani pokojówka też. Czemu nie odeśle jej pani do kuchni, gdzie obie z Agnes będą mogły się wzajemnie podtrzymywać na duchu przy gorącej, słodkiej herbacie? Beth się zgodziła i było jasne, że Redcliff z największą przyjemnością uciekła, nie chcąc przebywać w towarzystwie tak znanej kobiety.

Kiedy obie panie usiadły, Blanche powiedziała:

- Lady Arden, powinnam pani zaproponować coś do picia, ale mówiąc szczerze, wątpię, czy w najbliższym czasie dostaniemy z kuchni cokolwiek. To dość osobliwa sytuacja - dodała z błyskiem w oku.

- Skandaliczna - zgodziła się Beth. - Powinna pani widzieć, ile musiałam pokonać trudności, by się wydostać z Belcraven House i dotrzeć tutaj. Niemal byłam zmuszona ciągnąć służbę za uszy.

- Lucien często miał podobne kłopoty - wtrąciła Blanche i zamilkła, zażenowana.

Chociaż słowa z trudem przechodziły Beth przez gardło, jednak zdołała powiedzieć:

- Chyba do niczego nie dojdziemy, jeśli nie będziemy wymieniać jego imienia, prawda, panno Hardcastle? Jednak muszę panią uczciwie uprzedzić - dodała - że jeśli stwierdzę, że nadal ma pani jakieś zamiary względem mojego męża, strzelę pani z pistoletu prosto w serce. Aktorka się uśmiechnęła.

- To się pani chwali! Czy to możliwe, by zdobyła się pani na to, by mówić do mnie Blanche, milady?
Naprawdę nazywam się Maggie Duggins i powinna pani wiedzieć, że jestem córką rzeźnika z jednej z mniej atrakcyjnych dzielnic Manchesteru. - Urwała na chwilę, by umożliwić Beth skomentowanie tego faktu. Nie doczekawszy się komentarza, uśmiechnęła się i ciągnęła:
- Zdążyłam się przyzwyczaić do Blanche, ale chyba nigdy nie przyzwyczaję się do „pani Hardcastle”.
- Dobrze - zgodziła się Beth - o ile pani nie będzie mnie tytułowała „waszą miłością”. Też uważam to za dziwne. Kiedy jesteśmy same, proszę do mnie mówić „Beth”.
- Wątpię, byśmy kiedykolwiek spotkały się oficjalnie, Beth - zauważyła ironicznie Blanche. - Przyszła się pani zobaczyć z panną Greystone?
Beth skinęła głową.
- Jest w swoim pokoju, za chwilę ją zawołam. Jednak najpierw chciałabym z panią porozmawiać. Ta dziewczyna znalazła się w bardzo niezręcznej sytuacji. Czy ma pani jakieś plany wobec niej?
- Nie, chciałam jeszcze raz z nią porozmawiać i zorientować się, czy ma jakiś pomysł. Chciałam też ostrzec ją i panią, że jej rodzice i lord Deveril przystąpili do poszukiwań na szeroką skalę: Miałam nadzieję, że w obawie przed skandalem okażą się bardziej dyskretni.
- Kiedy z jednej strony wchodzi w grę pieniądze, a z drugiej - pożądanie, zostaje mało miejsca na dyskrecję - zauważyła Blanche. - Panna Greystone spytała, czy mogłabym ją przygotować do występów na scenie, ale pomijając fakt, że byłoby to niestosowne, trudno uznać teatr za odpowiednie miejsce na kryjówkę.
- Może zostać nauczycielką albo guwernantką, chociaż nie jestem pewna, czy naprawdę się do tego nadaje - powiedziała w zamyśleniu Beth. - Ale nie wiem, jak

można by to załatwić.

- Mogłaby pani podrobić dla niej referencje - rzuciła od niechcienia Blanche.

- Słucham? - spytała przerażona Beth. Aktorka wzruszyła ramionami.

- Gdyby się zdecydowała na jakąś posadę na prowincji, mając referencje markizy Arden, z pewnością by ją otrzymała.

- Och, nie mogę tego zrobić - jęknęła Beth.

- Jeśli będzie pani taka zasadnicza, skończy się to jej ślubem z Deverilem - powiedziała bez ogródek Blanche. -

Nie może się tu ukrywać zbyt długo, żeby rzecz się nie wydała, szczególnie, jeśli rozwieszą plakaty i wyznaczą nagrodę. Musi wyjechać gdzieś daleko stąd, pod nowym nazwiskiem znaleźć sobie jakąś pracę. Ktoś będzie musiał coś sprokurować.

Beth poczuła się tak, jakby nagle znalazła się na skraju przepaści.

- Czyli, jeśli zachowam się zgodnie z prawem, zawiodę dziewczynę w najwyższej potrzebie - mruknęła.

- „Zasady regulujące zachowanie - zacytowała cicho Blanche - i chroniące dobre imię zbyt często traktowane są jako nadrzędne wobec zobowiązań natury moralnej”.

Beth utkwiała w niej wzrok.

- Mary Wollstonecraft! Aktorka się uśmiechnęła.

- Wygląda pani na kobietę, która zna jej dzieła. Ona z pewnością powiedziałaaby: „Pomóż Clarissie i do diabła z tym, co sobie ludzie pomyślą”. Położenie panny Greystone bardzo przypomina mi sytuację Marii z jej *The Wrongs of Woman*.

- Rzeczywiście. Uważam, że lord Deveril zdolny byłby umieścić Clarissę w domu dla obłąkanych, jeśliby mu to było na rękę. Ale chodzi nie tylko o dobre imię, Blanche. Takie jest prawo.

W tym momencie panie zagłębiły się w rozważaniach na temat dobra i zła. Dopiero pukanie do drzwi przerwało ich dyskusję. W chwili gdy Agnes przecięła hol, kierując się do frontowych drzwi, spojrzały na siebie i się uśmiechnęły.

- Och - powiedziała Beth, lekko przerażona sytuacją, w jakiej się znalazła - to będzie niełatwa przyjaźń.

- Nie raz przyprawi Luciena o ból głowy - stwierdziła Blanche ze śmiechem.

- Rzeczywiście - rozległ się czyjś szyderczy głos. - Trudno sobie wyobrazić bardziej nieodpowiednią znajomość. Obie kobiety odwróciły się gwałtownie i ujrzały lorda Derenia, stojącego w drzwiach, z pistoletem w ręku. Za nim stało dwóch nieprzyjemnych typków, jeden był ciemnowłosy i miał brodę, drugi był blondynem o świńskich oczkach. Ten ze świńskimi oczkami trzymał Agnes. Tłustą łapą zatkał pokojówce usta, a tej mało oczy nie wyszły na wierzch z przerażenia.

- Uważam, że moim obowiązkiem jest zabranie narzeczonej z tej jaskini rozpusty - oświadczył lord Deveril.

20

Był taki odrażający, jakim go Beth zapamiętała - chudy, ale o silnie zarysowanych szczękach i z potężnymi rękami; żyłasty, niemal z czarnymi cieniami wokół przekrwionych oczu. W pokoju już było czuć jego zapach, przyprawiający o mdłości.

Beth spojrzała na Blanche i zobaczyła, że ta aż się gotuje z wściekłości.

- Clarissy tutaj nie ma - powiedziała szybko, by Blanche nie pogorszyła ich już i tak złego położenia.

- Nie? - spytał Deveril. - Z własnej woli zadaje się pani z kochanką swego męża? Nic dziwnego, że wybrał sobie panią na żonę. Taka uległość. A może lubi pani lit a trois? - Spojrzał z odrazą na Blanche. - Czy zgadza się

pani na obecność widzów, panno Hardcastle? Z przyjemnością zapłaciłbym za taki spektakl.

- Ty nędzny robaku - wycedziła aktorka przez zaciśnięte zęby. - Jeśli natychmiast stąd nie wyjdiesz...

W pokoju rozległ się huk wystrzału. Delikatny, kryształowy żyrandol spadł i roztrzaskał się na szkarłatno-złotym dywanie. Agnes zemdląca, mężczyzna, który ją trzymał, pozwolił jej osunąć się na podłogę.

Beth i Blanche nie zdążyły ochłonąć z przerażenia, kiedy lord Deveril wręczył pistolet z jeszcze dymiącą lufą brodawcowi i wyciągnął drugi z kieszeni płaszcza.

- Następną kulka trafi ciebie, Biała Gołąbko. Co za różnica, jedna ulicznica więcej czy mniej?

Beth zmusiła się do powstania.

- Nie sądzę jednak, żeby odważył się pan zabić mnie, lordzie Deveril.

Nim zdążył odpowiedzieć, wbiegła Redcliff i natychmiast została złapana przez drugiego mężczyznę.

- Zabierzcie obie pokojówki do kuchni - polecił wicehrabia. - Zwiążcie je i zakneblujcie. Jeśli wszyscy zachowają się rozsądnie, nie zajdzie konieczność, by kogokolwiek zabić. - Spojrzał na Blanche. - Ma pani innych służących?

Aktorka wyraźnie miała trudności z mówieniem, ale w końcu wycedziła przez zaciśnięte zęby:

- Kucharkę. Ma dziś wolne.

Deveril przez chwilę przyglądał się jej badawczo, a potem skinął głową.

- Do roboty - zwrócił się do swych ludzi. - A potem idźcie na górę i odszukajcie pannę Greystone.

Beth ciekawa była, gdzie się podział Jerzyk. Skoro nie przybiegł razem z Redcliff, z pewnością udał się po pomoc.

Deveril uśmiechnął się do Beth, odsłaniając brązowe, zepsute zęby.

- Przyszedłem tutaj po swoją przyszłą oblubienicę, lady Arden, mając za sobą prawo. Jeśli będę musiał zabić wszystkich, zrobię to. Jestem pewien, że dumny ród de Vaux jeszcze mi hojnie zapłaci, byleby ukryć fakt, że znalazła pani przedwczesną śmierć właśnie w tym domu. Beth obawiała się, że w słowach wicehrabiego było sporo racji, ale głównie myślała o Jerzyku. Jeśli miał dość oleju w głowie, by pobiec po pomoc, dokąd się uda? Jak powiedział Deveril, prawo było po jego stronie. Potrzebny był tu markiz ale akurat bawił w Richmond. Zastanawiała się, czy książę zdecydowałby się interweniować w nielegalnej sprawie.

Cokolwiek miało się wydarzyć, wydawało się rzeczą rozsądną grać na zwłokę. Beth znów usiadła i pociągnęła za sobą Blanche. Zobaczyła, że aktorka niemal skamieniała z gniewu i przerażenia. Jej ręce przypominały szpony, patrzyła na Deverila groźnym wzrokiem. Wcale nie był świadom niebezpieczeństwa, jakie mu grozi.

- Bardzo rozsądnie, lady Arden - zauważył szyderczo. Spojrzał na Blanche. - Kiedyś odmówiła mi pani, gdy zaproponowałem swoją opiekę - powiedział. - Nigdy nie zapominam takich afrontów.

- Taka propozycja to zniewaga - syknęła Blanche równie szyderczo.

Beth wołałaby, żeby obdarzona krewkim temperamentem piękność zachowała większą ostrożność, póki okoliczności nie okażą się bardziej sprzyjające, ale przypuszczała, że rozważa nie leży w naturze tej kobiety. Zastanawiała się, czy ma jakieś pole manewru w sytuacji, gdy były dwie przeciwko jemu jednemu.

Wolno sięgnęła po porcelanową figurkę stojącą na stole. Lord Deveril spojrział na nią tak groźnie, że szybko zrezygnowała ze swojego zamiaru.

Usłyszała, jak mężczyźni opuszczają kuchnię i idą na górę. Po chwili wrócili, popychając przed sobą bladą i drżącą Clarissę. Na widok lorda Deverila z ust dziewczyny wyrwał się okrzyk.

- Nie bój się, mój kurczaczku - powiedział z udawaną czułością. - Widzisz, pospieszyłem ci na ratunek, żebyś mogła wrócić na łono rodziny.

Clarissa uchwyciła się poręczy schodów, ale brodacz pociągnął ją i znalazła się przed obliczem swego przyszłego męża. Lord Deveril dotknął kościstym palcem policzka dziewczyny. Clarissa odsunęła głowę. Nie mogąc tego znieść, Beth zerwała się na nogi.

- Przestań, ty obleśny drabie! Jak możesz poślubić kogoś, kto cię darzy taką nienawiścią? - Nie zwracając uwagi na pistolet, podbiegła i odciągnęła Clarissę od wicehrabiego.

Lord Deveril tylko zmrużył oczy.

- Nienawiść, lady Arden, to najlepsza przyprawa do miłości - oświadczył, ukazując zepsute zęby. - Osobiście jestem jej entuzjastą. Specjalnie jej szukam. W razie potrzeby sam się o nią staram.

- Zapewniam pana, że to całkiem zbyteczne. - Blanche wstała sztywno z fotela. - Jesteś znienawidzony, jak Londyn długi i szeroki, ty wszawy drabie. Nawet jeśli uda się panu zabrać tę dziewczynę z tego domu, myśli pan, że zostawimy ją w pańskich łapach?

- Och - odparł lord Deveril - przypuszczam, że jestem w stanie ją przekonać, żeby została posłuszną żoną.

Beth aż ciarki przeszły po skórze.

- Jeśli dożyje pan dnia, żeby ją poślubić - rzuciła groźnie Blanche.

Trzymając drżącą Clarissę, Beth ogromnie żałowała, że nie może zakneblować Białej Gołąbki. Przez nią wszystkie zginą.

Jednak lorda Deverila najwyraźniej bawiła cała ta rozmowa.

- Jak pani zauważyła, panno Hardcastle, mam wielu wrogów, a jednak jakoś żyję. Jestem dobrze chroniony.

Nawet -dodał - przed rozsierdzoną gołąbką.

Usta Blanche rozciągnęły się w czymś, co można by uznać za uśmiech, jednak jej oczy zionęły nienawiścią.

- Do tej pory nie miał pan jeszcze takiego wroga, jak ja, milordzie - powiedziała. Sprawiała wrażenie, jakby się nieco odprężyła, nawet poprawiła fałdy swej białej spódnicy. Poruszyła rękoma i materiał nieco się jej zsunął z ramienia.

Beth pomogła usiąść Clarissie na sofie, modląc się, żeby aktorka przestała prowokować wicehrabiego. Gdyby stąd poszedł, nawet zabierając Clarissę, nadal pozostawało wiele możliwości działania. Jeśli Blanche skłoni go do użycia siły, żadna z nich nie przeżyje.

Ale było za późno. W grobowej ciszy lord Deveril oddał blondynowi o świńskich oczkach pistolet i wziął od niego ten, z którego wystrzelił poprzednio. Nie spiesząc się, wyciągnął woreczek z prochem i naładował broń.

Beth przyglądała się temu, oniemiała z przerażenia, zastanawiając się, czy to przygotowania do ich egzekucji. Z pewnością Deveril nie zabije Clarissy, lecz była pewna, że potrafi tak ją sterroryzować, iż dziewczyna nigdy słówkiem nie piśnie, co się wydarzyło. Ale Lucien się domyśli.

- Clarissę przywiózł tu Arden - powiedziała szybko. - Jeśli cokolwiek nam się stanie, będzie znał powód.

Lord Deveril spojrział na nią z niechęcią.

- To znaczy, że jego też będę musiał zabić. Nawet silny i zdrowy mężczyzna nie da rady kuli z pistoletu.

- Wyobraża pan sobie, że może go pan wyzwać na pojedynkę?

- Jestem niezrównanym strzelcem - zauważył wicehrabia - ale chyba nie narażałbym się na taką niedogodność. Wystarczy kilka gwinei i paru rzezimieszków ukrytych w krzakach, by mnie wyręczyli.

Beth poczuła, że serce jej zamiera. Nie mogła znieść myśli o śmierci Luciena. Zabitego podstępnie w jakiejś ciemnej uliczce. Ze zdumieniem stwierdziła, że nagle nabrała przekonania, że lord Deveril musi zginąć. Ona, która zawsze była przeciwniczką przemocy, bez wahania zastrzeliłaby go, gdyby tylko miała taką możliwość.

Lord Deveril podał świeżo nabity pistolet jednemu z towarzyszących mu mężczyzn.

- Masz pilnować te dwie - powiedział, pokazując Beth i Clarissę. - Jeśli będą sprawiały jakieś kłopoty, zabij lady Arden. Moją drogą Clarissę postrzel w nogę. Panno Blanche, pozwól pani ze mną.

- Co zamierza pan zrobić? - spytała Beth.

- Jak oświadczyła Biała Gołąbka, nigdy nie miałem takiego wroga, jak ona. Zabawi mnie, a jej nienawiść doda pieprzu przyjemności. Jeśli mnie zadowoli, wszystkie będziecie żyły. Jeśli nie, pani, lady Arden, zginie razem z nią, a droga Clarissa będzie musiała znieść trochę więcej, by wynagrodzić mi moje rozczarowanie.

Wprawdzie Beth nie widziała twarzy Blanche, ale aktorka wydawała się mało przejęta tym wszystkim.

Wicehrabia wskazał palcem schody i Blanche ruszyła w ich stronę.

- Pozwoliłbym wam to obejrzeć, gdybyście nie byli mi tutaj potrzebni - zwrócił się do swych ludzi. - Ale nie

bóście się, odpowiednio wam to jeszcze wynagrodzę. - Po tych' słowach podążył za Białą Gołąbką do sypialni. Beth nie mogła uwierzyć, że nic nie może zrobić. Jeden Bóg wie, co się wydarzy na górze, chociaż podejrzewała, że Blanche świetnie się orientowała. I nawet jeśli lord Deveril odszedłby z Clarissą, oszczędzając pozostałe kobiety, z zimną krwią zastrzeliłby Luciena. Nie, nie mógłby sobie pozwolić na pozostawienie Beth przy życiu, bo ostrzegłaby Luciena albo powiedziała o wszystkim księciu. Jak dotąd zawdzięcza życie tylko temu, że lord użył jej jako broni przeciwko Blanche. Czy Biała Gołąbka o tym wie? Z pewnością. Pokojówki też zginą, tylko biedna Clarissą będzie świadkiem tego, co się tu wydarzy. Z chwilą gdy wyjdzie za mąż, nie będzie mogła zeznawać, a lepiej nie myśleć, co ją czeka w przyszłości. Lord Deveril był niewątpliwie szalony, ale poza tym był człowiekiem bogatym i Beth się obawiała, że może wprowadzić swój plan w życie. Czy Jerzyk uciekł? Z pewnością te draby coś by powiedziały, gdyby znalazły w domu jeszcze kogoś. Czy sprowadzi pomoc? Teraz ucieszyłaby się nawet na widok przedstawicieli prawa.

Spojrzała na strażników. Byli znudzeni, ale czujni.

- Słabo mi - rzekła. - Czy mogę nalać trochę brandy sobie i pannie Greystone?

Mężczyźni spojrzeli na siebie, a potem blondyn o świńskich oczkach wzruszył ramionami.

- Jeśli pani chce. Ale proszę nie próbować żadnych sztuczek, bo panią zastrzelę.

Powiedział to bardzo przekonująco.

Beth podeszła do szafki, zastanawiając się, jakie to uczucie, kiedy kula pistoletowa przeszywa człowieka. Czy śmierć jest natychmiastowa, czy też powolna? Drżącą ręką napełniła dwa kieliszki. Nie chciała umierać, ani

wolno, ani szybko.

- Czy panowie też mają ochotę? - spytała, zastanawiając się, czy udałoby się ich upić.

- Później sobie dogodzimy - odparł brodacz, uśmiechając się równie nieprzyjemnie, jak jego pan.

Beth się wzdrygnęła. Może śmierć to najmniejsze zło w jej położeniu.

Kiedy szła z kieliszkami w stronę kanapy, z góry dobiegł ostry, piskliwy krzyk. Znieruchomiała i uniosła wzrok, jakby mogła przebić nim sufit. Dźwięk się nie powtórzył.

- Och, żałuję, że tego nie widzę - mruknął blondyn, a brodacz zachichotał.

- Taka dumna i biała - zaszydził brodacz. - Nie będzie taka biała, kiedy się z nią zabawi po swojemu. Raczej sina, niebieska i czerwona od krwi. - Obaj mężczyźni roześmieli się głośno.

Beth usiadła gwałtownie i wcisnęła kieliszek w dłoń Clarissy.

- Napij się. Ma wstrętny smak, ale pomaga. Wypij. Sama pociągnęła długi łyk i skrzywiła się, czując pieczenie w gardle. Wydawało jej się, że dostrzegła jakiś ruch za oknem. Największym wysiłkiem woli powstrzymała się, by nie spojrzeć w tamtą stronę. Po kilku chwilach odwróciła się, by postawić kieliszek na stoliku. Przez koronkową firankę zobaczyła fragment twarzy Jerzyka, który uniósł kciuk do góry. Pospiesznie odwróciła wzrok.

Serce zaczęło jej szybciej bić. Ze wszystkich sił starała się nie zdradzić z nadzieją, która nagle się w niej zrodziła. Kogo znalazł Jerzyk? Było jej to obojętne. Ich położenie nie mogło być gorsze.

Chociaż strażnicy ani na moment nie spuszczały kobiet z oka, najwyraźniej interesowali się też tym, co się dzieje

w sypialni. Rozległ się drugi okrzyk, tym razem bardziej gardłowy i desperacki. Przypominał niemal krzyk śmierci. Z pewnością ten degenerat nie zabije Blanche dla przyjemności. Chociaż czemu nie? I tak wszyscy mieli zginąć.

Pospieszcie się, kimkolwiek jesteście!

Z góry dobiegł trzask, a potem głuchy odgłos upadku czegoś ciężkiego. Clarissa krzyknęła i rozlała nietkniętą brandy.

Blondyn o świńskich oczkach oblizał wilgotne usta i trącił swego kompana.

- Skoro i tak mamy zabić tę damulkę, myślisz, że pozwoli się nam w pierw z nią zabawić? Dawno nie miałem kobiety.

- Niewykluczone - odparł brodacz. - Są jeszcze pokojówki.

- Racja - powiedział uradowany blondyn. - Zapomniałem o pokojówkach. Jaka szkoda, że nie mogę teraz do nich pójść. Okropnie mnie przypiliło.

- Poczujesz się znacznie gorzej, kiedy lord stwierdzi, że opuściłeś posterunek.

Kątem oka Beth dostrzegła jakiś ruch w holu za plecami mężczyzn. Wstrzymała oddech. Ktoś tam był i ktokolwiek to był, przynosił ze sobą nadzieję na przeżycie. Sięgnęła po kieliszek. Jak tylko zobaczyła postać, upuściła kryształowe naczynie na podłogę.

Roztrzaskało się na tysiąc kawałków. Obaj mężczyźni zerwali się z miejsc.

Brodacz zrobił krok w jej stronę.

- Uważaj... - Urwał.

- Trzymam cię na muszce - powiedział markiz. - Twojego kompana spotkał ten sam zaszczyt. Wykluczone, żebyśmy spudłowali. Oddajcie broń.

Beth dostrzegła, że czarnobrody i tak rozważa, czy jej

nie zastrzelić - lord Deveril musiał być groźnym chlebobdawcą -ale potem przeklinając oddał broń Lucienowi. Drugi pistolet odebrał Jerzyk, bo blondyna ze świńskimi oczkami miał na muszce jednoręki pan Beaumont.

- Jerzyku - polecił markiz - idź i poszukaj czegoś do związania tych dwóch.

Chłopak wybiegł z pokoju.

- Lucienie - krzyknęła Beth, zrywając się na równe nogi.

-Musisz pomóc Blanche. Jest na górze...

Markiz spojrział na obu mężczyzn i swego jednorękiego przyjaciela, a potem skinął na żonę. Kiedy ostrożnie stanęła obok niego, wręczył jej pistolet.

- Trzymaj go w ten sposób, przy samej głowie. Jak się poruszy, pociągnij za spust.

Pocałował ją szybko i pobiegł w kierunku schodów. Ale zaraz się zatrzymał.

Zapominając o mężczyźnie, którego miała trzymać na muszce, Beth odwróciła się, by spojrzeć na męża. Po stopniach schodziła Blanche, trzymając w ręku długi nóż. Suknię miała podartą, była wymazana krwią - studium w szkarłacie i bieli. Tylko oczy miała pociemniałe ze zgrozy.

- „Śpiący i umarli są obrazkami tylko” - zacytowała jak przez sen. Beth rozpoznała słowa lady Makbet. - „Nikt prócz dzieci malowanego nie lęka się diabła... Jednakże kto by się był spodziewał tyle krwi w tym starcu!”*

- Blanche! - wykrzyknął Lucien, stojąc jak sparaliżowany. Hal Beaumont potrząsnął nim i dał mu swój pistolet.

- Pilnuj mężczyzn - polecił i wszedł szybko na schody.

Wyjął nóż z bezwładnej dłoni Blanche i odrzucił go.

Potem objął mocno aktorkę, nie zważając na krew. -

Zabiła go pani? - spytał cichym głosem. - Bardzo

dobrze.

Biała Gołąbka wybuchła szlochem, który wstrząsał całym jej ciałem.

Beth mocniej ścisnęła pistolet i szybko spojrzała na mężczyznę, którego miała pilnować, ale obydwaj rzezimieszki stały nieruchomo.

- Nie mogła go zabić - powiedział ten o świńskich oczkach. - Nie mogła.

- Czy to zrobiła, czy nie, wasza rola się skończyła i oświadczył zimno Lucien.

Jerzyk wynurzył się z kuchni z kawałkiem sznura; bandzirom skrepowano mocno ręce i nogi. Kiedy chłopak wyjaśnił, że zdobył sznur, odwiązując jedną z pokojówek, która natychmiast wpadła w histerię, odesłano go z powrotem, by uwolnił z więzów drugą służącą i pozostał z obydwoma kobietami, dopóki nie otrzyma nowych instrukcji.

Potem Lucien ostrożnie wyjął z dłoni Beth broń, którą wciąż ścisnęła, zabezpieczył kurek, i na koniec wziął żonę w ramiona.

- Nic ci się nie stało, najdroższa?

Jak to cudownie poczuć się bezpieczną.

**Przekład Józefa Paszkowskiego (przyp. tłum.).*

- Nie, Lucienie, ale to było straszne. Ten człowiek to szaleniec. Zupełny szaleniec. - Cała dygotała i ze wszystkich sił walczyła, by nie wybuchnąć płaczem. Markiz delikatnie głaskał ją po głowie.

- Raczej był. Nie sądzę, by Blanche pomyliła się w tym względzie. - Odwrócił się, nadal obejmując Beth, by spojrzeć na Białą Gołąbkę podtrzymywaną przez pana Beaumonta.

Obydwoje zeszli po schodach. Na policzkach kobiety wciąż błyszczały łzy. Podartą suknię miała spiętą czymś,

co wyglądało jak męska szpilka do krawata.

- Nie żyje, Blanche? - spytał markiz.

- Tak - odparła ze spokojem, świadczącym o tym, że nadal jest w szoku. - Zarznięłam go jak wieprza.

- Chciałem go zabić - rzucił Lucien gniewnie.

- Musiałbyś ustawić się w kolejce - odparł Hal.

v On należał do mnie - oświadczyła aktorka z takim wyrazem oczu, że obaj mężczyźni zrezygnowali z bezcelowej dyskusji. - Należał do mnie - powtórzyła, a potem odetchnęła głęboko. - Zawsze chciałam zagrać lady Makbet - powiedziała lżejszym tonem. - Może mi się to uda w przyszłym sezonie.

- Boże, Blanche... - Markiz tylko pokręcił głową i podszedł do stolika, by nalać brandy do czterech kieliszków.

Wszyscy wypili, by ukoić nerwy. Beth znów wsunęła Clarissie do ręki kieliszek, nakazując wypicie alkoholu.

- Naprawdę go zabiła? - spytała dziewczyna słabym głosem.

- Mam nadzieję.

- Bardzo się cieszę, ale...

- Wiem. Nie myśl o tym. Nie potrzebna nam tu scena, Clarisso.

W końcu dziewczyna wypła łyk brandy.

- Zawsze trzymam przy łóżku nóż - wyjaśniła Blanche, która napiwszy się alkoholu, trochę oprzytomniała, a co za tym idzie - stała się bardziej roztrzęsiona. - Weszło mi to w zwyczaj w dość wczesnym wieku. - Dopła brandy.

Ręka wyraźnie jej drżała. Spojrzała na siebie i się skrzywiła. - Muszę iść i się umyć. Biała Gołabka nigdy nie nosi się na kolorowo... Chyba pójdę do kuchni.

- Nie - zaprotestował Hal, patrząc na Blanche jak człowiek, który ujrzał świętego Graala. - Proszę pomyśleć o biednych pokojówkach. Niech pani pójdzie do jednego z pokoi gościnnych, a ja przyniosę pani wody. Ale

najpierw zobaczę, co z Deverilem. Niewykluczone, że jeszcze żyje.

Poszedł na górę i wrócił po chwili, znacznie bledszy.

- Jest pani dość dokładna, prawda?

- Chciał się napawać w łóżku moją nienawiścią - wyjaśniła obojętnie aktorka. - Spełniłam jego życzenie.

Najwyraźniej było to coś, co mogło zaskoczyć nawet żołnierza, ale po chwili błogi uśmiech pojawił się na twarzy Hala. Delikatnie objawszy Blanche, ruszył z nią po schodach. Wkrótce zszedł na dół po wodę.

- Domyślałam się, że Blanche zyskała nowego protektora - powiedział cierpko Lucien do swego oszołomionego przyjaciela.

- Protektora? Nie potrzebuje go - odrzekł Hal z uśmiechem. - Q,7yi, nie jest wspaniała? Poślubię ją. W tej chwili niezbyt jest zachwycona tym pomysłem. Muszę przyznać, że to nie najlepszy moment na oświadczyń. Ale pomyślcie tylko, jakie cudowne dzieci urodzi ta kocica. - Powiedziawszy to, pospieszył po wodę.

Beth wybuchnęła histerycznym śmiechem. Nie mogła się opanować, aż wreszcie się rozplakała. Przytuliła się do Luciena, który delikatnie skłonił ją, by usiadła mu na kolanach.

Z jego ust płynęły słowa pocieszenia.

- No, no. Nie płacz, najdroższa. Jesteś bezpieczna. Nigdy nikomu nie pozwolę cię skrzywdzić...

- On... on chciał cię zabić.

- Mnie? Dlaczego?

Beth trochę się opanowała i usiadła prosto. Kapelusz jej się przekrzywił, loki przykleiły się do mokrych od łez policzków.

- Chyba strach na mnie patrzeć... Bo byś mnie pomścił. Zupełnie oszalał.

- Chciałbym się tylko dowiedzieć - rzekł markiz, siląc

się na groźny ton - jak się dostałaś w jego łapy. Skąd się tu w ogóle wzięłaś?

- Przyszłam zobaczyć się z Clarissą - wyjaśniła Beth.
- Nie powinnaś zbliżyć się do tego domu.
- Sam mnie tu przywiozłeś ostatniej nocy!
- To była wyższa konieczność. Nigdy więcej tu nie przyjdiesz. Okolice są dość...

Beth zerwała się na równe nogi.

- Nikt nie będzie mi rozkazywał, Lucienie de Vaux. Bez względu na to, kim jest: mężem, markizem, księciem, nawet samym królem!

W pierwszej chwili Lucienowi aż odjęło mowę, a potem wybuchnął śmiechem.

- Och, Beth, jak mógłbym bez ciebie żyć? Rozumiem, że ty i Blanche jesteście przyjaciółkami od serca.

- No właśnie.

- Beth, nie możesz... - Pokręcił głową. - Och, do diabła z tym. Prawdopodobnie możesz. Ha! do tego stopnia stracił głowę, że gotów się z nią żenić, jeśli tylko uda się mu ją do tego nakłonić.

- Och! - przerwała im Clarissą. Siedziała skulona na kanapie, zapomniana przez wszystkich. - Czy wszyscy poszaleli? Ta kobieta jest... jest... - Spojrzała na nich roziskrzonym wzrokiem i zmusiła się do wypowiedzenia tego słowa. - Ladacznica! Dopiero co zabiła człowieka. - Spojrzała na sufit, a oczy mało jej nie wyszły z orbit. - Tylko czekam, kiedy zacznie nam na głowy kapać krew. Widzieliście krew na jej rękach?

Beth szybko wzięła kieliszek dziewczyny.

- Clarisso, wypij to! - Na siłę wlała jej brandy do ust, a gdy zauważyła, że się krztusi, uderzyła ją mocno w plecy i dziewczyna wybuchnęła płaczem.

Beth mocno chwyciła ją za ramiona.

- Clarisso, uspokój się i wysłuchaj mnie. Wszystko to

wydarzyło się przez ciebie. Nie mówię, że to twoja wina, ale wszystko to jest wynikiem tego, że próbowaliśmy ci pomóc.

Clarissą przestała płakać i utkwiała wzrok w Beth. Nie wyglądała na swoje osiemnaście lat.

- Pani Hardcastle była dla ciebie bardzo dobra. Zrobiła to, co zrobiła, żeby nas wszystkich ratować: mnie od śmierci, a ciebie od lorda Deverila. Nie tobie oceniać jej moralność.

- Ale...

- Nie.

Clarissa posłuchała i wtedy Beth puściła ją.

- Nie jestem pewna, co teraz zrobimy, ale nie wolno ci nikomu, absolutnie nikomu powiedzieć, co tu się dziś wydarzyło. Rozumiesz?

Clarissa skinęła głową.

- Ale co się stanie ze mną?

- No cóż - rzekł markiz, przeciągając słowa - przynajmniej nie będziesz musiała poślubić Deverila. Chociaż szkoda, że nie zdążyłaś wyjść za niego. Byłabyś bogatą wdową.

Beth przyszedł do głowy pewien pomysł, ale się nie odezwała. Nie była pewna, czy chce się z nim akurat w tej chwili podzielić z Lucieniem.

Rozległo się pukanie do drzwi, przypominające umówiony znak. Markiz pospieszył, by otworzyć. Wszedł Nicholas Delaney z lordem Middlethorpe'em. Jednym spojrzeniem ogarnął związanych mężczyzn, szkło na podłodze, smugi krwi na poręczu i zakrwawiony nóż.

- Francisie, spóźniliśmy się.

Lord Middlethorpe schował pistolet do kieszeni.

- Czy wszyscy cali, Luce? - spytał. - Właśnie dostaliśmy niezrozumiałą wiadomość od twojego człowieka, Dooleya.

- Wszyscy poza Deverilem - odparł markiz, patrząc znacząco na nóż. '

- Bardzo się cieszę - rzekł Nicholas z uśmiechem. - Kto dostąpił tego zaszczytu?

- Blanche - oznajmił Lucien. Nicholas uśmiechnął się szerzej.

- Zawsze można polegać na dobrej kobiecie. - Rozejrzał się wkoło. - Wydaje mi się, że możemy się przydać. Trzeba tu z grubsza posprzątać. Pozbyć się ciała i temu podobne. Uważam, że powinieneś zabrać stąd panie. Kto jest z naszą heroiną?

- Hal - odrzekł markiz i wrzucił ramionami. - Mówi, że chce się z nią ożenić.

Beth zauważyła, że Lucien poczuł ulgę, ujrawszy przyjaciół, szczególnie Nicholasa Delaneya. Beth podzielała jego uczucia. Obecność Nicholasa działała dziwnie uspokajająco. Było w nim coś takiego, co kazało wierzyć, że wszystko się ułoży.

- Całkowicie pochwalam - powiedział Delaney. - Potrzebujemy więcej megier w naszym kręgu. Po pierwsze, kobieta prawdopodobnie potrafi naprawić tego zepsutego grenadiera. Żadnemu z nas się to nie udało. - Wszedł do pokoju i omijając rozbite szkło, wyprowadził Beth i oszołomioną Clarissę do holu.

Otoczył ramieniem dziewczynę i uścisnął ją mocno, po bratersku. Beth uświadomiła sobie, że kiedy ją pocieszał Lucien, a Blanche - Hal, nikt nie zajął się biedną Clarissą.

- Nazywam się Nicholas Delaney - przedstawił się. - A ty musisz być Clarissą Greystone. O nic się nie martw. Myślę, że wszystko będzie dobrze.

Clarissą przytuliła się do niego i wymamrotała coś niewyraźnie.

Beth zobaczyła, jak Nicholas podniósł rękę i pogładził

dziewczynę po głowie.

- Tak, wiem. Ale najgorsze już za nami. A teraz najlepszą rzeczą dla pani będzie powrót do rodziny.

- Nie! - sprzeciwiła się Clarissa, wyrywając się mu.

- Byli dla niej bardzo okrutni - wyjaśniła Beth.

- Jeśli zawiesz ją do domu - rzekł Delaney - a ona uda skruszoną i pokorną, nie będą zbytnio się na nią gniewać. Daj im wyraźnie do zrozumienia, że cieszy się poparciem i przyjaźnią rodziny de Vaux. Greystone'owie nie odważą się ci narazić.

Spojrzał na Clarissę.

- Nie musisz okazywać specjalnego zachwytu małżeństwem z Deverilem, nikt nie będzie tego od ciebie oczekiwał. Udawaj zastraszoną. Jeśli będziemy sprytni, minie sporo czasu, nim odnajdą i zidentyfikują jego zwłoki. Kiedy jego śmierć wyjdzie na jaw, będziesz miała trochę czasu, nim twoi rodzice znajdą ci podobnego kawalera. Ale wtedy -wszystko może wyglądać zupełnie inaczej.

- Co może się zmienić? - spytała Clarissa, ale widać było, że opanowanie Nicholasa podniosło ją na duchu.

- Wiele rzeczy. Po pierwsze, gdzieś w Belgii zakończyła się wielka bitwa.

- To pewne? - spytali chórem Beth i Lucien.

- Na razie jeszcze nie. Niejaki Sutton, kapitan statku, który przyплыł z Ostendy, przywiózł wiadomość, że bitwa trwa w najlepsze od kilku dni, do Brukseli i Gandawy już przybywają ranni. Mało jest pewnych wiadomości. - Po chwili dodał: - Rozmawiałem z nim. Mówi, że czterdziesty drugi pułk poniósł poważne straty.

- Pułk Cona - zauważył Lucien.

- Tak. - Nicholas machnął zniechęcony ręką. - Oczywiście to wszystko już się wydarzyło. Gdzieś na świecie w tej chwili żywi się cieszą, poległym już nic nie

przywróci życia, ranni cierpią pod nożem... A my dowiemy się o tym dopiero jutro albo pojutrze.

- Ale zwyciężyliśmy? - spytał markiz.

- Zawsze ktoś jest zwycięzcą - odparł ponuro Nicholas. Po chwili otrząsnął się ze swego filozoficznego nastroju.

-Wszystko wskazuje na to, że tak. Najprawdopodobniej lada moment dotrą wieści i przez następnych kilka dni w Londynie zapanuje zamęt. Wymarzona chwila, by ukradkiem wprowadzić w życie nasze niegodziwe zamiary. Luce, zabierz panie i pozwól nam posprzątać.

- Przypomniałem sobie - powiedział Lucien - że w kuchni jest mój chłopak, pokojówka Beth i gospodyni Blanche.

- Czy nie puszczą pary z gęby?

- Agnes będzie milczała jak grób. Blanche uratowała ją przed przytułkiem. Myślę, że Jerzykowi można zaufać. - Zwrócił się do Beth: - A co z twoją pokojówką?

- Uważam, że Redcliff nic nie powie. Jednak lepiej, jak się nie dowie o wszystkim, co się tu wydarzyło.

Markiz zastanowił się chwilę.

- Może wyjdź z Clarissa drzwiami kuchennymi. Po drodze zabierzecie Jerzyka i Redcliff. Wezmę kariolkę i będę na was czekał przy końcu ulicy. - Przytulił żonę, pocałował ją lekko i wyszedł.

Wyraźnie podniesiona na duchu, Beth zaprowadziła Clarissę do kuchni. Tam zastały obie pokojówki i Jerzyka. Służące zerwały się z miejsc i zaczęły mówić jedna przez drugą, ale Beth je uciszyła.

- Przestańcie gadać! Agnes, twojej pani nic się nie stało, lecz w tej chwili nie chce, żeby jej przeszkadzano. Masz zostać tutaj, póki nie zostaniesz wezwana. Redcliff, Jerzyk, wychodzimy.

- Tak jest, milady.

Jak tylko znaleźli się w małym ogrodzie na tyłach domu,

Beth powiedziała:

- Żadne z was nie piśnie ani słówkiem o tym, co się tutaj dziś wydarzyło. Zrozumieliście?

- Tak jest, milady - odparł Jerzyk.

Redcliff, najwyraźniej mocno wystraszona, powiedziała:

- Jestem pewna, że nie wiedziałabym, co mówić, gdyby mnie ktoś spytał, milady! Związali mnie. A tamten człowiek mnie dotknął... Naprawdę nic nie wiem. Agnes powiedziała, że przyszło trzech uzbrojonych mężczyzn. Czy to był napad?

- Próba napadu - wyjaśniła Beth. - Ale niczego nie skradziono. - Nagle doznała olśnienia. - Musisz jednak wiedzieć, Redcliff, że oznaczałoby to katastrofę dla wszystkich, gdyby ktokolwiek się dowiedział, że byłam w tym domu.

- Bardzo dobrze o tym wiem - oświadczyła ponuro pokojówka.

Beth udała skruchę.

- Nie zdawałam sobie z tego sprawy. Dopiero, kiedy pojawił się markiz, zrozumiałam, jak niewłaściwie postąpiłam. Nikt niczego nie może podejrzewać.

- Będę trzymała buzię na kłódkę - łaskawie obiecała służąca.

- Dziękuję ci, Redcliff - rzekła potulnie Beth i zrównała się z Clarissą.

Redcliff i Jerzyka wysłano do domu na piechotę, a Beth i Lucien odwieźli roztrzęsioną Clarissę do domu jej rodziców. Beth zapewniła dziewczynę, że nikt już nie będzie jej bił, i miała nadzieję, że tak będzie.

Rodzice Clarissy, widząc, że ich jedyna nadzieja na wybawienie z kłopotów wróciła do domu, odczuli zbyt wielką ulgę, by się złościć na córkę. Poza tym byli pod wrażeniem, w jakich wysokich kręgach obraca się Clarissa. Nawet jednym słówkiem nie zakwestionowali

wyjaśnięć Beth, że Clarissa ukryła się u niewymienionej z nazwiska szkolnej koleżanki.

Beth wylewnie pożegnała się z Clarissa. Lucien zachowywał się z arogancją typową dla de Vaux. Nim odjechali, mogli być niemal pewni, że dziewczyna co najwyżej otrzyma burę.

- Chociaż obawiam się, że będziemy musieli znów przez to wszystko przejść, gdy pojawi się kolejny kandydat do jej ręki - zauważył markiz podczas jazdy na plac Marlborough.

Niekoniecznie, pomyślała Beth, ale nic nie powiedziała. Musiała jeszcze dopracować swój plan i rozważyć, czy jej mąż go poprze, czy też będzie mu przeciwny.

Dotarli do Belcraven House akurat w porze kolacji, ale myśl o spożyciu posiłku z całym ceremoniałem wydała się Beth nieznośna. Kiedy wchodzili do domu, powiedziała:

- Wolalabym zjeść w swoim pokoju.

- Wyjęłaś mi to z ust - rzekł Lucien z uśmiechem. Beth przypomniała sobie o obietnicy. Spojrzała na męża nerwowo. Nawet nie zapadł jeszcze zmierzch, a po wszystkich wydarzeniach popołudnia...

- Nie martw się - uspokoił ją. - Idź, przebierz się w coś wygodniejszego i odpocznij. Wszystko załatwię i wkrótce do ciebie dołączę.

21

„Wszystko załatwię”. Te słowa wzbudzały zaufanie i niepokój Beth gdzieś pierzchł. Uśmiechnęła się do Lucie-na i poszła na górę.

Nie wydawało jej się właściwe przywdzianie nocnej bielizny, więc tylko zamieniła suknię spacerową na inną, z miękkiego muślinu, ściągana wstążką pod szyją i w talii. Następnie poprosiła Redcliff, by rozczesała jej włosy. Nawet nie zwracała sobie głowy tym, by

zamaskować różem siniak na twarzy. Szczerłość jest najważniejsza.

W końcu dała Redcliff wolne i położyła się na szezlongu w buduarze. Wydarzenia popołudnia już wydawały się nierealne. Czy naprawdę trzymano ją na muszce i groziła jej śmierć? Pamiętała jednak wyraźnie, jak zagrożono śmiercią Lucienowi. Na samo wspomnienie serce zaczęło jej walić. Och, aż strach tak kochać. Co to ma wspólnego z samokontrolą?

Nie była już zdolna racjonalnie rozumować, poddawać przeszłość moralnym ocenom. Przywołała w pamięci słowa markiza: „Nawet jeśli jesteś rozpustna, i tak będę cię kochał”. Czuła dokładnie to samo. Miłość to szaleństwo, tyran.

To cudowne uczucie.

Kiedy Lucien wszedł do pokoju, uśmiechnęła się i wyciągnęła do niego rękę. Zbliżył się i usiadł na skraju szezlongu. W koszuli z rozpiętym kołnierzykiem i w bufiastych spodniach wyglądał na odprężonego i... i dostępnego.

Uniosła rękę i dotknęła skóry w rozcięciu koszuli.

- Jak możesz być taka rozpromieniona? - spytał i położył rękę na jej dłoni. Jego palce były gorące.

- Ponieważ jestem zakochana - odpowiedziała cicho.

Uśmiechnął się szerzej.

- Ja też. To coś niesłychanego, prawda?

- Przynajmniej wygodne - powiedziała żartobliwie. - Pamiętam, jak się kiedyś martwiłeś, że zakocham się w kimś innym.

Pokręcił głową i wziął ją w objęcia.

- Już nigdy nie chcę myśleć o tym, co było, o tym, co mówiliśmy. Nie wracajmy do tego.

Wtuliła mu twarz w pierś. Materiał koszuli był jedwabście miękki, ale wydawało się, że skóra markiza parzy.

Słyszała bicie jego serca, z każdym oddechem wdychała jego piżmowy zapach.

- Nie chcę niczego zapominać - oświadczyła. -
Wszystko, co jest związane z tobą, będę hołubiła do dnia swej śmierci.

Lekko dotknął sińca na jej policzku.

- Nawet to?

- Nawet to - potwierdziła, patrząc na jego strapioną minę. - Bo wiem, że to się nigdy więcej nie powtórzy. Ostatecznie okoliczności były dość osobliwe.

To było niesamowite. Tylko ją obejmował, a jednak w ustach jej zaschło, a serce jej waliło jak oszalałe. Czuła narastające podniecenie. Pożądanie. Ujęła twarz męża w obie dłonie.

- Pocałuj mnie, Lucienie.

Jego usta, aksamitne i gorące, zaspokoili nieco jej głód. Wsunęła ręce w jedwabiste włosy markiza i przytuliła go do siebie; rozchyliła usta, by smakować słodycz jego warg. Pieścił ją językiem, i nie była w stanie już o niczym myśleć. Opadła na szezlong, a Lucien natychmiast przylgnął do niej, całą sobą czuła bijące od niego ciepło.

Ale to był dopiero początek.

Poczuła dłoń Luciena na swej piersi, delikatnie przesuwał palcem po osłoniętej miękkim muślinem brodawce. Następnie zaczął pieścić ją ustami, aż ciałem Beth wstrząsnął dreszcz.

Zgrabnie zmienił pozycję, tak że teraz ona leżała na nim. Wprawne palce markiza szybko uporały się z wiązaniem pod szyją jej sukni. W pierwszej chwili Beth instynktownie się cofnęła, ale potem się odprężyła. Należała do niego. Zsunął kremowy materiał z jej ramion.

- Och, moja najdroższa - szepnął cicho, wolno zataczając palcem kółeczka najpierw wokół jednej brodawki, a potem drugiej. Patrząc na nią wzrokiem przepelnionym miłością, bawił się z nią. Beth nie mogła oderwać od niego oczu, w całym ciele czuła rozkoszne drżenie. Nie przestawał ją pieścić ciepłymi i wilgotnymi wargami. Z ust Beth wyrwało się westchnienie.

- Och, Marsie i Wenus!

- Słucham? - spytał ze śmiechem.

- Kiedyś ci wytłumaczę. Ale nie teraz. Nie przerywaj.

- Och, możesz być spokojna, moja droga, nie zrobię tego - powiedział zachrypniętym głosem, a jego palce znów zaczęły wyczyniać cuda. - Obiecuj mi tylko, że w sąsiednim pokoju nie ma żadnego niezapowiedzianego gościa. Nie kryją się żadne niespodzianki.

Beth pokręciła głową. Była rozpalona i lekko zamoczona.

- Nie ma. - Upajała się jego urodą. Śmiało wsunęła dłoń pod kołnierz koszuli, by poczuć jego barczyste ramiona. Wstrzymał oddech, co spowodowało, że się zawahała.

- Wolno mi to robić? - spytała. Ściągnął koszulę.

- Możesz robić wszystko, Beth. Dotykaj mnie wszędzie. Proś mnie o wszystko.

Beth spojrzała na jego piękny tors i oblizwała usta. Był muskularny i opalony, pokryty delikatnymi, złotymi włoskami. Przesunęła po nich palcem.

- Jesteś bardzo piękny, mój mężu.

- I ty też, moja najdroższa żono.

Pochyliła się, by pocałować jego ciepłą i jedwabistą skórę. Przy okazji obnażonymi piersiami dotknęła jego torsu, co przyprawiło oboje o rozkoszny dreszcz.

Słyszała, że oddech Luciena staje się nierówny, i poczuła dziwną satysfakcję. Może Wenus też wolno być aktywną? Zaczęła wędrować językiem po muskularnym

torsie, zostawiając na skórze wilgotny ślad. Nagle Lucien wstał, nie wypuszczając jej z ramion.

- Madame, życzyła sobie pani w moim pokoju?

- Tylko z uwagi na Clarissę - wymamrotała Beth, nie przestając go pieścić.

- Nic nie szkodzi - powiedział niepewnie i obróciwszy się z nią, ruszył przez pokój.

Przed drzwiami pochylił się lekko i Beth przekręciła gałkę. Chwiejąc się nieco, podążali przez amfiladę pokoi, aż w końcu dotarli do lordowskiej sypialni.

Beth nigdy wcześniej w niej nie była. Tak jak markiz powiedział, bardzo przypominała jej sypialnię, tyle że w wystroju dominowała zieleń i złoto, a nie błękit. Poza tym łóżko było większe, z baldachimem. Kiedy Lucien położył Beth na jedwabnej narzucie, zobaczyła, że od wewnątrz baldachim ozdabia książęcy herb.

Zachichotała.

- Ku chwale de Vaux! - oświadczyła, otwierając ramiona. Markiz opadł obok niej na łóżko, aż zatrzeszczała solidna rama.

- O, tak. Mnóstwa malutkich de Vaux. Nie zwracaj uwagi na tarczę herbową - powiedział, kładąc rękę na jej płaskim brzuchu. - Zamówiła go babka dla mojego ojca. Uważała, że w niewystarczającym stopniu jest świadom swego dostojństwa.

- Książę? - spytała Beth z niedowierzaniem. Miała wrażenie, że jej umysł podzielił się na połowy - jedną całkowicie zawładnęły emocje, nad drugą jeszcze panowała i tylko dzięki temu mogła prowadzić rozmowę. Nie przerywając konwersacji, przesunęła palcami po piersiach markiza, delikatnie drapiąc paznokciami gładką skórę.

Lucien wciągnął głęboko powietrze.

- Przypuszczam, że za młodu nie był taki sztywny.

Beth! -Chwycił jej dłoń i pocałował po kolei wszystkie palce, a zaraz potem zaczął je ssać. Przewrócił się na wznak, nie wypuszczając jej z objęć, więc znalazła się na nim. - Nie martw się - powiedział, rozwiązując kokardę z tyłu jej sukni. - Śpię pod nim, odkąd opuściłem pokój dziecinny, ale jeszcze mnie nie usztywnił. - Rozwiązał wstążkę i już nic nie broniło dostępu do ciała Beth.

Lucien muskał palcami skórę jej pleców.

- A skoro już mówimy o sztywnieniu... - rzekł cicho.

Beth doskonale czuła, co się dzieje z Lucieniem.

Zupełnie

nieświadomie poruszyła się, a on wstrzymał oddech i złapał ją mocno. Z figlarnym uśmiechem uwolniła się z jego uścisku i znów się poruszyła.

- Niech Bóg ma mnie w swej opiece - wymamrotał i położył ją obok siebie. - Posłuchaj, ty rozkoszna rozpustnico, w przyszłości możesz mnie uwodzić i doprowadzać do najwyższej rozkoszy tak często, jak tylko będziesz chciała, ale ten pierwszy raz wolałbym zachować nieco kontroli nad swymi zmysłami.

- Dlaczego?

- Bo nie chcę ci zrobić krzywdy, najdroższa - odparł poważnie, wsunąwszy jej ręce pod głowę. - A możesz mi wierzyć lub nie, ale jeszcze nigdy nie odebrałem dziewictwa żadnej kobiecie.

- To śmieszne.

- Dlaczego? - spytał, przesuwając ręką wzdłuż ciała żony, aż znalazła się w miejscu, gdzie kończyły się jej uda.

-Nie widzę, żeby zwiększało to przyjemność. Tylko spójrz, co się z nami dzieje. Mógłbym leżeć bezradny pod twoim rozkosznie wiercącym się ciałem. - Pochylił się i lekko ją pocałował. - Pozwól mi kochać cię, Beth, i sprawić ci rozkosz. Tym razem pozwól mi tylko cię

kochać...

Wystarczyło muśnięcie jego ust, by zakreśliło jej się w głowie, a po ciele przebiegło drżenie. Lucien hipnotyzował ją swymi dłońmi. Podciągnął jej suknię w górę i szybko ją zdjął. Beth mocno objęła męża, pragnąc poczuć go całą sobą. Nie chciała już dłużej zwlekać, chciała dać się porwać namiętnościom.

Markiz szybko zrzucił z siebie ubranie. Teraz nic już ich nie oddzielało. Rozsunął nogi Beth i położył się między nimi.

- Lucienie - jęknęła.

- Wiem, kochana - powiedział zachrypniętym głosem. - Wiem.

Powoli, delikatnie zaczął w nią wchodzić. Beth czuła jedynie narastające podniecenie. Właśnie tego chciała.

Uniosła się, by wyjść Lucienowi naprzeciw, chwila bólu nie trwała dłużej niż mgnienie oka. Objęła ukochanego nogami, czując obezwładniającą rozkosz.

Leżała w przyćmionym świetle wieczoru, z głową na ramieniu męża, głaszcząc delikatnie mokre od potu włoski na jego piersiach.

- To było niezwykle - powiedziała.

- Dziękuję - odparł i zatrzęsł się lekko od chichotu.

- Och. A więc to tylko dzięki tobie? - spytała z udawaną niewinnością. - Czy nie będzie tak samo z każdym?

- Beth - ostrzegł ją.

Przewróciła się na piersi i spojrzała na niego.

- A więc żadnej wolnej miłości? 1 Starął się przybrać srogi ton.

- Muszę ci wystarczyć ja.

Od samego patrzenia na Luciena Beth znów niemal zaparło dech. Grecki bóg. Pomyślała tak, kiedy go zobaczyła po raz pierwszy, i przeraziło ją to. Teraz - podniecało. Spoczywał obok niej, wspaniały,

muskularny. I należał tylko do niej. Mogła go dotykać, smakować, zabrać ze sobą.

- A ty? - spytała. - Czy zastrzegasz sobie prawo do wolnej miłości?

Przytulił ją mocno.

- To niemożliwe. Nie potrafię sobie wyobrazić, bym miał pożądać jakiejś innej kobiety poza tobą, mój klejnocie. Wy, radykalistki, macie swoje sposoby, żeby poskromić arystokrację, prawda?

- Zrobimy wszystko dla sprawy - odparła zarozumiale Beth.

Minęło sporo czasu, nim zamówili posiłek. Zapadł zmrok i trzeba było zapalić świece. Wkładali sobie nawzajem smaczne kąski prosto do ust i często przerywali posiłek, by się całować. Rozmawiali o czasie, spędzonym wspólnie, i o tym, co było wcześniej. Po raz pierwszy ujawnili to, co dotychczas skrywali - cierpienia i rozczarowania, nadzieje i marzenia.

Zegary wybijały północ, kiedy zgasili kopzące świece i położyli się w wielkim łóżku, przytulając się do siebie. Beth zaczęła gładzić Luciena po plecach, ale złapał jej dłoń.

- O, nie, nie zrobisz tego, ty czarodziejko. Założę się, że i tak jutro będziesz wystarczająco obolała. I wiesz, że jestem tylko zwykłym śmiertelnikiem.

Ale Beth była bystrą uczennicą i nie dała się tak łatwo zbyć.

- Hoc volo, sic iubo, sit pro ratione voluntas* - powiedziała, szczerząc zęby w uśmiechu, i przywarła do męża.

- Nie chcę być rozsądna. Co chcę, to otrzymuję. A chcę cię uwieść, żebyś zupełnie stracił głowę.

Zobaczyła, że oczy markizowi pociemniały, jednak chwycił ją tak, że nie mogła się ruszać.

- Wracaj do klasy, moja panno - powiedział zachrypnię-

tym głosem. - To nie jest dobre tłumaczenie.

Beth zaczęła pieścić najbliższą smakowitą część jego ciała, którą okazał się płatek ucha. Markiz zwolnił uścisk.

- Lucienie - mruknęła - w takiej chwili spodziewasz się poprawnego tłumaczenia?

- Zupełnie straciłem wiarę w klasyków - odparł urywanym głosem, kiedy przewróciła się na bok, a rękę zaczęła przesuwając poniżej jego pępka. - Boże, Beth...

Był gorący, gładki jak aksamit.

- A co mają z tym wspólnego klasycy? - spytała cicho.

- Juwenalis - powiedział, a zabrzmiało to jak jęk. - Nemo repente fuit terpissimus. „Nikt nie stał się nagle szubrawcem”. Ten człowiek był głupcem albo po prostu nie znał nikogo takiego, jak ty. Biedaczysko - dodał cicho w ciemnościach.

22

Następnego dnia Beth miała spore kłopoty z pozbyciem się swego męża. Wiedziała, jak się czuł. Jej też trudno było wytrzymać jedną chwilkę bez niego. Jednak było to konieczne, by mogła wcielić w życie swój plan. Wcale nie miała pewności, czy Lucien go pochwali.

**Tak chcę, tak rozkazuję; niech moja wola posłuży za rację - Juwenalis (przyp. tłum.)*

Pomogły im doniesienia z pola bitwy. Zjedli śniadanie, czytając razem Timesa i zapoznając się z raportem księcia Wellingtona. Nadal nie było żadnych wiadomości o ofiarach.

- To musiała być straszna bitwa - powiedziała w końcu Beth.

- Ale zarazem wielkie zwycięstwo. Posłuchaj, co piszą: „Całkowite rozgromienie wroga”. Wellington nie należy

do tych, co się przechwalają. W końcu Napoleon został pokonany.

- Ale jakim kosztem? - Myślała o walczących żołnierzach, ale głównie o tych, których znała - Amleighu i Debenhamie. Nie potrafiła sobie wyobrazić tych wesołych, beztrudnych młodych ludzi martwych, a jednak tak mogło być. Pamiętała doniesienie o ciężkich stratach pułku, w którym służył Amleigh.

Dostrzegła wyraz oczu Luciena. Właściwie nie rozumiała, co łączy jego, Nicholasa i resztę, ale nie miała wątpliwości, iż byli ze sobą bardzo mocno związani. Głęboko by przeżył śmierć któregoś z nich. Wszyscy głęboko by to przeżyli.

Położyła mu rękę na dłoni.

- Kiedy będą listy zabitych i rannych?

- Mogą się ukazać w każdej chwili - odrzekł. - Może wydadzą specjalny dodatek.

Beth westchnęła.

- Lada chwila tyle rodzin pograży się w rozpacz.

Myślę, co by było, gdybyś ty tam walczył.

Uścisnął jej dłoń.

- Możemy mieć tylko nadzieję, że nie będzie na liście tych, których kochamy.

- Może pójdziesz do klubu albo do Delaneyów? Być może wiedzą coś więcej.

- Nie będziesz miała nic przeciwko temu? Albo chodź ze mną do Delaneyów.

- Nie, na razie wolę zostać w domu.

Pocałował ją na pożegnanie. Beth wiedziała, że tak samo jak jej, dokucza mu poczucie winy, że jest taki szczęśliwy, taki spełniony, kiedy szczęście innych dobiegło kresu. Dziś Londyn będzie wiwatował na cześć zwycięstwa, a równocześnie w wielu domach będzie słyszeć płacz.

W końcu wzięła się w garść. Poinformowała Redcliff, że zamierza się położyć i nie życzy sobie, żeby jej przeszkadzano. Ledwie służąca zamknęła za sobą drzwi, wstała z łóżka. Starannie zamaskowała różem siniaka, chociaż nie łudziła się, że ktoś bardziej spostrzegawczy da się temu zwieść. Zresztą Blanche znała całą prawdę. Potem włożyła jedną ze swych panieńskich sukien oraz budkę, która najbardziej zasłaniała jej twarz. Miała nadzieję, że udało jej się niepostrzeżenie zejść po schodach dla służby i wyslizgnąć z domu.

Ponieważ nie wiedziała, jak trafić do Blanche, musiała odnaleźć Jerzyka i porozmawiać z nim tak, żeby nikt nie odkrył jej „ucieczki” z Belcraven House. Zagryzła usta i zachichotała, spoglądając na okazałą rezydencję. To śmieszne tak się wymykać, kiedy mogłaby swobodnie wyjść drzwiami frontowymi.

Prawdopodobnie doprowadzi Luciena do tego, że znów będzie rozważał, czy nie stłuc jej na kwaśne jabłko. To, że nie chwycił ją dreszcz strachu, świadczyło, iż darzy już męża zaufaniem.

Jaki ma wymyślić pretekst dla swej wizyty i co zrobić, żeby znaleźć się z Jerzykiem na osobności? Ostatecznie mogła chcieć zobaczyć Stellę. Biedne zwierzę miało niewiele okazji do ruchu po powrocie z Hartwell - tylko dwie przejażdżki po parku. Więcej trudności nastęczało spotkanie w cztery oczy z Jerzykiem. Granger albo Dooley wyrosną jak spod ziemi, jak tylko markiza pojawi się w stajni.

Głaskała Stellę po miękkich, aksamitnych chrapach, kiedy podszedł do niej Granger.

- Dzień dobry, milady. Czym mogę służyć?
- Dzień dobry, Granger. Chciałam tylko zobaczyć Stellę. Mam nadzieję, że ktoś na nim jeździ.
- Proszę się o to nie martwić, madame. Jerzyk go

wyprowadza. To jedyny koń, do którego się nadaje - zauważył gderliwie mężczyzna. - I, za przeproszeniem, niedobrze, kiedy tego nicponia odrywa się od jego zwykłych obowiązków i obdarza jakimiś specjalnymi względami. Z pewnością stanie się zarozumiały.

- Och - odezwała się Beth, ukrywając uśmiech, bo dostrzegła dogodny pretekst. - To rzeczywiście niedobrze. Może powinnam z nim o tym pomówić.

- Cóż, nie ma potrzeby...

Beth rzuciła stajennemu spojrzenie de Vaux. Po chwili rozmawiała z Jerzykiem w boksie Stelli. Chłopak cały czas nerwowo spoglądał na konia.

- Naprawdę uważam, Jerzyku, że byłoby lepiej, gdybyś miał jakieś inne zajęcie - powiedziała łagodnie. - Czy nie wolałbyś robić czegoś innego?

Chłopak wyciągnął kilka ździebeł słomy i bawił się nimi, uparcie zachowując milczenie.

- Wszystko mi jedno, bylebym służył markizowi - mruknął w końcu.

Beth uśmiechnęła się, zrozumiałwszy wreszcie. Darzył markiza najwyższą czcią.

- Zastanowię się nad tym. A teraz chcę, żebyś mnie zaprowadził do pani Hardcastle. Nikomu o tym nie mówiąc.

Chłopak spojrział na nią okrągłymi oczyma.

- Nie mogę, milady. Stary Granger złoł mi skórę. Słowo honoru.

- Jerzyku, jeśli o coś cię proszę, Granger nie ma nic do gadania.

Wyrostek zaczął się wiercić, nie mogąc spokojnie ustać na miejscu.

- Markiz mi zabronił - wyznał w końcu, spuszcżając głowę.

- Markiz! Kiedy?

- Dziś rano. Powiedział, że gdyby pani prosiła, mam odmówić.

A ty przebiegły łotrze, pomyślała Beth, zadowolona, że znów może spróbować przechytrzyć swego męża.

Zagryzła usta w zadumie.

- Możesz mi powiedzieć, jak tam dojść? - spytała wreszcie. Jerzyk spojrział na nią.

- Chyba nie pójdzie tam pani sama, milady?

- Dlaczego nie? Nie wydaje mi się, by była to bardzo niebezpieczna trasa.

- Damom nie wypada tego robić - orzekł z męską apodyktycznością, a w oczach zapaliły mu się ogniki.

- Ta dama robi to, na co ma ochotę - oświadczyła zdecydowanie Beth. - Jeśli mi nie powiesz, spróbuję sama trafić, a jak zabłądzę, to spytam przechodniów o drogę. To wyraźnie jeszcze bardziej przeraziło chłopaka. Próbował protestować, ale w końcu zrezygnował.

- Ustawią się w dwuszeregu i będą mi łoić skórę, kiedy się o tym dowiedzą - mruknął ponuro.

Jednak wyraźnie wytłumaczył Beth, jak ma iść. Nim się z nim rozstała, wsunęła mu koronę do ręki.

Początkowo czuła pieczenie między łopatkami i spodziewała się pościgu. Ale potem zaczęła się cieszyć spacerem. Był rześki czerwcowy dzień, ulice tętniły życiem. Londyn wrzał podnieceniem wywołanym wiadomością o zwycięstwie, lecz Beth czuła się zupełnie bezpiecznie.

Kiedy najbardziej ruchliwe promenady zostawiła w tyle, ogarnęła ją pewna nerwowość. Ale szybko się opanowała. W końcu znajdowała się w cichej, eleganckiej dzielnicy mieszkaniowej. Przez całe życie przemierzała takie ulice w Cheltenham. Nie da się pozbawić wolności tylko dlatego, że jest markizą Arden. Jednak gdy znalazła się w pobliżu domu Blanche, posta-

nowiła na wszelki wypadek skręcić do wejścia kuchennego, zamiast zapukać do drzwi frontowych. Pokojówka Agnes aż otworzyła usta ze zdumienia, kiedy Beth weszła do kuchni. Oprócz niej była tam jeszcze jedna kobieta, zasuszonej staruszką, najpewniej kucharką. Agnes dygnęła grzecznie. Kucharka podparła się pod boki.

- A z kim to mamy przyjemność?

- Cicho, Lily. To... to markiza. No wiesz. Kucharka też zrobiła zdumioną minę.

- Boże przenajdroższy! Do czego to dochodzi na tym świecie? Powinna się pani wstydzić!

- Ale się nie wstydzę - odparła zuchwale Beth. - Czy Blanche jest w domu?

Agnes wytarła ręce w fartuszek.

- Pójdę spytać. Proszę usiąść... - Spojrzała bezradnie na dwa proste krzesła. - Och, nie wiem - powiedziała płacząco, wychodząc z kuchni.

- No i widzi pani, co pani narobiła - skarciła markizę Lily. - A dopiero co udało mi się ją uspokoić po tym, co wydarzyło się wczoraj! Dla nas wszystkich będzie o wiele lepiej, kiedy państwo pozostaną w swoich eleganckich domach.

Beth usiadła na jednym z krzeseł.

- Pani też jest zwolenniczką Mary Wollstonecraft? - spytała przyjaźnie.

- Czyją? Nie, jeśli należy do wyższych sfer.

- Cóż - powiedziała w zamyśleniu Beth - obawiam się, że pod pewnym względem tak. - Już się szykowała do miłej filozoficznej pogawędki, kiedy weszła Agnes ze zdumioną Blanche.

- Beth, odnoszę wrażenie, że nie powinnaś tu przychodzić.

- Wielce prawdopodobne - odparła Beth.

- Wielce prawdopodobne - powtórzyła jak echo kucharka. - Uważaj na siebie, Maggie. Takie damy, jak ona, to dla ciebie nieodpowiednie towarzystwo.

- Cicho, Lily - rzuciła Blanche. - Wiem, co robię. Agnes, przynieś nam, proszę, herbatę.

Po tych słowach Biała Gołąbka zaprowadziła swego gościa do saloniku. Beth zauważyła, że ze schodów usunięto wszelkie ślady krwi, nie było też żadnych oznak tego, co się tu wydarzyło wczoraj, jeśli nie liczyć braku żyrandola.

- Masz ciekawe służące - stwierdziła, kiedy usiadła.

- Dobrze mi służą - odparła Blanche. - Jak się może domyśliłaś, wybieram sobie osoby, którym się nie poszczęściło. Przyznaję, że częściowo wynika to z tego, że komuś takiemu jak ja trudno byłoby znaleźć dobrego służącego, który nie byłby zuchwały. Ale postępuję tak również dlatego, że wiem, co to bieda i rozpacz. Agnes zabrałam z przytułku. Trafiła tam cała jej rodzina po śmierci jej ojca. Wyszkoliłam ją, myśląc, że odejdzie, ale wolała zostać. Lily... Lily pomogła mi, kiedy byłam młoda, kiedy pierwszy raz uciekłam z domu. Lepiej mi matkowała od mojej rodzonej matki, ale nie lubi arystokracji. Woli się od niej trzymać z daleka. Mam nadzieję, że nie była niegrzeczna. Nie ma powodów, by kochać wyższe sfery.

- Polubiłam ją. Może z czasem mnie zaakceptuje.

- A więc już zamierzasz się zaprzyjaźnić? - spytała Blanche. - Wiesz, że Lucienowi się to nie spodoba. Mężczyźni nie lubią, jak im się zmienia ustalony sposób życia.

- Wszyscy musimy się dostosowywać do okoliczności - odparła Beth. - A kiedy poślubisz jego najlepszego przyjaciela...

- Co nigdy nie nastąpi - oświadczyła z mocą Blanche,

choć Beth dostrzegła, że mówiąc to, zapłonęła się. -
Zupełnie stracił rozum. Powiedziałam, że zastanowię się
nad... nad przyjaciółką.

Beth nie ciągnęła tego tematu, chociaż gdyby była
hazardzistką, założyłaby się, że dni wolności Białej
Gołąbki są policzone.

- Czy wszystko zostało załatwione? - spytała, nie mogąc
się zmusić do tego, by otwarcie spytać o zwłoki.

- Tak - odrzekła Blanche. - Ten Nicholas Delaney to wy-
jątkowo zdolny dżentelmen. I ma ciekawych
wspólników. Nie starałam się być zbyt dociekliwa, ale
domyślałam się, że wynajętych rzeźmieszków zmuszono
do milczenia, a ciało, po usunięciu wszystkiego, co
ułatwiłoby identyfikację, podrzucano w St Giles.

Przypuszczam, że za dzień, dwa zostanie odnalezione.
Ale w tamtych okolicach nikt nie będzie zadawał zbyt
wielu pytań. Nawet stróż porządku nie zapuszczają się
tam w pojedynkę. Deveril znany był z tego, że kręcił się
w tamtym rejonie, szukając czegoś, co dogodziłoby jego
gustom, więc nikogo to nie zaskoczy.

Beth aż się wzdrygnęła.

- Był gorszy, niż myślałam. To niesłychane, że ktoś taki
jest tolerowany tylko dlatego, że posiada tytuł.

Dziedziczenie przywilejów to bardzo zła rzecz.

- Być może - powiedziała Blanche, uśmiechając się. -

Ale posłuchaj mojej rady, Beth: staczaj potyczki, ale nie
wywołuj wojny. Ludzie o dobrym sercu mogą wiele
zdziałać bez niszczenia siebie i tych, których kochają.

Beth poważnie zastanowiła się nad słowami swej nowej
przyjaciółki.

- Masz na myśli Luciena? Blanche skinęła głową.

- Robi wielkie postępy, ale nigdy nie przemienisz go w
William Godwina ani Wilbforce'a. Jest de Vaux z krwi
i kości i zawsze nim zostanie.

- Wiem - rzekła Beth z ponurym uśmiechem. - I przepraszam Mary Wollstonecraft, ale nie chciałabym, żeby był inny. A propos, lepiej, jak wyłuszczę powód mojej wizyty i wrócę na plac Marlborough, nim odkryje, że mnie tam nie ma.

Urwała na chwilę, kiedy weszła Agnes, niosąc tacę z herbatą. Nie wiedziała, od czego zacząć rozmowę.

- Blanche, co myślisz o fałszerstwie? I włamaniu?

Aktorka odstawiła filiżankę.

- Grozi za to stryczek.

Beth oblizwała usta.

- Wiem. Ale wątpię, by do tego doszło, jeśli rodzina de Vaux wykorzysta swoje wpływy. Czy to nie straszne? - zauważyła. - Jestem równie zepsuta, jak oni.

- Beth - poprosiła Blanche - powiedz, o co ci chodzi.

Beth zaczerpnęła głęboko powietrza.

- Jeśli Deveril powiedział mi prawdę, nie zostawił dziedzica. Tytuł i majątek wrócą do Korony. A gdyby tak Clarissa była jego spadkobierczynią?

Aktorka usiadła prosto.

- Testament?

Beth skinęła głową.

- Musi zostać znaleziony w jego domu - dodała. -

Uważam, że to najbardziej niebezpieczna część planu.

- Tak czy inaczej potrzebna nam próbka jego pisma...

Beth siedziała z zaciśniętymi rękami. Chyba zwariowała.

To było zdecydowanie niezgodne z prawem.

Niewybaczalne. Ale rozwiązałoby tyle spraw...

- Deveril był podobno bardzo bogaty - kontynuowała. -

Kiedy uda się znaleźć jego testament, adwokat Luciena już się stara, żeby przynajmniej część pieniędzy

przypadła Clarissie. Jej rodzina niewątpliwie zagarnie

resztę. Dzięki temu przez jakiś czas nie będzie im

groziło więzienie za długi.

- I, chociaż niezbyt mi się spodobali, zrobią z nich lepszy użytek niż Deveril - dopowiedziała Blanche.

- A czemu miałyby trafić do kasy rządu, która jest bez dna? Regent kupiłby tylko jeszcze jedną czy dwie złote błyskotki.

Spojrzały na siebie, obie lekko przerażone tym planem.

- Czy to się da zrobić? - spytała Beth. Aktorka skinęła głową.

- Powiesz Lucienowi?

- Nie wiem - odparła Beth.

Rozległo się głośne pukanie do drzwi. Agnes pospiesznie przeszła przez hol.

- Mam przeczucie... - odezwała się Blanche.

- Ja też - przyznała Beth. Czuła, że nerwy zaczynają ją zawodzić.

Wszedł Lucien.

- Powinno się ciebie zamykać na klucz - zwrócił się do Beth. Ale mimo tych groźnych słów, nie mógł się powstrzymać,

Żeby się nie uśmiechnąć, więc ona też odpowiedziała mu uśmiechem. Ostatecznie minęły prawie dwie godziny, odkąd się rozstali.

Usiadł przy niej i wziął ją za rękę.

- Wyjaśnij mi, co ci znów strzeliło do głowy? Domagam się całej prawdy.

Chociaż się uśmiechał, Beth wiedziała, że nie żartował.

Pragnąc, by jej serce zaprzestało nerwowego tańca, pospiesznie przedstawiła mężowi zarysy swego planu.

- Mój Boże, kobieto! - wybuchnął. - Zmieniam swoje poglądy dotyczące bicia żon.

- Ha! - zakrzyknęła. - Wystarczy, że coś cię rozgniewa...

- Rozgniewa! Liczysz na to, że uratuję cię od stryczka!

Wiesz, że już wcześniej zdarzało się, że wieszano członków Izby Lordów. Mała pociecha, że przysługuje

im jedwabny sznur.

Beth popatrzyła na niego bez słowa. Po chwili usta mu drgnęły.

- To dość sprytny plan - stwierdził nieco spokojniej. -
Prawdę mówiąc, lepszy od planu Nicholasa.

- Nicholasa? - spytały obie kobiety.

- Właśnie od niego wracam. Po drodze wstąpiłem na
plac Marlborough - powiedział, zrobiwszy groźną minę -
gdzie odkryłem, że moja biedna, wyczerpana żona
odzyskała siły.

Beth tylko się do niego szelmowsko uśmiechnęła.

- A więc na czym polega plan Nicholasa? I dlaczego in-
teresuje go los Clarissy?

- Nie obchodzi go los Clarissy, ale ma swoje powody, by
pozbawić Deverila pieniędzy. Ponieważ wicehrabia
ukrył wszystko w swoim domu w stalowych skrzyniach,
postanowiliśmy tam pójść i je zabrać.

- Chcecie się włamać do domu! - wykrzyknęła Blanche.

-Wszyscy poszaleliście.

- Niezupełnie. W domu Deverila panuje zamieszanie w
związku z jego zniknięciem, a na ulicach daje się
zaobserwować rosnące podniecenie, albowiem wszyscy
świętują zwycięstwo. A propos zwycięstwa - zwrócił się
zirytowany do Beth - dlaczego akurat dziś postanowiłaś
się sama wybrać na spacer?

- Bo dziś jest dziś - odparła. - I pragnę zauważyć, że ca-
łe życie sama chodziłam po ulicach. I - nie dawała sobie
przerwać - ciekawa jestem, od jak dawna wy, wyrośnięte
sztubaki, przygotowujecie wasz plan i dlaczego ani
słówkiem mi o tym nie wspomniałeś?

- Wyrośnięte sztubaki! - Markiz jakoś przełknął tę znie-
wę i wyjaśnił: - Ta sprawa cię nie dotyczy, Beth. To
porachunki sprzed lat.

- Jak najbardziej mnie dotyczy, odkąd wyraziłam zanie-

pokojenie faktem, że Clarissa jest zmuszana do poślubienia tego człowieka. Ale ty wybiegłeś z pokoju, myśląc, że narzekam na naszą sytuację.

Zmarszczył czoło.

- Ach, wtedy. Przecież ani słówkiem nie wspomniałaś, kim jest kandydat na jej męża. Dopiero przedwczoraj dowiedziałem się, że chodzi o Deverila. I wówczas zrobiło mi się dziewczyny trochę żal.

Blanche, z zainteresowaniem przysłuchująca się tej sprzeczce, chrząknęła.

- Rozmawiamy o włamaniu, fałszerstwie i jeszcze paru przestępstwach kryminalnych - przypomniała im.

- No właśnie - powiedział Lucien, po czym zwrócił się do Beth: - Uważam, że powinniśmy się udać na ulicę Lauriston i przedstawić twój plan Nicholasowi, ale nie sądzę, żeby należało angażować Blanche więcej, niż to konieczne.

Beth wstała.

- Naturalnie, że nie. Przyszłam tu tylko dlatego, że nie miałam najmniejszego pojęcia, jak się zabrać do czegoś, co jest niezgodne z prawem, a pomyślałam, że być może Blanche to wie. - Zwróciła się do aktorki. - Wiesz?

- Nie z własnego doświadczenia - oświadczyła oschle aktorka. - Ale mam kilku przyjaciół, którzy nie są święci. Wśród nich, jak się okazuje, Luciena de Vaux. Markiz uśmiechnął się, nie okazując najmniejszej skruchy.

- I Hala Beaumonta. Jest u Nicholasa. - Zrobił perskie oko. - Może poszłabyś z nami?

Blanche znów się zaczerwieniła.

- Muszę się nauczyć roli na wieczór.

- Tchórz - dociął jej Lucien. Aktorka spojrzała na niego z furją.

Beth wstała i ucisnęła dłoń Białej Gołąbce.

- Wkrótce się zobaczymy, moja przyjaciółko.
- Nie! - zaprotestował Lucien.
- Kiedy zostanie panią Beaumont - powiedziała z mocą Beth.
- Czyli nigdy - odparła Blanche.

Beth tylko się roześmiała, patrząc na nich.

Kiedy dotarli do domu Delaneyów, okazało się, że jak zwykle był tam tłum ludzi. Eleanor wzniosła oczy do góry, ujrawszy Beth.

- Słyszałaś? Wszyscy poszaleli. Obawiam się, że zobaczę, jak razem zawisną na szubienicy.

- Wydaje mi się, że możemy zaproponować coś, co nie jest aż tak niebezpieczne - powiedziała Beth. Kiedy zdjęła kapelusz, spojrzała na Eleanor, ale nawet jeśli kobieta dostrzegła siniaka na jej twarzy, nie dała tego po sobie poznać.

Gdy usadzono ich w salonie, Lucien pozwolił Beth przedstawić jej plan. Mimo swej wiary w równouprawnienie była trochę zdenerwowana, wszak zwracała się do dużej grupy słuchaczy - sześciu członków Kompanii Hultajów, Petera Laveringa i krągłego mężczyzny, Toma Hollowaya.

Jednak kiedy skończyła mówić, wszyscy pochwalili jej pomysł.

- Podoba mi się - powiedział Nicholas. - Jest finezyjny, a lubię finezję. Jedyne niebezpieczeństwo może nam grozić podczas podrzucania testamentu do domu Deverila. Znam świetnego fałszerza, któremu można ufać.

- Potrzebna nam próbka pisma Deverila, Nick - wtrącił Tom Holloway. - I to szybko. Jeżeli testament zostanie odnaleziony w jego biurku zaraz po odkryciu zwłok, jest mniejsze prawdopodobieństwo, że ktoś go zakwestionuje, niż gdyby nagle się pojawił w jakiś czas

później.

- Zastanawiam się, czy Clarissa ma coś, co Deveril napisał własnoręcznie - odezwał się Lucien.

Beth wydała cichy okrzyk.

- Prawdopodobnie nie, ale ja mam!

- Co takiego? - spytał.

- Kiedy Clarissa przyszła do mnie pierwszy raz, przyniosła list, który wicehrabia do niej napisał. Była to raczej lista zasad, których musi przestrzegać jego żona. Coś strasznego. Zostawiła list, a ja zupełnie o nim zapomniałam. Włożyłam go między strony Samokontroli.

- Wielce niestosownie - stwierdził Lucien. - Prześlemy go i resztę zostawimy Nicholasowi. Oczywiście, jeśli nie ma nic przeciwko temu.

- Nic a nic - odparł Delaney.

- A co więcej - zauważyła Beth - z chwilą kiedy nasz plan się powiedzie, zyskamy pewność, że Clarissa nie zdradzi tajemnicy. Kosztowałoby ją to utratę majątku. Lucien spojrzał na żonę i pokręcił głową.

- Sprawiasz wrażenie, jakbyś pozbyła się wszelkich skrupułów - powiedział. - Szczególny przypadek galopującej deprawacji.

Beth nie mogła powstrzymać uśmiechu w związku ze wspomnieniami, jakie przywołały jego słowa.

Zauważyła, że markiz nabrał głęboko powietrza w płuca.

- Po zawarciu tego haniebnego paktu, Beth - powiedział pospiesznie - wracamy do siebie. Próbkę pisma niezwłocznie dostarczymy.

Nicholas i Eleanor odprowadzili ich do drzwi.

- Szalone przygody dobrze robią wam obojgu - stwierdził Nicholas, jednak Beth była pewna, że dostrzegł siny ślad na jej twarzy i wszystkiego się domyślił. Miał rację, że się nad tym nie rozwodził. Był to efekt

niepomyślnego zbiegu okoliczności, nic więcej.

- Generalnie chyba jednak wolę spokojne życie – wyznał Lucien. - Wczoraj umierałem sto razy, widząc Beth siedzącą naprzeciwko wycelowanego w nią pistoletu.

- Miłość może doprowadzić do zguby, prawda? - rzekł Delaney, obejmując żonę ramieniem.

- Ale na ogół jest taka, jak mówią - powiedział Lucien, przyciągając Beth do siebie. - Oczywiście z chwilą, kiedy człowiek pokona wszystkie przeszkody.

- Naprawdę tak trudno było ci mnie rozgryźć, Lucienie? - spytała Beth.

- Miałem absolutny mętlik w głowie - odparł, patrząc na nią czule.

Rozległo się głośnie pukanie.

Nicholas otworzył drzwi i jakiś chłopak wręczył mu gazetę.

- Najświeższe wiadomości - oznajmił gazeciarz i wybiegł, by dalej roznosić dodatek nadzwyczajny.

W jednej chwili spowaźnieli. Delaney rzucił okiem na gazetę, a potem na Beth i Luciena.

- Chcecie poznać najświeższe doniesienia?

- Naturalnie - odrzekł markiz.

Wrócili do salonu. Zapadła cisza. Nicholas rozłożył gazetę i przebiegł wzrokiem gęsto zadrukowaną stronę.

- Boże, co za lista - mruknął. - A najgorsze jest to, że na pewno nie jest pełna... - Zaczął czytać drobny druk, a potem urwał, jakby nie wierzył własnym oczom.

- Dare - powiedział po chwili.

Podał gazetę Halowi Beaumontowi, a sam podszedł do okna. Eleanor dołączyła do niego. Po chwili przyciągnął ją do siebie, a ona położyła mu głowę na ramieniu.

Beth spojrzała na Luciena. Jeszcze nigdy nie widziała go tak poważnym. Wyciągnęła rękę i ujęła jego dłoń. Mało знаła Debenhama. To on był tym niefrasobliwym

młodzieńcem, który próbował kiedyś skonstruować fontannę tryskającą szampanem. Pamiętała, jak tańczyła z nim na balu z okazji swych zaręczyn.

- Przykro mi - powiedziała cicho. Słowa te może nie były najodpowiedniejsze, ale nic innego nie przyszło jej do głowy.

Lucien uściskał jej dłoń.

- Kolejna ofiara. Tak bardzo chciał mieć w tym swój udział... - Spojrzał na Hala. - Czy jest więcej nazwisk?

- Dużo, dużo więcej - odparł Hal z ponurą miną. -

Bardzo mi przykro. Znałem wielu z nich. Nie widzę nazwiska Cona. -Przekazał gazetę Stephenowi Bellowi i ukrył twarz w dłoniach. Po chwili uniósł wzrok. - Jak myślisz... czy Blanche odprawi mnie z kwitkiem?

- Nie - powiedział Lucien. Hal wyszedł.

- Na liście nie ma Cona - potwierdził Stephen. - Ani Leandera. Simon i tak jest w Kanadzie. Jak powiedział Nicholas, lista prawdopodobnie jest niekompletna, ale można przynajmniej mieć nadzieję. - Przekazał gazetę Milesowi Cavanaghowi.

Delaney odszedł od okna i nalał wszystkim wina, nie ukrywając, że chce wznieść toast.

- Kompania Hukaj ów liczy teraz tylko dziewięciu członków - powiedział poważnie. Wzniósł kieliszek. - Za wszystkich poległych, by pozostali wiecznie młodzi w niebie. Za wszystkich rannych, by mieli dość sił i wyzdrowieli. Za wszystkich pogrążonych w smutku, by znów poczuli radość. I błagam, Boże -dodał cicho - by pewnego dnia skończyły się wojny.

Opróżnił kieliszek i roztrzaskał go o kominek. Pozostali poszli za jego przykładem, nawet Beth, chociaż była do głębi wstrząśnięta tym wszystkim.

Wkrótce razem z Lucieniem wymknęli się, by wrócić spacerkiem do domu. Na ulicach nadal panował radosny

nastrój, ale od czasu do czasu Beth widziała ludzi o poważnych minach.

- Może to nie koniec wojen w ogóle - powiedziała - ale to z pewnością koniec tej wojny.

- Powinienem tam być - odezwał się Lucien i znów zacytował słowa z Henryka V. - „Szlachta, dziś w Anglii w miękki śpiąca łożu, przekleństwem swoją nazwie nieobecność, a mało będzie herby swoje cenić...”*

**Przekład Leona Ulriha (przyp. tłum.).*

Nie dla chwały - dodał z westchnieniem. - Nie wiem, czy była jakaś chwała. Po prostu powinienem tam być.

Beth czuła się bezradna w obliczu jego smutku, miała wrażenie, że Lucien odgrodził się od niej. Kierując się instynktem, jak tylko znaleźli się w domu, zaproponowała:

- Chodźmy do moich pokoi.

Kiedy znaleźli się w buduarze, usiadła na kanapie i przyciągnęła męża do siebie.

- Opowiedz mi o nim.

Spełnił jej prośbę. Z zamkniętymi oczami, leżąc w jej ramionach, opowiedział jej całe dzieje Kompanii Hultajów.

o tym, jak Nicholas Delaney, już w wieku trzynastu lat objawiający cechy przywódcy, skrzyknął kilku chłopaków, by stworzyć towarzystwo wzajemnej pomocy, coś na wzór Rycerzy Okrągłego Stołu, dlatego ich kompania liczyła tylko dwunastu członków.

- Zdaje się, że chcieliśmy przybrać nazwę Złotych Rycerzy - rzekł Lucien z uśmiechem - ale Nick oświadczył, że nie mamy bronić słabych i niewinnych, tylko siebie samych.

I tak zostaliśmy Kompanią Hultajów. Nazwa ta była bardzo celna. Sposoby, jakich używaliśmy, żeby dotrzeć do...

Zaczął opisywać ich wyczyny - niektóre były tylko aktami zemsty za krzywdy wyrządzone któremuś z nich, ale wiele z nich było pomysłowymi figlami.

- Przestrzegaliśmy zasady - jestem pewien, że wymyślił ją Nick - że nie możemy wykorzystywać naszej organizacji, by unikać słusznej kary. Pamiętam, jak nam mówił, że trzeba się nauczyć nie dać się przyłapać, ale jeśli już ktoś wpadł, musiał wypić piwo, którego nawarzył. Boże, kiedy sobie przypomnę niektóre chłosty... Myślisz, że dzięki temu zostaliśmy dzielnymi żołnierzami?

Beth pogłaskała go po głowie.

- Nie wiem, najdroższy.

- Dare... Dare potrafił z uśmiechem znieść najcięższe baty. Potem wył z bólu, ale podczas wymierzania kary z jego twarzy nie schodził głupkowaty uśmiech.

Doprowadzało to nauczycieli do szału. Przypuszczam, że uśmiechał się... -

Umilkł. - Zostało nas teraz dziewięciu, zakładając, że Co-nowi nic nie jest. Allan Ingram prosto po Harrow wstąpił do marynarki za przykładem swego ojca. Zginął trzy lata temu podczas walki z okrętem jankesów. Roger Merryhew zmarł w wyniku ran odniesionych pod Coruną. Leander -lord Haybridge - służy w gwardii. Z pewnością brał udział w bitwie pod Waterloo.

- Na liście nie było jego nazwiska - przypomniała mu Beth.

- Listy nie są pełne, właściwie nie uwzględniają również rannych. Mógł stracić rękę, oślepnąć...

Umilkli. Beth zaczęła rozmyślać nad żołnierzkiem-zabawką. Eleanor powtórzyła jej słowa Nicholasa, że nie ma powodu, by jego córka nie wyrosła na żołnierza. Nie ulegało wątpliwości, że Nicholas Delaney nie lubił wojny, więc dlaczego powiedział coś takiego? Ponieważ

wynikało to z zasady równouprawnienia płci, w którą najwyraźniej wierzył. Beth aż przeszedł dreszcz, kiedy uświadomiła sobie tę konsekwencję walki o prawa kobiet, o której ani słowem nie wspominała Mary Wollstonecraft.

Lucien usiadł prosto i ukrył twarz w dłoniach.

- Wybacz, Beth, ale chyba chciałbym wrócić na ulicę Lauriston. Pomijając wszystko inne, należy się zająć sprawą Deverila. Nie będziesz miała nic przeciwko temu?

- Naturalnie, że nie. - Rozumiała, że członkowie Kompanii chcą być razem. Odnalazła list Deverila i dała go markizowi. Ale potem stwierdziła, że nie chce zostać w domu sama. Trochę niepewnie spytała:

- Mogę pójść z tobą?

- Naturalnie. Dzięki małżeństwu też stałaś się członkiem naszej organizacji, poza tym to twój plan.

W domu Delaneyów sytuacja wróciła do normy, może tylko wszyscy byli poważniejsi niż zazwyczaj. Nie widać było nigdzie Eleanor. Nicholas, Francis, Miles, Stephen i Peter siedzieli przy stole i rozmawiali o swych planach. Nicholas uśmiechnął się na ich widok. Beth pomyślała, że to znaczące, iż na rękę trzymał śpiącą córeczkę. Uważała, że Arabel jest magicznym kluczem do szczęścia w tym domu.

- Macie list? Świetnie. Zaniosę go do mojego zdolnego przyjaciela, a potem będziemy musieli jedynie stoczyć walkę, komu przypadnie zaszczyt włamania się do domu Deverila.

Miles Cavanagh, rudowłosy Irlandczyk, oznajmił:

- Uważam, że na wstępie powinniśmy wykluczyć żonatych. Peter Laving spojrzał na niego z ukosa.

- Uważam, że powinniśmy wykluczyć cudzoziemców. Oczy Irlandczyka zabłyśły.

- Och, gdyby Irlandia była niepodległym krajem...

- Żadnej polityki dziś, proszę - przerwał im Stephen Bell. - Mam dość kwestii irlandzkiej w Parlamencie. Głos zabrał Nicholas.

- Ponieważ Amy lada dzień spodziewa się rozwiązania, nie możemy cię w nic angażować, Peter. Poza tym - dodał - nie należysz do naszej organizacji. Peter zrobił wojowniczą minę.

- To nie moja wina, że moja rodzina zawsze wyjeżdża do Winchester.

Delaney uśmiechnął się przepaszająco.

- Przykro mi. Jesteś naturalnie członkiem honorowym. Ale i tak jesteś wyłączony z udziału w tej akcji. Nie było mnie przy narodzinach Arabel, co uważam za wielki błąd. Stephen, ty też z nami nie pójdziesz. Jeśli coś się nie uda, możemy potrzebować twoich wpływów...

Eleanor wsunęła głowę do pokoju.

- Uwaga, służba!

Po chwili weszli Hollygirt i pokojówka, niosąc zimną kolację, herbatę i piwo. Po wyjściu służących, gdy wszyscy nałożyli sobie jedzenie, podjęto przerwana dyskusję.

- Jeśli mnie nie wolno - powiedział sir Stephen - w takim razie uważam, że Francis też powinien być wyłączony. Jest członkiem Izby Lordów, chociaż rzadko korzysta z tego przywileju.

- Zamknij się, Steve - rzucił lord Middlethorpe. Nicholas pokręcił głową.

- Potrzebna nam tylko jedna osoba do podrzucenia testamentu. Reszta stać będzie na straży lub odwracać uwagę... - Urwał na odgłos kołatki.

Po chwili otworzyły się drzwi i Hal wprowadził do pokoju Blanche, Wyraźnie była spięta i skrepowana. - Nalegał, żebym przyszła - tłumaczyła się.

Eleanor podeszła do niej.

- Pani musi być panią Hardcastle. Jest pani bardzo mile widziana.

- Tak jest - potwierdził Nicholas. - Proszę usiąść razem z nami.

Hal i oszołomiona Biała Gołąbka wkrótce zajęli miejsca przy stole. Blanche spojrzała na Delaneya i lekko zmarszczyła czoło.

- Już się kiedyś spotkaliśmy, nie licząc ostatniego wieczoru - powiedziała. - Jakiś rok temu. - Było w tym stwierdzeniu coś niepokojącego. Brzmiało ono niemal jak wyzwanie.

- Zgadza się - przyznał swobodnie Nicholas. - Byłem z Therese Bellaire.

Blanche spojrzała na Eleanor, a ta się uśmiechnęła.

- W porządku, pani Hardcastle, wszystko o tym wiem. Aktorka uniosła brwi.

- Niezupełnie - powiedział sucho Nicholas. Eleanor zrobiła zaskoczoną minę.

Beth przyglądała się im, zastanawiając się, o co tu chodzi. Hal zwrócił się do wszystkich obecnych.

- Nie dawały jej spokoju te dziwne pomysły, więc pomyślałem, że lepiej będzie, jak tu przyjdzie i zrzuci ciężar z serca. Zresztą może nam też pomóc.

Blanche się zarumieniła, ale rezolutnie spojrzała na Delaneya.

- Był pan również z Deverilem.

Teraz z kolei Beth utkwiała wzrok w Nicholasie. Trudniej było sobie wyobrazić bardziej nieprawdopodobną znajomość.

- Niezupełnie - odparł Delaney. - To raczej on był z Therese, podobnie jak ja. Z całą pewnością nie byłem z nim.

- I tak dziwne towarzystwo.

- Pani też tam była.

- To był błąd. Szybko wyszłam.
- A ja zostałem do rana. - Powiedział to grobowym głosem, a potem spojrzał na córeczkę i delikatnie pogłaskał ją po kręconych włoskach. - Uważa pani, że moje dawne błędy przekreślają mój udział w tym przedsięwzięciu? - spytaj, znów podnosząc wzrok. - Wprost przeciwnie.
Blanche przez chwilę przyglądała mu się badawczo, a potem skinęła głową.
- Rozumiem. Bardzo dobrze. Jak mogę pomóc?
Beth nie miała zielonego pojęcia, czego dotyczyła ta rozmowa, a ujrzawszy kamienne oblicze Luciena, przypuszczała, że nigdy się tego nie dowie. Jednak rok temu Eleanor musiała być w ciąży z Arabel. Wydawało się nieprawdopodobieństwem, by Nicholas Delaney zadawał się w tym czasie z kobietą lekkich obyczajów, szczególnie taką, która zaliczała do swych bliskich przyjaciół lorda Deverila.
Eleanor nie wyglądała na zaniepokojoną tym wszystkim, a Nicholas wrócił do poprzedniej dyskusji.
- Czy dziś wieczorem występuje pani na scenie? - spytał Blanche.
- Nie.
- Powiedziałaś, że musisz się nauczyć roli na dzisiejszy wieczór - wtrącił Lucien, uśmiechając się kpiąco.
- Skłamałam - odrzekła Biała Gołąbka zuchwale, a potem zwróciła się do Delaneya: - Co mogę zrobić?
Uśmiechnął się.
- Czy potrafi pani zagrać zwykłą ulicznicę? Blanche wyszczerzyła zęby w uśmiechu.
- To trudne - odparła - ale ostatecznie jestem aktorką.
Co mam zrobić?
- Odwrócić uwagę. Zachichotała.
- Chyba dam radę.

Beth zebrała w sobie całą odwagę.

- Ja też chcę wziąć w tym udział - oświadczyła. - Z pewnością lepsze są dwie ulicznice niż jedna.

- Po moim trupie! - wykrzyknął Lucien.

- To się da załatwić - odparła Beth.

Lucien otworzył usta i głęboko zaczerpnął powietrza.

- To wykluczone, Beth - powiedział spokojniejszym tonem. - Nie jesteś aktorką.

- Zawsze bardzo dobrze sobie radziłam podczas szkolnych przedstawień teatralnych.

- To zupełnie co innego. Beth spojrzała na niego zimno.

- Lucienie de Vaux, albo zakładasz, że jestem zbyt delikatną istotą, by wziąć udział w tej awanturze, albo uważasz Blanche za kobietę, którą można narażać na ryzyko. A więc słucham.

Tak się akurat złożyło, że markiz siedział między Beth i Blanche. Spojrzał na jedną, potem na drugą, w końcu ukrył twarz w dłoniach.

- Nie wierzę, że to się dzieje naprawdę.

Rozległ się śmiech, ale Beth widziała, że niektórzy mężczyźni byli wstrząśnięci jej zachowaniem. Jednak

Nicholas powiedział:

- Jeśli masz ochotę, Beth, proszę bardzo. A ty, Eleanor? Eleanor zrobiła okrągłe oczy.

- Czy uznasz mnie za bardzo bojaźliwą, jeśli powiem „nie”?

- Skądże znowu. - Spojrzał na Blanche i Beth. - Jeśli nie chcemy, żeby zakwestionowano testament Deverila, w jego domu nie może wydarzyć się nic szczególnego. Najprawdopodobniej nadal przebywa tam kilku jego ludzi. Jeśli będziemy mieli szczęście, wykorzystają jego nieobecność, by wyjść i się zabawić. Z drugiej strony, Deveril był surowym panem, który hojnie płacił, ale wymagał ślepego posłuszeństwa, więc nie możemy na to

liczyć. Miał zwyczaj sprowadzania kobiet dla siebie i swych ludzi. Pojawicie się w tym charakterze i odwróćcie ich uwagę. Powinno wystarczyć kilka minut.

- Jak mamy stamtąd wyjść bez wzbudzania podejrzeń? - spytała Blanche.

- Pojawią się wasi opiekunowie i was zabiorą. Rozumiecie, działaliście na własną rękę i pozbawiłyście ich należnej im doli.

Lucien spojrział ponuro.

- W takim razie ja będę jednym z nich.

- Naturalnie. I Miles.

- Czy ten mały najazd nie wyda się podejrzany, w razie gdyby sprawdzano autentyczność testamentu?

- To mało prawdopodobne. Scenariusz ma wszelkie cechy prawdopodobieństwa i jeśli dopisze nam szczęście, mężczyźni uciekną, jak tylko zostaną odnalezione zwłoki Deverila. Doskonałość twojego planu polega na tym, Beth, że nikt nie ma specjalnego powodu, by cokolwiek podważać. Zresztą, na wypadek gdyby zaczęto zadawać pytania, kobiety lekkich obyczajów ani na chwilę nie wejdą na wyższe piętra domu. Staramy się tu jedynie uniknąć trupów i jawnego włamania.

Nicholas spojrział na Francisa i Hala.

- Warn dwóm przypadnie nudne zadanie kręcenia się w pobliżu, by w razie potrzeby przyjść z pomocą.

Nie byli specjalnie zachwyceni tym, że zostali pozbawieni aktywnego udziału, ale wyrazili zgodę.

Delaney zwrócił się do Luciena i Milesa.

- Wszyscy się przebierzemy za prostych ludzi. Zdobęde ubrania. Spotkamy się u Toma Hollowaya, żeby się przebrać, ale postarajcie się tam pojawić tak, by nie zwrócić na siebie niczyjej uwagi. Szczególnie ty, Luce, masz skłonności do błyszczenia.

- Jak możesz tak mówić - zaproponował markiz - skoro uważasz, że mam zły gust? - Rzucił spojrzenie na swoją dawną przyjaciółkę i obecną żonę.

Beth zachichotała.

- O której godzinie? - spytał Miles.

- Spotkamy się o dziewiątej. Będzie zapadał zmrok, ulice powinny być pełne ludzi spontanicznie świętujących zwycięstwo. - Spojrzał na Beth i Blanche. - Postarajcie się, żeby nikt was nie rozpoznał. Wolałbym uniknąć rozlewu krwi.

Beth była zaskoczona, jak łatwo uwierzyła w to, że w razie konieczności był zdolny do zabicia człowieka.

Zacząła żałować, że się zgłosiła na ochotniczkę, ale teraz było już za późno, żeby się wycofać.

Blanche skinęła głową.

- Wezmę z teatru peruki i kosmetyki. Czy jeszcze coś będzie nam potrzebne?

Podczas całej dyskusji Lucien zachowywał milczenie, co nie umknęło uwadze Beth. Jeśli był aż tak niezadowolony, czemu nie zaprotestował bardziej zdecydowanie? Co by zrobiła, gdyby ostrzej się sprzeciwił?

Wkrótce lady i lord Arden znów szli spacerkiem na plac Marlborough. Lucien milczał, a Beth nie próbowała zagać rozmowy. Jednak mąż poszedł za nią do buduaru. Spojrzała na niego nerwowo. Nie był zły, ale nie był też zadowolony. Przesunął dłonią po włosach.

- Chciałbym, żeby mi pozwolono dbać o twoje bezpieczeństwo - powiedział.

Beth spojrzała mu prosto w oczy.

- Lucienie, nie mogę żyć w złotej klatce.

- Jest dużo możliwości do wyboru między złotą klatką a ulicą - rzucił gniewnie. - A tam się dziś wybierasz.

Pamiętasz kompanów Deverila. Co będzie, jeśli coś

pójdzie nie tak? Może minąć trochę czasu, nim będziemy mogli po was przyjść.

Beth właściwie nie zastanawiała się nad tym. Przełknęła głośno ślinę, chociaż zdecydowana była bronić swej decyzji.

- To nie fair prosić Blanche o zrobienie czegoś, o zrobienie czego nigdy nie zwróciłbyś się do mnie.

- Na litość boską, Blanche jest aktorką! - wybuchnął. - Jest wyjątkowa i kocham ją - oczywiście teraz wyłącznie platonicznie - ale dostała się do Londynu, sypiając z wpływowymi mężczyznami i w ten sam sposób zdobyła angaż w teatrze. Widziała i robiła rzeczy, których nawet nie potrafisz sobie wyobrazić!

- Niewątpliwie z tobą - odparowała Beth.

- Owszem, czasami!

- Jestem pewna, że w porównaniu z nią jestem bardzo nudna w łóżku! Jestem pewna, że dziś wieczorem wolałbyś zabawić się z nią, a mnie zostawić bezpiecznie tutaj, w domu, żebym haftowała!

-Tak!

Beth stwierdziła, że ma ochotę go uderzyć i zacisnęła pięści.

- Niedoczekanie twoje!

Spojrzał na nią roziskrzonym wzrokiem.

- Świetnie. Tylko pamiętaj, że cię ostrzegałem! - Powiedziawszy to, wypadł z pokoju i głośno trzasnął za sobą drzwiami.

23

Beth z przerażeniem zasłoniła usta. Chciał, żeby się pokłócili, i dopiął swego. Jednak ani przez chwilę nie sprawiał wrażenia, jakby miał ochotę ją uderzyć. Ale, na Boga, był zły i bardzo się o nią bał. Czyżby okazała się skończoną idiotką?

Jednak nie widziała powodu, dla którego Blanche miała-

by się narażać na ryzyko, podczas gdy ona siedziałaby w bezpiecznym ukryciu. Poza tym bardzo chciała wziąć udział w realizacji swego planu. Ufała Nicholasowi Delaneyowi.

Co prawda Eleanor odmówiła udziału w całej tej awanturze. Potem przypomniała sobie tę dziwną wymianę zdań między Blanche i Nicholasem. Kiedyś był bliskim przyjacielem Deverila...

O, Boże, znalazła się w niezłych tarapatkach, ale teraz nie mogła się już wycofać.

Tamtego wieczoru Beth po raz pierwszy od wielu dni zeszła na dół, by zjeść kolację z księciem i księżną. Zastała tam też Luciena. Traktował ją z taką samą chłodną uprzejmością, jak przed ślubem.

Księżna i książę jakby niczego nie zauważyli.

- Wyglądasz znacznie lepiej, Elizabeth - oświadczyła księżna. - Ale chyba masz sińca na twarzy?

- Uderzyłam się o stół, maman - odparła Beth. - To drobniaczek.

- Musisz bardziej uważać, ma chere. Czyi to nie dobra wiadomość o bitwie? Może moja biedna Francja w końcu zazna pokoju.

Przy posiłku rozmawiano wyłącznie o bitwie. Lucien włączył się do rozmowy, ale ani jednym słowem nie wspomniał o lordzie Dariusie czy swych innych kolegach. Beth stwierdziła, że nienawidzi tej jego dwornej kurtuazji.

Po kolacji książę i księżna wybierali się na jakieś spotkanie. Lucien i Beth oświadczyli, że spędzą wieczór w domu. Księżna uznała to za bardzo romantyczne.

Lucien odprowadził żonę do jej pokoi.

- Ubierz się zwyczajnie, będę ci towarzyszył.

Beth zmarszczyła czoło, słysząc jego oziębły ton, ale udała się do gotowalni, by przebrać się w najciemniejszą

ze swych dawnych sukni. Kiedy była już ubrana, weszła do gotowalni markiza, zapukawszy tylko raz. Był nagi do pasa, właśnie miał włożyć koszulę. Beth spojrzała tęsknie na jego wspaniały tors i pomyślała, jak cudownie mogliby spędzić ten wieczór. Ale nie, on i tak by wyszedł.

- Jakby ci się spodobało, gdybym bez uprzedzenia wszedł do twojej gotowalni? - spytał, wkładając koszulę przez głowę.

- Nie przeszkadzałoby mi to.

Coś ciepłego błysnęło w jego oczach, ale szybko to ukrył. Jednak Beth podniosło to na duchu. Nie był taki chłodny, jak udawał. Podeszła, by podać mu surdut.

- Chyba zbyt elegancki, nie sądzisz?

- W przeciwieństwie do ciebie - odparł - nie mam żadnych plebejskich ubrań. Musimy mieć nadzieję, że każdy, kto nas zobaczy, weźmie mnie za eleganta, który wybrał się na spacer z pokojówką.

- Lucienie - powiedziała Beth - to naprawdę jest nie w porządku.

Spojrzał na nią.

- Słucham?

- Nie uderzyłeś mnie, ale i tak karzesz mnie, nie robiąc tego, na co masz naprawdę ochotę.

Odwrócił się, żeby zawiązać krawat.

- Czy mam udawać i nie reagować na głupie pomysły, które się lęgną w twojej nazbyt wyedukowanej głowie?

- Wolnego - przerwała mu Beth, znów wpadając w gniew; - Jak ktokolwiek może być nazbyt wyedukowany?

Odwrócił się, by na nią spojrzeć.

- Bardzo dobrze. Niedouczonej. Co niewątpliwie dziś wieczorem zostanie naprawione.

Beth westchnęła.

- Mój drogi, mam prawo popełniać błędy.

- Naprawdę? - spytał zimno i znów odwrócił się do lustra. Kilkoma zręcznymi ruchami dokończył elegancki węzeł. - Mogłabyś pomyśleć o tych, którzy przez to cierpią. Nie wstąpiłem do wojska, ponieważ moja śmierć oznaczałaby koniec naszego rodu, przynajmniej w świetle prawa. Twoja śmierć byłaby równie brzemienna w skutki.

- Nie sądzę, żeby nam groziło jakiegokolwiek niebezpieczeństwo. A jeśli nawet, to ty dziś wieczorem ryzykujesz życie. Nie chcesz, bym brała udział w czymkolwiek, co jest nieprzyjemne.

Westchnął i spojrzał na nią, a potem przyciągnął brutalnie do siebie.

- Masz rację. Nie chcę, żebyś miała coś wspólnego z czymkolwiek nieprzyjemnym. Nie chcę, żeby jakikolwiek inny mężczyzna cię dotykał, nawet przez chwilę. Nie rób tego, Beth.

Przytuliła się do niego. Małżeństwo to dziwna instytucja. Oznacza niekończące się kompromisy.

- Chcę pójść - powiedziała w końcu. - Ale jeśli Blanche sama sobie poradzi, pozwolę jej na to.

Odsunął ją trochę, by się jej przyjrzeć uważnie.

- Obiecujesz?

- Obiecuję. Uśmiechnął się.

- Dziękuję. Przyznaję się, że też nie chciałbym, żeby mnie to ominęło. - Pocałował ją żarliwie. - Muszę także przyznać, że jestem okropnie ciekawy, jak będziesz wyglądała w roli ulicznicy.

Później, kiedy spojrzała na siebie w lustrze w zaimprovizowanej garderobie Blanche w mieszkaniu Toma Hollowaya, ogarnęły ją wątpliwości. Była pewna, że Lucien znów się naburmuszy. Ciotka Emma z pewnością dostałaby spazmów, gdyby ją teraz zobaczyła.

Na ramiona opadały jej miedziane loki, twarz miała tak

mocno wypacykowaną, że nie było obawy, by ktokolwiek zobaczył siniaka na policzku. Spódnica sięgała jej do połowy łydek, a góra była tak wydekoltowana, że ledwo zakrywała piersi.

- Wielki Boże - mruknęła.

Blanche, która miała na sobie jeszcze szlafrok i dopiero zaczynała nakładać makijaż, uśmiechnęła się.

- Ogarnęła cię trema?

- Trochę.

- Nie musisz iść. Sama sobie poradzę. Przypomniawszy sobie Deverila, Beth pozbyła się wątpliwości.

2 Muszę to zrobić.

Aktorka uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

- Blanche - zapytała Beth - co to za historia z Nicholasem Delaneyem?

Biała Gołąbka spojrzała na nią spod mocno uczernionych brwi i rzęs. Wyglądała wulgarnie albo bardzo ponętnie.

- Nie wiem.

- Ale naprawdę widziałaś go z ulicznicą?

- Tak. - Blanche powiększyła sobie usta szminką.

- Musiał być wtedy żonaty.

- Przypuszczam, że tak.

- Czy okazuję niezdrową ciekawość? - spytała Beth.

Blanche się uśmiechnęła.

- Tak. Nieodparta pokusa, prawda?

Beth nie mogła się powstrzymać, by nie zadać jeszcze kilku pytań.

- Powiedz mi tylko, czy Lucien też tam był i dlaczego wyszłaś?

Aktorka przyjrzała się swojej twarzy, a potem nałożyła na policzki jeszcze trochę różu.

- Nie, Luciena tam nie było. Wyjechał z miasta. Myślałam, że to zwykłe spotkanie towarzyskie półświatka.

Okazało się, że to ballum runcum.

- Cóż to takiego, na Boga?

- Bał golasów - wyjaśniła Blanche. - Przynajmniej kobiety były nago. Większość mężczyzn przez większość wieczoru była w ubraniu.

Beth utkwiała wzrok w Blanche. Trudno jej było nawet wyobrazić sobie coś takiego.

- Jesteś po stronie Luciena, prawda? Uważasz, że nie powinnam tam z tobą pójść?

Biała Gołąbka odwróciła się do niej.

- Uważam, że masz pełne prawo sama podejmować decyzje, ale jeśli wkroczysz w ten świat, Beth, nawet na jeden wieczór, nie myśl, że to zabawa.

Beth spojrzała na siebie w lustrze i z niedowierzaniem wróciła myślami do dni, kiedy toczyła boje o włożenie czepka. Ale nie zamierzała się teraz wycofać.

Przypuszczała, że będzie to dla niej cenne doświadczenie.

Kiedy rezolutnie zwróciła się w stronę drzwi, Blanche powiedziała:

- Zuch dziewczyna.

Na jej widok Lucien na chwilę zasłonił oczy, potem złapał ją i przyciągnął do siebie.

- Ile za wieczór figli, Molly? - Oczy mu się śmiały, nie był więc zły. - Chodź, uważam, że powinnaś się wczuć w rolę.

- Policz mu przynajmniej dziesięć gwinei, mała - powiedziała Blanche z silnym akcentem. Beth spojrzała na Białą Gołąbkę i aż jej zaparło dech.

Wysoko upięta, ciemna peruka i ostry makijaż były wyzywające, a suknia była wprost wyuzdana. Aktorka ścisnęła się gorsetem tak, żeby wypchnąć swoje pełne piersi jak najwyżej, a stanik miała prawie przezroczysty. Brodawki pomalowała sobie na czerwono. Wcale nie

przypominała eterycznej Białej Gołąbki.

Hal Beaumont zaczerpnął głęboko powietrza i podszedł do niej.

- Czy ty też sobie tyle liczysz, bezwstydną ładacznico?

Blanche położyła rękę na biodrze i jakimś sposobem udało jej się jeszcze bardziej wypiąć piersi.

- Dostaniesz zniżkę, żołnierzyku.

- Zgoda - powiedział i ujął Blanche pod brodę, by ją pocałować.

Beth ukryła twarz w surducie Luciena.

- Czy to będzie okropny precedens, jeśli przyznam, że miałeś rację?

Objął ją mocno.

- Obiecuję, że nie będę ci dokuczał. Chcesz wrócić do domu? Beth odzyskała odwagę.

- Nie. Ale jeśli będę się ciebie trzymała, nie miej do mnie pretensji.

Lucien, Nicholas, Miles i Tom Holloway włożyli przybrudzone ubrania z ratyny, wysmarowali sobie twarze.

Wytłuszcili sobie też włosy, a Lucien, który nie tracił nic ze swej arystokratycznej elegancji bez względu na to, jak bardzo się starał, włożył również sfatygowany kapelusz o szerokim rondzie, które opadało mu na twarz.

Wszyscy byli we wspaniałych humorach, aż drżeli z podniecenia. Wyrośnięte sztubaki, pomyślała Beth, ale ich entuzjazm udzielił się i jej. Kiedy znalazła się na ulicy, poczuła się jak aktorka, która wyszła na scenę.

- Myślę, że to łatwiejsze, niż grać markizę - powiedziała zuchwale do Luciena.

- Pamiętaj tylko, że to nie twoje prawdziwe powołanie.

- Trochę bardziej kręć biodrami - poradziła cicho Blanche. - Idziesz jak zakonnica.

Beth przyjrzała się uważnie aktorce i zaczęła tak samo poruszać biodrami jak ona, stąpała lekko, dla większego

efektu poruszając również ramionami.

- Ej, ślicznotko! - zawołał zwyczajnie odziany przechodzień. - Chciałabyś się znaleźć w lepszym towarzystwie od tego, w którym teraz jesteś?

Beth mrugnęła przez ramię do mężczyzny. Lucien przyciągnął ją do siebie.

- Wynocha stąd - warknął do mężczyzny, wymachując mu pięścią. Nieznajomy pospiesznie poszedł w swoją stronę.

Nicholas mało nie skonał ze śmiechu.

- Panowie, to poważne przedsięwzięcie. Beth, możesz wyjść na ulicę i grać ladacznicę kiedy indziej. - Ujął markizę z drugiej strony. Blanche szła między Milesem i Tomem Hollowayem, bo Hal, acz niechętnie, odłączył się od nich, by razem z Francisem grać swoją rolę przed domem Deverila.

Tak jak się spodziewali, ulice już zaczął zapełniać wesoły tłum świętujących zwycięstwo. Alkohol lał się obficie, ale wszyscy zachowywali się jeszcze spokojnie. Beth nigdy w życiu nie przeżywała nic podobnego, a czując się bezpieczna między Nicholasem i Lucienem, rozkoszowała się panującą atmosferą. Kiedy tłum zaczął śpiewać Boże, chroń króla, z radością się przyłączyła. Roześmiała się głośno do Luciena. Uśmiechnął się do niej, porwał ją w ramiona i pocałował siarczyście. Tłum zaczął krzyczeć i gwizdać na ich widok. Beth zakręciło się w głowie i bardzo żałowała, że nie znajduje się teraz z markizem w bardziej ustronnym miejscu.

Kiedy dotarli do placu Grosvenor, tłumy się przerzedziły. Na początku roku miały tu miejsce rozruchy w związku z uchwaleniem niepopularnych ustaw zbożowych, ale dziś biedota nie miała powodów do niezadowolenia, do oblegania domów nielubianych ministrów i tłuczenia szyb w oknach.

W pobliżu domu Deverila minęli Hala i Francis, wyglądających w każdym calu jak dżentelmeni czekający na przyjaciela lub dorożkę. Kiedy przechodzili, Francis pokazał dwa palce. Oznaczało to, że jego zdaniem w ciemnym domu jest dwóch mężczyzn.

Poszli dalej, do ulicy Upper Brook, gdzie Miles wynajmował pokoje, a potem skręcili w alejkę prowadzącą do stajni Blackmana, znajdujących się na tyłach domu Deverila. Była ciemna i śliska.

Nicholas prowadził ich tak, jakby miał w głowie plan okolic; zatrzymał się przy drodze wiodącej do domu.

- Dobra - powiedział. - Blanche, ty idź przodem i spróbuj się dostać do środka. Na pewno będą ostrożni z otwieraniem drzwi - Deveril był surowym panem, a nie wiedzą o jego śmierci - ale ciebie dość szybko wpuszczą. Staraj się odwrócić ich uwagę i rób dużo hałasu.

Wdrapię się na dach pomywalni i spróbuję wejść przez okno do pokoju na piętrze. Nie powinno mi to zająć więcej niż minutę, dwie. Lucien i Miles będą czuwali w pobliżu kuchni, a Tom razem z Beth będzie obserwował, co się dzieje tutaj. W porządku? Beth zebrała całą odwagę i odsunęła się od Luciena.

- Uważam, że też powinnam pójść. - Nie zważając na protesty męża, ciągnęła: - O wiele łatwiej sobie poradzicie, gdy wypadną dwie ladacznice na dwóch, a zresztą to tylko kwestia kilku minut. Proszę, Lucienie! Markiz westchnął.

- Pragniesz za wszelką cenę, by część chwały spadła na ciebie, prawda? W takim razie idź.

Beth doceniła jego poświęcenie i uściskała go. Potem ruszyła za Blanche do drzwi kuchennych; Lucien i Miles skradali się za nimi.

- W razie potrzeby wzywajcie głośno pomocy - szepnął Lucien. Następnie razem z Milesem usunęli się na bok,

by się ukryć.

Blanche i Beth zajrzały przez okno do kuchni w suterenie. Przy stole siedziało dwóch mężczyzn i grało zatłuszczonymi kartami, popijając wino.

- Gdy kota nie ma... - mruknęła Blanche. - Przynajmniej nie widać broni. Gotowa?

Mężczyźni wyglądali prostacko i byli brudni, przypominali Beth tamtych dwóch, którzy towarzyszyli Deverilowi, ale skinęła głową zdecydowanie.

Blanche zeszła po stopniach i zapukała. Usłyszały szcęk odsuwanej zasuwki, a potem drzwi nieco się uchylły i przez szparę zobaczyły brodacza z pistoletem w ręku. Nie był jednym z grających w karty. Czyli, że było ich trzech.

- Czego? - burknął.

- No, no - powiedziała Blanche z silnym akcentem - czy tak się wita damę? Mam ochotę też spróbować tego wina, kochasiu.

Mężczyzna uspokoił się i otworzył drzwi nieco szerzej, ale; jednocześnie ostrożnie wyjrzał, czy ktoś nie stoi za kobietami, j

- Skąd się tu wzięłaś, mój aniele?

- Oczywiście z nieba - odparła Blanche. - Twój pan zamówił nas dla was na kolację, przystojniaczku.

Mężczyzna błysnął oczami.

- Jego lordowska mość? Widziałaś go?

- Nie dalej, jak wczoraj, kochasiu. Słuchaj no - powiedziała stanowczo i odeła usta - wpuścisz nas czy nie? Dziś w nocy można złapać i inne ryby, chyba wiesz. Prawdę mówiąc, uważam, że powinniśmy dołączyć do bawiących się na ulicy.

- Nie mogę, złotko - rzekł mężczyzna, a potem dodał z uśmiechem: - Ale wy z pewnością potraficie umilić czas.

- Szeroko otworzył drzwi. - Wejdźcie. Hej, chłopaki,

zobaczcie, kogo nam przysłał jego lordowska mość!
Dwaj mężczyźni rzucili karty.

- Kojący widok dla zmęczonych oczu - odezwał się jeden, prawie bezzębny. Wzrokiem niemal rozbierał obie kobiety.

- Masz rację - rzucił drugi, błyskając wielkimi, żółtymi zębami.

Beth nie była w stanie się poruszyć. Blanche podeszła do stołu, gracze patrzyli na nią jak zahipnotyzowani.

- Jaka ze mnie szczęściara - zamruczała z zadowoleniem - że takie wspaniałe zuchy się do mnie uśmiechają.

Beth zebrała się w sobie, szybko weszła do kuchni i zamknęła za sobą drzwi. Trzeci mężczyzna odwrócił się i popatrzył na nią obłeśnie, odłożywszy broń. Tak, jak miała nadzieję, zapomniał z powrotem zasunąć zasuwę. Lucien będzie mógł dostać się do środka, gdyby sprawy przybrały zły obrót.

Uśmiechnęła się do brodacza, chociaż bała się, że wypadło to trochę sztucznie.

- Witaj, kochasiu.

Wyciągnął rękę, by ją złapać, ale odsunęła się.

- Czy nie dostanę trochę wina, przystojniaczku? I tak ją złapał.

- Musisz za niego zapłacić całusem - powiedział.

Usta miał obwisłe i zaślinione, oddech kwaśny. Beth była pewna, że nie był tak obłeśny, jak lord Deveril, ale świetnie rozumiała, dlaczego Clarissa zwymiotowała śniadanie. Nakazała swemu żołądkowi, by przestał się buntować, i wygięła się, jakby pocałunek sprawiał jej przyjemność. Miała nadzieję, że Lucien tego nie widzi, bo chyba by zabił brodacza.

Kiedy mężczyzna przestał ją całować, zachichotał.

- Z ciebie prawdziwe pieprzne danie, moja mała dzierlatko. Chodź no tu i napij się wina. Dużo go jeszcze

zostało. -Objął ją ramieniem i przyciągnął do stołu, gdzie Blanche zręcznie napuszczała jednego mężczyznę przeciwko drugiemu, robiąc przy tym wiele hałasu. Czy Nicholas był już w środku? Grając swoją rolę, Beth potknęła się i przewróciła taboret. Jej towarzysz przytrzymał ją.

- Widzę, że już nieźle sobie popiłaś, co? - Rzucił jej butelkę. - Masz, uracz się jeszcze.

Musiały grać na zwłokę.

- Cóż - oświadczyła afektownie Beth - jestem przyzwyczajona do picia z kieliszka, proszę pana.

Blanche roześmiała się piskliwie.

- To prawdziwa dama. Wołamy na nią „markiza”!

Mężczyźni ryknęli śmiechem, brodacz od niechcienia uszczypnął Beth w pierś. Na szczęście wziął pełny oburzenia pisk Beth za objaw zachwyty.

- Już się robi, wasza miłość. Może być najlepszy kryształ? - Ku przerażeniu Beth wyszedł z kuchni, by przynieść kieliszek. Czy uda się na górę? Gdzieś tam był Nicholas. Pobiegła za brodaczem.

Mężczyzna się odwrócił, a potem uśmiechnął chytrze.

- A więc na tym polega twoja gra, markizo. Jesteś sprytna, nie ma co. Lubisz miłe, przytulne sypialnie, prawda? No to chodź.

Beth rozejrzała się gorączkowo. Znajdowali się u podnóża schodów prowadzących na parter, wzdłuż ściany biegły półki zastawione miskami i garnkami.

Hałas z kuchni prawie nie docierał przez zamknięte drzwi. Z góry nie dobiegały żadne odgłosy. Nicholas z pewnością był w środku. Beth pomyślała, że w razie potrzeby strąci z półki część naczyń, by narobić hałasu.

- Chyba lepiej wróć do swojej siostry - powiedziała bojaźliwie. - Jest okropnie zazdrosna.

- Nie przejmuj się nią, złotko. Może ją też zabiorę na

górze. Chodź. - Złapał ją za rękę potężnym łapskiem.
- Puszczaj! - pisnęła Beth. Nagle sobie przypomniała, że miały nie wchodzić na górę, i zaparła się nogami.

- Co z tobą, do diaska? - warknął brodac. - Markizo, przy Tomie Crossie lepiej nie stroić fochów. -

Przyciągnął ją do siebie, przełożył przez kolano i wymierzył jej dwa mocne klapsy, przed którymi cienkie spódnice nie stanowiły większej ochrony. Beth ogarnęła wściekłość.

- Ty odrażający drabie! - wrzasnęła, jak tylko znów postawił ją na podłodze. Wyciągnęła ramię w kierunku półek. Pierwszym przedmiotem, który wpadł jej w rękę, była mała, żelazna rynka. Z całej siły walnęła nią napastnika w głowę. Oczy postawił w słup i zwałił się jak długi u podnóża schodów.

- Brawo! - krzyknął Nicholas z góry. - Już myślałem, że trzeba ci będzie przyjść z pomocą.

- Sama sobie dałam radę - powiedziała Beth, nie kryjąc dumy. Potarła pośladki i poprawiła gorset. - Skończyłeś?

- Tak. Dam znak Lucienowi i możecie stąd uciekać.

- A co z nim? - spytała, wskazując swoją ofiarę. - Czy nie zepsuje naszego planu?

- Nie. Nie zdziwi się, kiedy stwierdzi, że go zdzieliłaś w głowę.

Beth przybrała obojętną minę i weszła do kuchni.

Blanche siedziała na kolanach u tego z żółtymi zębami, pojąc go winem z butelki. Drugi mężczyzna krążył niecierpliwie w pobliżu. Odwrócił się szybko.

- Gdzie Tom? - Nie tyle się zaniepokoił, co zapragnął zagarnąć jego dziewczynę dla siebie.

- Poszedł po kieliszek dla mnie - odrzekła zuchwale.

Mężczyzna podszedł do niej. Beth się cofnęła. Nie zniesie drugiego obleśnego pocałunku. Rozejrzała się w poszukiwaniu oręża...

Właśnie wtedy wpadli Lucien i Miles.

- Do diabła, co tu robisz, Molly? - ryknął markiz, łapiąc Beth.

Blanche zeskoczyła z kolan mężczyzny z żółtymi zębami, udając przestraszoną.

- Ratunku! - zawołała i próbowała się schować za szczerbatym, który wcale się nie palił, by ją bronić.

- Co to za jedni? - spytał.

- To my im mówimy, gdzie i z kim mają iść - warknął Lucien. Pociągnął Beth w kierunku drzwi. - Nauczę cię rozumu, kiedy wrócimy do domu!

Beth zaczęła zawodzić. Miles złapał Blanche, żaden z jej niedoszłych kochasiów mu nie przeszkodził. Gdy dotarli do drzwi, Beth zobaczyła pistolet, odłożony przez Toma, i zabrała go. Po chwili znaleźli się na zewnątrz.

Kiedy biegli przez tylne podwórze w kierunku stajni, usłyszeli za sobą grubiańskie wrzaski.

- Nie pozwolę na to żadnej dziwce!

- Tom! - powiedziała Beth zduszonym głosem i wcisnęła pistolet Lucienowi.

- Co wy tam robiliście? - spytał, przeciągając słowa, jednocześnie szybko sprawdzając broń. Kiedy obejrzał się za siebie, zobaczył w drzwiach trzech strażników.

- Chodź! - szepnął Nicholas.

Wszyscy wbiegli do stajni, zdążając do wyjścia na ulicę Upper Brook, gdzie Tom Holloway miał czekać w powozie, na wypadek gdyby musieli szybko uciec. Lecz z drugiej strony akurat ktoś inny wjechał powozem do stajni.

- Cholera! - zaklął Nicholas pod nosem.

Obejrzel się za siebie. Zbiry Deverila dotarli już do stajni, przynajmniej jeden z nich miał pistolet. Nicholas przywarł do muru, by go nie było widać. Lucien zamachał pistoletem i mężczyźni się zawahali.

Wydawało się, że wieki stali nieruchomo. Czy podniosą alarm? Czy też mieli zbyt dużo na sumieniu, by zwracać na siebie uwagę? Czy woźnica spróbuje ich zatrzymać, kiedy pobiegną obok powozu?

- Jesteśmy między Scyllą a Charybdą - mruknął Lucien.

- Czy możemy ich wziąć?

- Psst!

Spojrzeni zdumieni na najbliższą stajnię. Drobna postać przywoływała ich rękoma.

- Jerzyk! - wykrzyknęła Beth.

- Chodźcie! - szepnął chłopak i znów na nich skinął.

Pobiegli w jego stronę, Nicholas ich osłaniał.

- Zatrzymać ich! - wrzasnął Tom..- To złodzieje!

- Ej, wy! - krzyknął woźnica. - Stać! Ale już byli w powozowni.

- Za mną - powiedział Jerzyk i śmignął między pojazdami w głąb pomieszczenia.

Bez pytania posłuchali. Wydostali się za nim przez okno z wybitą szybą i znaleźli się w wąskim przejściu między po-wozownią a murem pobliskiego domu. Biegli za chłopakiem, tratując zielsko. W pewnym momencie Jerzyk przystanął, po czym zniknął za drewnianym parkanem w budynku następnej stajni. Kiedy Beth tam dotarła, zobaczyła, że w ogrodzeniu brakuje dwóch desek, dzięki czemu można się było przecisnąć na drugą stronę.

Znaleźli się w stajni, w boksach stały trzy konie, leniwie przestępując z nogi na nogę. Z oddali dobiegały okrzyki ścigających mężczyzn.

Jerzyk bez słowa wskazał drabinę. Wspięli się po niej i znaleźli się w zakurzonej i ciemnej pomieszczeniu.

Chłopak oparł drabinę o ścianę, a potem wyciągnął ręce.

Lucien zorientował się, o co mu chodzi, wychylił się i wciągnął go na górę.

Zatrzasnęli klapę i zalegli w ciemnościach, próbując odzyskać dech. Słyszeli głosy, ale gdzieś daleko.

W pomieszczeniu były dwa okna. Chociaż bardzo brudne, jednak przepuszczały nieco światła i oczy Beth stopniowo przyzwyczyły się do mroku, zaczęła coś niecoś widzieć. Przytuliła się do Luciena.

- Wystarczająco podniecające dla ciebie? - spytał pod nosem.

Roześmiała się cicho.

- Prawdę mówiąc, świetnie się bawię.

- Widzę. Co zrobiłaś biednemu Tomowi?

- Zdzieliłam go w głowę żelazną rynką. Za bardzo się rozzuchwalił.

Markiz stłumił śmiech, wtulając twarz w jej ramiona.

- Komu zawdzięczamy wybawienie? - spytał Nicholas.

- Och, pozwólcie, że was sobie przedstawię - powiedział

Lucien. - Nicholas Delaney, Jerzyk Babson. Jerzyku, cóż ty tu robisz, do diabła?

- Pilnuję państwa - odparł Jerzyk zarożumiałym tonem. -

Uznałem, że w taką noc szkoda spać, tyle się dzieje przez tę bitwę i w ogóle, więc wyślizgnałem się z domu, by się trochę zabawić. Kiedy zobaczyłem, że państwo robią to samo, domyśliłem się, że coś się szykuje. Aż mnie zatkało, jak zobaczyłem państwa tak poprzebieranych. - Spojrzał na Beth i przewrócił oczami. Zachichotała.

- Przez cały czas szedłem za państwem, ale ani milord, ani milady się nie zorientowali. Wiedziałem, że skończy się na tym, że będzie państwu potrzebna pomoc.

Słyszałem coś niecoś o całym planie. Kiedy państwo byli zajęci, trochę się rozejrzałem po okolicy.

- Naprawdę świetnie się spisałeś, Jerzyku - pochwalił go Nicholas. - Wellington nie zrobiłby tego lepiej. Należy ci

się nagroda. Jeśli, oczywiście, można ci zaufać, że nie piśniesz o tym wszystkim ani słówkiem. - W tonie jego głosu dało się słyszeć groźbę.

- Może pan na mnie polegać, milordzie!

- Jestem zwykłym panem Delaneyem. Czego chcesz? - Co?

- Jakiej chcesz nagrody? Jerzyk się zmieszał.

- Uważam, że należy mu pozwolić wybrać sobie zajęcie, do którego chciałby zostać przyuczony - powiedziała szybko Beth.

- Uczy się na stajennego - zauważył Lucien, jasno dając do zrozumienia, że nie ma na świecie lepszego dla niego zajęcia.

Beth widziała, że chłopak jest w rozterce. Z jednej strony pragnął być jak najdalej od koni, z drugiej strony bał się rozdzielenia ze swym wybawcą.

- Może wolałbyś pracować w domu, Jerzyku? - podsunęła mu delikatnie.

- Może - mruknął.

- Chciałabym mieć pazia. Oczywiście musiałbyś spędzać ze mną dużo czasu i nosić śmieszna liberię...

Spojrzał na nią ostrożnie, ale oczy mu się zaświeciły.

- Czemu nie.

- I obawiam się, że będziesz się musiał nauczyć czytać i pisać i wielu innych rzeczy, żebyś naprawdę miała z ciebie jakiś pożytek.

- Myśli pani, że dałbym radę? - spytał niepewnie.

- Jestem o tym przekonana. Ostatecznie nie możesz całe życie być paziem. Może zechcesz zostać lokajem, a pewnego dnia nawet kamerdynerem.

- Jak stary Morrisby? - spytał, a oczy mu zabłyśły, jakby mu ktoś zaproponował koronę Anglii.

- Właśnie. Więc jeśli chciałbyś takiej zmiany...

- Tak, proszę - powiedział, siląc się na dobre maniery.

Lucien zmierzwił mu włosy.

- Mały, ambitny diabełek z ciebie, co? Ale jeśli pragniesz takiej chwalebnej przyszłości, lepiej wydostań nas stąd w bezpieczny sposób, w przeciwnym razie będziemy zbyt zajęci wybieraniem dla siebie stryczka, by ci pomóc.

- Rety! - krzyknął chłopak, śmiejąc się do nich. - Proszę zaczekać!

Podkradł się do klapy i podniósł ją odrobinę. Potem ostrożnie ją otworzył i spuścił się na dół. Niebawem wrócił.

- W porządku. Można wyjść.

Niebawem wszyscy byli na dole. Lucien z powrotem odstawił drabinę pod ścianę.

- Ze stajni jest tylne wyjście - poinformował chłopak. - Proszę za mną.

Wszystko poszło gładko, wkrótce znaleźli się na ulicy Parkowej, skąd ruszyli na plac Grosvenor, by spotkać się z Halem i Francisem. Skręcili na plac i stanęli jak wryci. Beaumont i Middlethorpe rozmawiali z premierem Anglii i księciem Belcraven. Francis zobaczył ich i zrobił przerażoną minę.

Dostrzegł to księżę. Obejrzał się zaciekawiony. Obojętnie popatrzył na grupkę biedaków, dłużej zatrzymał wzrok na Jerzyku, a potem się odwrócił.

Beth poczuła, że się czerwieni, miała tylko nadzieję, że jej

mocny makijaż to ukrywa. Widziała, że Lucien stara się pohamować śmiech. Miał jednak dość tupetu, by powiedzieć:

- Dobry wieczór, księżę. Co za wspaniała noc dla Anglii!

- Rzeczywiście - przyznał księżę i spojrzał na Jerzyka. - Czy ja cię nie znam, chłopcze?

- Kogo, mnie, panie? Nie. - Ale śmiało wystąpił naprzód,

nie wypadając z roli. - Dostanę sześciopensówkę, by móc wznieść toast za Wellingtona?

Blanche, jeszcze jedna profesjonalistka, podeszła do niego, kołysząc biodrami.

- Dajcie mi szylinga, a zaśpiewam piosenkę.

Na jej widok książę Liverpool zrobił się czerwony na twarzy.

- Uciekaj stąd, ty bezwstydnico!

Ale książę Belcraven położył mu dłoń na ramieniu.

- Liverpool, wyszli, by się cieszyć tym wielkim dniem. -

Wyciągnął monetę. - Chwileczkę... Który z was jest przywódcą?

Bez chwili wahania Lucien wypchnął Nicholasa przed siebie. ; - Oto on, milordzie.

- Powinienem się domyślić - mruknął książę i wręczył mu monetę pięcioszylingową. - Zadbaj, by każdy dostał pełny kielich, dobry człowieku.

Delaney uklonił się i dotknął ręką czoła.

- Rozumie się, wasza wysokość. Niech Bóg błogosławi waszą lordowską mość. Życzę długich lat życia waszej miłości...

- Starczy! - oświadczył książę, ale wyraźnie zmagął się ze sobą, by zachować poważną minę. - Ruszajcie swoją drogą. - Znów spojrzał na nich, dłużej zatrzymując wzrok na Blanche, a jeszcze dłużej na Beth. Zupełnie otwarcie mrugnął do niej. - Ostatecznie - zwrócił się do pełnego dezaprobaty lorda Liverpoola - w taką noc, jak ta, czyż wszyscy mieszkańcy Anglii nie są jedną wielką, szczęśliwą rodziną?

- Ten motłoch nie jest moją rodziną - powiedział wyniosłe książę. - Wątpię nawet, by byli wyborcami.

- Nie można być takim surowym. Kto wie, jak nawet mała zmiana losu może odmienić ich wszystkich. -

Jeszcze raz zwrócił się do „biedaków”. - Czy mogę

liczyć na to, że szybko zostaniecie uczciwymi obywatelami, moi dobrzy ludzie? Wszyscy chórem to przyrzekli.

- Uważam za całkiem realne, Liverpool, że pewnego dnia, i to już niebawem, ci obiecujący mieszkańcy naszego kraju mogą nawet aspirować do zamieszkania w domu przy placu Grosvenor.

- Oszalałeś! - stwierdził premier. - Chodź, Belcraven. Konie czekają.

Księżę z uśmiechem podążył za nim.

- Nie ma powodu, by i dama nie mogła aspirować do zamieszkania przy placu Grosvenor, wasza wysokość! - krzyknęła za nim Beth.

Odwrócił się ze śmiechem.

- To prawda. Zuchwała z ciebie dziewczyna.

Beth wysunęła biodro i spojrzała na niego zalotnie.

- Jestem oczkiem w głowie tatusia.

- Nie wątpię - powiedział księżę, spoglądając jednocześnie na Beth i Lucienę. - Nie mam cienia wątpliwości.

Powóz Liverpoola odjechał, a spiskowcy pospieszyli na ulicę Upper Brook, gdzie w powozie czekał podniecony Tom Holloway. Tuż obok stał drugi powóz, z którego machała do nich Eleanor.

Nicholas, Lucien, Beth i Jerzyk wgramolili się do powozu Eleanor, a Hal, Miles, Francis i Blanche wsiedli do tego, którym powoził Tom Holloway. Obejrzeni się na dom Deverila. Był ciemny i cichy. Strażnicy, stwierdziwszy, że ucierpiała tylko głowa Toma, postanowili widocznie nie wywoływać zamieszania.

- Co ty tu robisz? - spytał Nicholas Eleanor, biorąc ją w ramiona.

- Nie chciałam, żeby mnie ominęła cała ta zabawa.

Wszystko poszło, jak trzeba?

- Było gorąco. Ale uratował nas ten dzielny młodzieniec

-odparł Delaney, mierzwiąc włosy Jerzykowi. Dał mu monetę pięcioszylingową. - Uważam, że sobie na nią zasłużyłeś.

- Dziękuję, panie!

- Ale - dodał Lucien - nie pójdziesz w miasto, by ją dziś wydać. Obiecujący młodzieńcy muszą być wypoczęci. Jerzyk trochę się krzywił, lecz w końcu mruknął:

- Dobrze.

- Pomyśl, Jerzyku - powiedział łagodnie markiz. - Zmiana to zmiana. Nie jesteś już tym samym chłopcem. Jeśli spotkałbyś się teraz z jednym ze swych dawnych druhów, rozebraliby cię do naga i sprzedali wszystko, co do ciebie należy.

- Chyba ma pan rację, milordzie - rzekł chłopak i prychnął lekko. - Trudno zrezygnować z tego, do czego człowiek się przyzwyczaił.

Beth pochyliła się i położyła mu dłoń na rękę.

- Tak, to trudne, Jerzyku. Ale życie to zmiana, jeśli chcesz coś w nim osiągnąć. - Uśmiechnęła się do Luciena. - I ostatecznie warto zadać sobie ten trud. Nicholas uśmiechnął się do swojej żony.

- A ode mnie wymaga się ustatkowania. Eleanor spojrzała na jego zniszczone ubranie.

- Nazywasz to „ustatkowaniem się”?

- Najpotulniejsza z potulnych. Ale skończyliśmy to, co mieliśmy zrobić, i teraz możemy wracać do Somerset. Dotarli do domu Toma Hollowaya i szybko weszli do środka. Kiedy Beth zamierzała pójść się przebrać, Lucien powstrzymał ją, mówiąc:

- Zarzuć tylko spencer na sukienkę, przecież i tak będziemy cię musieli przemycić do domu.

Spojrzała na siebie. Już dawno zapomniała, jak jest ubrana.

- Dobrze - powiedziała.

Markiz odliczył dziesięć gwinei i podał jej. Beth, czując, jak palą ją policzki, uśmiechnęła się, wzięła monety i wrzuciła je za stanik. Spojrzała na Nicholasa i Eleanor.

- Przypuszczam, że tak czy inaczej muszę sobie zapewnić niezależność, prawda?

Lucien związał w węzełek swoje przyzwoite ubranie i ruszyli do wyjścia, mijając na schodach Blanche i Hala.

- Bierz pieniądze z góry, kochaniutka! - zawołała Blanche.

Beth zachichotała.

- To się rozumie!

Później, wyczerpana, lecz zaspokojona, leżąc w ramionach Luciena, Beth spytała:

- Czy możemy wrócić do Hartwell?

- Tak. Jak tylko zostaniesz przedstawiona na dworze. -

Widząc, że chce się sprzeciwić, zamknął jej usta pocałunkiem. - Pozwoliłem ci zagrać ulicznice, Beth, a nawet nie zapytałem, co zrobił Tom, że zdzieliłaś go rynką w głowę. Teraz czas, żebyś odegrała rolę markizy. Beth przytuliła się mocniej do niego.

- Nie sądzę, żeby była między nimi wielka różnica.

- Założę się, że królowa by się nie zgodziła z tobą. Zawsze możesz pożyczyć suknię Blanche i wystąpić w niej na dworze. Przekonalibyśmy się.

Beth zachichotała.

- Czy wyrzucają członków najwyższej arystokracji za nieprzyzwoite zachowanie?

- Nie wiem.

Przesunęła dłoń po jego ramieniu.

- Co powie książę?

- Przypuszczam, że nic. Nigdy nie widziałem, żeby tak się śmiał. Zmienił się. Wszyscy się zmieniliśmy, odkąd znalazłaś się wśród nas.

- Na lepsze? - spytała Beth.

- Niewątpliwie. Jesteś jak ciepłe promienie słońca padające na zamarzną ziemię. Moja matka śpiewa, mój ojciec się śmieje... A ja... ja rozkoszuję się inteligencją, siłą i duchem mojej dozgonnej przyjaciółki. Więcej mężczyzn powinno mieć tyle szczęścia, co ja.
- Mądrzy mężczyźni - powiedziała Beth cicho - zawsze pozostaną mądrymi. A mądra kobieta doceni mądrego mężczyznę, gdy go spotka.